

# Monroe Mary Alice

## Cztery pory roku

*Cztery siostry Season, w dzieciństwie bardzo sobie bliskie, rozdzieliła tragedia. Spotkały się po latach na pogrzebie swej najmłodszej siostry. Za sprawą jej ostatniej woli ruszają w drogę na poszukiwanie obcej im osoby - jedynej, która jest w stanie na nowo wprowadzić ład w ich życie.*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Rose Season stała w progu sypialni siostry i patrzyła na puste łóżko. Nadchodziła zameć i w pokoju panował półmrok. Szyby w oknach zadrżały od porywu lodowatego wia-f tru znad jeziora Michigan.

- Merry - szepnęła z tęsknotą, powstrzymując impuls, by otworzyć okno i wykrzyknąć imię siostry w ciemniejącą przestrzeń. Wyraźnie wyczuwała jej obecność. Czytała kiedyś, że dusza opuszcza miejsce śmierci dopiero po trzech dniach. Merry nie żyła już od czterech. Czy zwlekała z odejściem, by nabrać pewności, że jej ostatnia prośba zostanie spełniona?

Ostatnia wola Merry, pomyślała Rose niespokojnie. Ta prośba była szalona, niepożądana, nawet bolesna. Nie było szans, by ktokolwiek zgodził się ją spełnić. Co zrobią siostry, gdy przeczytają Ust Merry? A zwłaszcza Jilly? Nigdy nie wracała do tej historii sprzed dwudziestu pięciu lat, jakby to wszystko nigdy się nie zdarzyło. Na pewno Jilly będzie wściekła, pomyślała Rose. Ale rodzinne sekrety zawsze w końcu wychodzą na światło dzienne.

Zegar w holu wydzwonił godzinę, przypominając Rose, że zawsze o tej porze wołała Merry na kolację. Znow przeszył ją ból samotności. Weszła do lawendowej sypialni Mer-

## 6

### **CZTERY PORY ROKU**

ry i przystanąła przy białej, dziewczęcej toalecie, patrząc na srebrny komplet składający się ze szczotki do włosów, grzebienia i lusterka. W szczotkę wciąż wplątane były ru-doblond włosy. Rose pochyliła się i podniosła z łóżka steraną lalkę. Merry kochała tę lalkę nad życie. Nadała jej imię Spring i spała z nią przez dwadzieścia sześć lat. Rose przyłożyła zabawkę do policzka i poczuła zapach Merry.

Odłożyła lalkę z powrotem na poduszkę, wygładziła narzutę, a potem koronkową serwetkę na nocnym stoliku, poprawiła plisowany abażur lampy i wyrównała znajomy rząd buteleczek z lekarstwami. Były już bezużyteczne, ale nie potrafiła się z nimi rozstać.

Bez Merry czuła się bezużyteczna i pusta jak pancerzyk cykady przyklejony do pnia drzewa.

Potrzebowała jakiegoś zajęcia, czegoś, na czym mogłaby skupić uwagę. Samodyscyplina, która była główną cechą jej natury, nakazała jej wyjść z ponurej sypialni. Znalazła się na szerokich, biegnących łukiem schodach starego wiktoriańskiego domu, w którym mieszkała od urodzenia. Ściany wzdłuż schodów pokryte były mnóstwem fotografii sióstr Season w najważniejszych momentach życia. Rose zerknęła na znajome twarze Jilly, Birdie, Merry i własną. Ojciec nazywał je Czterema Porami Roku. Jilly i Birdie, najstarsze siostry, miały najwięcej zdjęć; twarz Rose ukazywała się rzadziej, a fotografii Merry było zaledwie kilka. Już prawie dziesięć lat minęło, odkąd wszystkie się spotkały. Jakie to smutne, że tym razem miał je połączyć pogrzeb.

Ciekawe, która przyjedzie pierwsza, zastanawiała się Rose.

***Season* (ang.) - pora roku (przyp. red.).**

## **Mary Alice Monroe 7**

Birdie prowadziła praktykę lekarską w Wisconsin i na ogół była bardzo zajęta, ale Jilly miała przylecieć aż z Francji.

Rose zatrzymała się przy oprawionej w ramki okładce paryskiego wydania „Vogue” z 1977 roku. To była pierwsza okładka dwudziestoletniej wówczas JilEan. Na fotografii jej płomiennorude włosy szykownie kontrastowały z różową suknią, czerwone usta były niewinnie wydęte, głęboko osadzone oczy lśniły szmaragdowym blaskiem. Jilly stała w uwodzicielskiej pozie, eksponując wyłaniającą się z rozcięcia sukni długą nogę. Rose nie była w stanie sobie nawet wyobrazić, że ona sama mogłaby stanąć w takiej pozie przed tłumem obcych ludzi, w blasku fleszy. A przede wszystkim nie wierzyła, by mogła wyglądać równie pięknie i uwodzicielsko.

Jilly urodziła się minutę po północy 1 listopada 1956 roku, w dzień Wszystkich Świętych. Matka często opowiadała, że starała się wstrzymać skurcze, bo nie chciała, by jej córka urodziła się w Halloween. Kto wie, jaki przydomek nadałby jej wówczas ojciec? William uważał zabawę z ich nazwiskiem za coś w rodzaju tradycji rodzinnej. Jednak ich matka, Ann, piękna kobieta drobnej budowy, ale o żelaznej woli, przysięgła sobie, że żadne z jej dzieci nie otrzyma imienia, które mogłoby się stać przedmiotem kpin otoczenia, i w wyniku kompromisu wszystkie jej cztery córki otrzymały zwyczajne, solidne imiona, ojciec zaś dostał wolną rękę w wymyślaniu im przydomków. W ten sposób ich pierwsze dziecko, urodzona podczas chicagowskiej jesieni Jillian została Jilly Season. Niżej znajdowała się duża kolekcja fotografii Beatrice. Jilly lubiła być we wszystkim pierwsza, ale to Birdie po-

## CZTERY PORY ROKU

trafiła najwięcej osiągnąć. - Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje - powtarzał często ojciec, spoglądając z dumą na swą drugą córkę, która, o czym wszyscy wiedzieli, była jego ulubienicą. Jilly twierdziła, że jej młodsza siostra zastępuje mu syna, którego nie miał. Birdie była wysoką, mocno zbudowaną dziewczyną obdarzoną przenikliwym umysłem i silnym duchem rywalizacji. Nawet imię - Birdie, czy Ptaszek - wydawało się adekwatne do jej chłopięcej budowy.

Bill Season nazwał ją tak, ponieważ urodziła się na początku lata i demonstrowała nieposkromiony apetyt, jak głodne pisklę w gnieździe. Wiele też potrafiła wywalczyć, pomyślała Rose, wędrując wzrokiem po fotografiach. Pierwsza z nich przedstawiała ociekającą wodą szesnastolatkę, która, promieniejąc, przyciskała do piersi ogromne srebrne trofeum za drużynowe mistrzostwo stanu w pływaniu. Oczywiście, Birdie była kapitanem drużyny. Na innych zdjęciach wygłaszała jakąś mowę w imieniu swojej klasy, zdobywała - kolejne trofea w zawodach pływackich, lacrosse'u i w konkursach wiedzy. Birdie z dyplomem akademii medycznej. Birdie w białych koronkach i tiulu u boku przystojnego pana młodego, Dennisa, najważniejszego trofeum w jej życiu.

Kolejny fragment ściany w porównaniu do poprzedniego wydawał się prawie goły i Rose jak zwykle poczuła zakłopotanie na myśl, że niewielka liczba fotografii odzwierciedla braki w jej własnym życiu. Jilly była sławną modelką, podziwianą na okładkach czasopism w całej Europie; Birdie odnosiła sukcesy jako lekarka, żona i matka. A ona co? Nie było tu ani fotografii z uroczystości w college'u, ani promiennej panny młodej. Punktem centralnym było zdjęcie zrobione w dniu ukończenia szkoły średniej, przedstawiające

## **Mary Alice Monroe 9**

chudą, nieśmiałą dziewczynkę. Rose wyglądała wtedy prawie tak samo jak teraz. Miała jaśniejszy, bardziej wyblakły odcień włosów niż pozostałe siostry. Ze względu na ten ich kolor ojciec czasem nazywał ją „dynią”, matka zaś optymistycznie twierdziła, że są rudoblond. Ciągle były długie i proste, tak samo jak w liceum. Nie zmieniła się również figura Rose. W szkole wołano na nią „Patyk”. W jej twarzy dominowały oczy: wielkie, jasnobrązowe, o brwiach i rzęsach tak jasnych, że prawie nie było ich widać. Na tle bladej cery wyglądały jak oczy czającego się do skoku kota.

Rose urodziła się w sierpniu, kiedy kwitły ulubione róże jej matki, i temu zawdzięczała swe imię. Jako jedyna z czterech sióstr nie doczekała się żadnego przydomku. Ojciec zawsze powtarzał, że jego trzecia córka ma proste, ładne imię. Z pełnym rezygnacji westchnieniem pomyślała teraz, że widocznie nie zasługiwała na nic więcej.

Podobnie jak w większości rodzin, niejako z natury rzeczy najmłodsze dziecko miało najmniej fotografii. Szkoda, pomyślała Rose, bo Merry była najładniejsza z nich wszystkich. Rodzice brali ślub późno i późno mieli dzieci, dlatego ojciec mawiał, że Merry to jego łabędzi śpiew. Meredith, czwarta z sióstr, urodziła się w grudniu, sezonie obfitującym w okazje do nadawania przydomków, Bill jednak poprzestał na „Merry”, gdyż mała była bardzo radosnym dzieckiem. Rose dotknęła jej uśmiechniętej twarzy na ostatniej fotografii: Merry miała na niej dwa lata. Więcej zdjęć nie było.

Odwróciła głowę i nerwowo przeszła przez cały dom. We wszystkich dwunastu pokojach panowała nieskazitelna

***Merry (ang.) - wesoly (przyp. red.).***

**CZTERY PORY ROKU**

czystość, wszędzie stały świeże kwiaty, a w piecyku czekała gorąca kolacja. Rose włączyła telewizor, ale zaraz znów go wyłączyła. Wzięła do ręki książkę i usiadła na krześle, ale zanim przeczytała pierwszy akapit, jej myśli znów powędrowały daleko. Z westchnieniem odłożyła książkę i sięgnęła do kieszeni domowej sukienki po bladoniebieską kopertę.

List Merry.

Przez cały dzień nosiła go ze sobą, niepewna, czy powinna go spalić, czy pokazać prawnikowi. Dłużej nie mogła już odwlekać tej decyzji. Pogrzeb miał się odbyć jutro. Rose przymknęła powieki i zobaczyła Merry, jak z lekko wysuniętym czubkiem różowego języka w skupieniu zmaga się z słowami. Jej młodsza siostra nie miała pojęcia, jak wielkie konsekwencje dla pozostałych trzech sióstr może mieć tych kilka zdań nakreślonych dziecinnym pismem.

Na kopercie widniały trzy imiona otoczone dużym sercem: Do Jilly, Birdie i Rose.

Rose zdecydowała, że pokaże list prawnikowi. Tak należało postąpić. Merry zaufała jej i tym razem Rose nie mogła jej zawieść.

Beatrice Season Connor ze złością podniosła wzrok na kwietniowe niebo.

- Spójrz, pada śnieg! - zawołała z zachwytem jej piętnastoletnia córka Hannah. Wskoczyła z samochodu, podniosła głowę do góry i łapała miękkie, wilgotne płatki na język.

- Tego nam tylko brakowało - burknęła jej matka.

- To tylko kilka płatków! - odrzekła Hannah obronnie,

## Mary Alice Monroe 11

- Wygląda raczej na początek śnieżycy - narzekła Birdie, wyciągając z bagażnika torby pełne zrobionych w ostatniej chwili zakupów. - Mam dość śniegu. Chyba już wystarczy jak na jeden rok! Rany boskie, w końcu mamy kwiecień! No dobrze - zakończyła tyradę z typową dla siebie stanowczością i zatrzasnąwszy drzwiczki, ruszyła do domu. - Będziemy musieli się pośpieszyć i wyjechać wcześniej, niż zaplanowaliśmy, żeby ze wszystkim zdążyć przed pogrzebem. Liczę na twoją pomoc, Hannah. Będę jej potrzebować.

Hannah skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Nie rozumiem, dlaczego to my musimy się wszystkim zajmować.

- Musimy, jeśli ma być zrobione tak jak trzeba - wzruszyła ramionami Birdie, choć ta perspektywa jej również nie zachwycała. I tak z najwyższym trudem wcisnęła wyjazd do Evanston w swój szczelnie wypełniony terminarz. Musiała wymknąć się z miasta niemal ukradkiem. Czuła się jak cyrkowiec żonglujący niezliczoną ilością piłeczek: musiała znaleźć zastępstwo w pracy, uspokoić swoich pacjentów, zawieźć psa do schroniska, odwołać sprzątaczkę, spakować się... Lista ciągnęła się w nieskończoność. A do tego wszystkiego musiała jeszcze sprawdzić, czy przed jutrzejszym pogrzebem wszystko zostało załatwione jak należy.

- Gdy masz coś do zrobienia, poproś o pomoc zajętą kobietę - westchnęła, choć w głębi duszy czuła satysfakcję. Jej zdaniem do osiągnięcia w życiu sukcesu konieczna była dyscyplina, ustanowienie celów i mnóstwo ciężkiej pracy. A Birdie pracowała ciężiej niż większość ludzi. Lista jej i osiągnięć była długa: była pediatrą z kwitnącą praktyką, żo-



## CZTERY PORY ROKU

na od dziewiętnastu lat, matką zdrowej córki i panią dużego, dobrze zarządzanego domu. Jeśli supermatki naprawdę istniały, to Birdie z pewnością była jedną z nich.

Ten dzień był jednak dla niej ciężką próbą. Spojrzała na zegarek i z rozdrażnieniem zacisnęła usta: Gdzie się podziewa Dennis? A Hannah? Wyjrzała przez okno i zobaczyła córkę opartą o tylny zderzak samochodu, wpatrzoną w wirujące płatki śniegu.

- Nie słyszałaś, jak mówiłam, że musimy wcześniej wyjechać? - zawołała z frustracją przez tylne drzwi domu.

Uśmiech Hannah zgasł, ale dziewczyna nie ruszyła się z miejsca i śmiało spojrzała na matkę.

- Skończ z tą biemą agresją - prychnęła Birdie, podchodząc bliżej. Z każdym krokiem jej gniew wzrastał. - Od wczoraj proszę, żebyś się spakowała, a ty jeszcze nie kiwnęłaś nawet palcem. Nie będę robić tego za ciebie.

- A kto cię o to prosi? - wzruszyła ramionami Hannah. - I tak zapakowałabyś nie to, co trzeba.

- Nie wybieramy się na piknik, tylko na pogrzeb mojej siostry! Jest to dla mnie wystarczająco bolesne i nie mam ochoty kłócić się o takie bzdury jak twoja sukienka.

- Ty przynajmniej masz siostry.

Cios był celny. Od ilu to już lat Hannah wypominała jej fakt braku rodzeństwa, jakby chodziło o niedotrzymaną obietnicę?

- Hannah, proszę cię, daj spokój. Nie ma czasu na sprzeczki. Idź na górę i zapakuj czarną sukienkę.

- Ty nigdy o nic nie prosisz, ty tylko rozkazujesz! Nienawidzę cię! - wykrzyczała Hannah i pobiegła w głąb domu, trzaskając drzwiami.

Mary Alice Monroe 13

Birdie zdawała sobie sprawę, że te słowa zostały wypowiedziane w przypiływie nastoletniego gniewu, tylko po to, by ją zranić; a jednak dopięły celu. Żadna matka nie potrafi przyjąć czegoś takiego bez poczucia totalnej porażki.

Ciężkim krokiem poszła za Hannah. Zamknięte drzwi coraz częściej określały jej relacje z córką. Dlaczego ciągle musiały się ścierać? I od kiedy zaczęło jej tak bardzo zależeć na wygrywaniu tych bezsensownych bitew? Jeszcze nie tak dawno udawało jej się puszczać drobne zaczepki mimo uszu, bo wszystkie artykuły na temat wychowania, jakie czytała, zgodnie radziły: bądź tym, który wybiera pole walki! Ale z nastolatkami polem bitwy stawało się wszystko. PV Wyładowała frustrację, sprząając bałagan na stole w kuchni, a gdy blat lśnił już czystością, sięgnęła po stertę wiadomości od pacjentów. Odsunęła na bok osobiste problemy i wykreśliła pierwszy numer.

Godzinę później, kończąc ostatnią rozmowę, zobaczyła przez okno męża, który wychodził z garażu, strzepując z kurtki sypki śnieg. Był od niej wyższy nie więcej niż o kilka centymetrów i szczupły. Ze swą pociągłą, zamyśloną twarzą, długimi włosami, które opadały mu na kark, ciemnymi brązowymi oczami, w szylkretowych okularach, wygniecionych sztruksowych spodniach i w swetrze w każdym calu wyglądał na wykładowcę uniwersyteckiego, którym zresztą był.

Otrzepał buty ze śniegu i podniósł głowę. Birdie zauważyła, że jest blady i znużony. Kiedyś zawsze obwieszczał swój powrót już w drzwiach, wołając wesoło: Jestem w domu!, ostatnio jednak przekraczał próg w milczeniu. Birdie zmarszczyła brwi, ale po chwili znów skupiła się na rozmowie.

**CZTERY PORY ROKU**

- Nie, pani Sandier, Tommy nie potrzebuje antybiotyku. Tak, jestem pewna. To nie jest infekcja bakteryjna, tylko paskudny wirus. Antybiotyk nic tu nie pomoże, mógłby tylko osłabić naturalną odporność organizmu. - Pochwyciła spojrzenie Dennisa i gestem poprosiła, by chwilę zaczekał. Skinął głową, rzucił kurtkę na krzesło i sięgnął do lodówki po piwo.
- Proszę go uważnie obserwować i jeśli gorączka powróci, zadzwonić do mojego gabinetu. Doktor Martin będzie mnie zastępował. Co takiego? Trzydzieści sześć i pięć to normalna temperatura. - Wywróciła oczami i sięgnęła po piwo Dennisa. - Tak, świetnie. Do widzenia. Westchnęła z ulgą, odłożyła słuchawkę i wypłała z puszki wielki łyk.
- Diagnoza: poważny stan nerwowy matki - mruknęła.
- Miałaś ciężki dzień?
- Okropny. Na początek zachorował pies. To neurotyk. Zawsze zaczyna chorować, gdy oddaję go na przechowanie. Hannah też przez cały dzień jak zwykle chodzi rozdrażniona. I do tego jeszcze pacjenci.
- Myślałem, że zorganizowałaś sobie zastępstwo - zdziwił się Dennis;
- Zorganizowałam, ale wiesz przecież, że niektórzy za<sup>^</sup>-wsze wpadają w panikę, kiedy wyjeżdżam. Wolę do nich zadzwonić.
- Nie musisz tego robić. Pacjenci innych lekarzy nie wymagają od nich takiego traktowania. Nie mam pojęcia, po co się tak zabijasz. I tak jesteś lepsza od większości swoich koleżanek i kolegów.
- Jestem lepsza, bo pilnuję właśnie takich rzeczy. Taka

## **Mary Alice Monroe 15**

już jestem. Tak czy owak, nie ma się o co spierać, bo wszystkie telefony już załatwiłam. To była ostatnia rozmowa, Bogu dzięki - dodała, wyrzucając plik żółtych karteczek do kosza na śmieci.

- A więc jesteś już wolna. Birdie prychnęła drwiąco.

- Owszem. Teraz mogę zająć się pogrzebem. Dennis odstawił piwo i w znajomym geście położył ręce na jej ramionach. Birdie westchnęła i przymknęła oczy, z ulgą poddając się masażowi. Dennis miał cudowne ręce, silne i o długich palcach; potrafił rozluźnić zeszywniałe węzły mięśni jak nikt inny. Zaczęli się spotykać w college'u, kiedy Birdie zdobywała tytuły mistrzowskie w pływaniu; Dennis masował jej ramiona po zawodach. Birdie czasem żartowała, że poślubiła go dla jego rąk.

- Boże, jak mi dobrze - westchnęła.

- Jesteś strasznie spięta. Musisz się odprężyć. - Pochylił się nad nią i szepnął jej na ucho uwodzicielskim tonem: - Wiem, co mogłoby cię rozluźnić. O której musimy wyjechać?

Birdie skuliła się i wysunęła spod jego rąk. Seks był ostatnią rzeczą, na jaką miała w tej chwili ochotę, i propozycja Dennisa tylko ją rozdrażniła.

- Rany boskie, Dennis, musimy za czterdzieści minut wyjechać.

Jego ręce zawisły w powietrzu, a potem opadły z rezygnacją.

- Myślałem, że wyjeżdżamy dopiero o czwartej? - zapytał bezbarwnym głosem.

- Zapomniałeś, że mamy zabrać Jilly z lotniska O'Hare?

## CZTERY PORY ROKU

- zapytała z irytacją. Dennis pamiętał daty wybuchu wszystkich wojen, w jakich kiedykolwiek brały udział Stany Zjednoczone, ale nigdy nie wiedział, który jest dzisiaj dzień miesiąca. - Prognozy zapowiadają śnieżycę, co oznacza, że na autostradzie powstaną korki, a lot Jilly będzie opóźniony. Nie wiadomo, o której uda im się wylądować, i bardzo możliwe, że utkniemy na lotnisku na parę godzin.

- Dlaczego Rose jej nie odbierze? Birdie parsknęła, potrząsając głową.

- Nie jestem nawet pewna, czy Rose wie, jak tam dojechać. Ona nigdy nawet nie wyściubia nosa z Evanston, chyba w ogóle nie wychodzi z domu! Telefonów też nie odbiera od razu, tylko nagrywa na sekretarkę i potem oddzwania. A zresztą kto miałby do niej dzwonić? Nie ma żadnych przyjaciół.

Rose jest kochana, ale z roku na rok coraz bardziej się izoluje.

Roztarta mięśnie karku, znów czując ich sztywność i myśląc o tym, że po pogrzebie i sprzedaży rodzinnego domu czeka ją poważna rozmowa z siostrą o przyszłości. Rose będzie musiała pogodzić się ze stratą domu i znaleźć jakąś pracę, która pozwoli jej się utrzymać. Rose potrafiła obsługiwać komputer, była jednak wielką domatorką; rozpoczęcie nowego życia, zdobycie przyjaciół i pracy z pewnością nie przyjdzie jej łatwo. Wieloletnia opieka nad Merry pod tym względem nie wyszła jej na dobre.

- Powiedz Jilly, żeby wzięła taksówkę.

- Co? Aha... sugerowałam jej to przez telefon, ale skarżyła się, że ma mnóstwo bagażu, że tak dawno nie była w domu, i tak dalej, i tak dalej. Ona po prostu chce, żeby ktoś z rodziny po nią wyjechał.

## **Mary Alice Monroe 17**

Dennis potrząsnął głową.

- A ty ustąpiłaś....

- A kto by nie ustąpił Jilly?

- Ale nawet ty nie możesz nic poradzić na zamieć.

Birdie roześmiała się, a potem zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad sytuacją. Najważniejsze było dotarcie na czas do Evanston i dopilnowanie, by pogrzeb przebiegł zgodnie z telefonicznymi ustaleniami.

- Boże, to będzie koszmar - westchnęła, opierając się całym ciężarem ciała o szafkę. - Po Jillian można się spodziewać wszystkiego. Pamiętasz scenę, jaką zrobiła na pogrzebie mamy?

Dennis wzruszył ramionami.

- Robienie scen stanowi treść jej życia. Nie rozumiem, o co tyle zamieszania. Przyjedzie zdenerwowana, zostanie przez kilka dni, na pewno urządzi jakieś przedstawienie, a potem znów wyjedzie i jak Bóg da, nie zobaczymy jej przez następne dziesięć lat. ^

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak jej nie lubisz. Przecież nigdy nie zrobiła ci nic złego.

- Nie musi mi nic robić. Wystarczy to, co robi tobie.

- Co to znaczy? - zapytała Birdie zaskoczona, chociaż Dennis nigdy nie krył, że nie lubi jej czarującej siostry.

- Wytrąca cię z równowagi - odrzekł spokojnie, patrząc jej prosto w oczy. - Przy niej tracisz całą pewność siebie. Przestajesz być sobą.

Miała ochotę odpowiedzieć, że to głównie przez niego, ponieważ w obecności Jilly zachowuje się inaczej niż zwykle. Dennis i Jilly spotykali się przez krótki czas w szkole średniej i Birdie, mimo upływu lat, nie udało się przejść

**CZTERY PORY ROKU**

nad tym do porządku dziennego. Żadne z nich nigdy o tym nie wspominało, ale czasami, w obecności Jilly, gdy Dennis myślał, że nikt go nie widzi, przyglądał się siostrze swojej żony z dziwnym wyrazem twarzy. Birdie zastanawiała się wtedy, co się kryje pod tym spojrzeniem; bała się myśleć, że może to być pożądanie.

- Jeśli nawet tracę przy niej pewność siebie, to dotyczy to tylko urody - odparła. - Nie da się ukryć, że Jilly jest piękna.

- Ty też.

- Niestety, nie - wzruszyła ramionami. Nie była to kokieteria; wiedziała, że dodatkowe dziesięć kilogramów - o tyle przytyła w ciągu ostatniej dekady - nie dodało jej wdzięku. Pod tym względem nie mogła się równać z Jilly. Poza tym jej oczy były bladoniebieskie, a nie zielone jak oczy Jilly. Nie miała również oszłamiających rudych włosów, lecz mysiobrazowe, które tylko gdzieniegdzie przybierały rudawy odcień. A co było najgorsze ze wszystkiego, odziedziczyła nos po ojcu. William Season uważał, że powinna być dumna z tego arystokratycznego dziedzictwa; owszem była, zdawała sobie jednak sprawę, że nie jest ono szczególnie twarzowe.

- Dla mnie jesteś piękna - powtórzył Dennis. Serce Birdie drgnęło w nagłym przypiływie miłości do męża. Zarumieniła się i pochyliła nad zlewem, płuczac kubki po kawie.

- Miło mi, że tak mówisz, Dennis, naprawdę. Ale mam już ponad czterdzieści lat, osiągnęłam w życiu sukces i nie muszę udawać, że jestem piękna, by się dowartościować.

Dennis potrząsnął głową ze smutkiem. Birdie zakręciła wodę i podjęła nagłą decyzję.

## **Mary Alice Monroe 19**

- Odpuścimy sobie to lotnisko. Zadzwoń do Rose i zobaczymy, co da się zorganizować. Ale ze względu na pogodę i tak musimy wyjechać wcześniej. Gdzie byłeś tak długo? Obiecałeś, że wrócisz do domu o dwunastej.

- A która jest teraz?

- Dochodzi trzecia.

Dennis tylko bezradnie wzruszył ramionami.

- Miałem mnóstwo spraw do załatwienia przed wyjazdem. Musiałem wystawić oceny przed wiosennymi feriami. A potem miałem pilne spotkanie u szefa wydziału. Wyszedłem stamtąd najszybciej, jak mogłem.

- A czy nie przyszło ci do głowy, że ja też mam mnóstwo ważnych spraw? Oprócz pacjentów musiałam jeszcze

zrobić zakupy przed podróżą, spakować wszystko i odwieźć psa do schroniska!

Dennis odwrócił się do niej plecami i zgarnął z szafki piwo wraz ze stosem poczty.

- No cóż, nie wszyscy potrafią być tak świetnie zorganizowani jak ty.

Te słowa zabolęły. Birdie w milczeniu patrzyła, jak jej mąż nieśpiesznie przegląda pocztę, myśląc, że Dennis bywa zupełnie nieczuły na potrzeby innych. Z całą pewnością to właśnie po nim Hannah odziedziczyła konstrukcję psychiczną.

- Gdzie jest Hannah? - zapytał Dennis, jakby czytał w jej myślach.

- Powinna się pakować na górze. Może pójdziesz sprawdzić? Już od dwóch dni proszę, żeby to zrobiła, a teraz już nie mamy czasu i jeśli nie jest gotowa\* to ja muszę się tym zająć.



## CZTERY PORY ROKU

- Wcale nie musisz - odrzekł, podnosząc wzrok. - Jeśli o czymś zapomni, to poradzi sobie bez tego.
- Och, Dennis, nie bądź śmieszny. Jeśli jej nie przypilnuję, nie wiadomo, co zabierze.
- Jeśli nie zabierze odpowiedniej odzieży, to ona sama będzie się czuła głupio. Przecież zawsze bardzo wiele mówisz o naturalnych konsekwencjach.

Birdie prychnęła ze złością. Wiedziała, że Dennis ma rację, ale nie mogła znieść myśli, że córka miałaby pojawić się nieodpowiednio ubrana na pogrzebie jej własnej siostry.

- Gdy ludzie widzą źle ubrane dziecko albo bałagan w domu, nigdy nie obwiniają ojca, tylko zawsze źle myślą o matce.
- A kogo obchodzi, co ładnie myślą?
- Mnie obchodzi!
- Mogłabyś trochę sobie odpuścić i zostawić Hannah w spokoju. Ona ma piętnaście lat. I tak nie będzie słuchać tego, co do niej mówisz.

Birdie ostro podniosła dłoń do góry.

- Nie będziemy się teraz o to kłócić. Mam za dużo do zrobienia. Czy mógłbyś pójść na górę i spakować swoje rzeczy bez tych zbędnych dyskusji? Przygotowałam już twój granatowy garnitur. Zabierz jeszcze jakiś sweter. To wszystko, co musisz zrobić - dodała z emfazą.
  - I tak nigdy nie podoba ci się to, co wybieram, więc może lepiej by było, gdybyś sama skończyła pakowanie moich rzeczy? - mruknął Dennis z niechęcią, ale posłusznie poszedł na górę.
- Birdie ugryzła się w język, z trudem powstrzymując wybuch. Ostatnio, po śmierci Merry, ilekroć znaleźli się z Den-

## **Mary Alice Monroe 21**

nisem w jednym pomieszczeniu, błyskawicznie zaczynało narastać napięcie.

Ze zdumieniem potrząsnęła głową. Czy to możliwe, że minęły zaledwie cztery dni?

Tamten wieczór był podobny do wielu innych. Nic nie zapowiadało nieszczęścia. Birdie zawsze sądziła, że byłaby w stanie przeczuć śmierć bliskiej osoby, a szczególnie siostry. W końcu była lekarzem; intuicja powinna ją ostrzec, że dzieje się coś złego. Intuicja jednak milczała i Birdie bez żadnego niepokoju wsunęła się pod kołdrę, ziewnęła i zapadła w głęboki sen.

Telefon od Rose obudził ją tuż po jedenastej. Merry miała gripę i infekcja rozszerzyła się na płuca, utrudniając od-H1 dychanie. Takie komplikacje nie były niczym niezwykłym. Merry od dzieciństwa miała uszkodzone płuca, przez co zawsze była pacjentką wysokiego ryzyka. Lekarz kazał zwiększyć dawkę antybiotyku i już był w drodze, ale Rose dla pewności wolała zadzwonić do Birdie.

Ta zaś natychmiast wstała, ubrała się, zaparzyła kawę i zadzwoniła do kolegi, prosząc, by ją zastąpił rano, gdyby nie zdążyła wrócić na czas. Po czterdziestu minutach była już w drodze, a w niecałe cztery godziny później zapukała do drzwi rodzinnego domu. Ale na widok Rose natychmiast zrozumiała, że przybyła za późno. Twarz jej siostry była ściągnięta rozpaczą, a oczy zaczerwienione. Głos był jednak spokojny, nawet kojący.

Birdie, nasza Merry odeszła. Wiem, wiem... To zdarzyło się tak nagle i nic nie można było zrobić, nikt się tego nie spodziewał... Po prostu nadszedł czas. Merry była gotowa... Odeszła bardzo spokojnie.

Znasz Merry.... Umarła z uśmiechem na twarzy.

## CZTERY PORY ROKU

Drżącą ręką Birdie otarła łzę z policzka. Minęły już cztery dni, a ona nadal nie mogła uwierzyć, że jej siostra nie żyje. Była przekonana, że tej śmierci można było zapobiec. Rose powinna zadzwonić do niej natychmiast, gdy tylko stan Merry zaczął się pogarszać. Lekarz powinien skierować ją do szpitala zaraz po stwierdzeniu wysięku w płucach. W sercu Birdie walczyły ze sobą złość, poczucie winy i smutek.

Gdyby wtedy przyjechała szybciej, gdyby darowała sobie rozmowę przez telefon albo parzenie kawy, gdyby odważyła się przekroczyć ograniczenie szybkości... to może udałoby jej się uratować siostrę. Jillian DuPres Cavatelli Rothschild Season drżącą ręką nacisnęła guzik przywołujący stewarda. Większość pasażerów przebudziła się już z drzemki i na pokładzie samolotu panował bałagan. Obsługa robiła, co mogła, ale po ośmiu godzinach lotu wewnątrz ogromnego samolotu wydawało się równie zmęczone jak sto siedemdziesiąt osiem siedzących w nim osób. Jilly jeszcze raz nacisnęła brzęczyk.

Przystojny, jasnowłosy młodzieniec w okropnej koszuli w granatowo-bordowe paski przecisnął się do niej wąskim przejściem między fotelami i rzucił jej zmęczony uśmiech. Miał długie, podwinięte rzęsy, których mógłby mu pozazdrościć niejeden model, ale sądząc po podkrążonych oczach i znudzonym wyrazie twarzy, tęsknił do lądowania jeszcze bardziej niż Jilly.

- Mam ochotę na szkocką - powiedziała, podając mu pieniądze. - Z wodą i lodem.

Steward lekko zmarszczył czoło.

- Niedługo będziemy lądować. Może wolałaby pani kawę?

## **Mary Alice Monroe 23**

Jilly wyprostowała się godnie i obdarzyła go jednym ze swych słynnych uśmiechów.

- Gdybym miała ochotę na kawę, tobym o nią poprosiła - odrzekła słodko. - Ale proszę o malutką buteleczkę szkockiej oraz szklanekę z lodem i odrobiną wody.

Steward zerknął na siedzącą obok starszą kobietę, która chłoneła każde słowo, a potem, pochylając się nad oparciem fotela, szepnął konspiracyjnie:

- Wypiła pani już trzy szkockie, a do tego nie tknęła pani obiadu.

Jilly pokiwała głową i odpowiedziała, również scenicznym szeptem:

- Z zasady nie jadam nic, czego nie potrafię zidentyfikować.

- Na pewno nie ma pani ochoty na kawę albo herbatę? To były uroki klasy turystycznej. W biznesowej nikt by

się nie ośmielił kwestionować jej zamówienia. Więcej whisky? Ależ oczywiście, natychmiast!

Jilly zdecydowała się porzucić wszelkie pozory uprzejmości.

- Młody człowieku, tak naprawdę mam w tej chwili ochotę na papierosa. Ale skoro nie pozwalacie mi zapalić, to zadowolę się szkocką.

Z twarzy stewarda nietrudno było odczytać, co jego zdaniem Jilly może zrobić ze swoim papierosem. Podniosła wyżej głowę, gotowa do walki, ale w tym momencie rozległ się głos pilota informujący, że w Chicago szaleje zamieć śnieżna i lądowanie będzie opóźnione. Ze wszystkich foteli rozległ się zgodny jęk. Steward przymknął oczy, biorąc głęboki oddech, a gdy znów je otworzył, na twarzy miał maskę służbowego uśmiechu.

## **CZTERY PORY ROKU**

- Jak pani sobie życzy. Zaraz przyniosę - rzucił beznamiętnie i wycofał się.

Po chwili był już z powrotem, z buteleczką oraz pięć-ciodolarowym banknotem; z powodu opóźnienia serwowano drinki na koszt Unii lotniczej. Ten kurtuazyjny gest uciszył niezadowolone pomruki pasażerów.

- Dziękuję - powiedziała Jilly słodko, chowając banknot z powrotem do portfela. Ostatnimi czasy każdy dolar miał dla niej znaczenie.

- Długa podróż - odezwała się współczująco sąsiadka i przedstawiła się jako Netta. Była bardzo stara i wyglądała jak zrobiona z wosku lalka, z rumieńcami namalowanymi różem na policzkach. Jej oczy jednak były ożywione i błękitne niczym niebo nad Paryżem.

Jilly tylko skinęła głową, myśląc, że nawet cały, trwający osiem godzin lot nie wystarczyłby, by wyjaśnić, jak długą drogę przebyła od chwili, gdy usłyszała w słuchawce głos Rose. Na myśl o tym, że znów zobaczy stary wiktoriański dom przesycony wspomnieniami równie zmurszałymi jak aksamitne zasłony, ogarniał ją lęk. Nie można wrócić do domu dzieciństwa, mówiło stare przysłowie, i Jilly wolałaby, żeby to była prawda. Próbowала nie wracać przez dwadzieścia sześć lat. Ale w końcu znalazła się w boeingu 747, z całym swoim dobytkiem w dwóch pękatach walizkach. Pieniądze na bilet do Chicago, w jedną stronę, musiała pożyczyć

- Dobrze się pani czuje? - zapytała starsza kobieta ze szczerą troską.

- Jestem tylko zmęczona - odrzekła Jilly, obracając szklanekę w rękę.

## Mary Alice Monroe 25

- Czy to z powodu pracy? Ciągłe piszą ó wpływie stresu na zdrowie kobiet.

Jilly zaśmiała się krótko i potrząsnęła głową.

- Nie, nie chodzi ó pracę. Niestety.

- Czym się pani zajmuje, jeśli wolno zapytać?

- Jestem modelką - wyjaśniła, wzruszając ramionami. - Zagrałam też w kilku filmach.

Oczy sąsiadki wyraźnie się ożywiły.

- Tak myślałam. Jest pani bardzo piękna. Komplement sprawił Jilly przyjemność. Uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.

- Już nie tak bardzo. Jestem... na emeryturze - odrzekła, przypominając sobie, co usłyszała w agencji. „Nadal jesteś piękną kobietą, ale... Minęła ci czterdziestka. Wiesz, jak to jest.... Popatrz na te dziewczyny, mają po dziewiętnaście lat!" Nie mogła mieć o to do nikogo żalu. Takie było ryzyko tego zawodu.

- Jestem za stara - wyznała. Łatwo było powiedzieć coś takiego obcej osobie.

Staruszka roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Jakie to zabawne. Właśnie myślałam, że chciałabym być tak młoda jak pani... - Wyciągnęła rękę i poklepała Jilly po dłoni. - Widzisz, moja droga, Einstein miał rację. Wszystko jest względne!

- To chyba znaczy tylko tyle, że trawa za płotem jest zawsze zieleńsza od naszej - stwierdziła Jilly, nie czując się pocieszona.

- Nie. Myślę o teorii względności rozumianej bardzo dosłownie. Różni obserwatorzy patrzą na to samo' wydarł, rzenie i widzą zupełnie co innego. Z mojego miejsca we

## CZTERY PORY ROKU

wszechświecie, moja droga, jesteś młoda, piękna i pełna życia. A z twojego punktu widzenia... - Staruszka zawahała się i wyciągnęła przed siebie palec z pożółkłym paznokciem. - Przypuszczam, że dla ciebie młode i piękne jest tamto dziecko. Mam rację?

Jilly zatrzymała wzrok na dwudziestolatce ubranej w dzinsy i obcisłą koszulkę, która siedziała po drugiej stronie przejścia. Dziewczyna była bez makijażu i po źle przespanej nocy, a jej cera emanowała świeżością. Jilly skinęła głową, krzywiąc usta w wymuszonym uśmiechu.

- Widzisz? - pokiwała głową jej sąsiadka. - Wszystko jest względne. Jak sądzisz, dlaczego starsze kobiety szukają swojego towarzystwa? Bo dla siebie nawzajem są piękne i pełne życia. Można powiedzieć, że podróżują z tą samą prędkością. - Zaśmiała się cicho i dodała z zadumą: - Żałuję, że nikt mi nie wyjaśnił teorii względności Einsteina, kiedy byłam młoda. Może wówczas potrafiłabym się zdobyć na więcej akceptacji i zrozumienia dla innych i oszczędziłabym sobie niektórych problemów. Uwierz mi i zapamiętaj

- twoje widzenie świata może być całkiem odmienne niż widzenie innych. Musisz jednak uznać, że ich obserwacje mają równą wartość co twoje. A więc - wzruszyła ramionami, lekko dotykając ręki Jilly - jesteś młoda i piękna, moja droga, i nie przekonasz mnie, że jest inaczej.

Jilly uśmiechnęła się, przyjmując ten punkt widzenia.

- Ta względność kojarzy mi się z moimi siostrami. Zawsze widziałyśmy świat na zupełnie różne sposoby.

- Ach, zamierzasz się spotkać z siostrami?

- Tak - Jilly skinęła głową. - Właściwie tylko z dwiema. Moja trzecia siostra właśnie umarła. Lecę na jej pogrzeb.

## **Mary Alice Monroe 27**

- Była starsza od ciebie?

- Najmłodsza z nas wszystkich. Niedawno skończyła zaledwie trzydzieści dwa lata. Miała kłopoty z płucami, które w końcu ją zabiły.

- Och, to bardzo smutne. Śmierć jest zawsze smutna, ale przedwczesna śmierć to wyjątkowa tragedia. Serdecznie ci współczuję. Pogrzeby bywają bardzo wyczerpujące emocjonalnie. Musisz zebrać wszystkie siły.

Jilly poruszyła się niespokojnie i zakręciła szklanką. Patrzyła w wirujący bursztynowy płyn z kawałkami lodu i myślała o Merry. Mała Meny odeszła. Szkocka whisky przyjemnie paliła w gardle. Dziwne, że wciąż myślała o trzydziestodwuletniej kobiecie jak o małej siostrzyczce. Biedna, biedna Meny... Za każdym razem, gdy Jilly spoglądała w jej błyszczące jak u dziecka oczy, bolesny skurcz przeszywał jej podbrzusze. Czuła się winna.

I oto znów przekraczała ocean. Krążenie nad lotniskiem O'Hare w oczekiwaniu na pozwolenie lądowania nabrało symbolicznego znaczenia. Już od trzydziestu lat Jilly krążyła tak wokół tych samych starych historii, tych samych problemów. Trzydzieści lat...

Głos kapitana przerwał te rozmyślenia.

- Panie i panowie, mam dobrą wiadomość. Pas. startowy w O'Hare został oczyszczony i otrzymaliśmy pozwolenie na lądowanie. Dziękujemy państwu za cierpliwość. Proszę zająć swoje miejsca i zapiąć pasy bezpieczeństwa. Obsługa pomoże państwu przygotować się do lądowania.

W samolocie rozległo się westchnienie ulgi. Jilly wyciągnęła spod fotela dużą torbę od Prądy i sięgnęła po *kosmetyki*. Dbłość o wygląd twarzy była jej drugą naturą, orę-



**CZTERY PORY ROKU**

żem przeciw nieprzyjaznemu światu. W kompaktowym lusterku zobaczyła patrzące na nią znajome zielone oczy. Kiedyś nazywano je „sypialnianymi oczami”, ale teraz były po prostu zmęczone i o chłodnym wyrazie. Jilly wytarła smugi tuszu spod rzęs i poprawiła róż na policzkach. Cerę miała nadal jasną i gładką, ale daleko jej było do świeżości twarzy dwudziestolatki. Wiedziała, że już dawno przegrała tę walkę.

Przeprowadzka do Europy zmniejszyła jej wewnętrzne napięcie i pozwoliła na luksus dystansu, ale nie wyleczyła ran. Z każdą zbliżającą ją do lądowania sekundą Jilly czuła, jak emocje wzbierają w niej coraz wyżej.

Po trzydziestu latach Jillian Season wracała do domu na zawsze.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Witajcie! - zawołała z radością Rose, otwierając szeroko ciężkie dębowe drzwi. Stojąca za progiem Birdie miała czerwony nos i twarz wtuloną głęboko w kołnierz płaszcza. - Wreszcie jesteście. Wchodźcie, proszę. Objęły się mocno z uczuciem, jakby znów wróciły do tych lat dzieciństwa.

- Mamo, za chwilę całkiem zamrznę!

Ostry poryw zimnego wiatru Cisnął im w twarze garście lodowatych kryształków. Dygocąc z zimna, Rose przytrzymała drzwi i wpuściła do środka Hannah, a potem poczekała, aż Dennis wtaszczy na schody walizki. Na twarzach wszystkich trojga widoczne było zmęczenie po podróży. Rose wyczuła również istniejące między nimi napięcie. Otrzepali śnieg z butów i zdejmując płaszcze, iskładali jej relację z podróży. Korek na całej długości... co za pogoda... stłuczka za stłuczka... ślisko... kilometrowa kolejka do bramki przy autostradzie...

Rose zaprowadziła ich do salonu. Światło przenikające przez żółte abażury lamp oraz zapach czosnkowanej pieczeni tworzyły klimat domowego ciepła. W tle cicho grała muzyka - *Cztery pory roku* Vivaldiego, ulubiony utwór całej rodziny. Na stole, na srebrnych tacach, czekały ser i krakersy. Rose z ulgą zauważyła, że twarze siostry i jej bliskich zaczynają się rozluźniać.

**CZTERY PORY ROKU**

- Ile tu kwiatów! - zawołała Birdie z podziwem, przechodząc od stołu do stołu i pochylając się nad dołączonymi do bukietów wizytówkami.

- Codziennie przychodzą nowe. Lekarze, sąsiedzi, starzy znajomi mamy i taty, wszyscy przysyłają kwiaty. Nie miałam pojęcia, że tyle ludzi lubiło Merry. Rzadko się z kimś widywała, ale wszyscy ją zapamiętywali. Szkoda tylko, że nie może się nimi cieszyć - westchnęła Rose.

- Ciocia Merry kochała kwiaty - powiedziała Hannah poważnie.

Rose skinęła głową, zauważając ponury wyraz twarzy siostrzenicy.

Birdie, z twarzą nie wyrażającą żadnych uczuć, obchodziła dookoła duży salon, patrząc na znajome, wysokie na cztery metry sufity, sztukaterie, staroświeckie tafle szkła i przepiękną stolarkę. Jaka szkoda, myślała, że ten dom tak bardzo podupadł. Był arcydziełem dziewiętnastowiecznej sztuki budowlanej, teraz jednak sprawiał posępne wrażenie - mroczny, z pozamykanymi okiennicami, zaczął się obracać w ruinę. Był o wiele za duży dla dwóch osób i jego utrzymanie prawie do końca wyczerpało fundusz powierniczy Merry. Birdie kilkakrotnie sugerowała, by sprzedały dom i znalazły coś mniejszego, ale Rose nie chciała o tym słyszeć. Twierdziła, nie bez racji, że dla Merry przeprowadzka byłaby zbyt wielkim wstrząsem oraz że opłaty za prywatny szpital albo dom opieki byłyby równie wysokie, jeśli nie wyższe. Prawda jednak wyglądała tak, że perspektywa opuszczenia tego miejsca była dla Rose nie mniej przerażająca niż dla Merry.

A Rose zasługiwała na względy. Wywiązywała się z obo-

## Mary Alice Monroe 31

wiązków opiekunki bez zarzutu. Dom, chociaż mocno podniszczony; był nieskazitelnie czysty. Mosiężne klamki lśniły, drewno było wypolerowane do połysku, podobnie jak szyby kredensów i wielki kryształowy żyrandol. Birdie jednak, mając na uwadze perspektywę sprzedaży, patrzyła nań w tej chwili chłodnym, praktycznym okiem, myśląc, że czeka ich wiele pracy, zanim dom będzie można zaoferować klientom.

- Macie ochotę na kieliszek wina? - zapytała Rose, przejęta obowiązkami gospodyni. - A może wody? Na pewno chce wam się pić. Hannah, przynieść ci colę? Dennis?

- Najchętniej piwo, jeśli masz - odrzekł, zacierając ręce. ift - Dla mnie nic. Idę na górę - odezwała się Hannah ze

zwykłą rezerwą. - Ciociu Rose, gdzie mam spać?

- Twoi rodzice będą spali w pokoju gościnnym, więc możesz zająć kanapę w bibliotece albo pokój Merry.

- Pójdę na kanapę.

- Tak przypuszczałam. Pościel jest przygotowana.

- Położyłaś nas w pokoju gościnnym? - zdziwiła się Birdie z wyraźną urazą.

Rose niespokojnie splótła palce, ale zdecydowanie skinęła głową i spojrzała siostrze prosto w oczy.

- Tak. Zostawiłam dla Jilly jej stary pokój. Zaraz przyniosę ci piwo - dodała, zwracając się do Dennisa.

Birdie skrzywiła się z rozdrażnieniem, ale nic nie powiedziała. Wsunęła ręce do kieszeni spodni i poszła za Rose. Kuchnia była wielka, staroświecka, umeblowana tymi samymi białymi szafkami i sprzętami co w czasach ich dzieciństwa. Tylko w spiżarni stała nowa lodówka, do której > teraz podeszła Rose.

## CZTERY PORY ROKU

- Czy miałaś już jakąś wiadomość od Jilly? - zapytała Birdie.

- Nie. Dobrze, że po nią nie wyjechaliście - odrzekła Rose, wyciągając lód z zamrażalnika. - Miałaś rację, jak zwykle. Podawano wiadomość o opóźnieniach lotów. Możliwe, że zamknęli lotnisko w ogóle.

- Nie słyszałam, ale wcale mnie to nie dziwi. Pogoda jest naprawdę paskudna.

- Wiem i zaczynam się martwić. Dzwoniłam na lotnisko już ze sto razy, ale nie potrafią mi powiedzieć nic ponad to, że lądowania zostały wstrzymane. Sądzą jednak, że wszystko wróci do normy, gdy pogoda się trochę poprawi. - Wyciągnęła korek z butelki caberneta, podczas gdy Birdie fę-przyniosła z szafki kieliszki. tak mamy szczęście. Zdaje się, że inne loty są przekierowane. To dopiero byłaby katastrofa. Jilly mogłaby nie zdążyć na pogrzeb.

- Tak, Jilly uwielbia efektowne wejścia....

Rose napełniła kieliszki winem. Na jej twarzy zadrgał ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Jesteś niesprawiedliwa.

- Wiem, wiem. Nie mówiłam poważnie - Birdie machnęła ręką, a w jej oczach zabłyśła iskra humoru.

- W każdym razie nie całkiem. Wyobrażasz ją sobie w tym samolocie? Na pewno wychodzi z siebie. Wiesz, jak bardzo nienawidzi zamknięcia. Pamiętasz, jak się kiedyś zachowywała w autobusie miejskim w godzinach szczytu?

Rose po raz pierwszy od kilku dni roześmiała się, przypominając sobie, jak Jilly zerwała się na równe nogi, szarpnęła brzęczyk alarmowy i zażądała, by kierowca natychmiast ją wypuścił, a potem, prychając ze złości, ruszyła pie-

### **Mary Alice Monroe 33**

chocą za autobusem. Birdie i Rose śledziły przez okno jej czerwone jak płomień włosy, ona jednak ani razu nie spojrzała w ich stronę, maszerując ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie.

- Żal mi tych biednych stewardes, na pewno wszyscy pasażerowie są rozdrażnieni - powiedziała Birdie, przewracając oczami. - Ale trzeba przyznać, że krążenie godzinami nad miastem to coś okropnego. Jilly będzie wyczerpana i poirytowana, gdy wreszcie tu dotrze. Ale właściwie nie powinnam mieć jej tego za złe. Zanim udało nam się wyjechać wreszcie z domu, omal nie zamordowałam własnej córki.

- Obróciła kieliszek w dłoniach. - Ostrzegam cię, że Hannah jest w jednym ze swoich złych nastrojów.

- Biedne dziecko - odpowiedziała Rose ze współczują, ciem. - Wygląda na nieszczęśliwą.

- Bo jest - wzruszyła ramionami Birdie i dodała: Przez całe życie.

- Czy wszystko u niej w porządku?

- Och, tak, doskonale - ucięła Birdie, nie chcąc dawać siostrze powodu do przypuszczeń, że jej rodzina ma jakieś problemy.

- To chyba jej pierwsze prawdziwe zetknięcie ze śmiercią. Była jeszcze mała, gdy umarła mama.

- To prawda. Nie pomyślałam o tym. Szczerze mówiąc - dodała Birdie półgłosem, pocierając skronie - ja też nie potrafię tego przyjąć do wiadomości. To takie trudne. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak szybko to się stało bym tu wtedy była...

- Nie, Birdie - przerwała jej Rose stanowczo. Daj sobie spokój z takimi myślami. To cię nigdzie nie doprowadzi.

**CZTERY PORY ROKU**

Przecież był tutaj z nią lekarz. Naprawdę, nic więcej nie mogłabyś zrobić.

- Skąd możesz wiedzieć?

Rose wzięła siostrę za rękę i spojrzała jej prosto w oczy.

- Wiem, co myślisz - powiedziała spokojnym, zaskakująco mocnym głosem. - Że gdybyś tu była, to udałoby ci się ją uratować.

Trafiła w sedno. Birdie skrzywiła się z niechęcią, próbując cofnąć rękę, ale Rose trzymała ją mocno.

- Nie mogłabyś nic zrobić, Birdie. Nie tym razem. Birdie patrzyła w jej piwne oczy i po dłuższej chwili

niechętnie skinęła głową. Rose puściła rękę siostry i z lekko zażenowanym uśmiechem odwróciła wzrok. Birdie wzięła głęboki oddech i odezwała\* się już normalnym, niemal pogodnym tonem:

- No i teraz mamy przed sobą jej pogrzeb.

- Tak.

- Tak - powtórzyła Birdie. - Przepraszam, że sama musiałaś się wszystkim zająć. Próbowałam przyjechać tu dziś wcześniej, ale...

- Nie mów głupstw. Dobrze, że miałam się czym zająć. Potrzebowałam tego.

- Muszę ci powiedzieć, że martwię się lunchem u Alfreda. Zatelefonowałam tam przed wyjazdem z Milwaukee, żeby potwierdzić rezerwację i sprawdzić, czy nie zostało jeszcze coś do zrobienia, i trafiłam na jakąś idiotkę, która powiedziała mi, że nie mamy żadnej rezerwacji! Możesz w to uwierzyć? Nie miałam już czasu na rozmowę z szefem, ale powiedziałam stanowczo, że ma się tym zająć. Na pewno po prostu pomyliła linijki w książce rezerwacji, ale martwiłam się przez całą dro-

## Mary Alice Monroe 35

gę. Masz gdzieś pod ręką ich numer? Zaraz tam zadzwonię i jeśli się okaże, że zawalili sprawę...

- Birdie - przerwała jej Rose z wahaniem, skubiąc brzeg swetra. Zamierzała poruszyć ten temat później, może po drugim kieliszku wina. - Oni niczego nie zawalili. Ja... nie zrobiłam rezerwacji. W oczach Birdie rozbłysło niedowierzanie.

- Co takiego?

- Nie martw się, wszystko jest zorganizowane - zapewniła ją Rose szybko.

- Co to znaczy, że nie zrobiłaś rezerwacji? Dlaczego? Przecież wszystko omówiliśmy. Boże drogi, Rose, co się

właściwie stało? Zapomniałaś do nich zadzwonić? Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Niech to diabli, nie wiem, czy uda nam się jeszcze znaleźć miejsca na jutro.

Przyłożyła rękę do czoła, niespokojnie krążąc po kuchni.

- Nie powiedziałam ci, bo wiedziałam, jak byś zareagowała. Jak zwykle, natychmiast przyjechałabyś tu z Milwaukee. - Na widok zaskoczenia na twarzy Birdie Rose złagodziała ton. - Chciałam zrobić dla Merry coś szczególnego. Dla nas wszystkich: dla ciebie, dla Jilly i dla mnie też. Jesteśmy sobie coraz bardziej obce, Birdie. Jest nam potrzebny bliski kontakt, chciałam, żebyśmy powspominały Merry i dawne, dobre czasy. Uznałam, że restauracja nie jest do tego najlepszym miejscem.

Birdie z rozpaczą rozłożyła ręce.

- Możemy spędzić razem tyle czasu, ile tylko zechcemy. Tutaj w domu. Ale lunch po pogrzebie powinniśmy zjeść w restauracji! Och, Rose, coś ty zrobiła? Tak byłoby o wiele



## **CZTERY PORY ROKU**

- Dla kogo? - odrzekła Rose ostro, zrażona wszystkowiedzącym tonem Birdie. - Ja chcę to zrobić sama. I to <sup>1</sup> nie jest wcale takie trudne. Zaplanowałam lekki lunch tutaj, w tym domu, gdzie wszystkie dorastałyśmy. To będzie o wiele bardziej osobiste, a z tymi wszystkimi kwiatami będzie też piękne. Dlaczego mamy urządzać przyjęcie w restauracji, w której Merry nigdy nawet nie była? Nie wydawało mi się to w porządku.

- Och, daj spokój, Rose, to nie ma nic wspólnego z Merry - zirytowała się Birdie. - To tobie zależy, żeby lunch odbył się tutaj. To ty nie możesz znieść myśli o opuszczeniu tego domu.

Rose nie mogła zaprzeczyć, że w tym komentarzu krył się ziarno prawdy. Wstrzymała oddech i ciasno spłotła przed sobą dłonie.

- To tylko po części prawda - powiedziała, odwracając wzrok. - Także nie mam ochoty opuszczać tego domu. Ale jestem szczerze przekonana, że Merry również wolałaby, żeby uroczystość odbyła się tutaj.

- Podniosła wzrok i wytrzymała spojrzenie siostry. - Wiem lepiej niż ty czy ktokolwiek inny, czego chciałaby Merry.

Birdie uznała za stosowne ustąpić.

- Nikt nie może temu zaprzeczyć. Napięcie opadło.

- Merry przez cały czas marzyła o przyjmowaniu gości - wyznała Rose szczerze. - Ale nigdy tego nie robiłyśmy. Tak mi smutno, kiedy o tym pomyślę. Ostatnie przyjęcie, jakie się tu odbyło, to twój ślub dwadzieścia lat temu. Mama miała tyle ładnych rzeczy. Stoją teraz w pudłach i nikt ich nie używa.

Półmiski, wazy na poncz, dzbanki do kawy, por-

## Mary Alice Monroe 37

celana i srebro. Nie uwierzyłabyś, co można znaleźć w tych wszystkich skrzyniach i szafkach. Po co to trzymamy? Użyjmy tych rzeczy! Żałuję tylko, że nie wydałam przyjęcia dla Meny, kiedy jeszcze żyła. Birdie zmarszczyła brwi z niepokojem.

- To oznacza mnóstwo pracy.

- Wszystko już przygotowałam. Zamówiłam kanapki i dwa ciasta z piekarni Muellera. Jedno z kremem śmietankowym, a drugie to deser aniołów. Ulubione ciasta Meny. I jeszcze herbatniki, z kawałkami czekolady i maślane. Zaparzymy kawę i herbatę ze świeżą śmietanką. Zobaczysz, Birdie, to będzie piękne przyjęcie.

- Mogłaś mi wcześniej powiedzieć - westchnęła Birdie z rezygnacją.

- Wiem, wiem. Przepraszam.

Hannah wpadła do kuchni, ale zatrzymała się w progu, niespokojnie przenosząc wzrok z matki na ciotkę i z powrotem.

- Wszystko w porządku? Czy mam stąd wyjść?

- Tak, wszystko jest w porządku i oczywiście nie musisz wychodzić - odpowiedziała swobodnie Rose. Spojrzała na Birdie i uśmiechnęła się. - Powstała tylko pewna różnica zdań co do planów na jutro.

- Uważaj, ciociu Rose. Mama jest w jednym ze swoich nastrojów - ostrzegła ją Hannah, słowo w słowo powtarzając wcześniejsze ostrzeżenie matki. Usta Rose zadrgały w uśmiechu i zauważyła, że Birdie również się uśmiechnęła.

- Jaka matka, taka córka - mruknęła Birdie i przyciągnęła Hannah do siebie, ta jednak zaraz wysunęła się z objęcia i sięgnęła po krakersy.

**CZTERY PORY ROKU**

- Mam nadzieję, że przynajmniej umówiłaś się z pastorem? - zapytała Birdie, siląc się na neutralny ton. - Musiałam stoczyć walkę z Hannah, żeby zabrała czarną sukienkę, i nie chciałabym, żeby tyle wysiłku poszło na marne - mrugnęła do córki.

Hannah tylko przewróciła oczami.

- Bardzo zabawne.

- Ojciec Frank odprawi mszę, a Kathleen Murdoch będzie śpiewać. Ma bardzo piękny głos - odrzekła Rose, wysypując krakersy na talerz. - Merry bardzo lubiła jej słuchać podczas niedzielnych mszy.

- Dobrze. Czy w sali pożegnań wszystko jest przygotowane tak, jak ustaliłam?

Rose zawahała się, pochyłona nad talerzem z krakersami. Birdie czujnie zwróciła się bezpośrednio w jej stronę.

- Proszę cię, Rose, powiedz, o co chodzi. Co tym razem wymyśliłaś?

- Nic takiego. Wszystkim się zajęłam.

- O co chodzi?

Rose podniosła głowę i zauważyła dwie pary utkwionych w nią oczu. Nie miała wyjścia; musiała skoczyć na głęboką wodę.

- Zamówiłam inną trumnę. Zaoszczędziłam dużo pieniędzy. Kupiłam ją przez Internet.

Ręka Hannah zatrzymała się w połowie drogi do ust.

- Kupiłaś trumnę przez Internet?! Birdie wydawała się zupełnie osłupiała.

- Nabierasz mnie! - zawołała, a kiedy Rose nic nie odpowiedziała, ciągnęła z rosnącym oburzeniem: - Tego już za wiele, Rose! Przecież ustaliłam wszystko z domem po-

## **Mary Alice Monroe 39**

grzebowym Krause. Straciłam na to parę godzin! Czy musiałaś coś zmieniać?

- Nie rozumiem, Birdie, dlaczego tak cię denerwuje myśl, że nie wszystko odbędzie się zgodnie z twoimi ustaleniami - przerwała jej Rose ostro. - Ani razu nie zapytałaś mnie, jak ja wyobrażam sobie ten pogrzeb. Tylko dzwoniłaś i mówiłaś mi, co mam robić, a ja cię słuchałam, bo zawsze tak robię. Ale przecież to nie jest żadna wielka zmiana, znalazłam po prostu lepszą ofertę.

Birdie schowała twarz w dłoniach.

- Proszę, powiedz mi, że mamy trumnę dla mojej siostry.

- Oczywiście, że mamy. Dębowa trumna, którą zamówiłaś, była bardzo ładna, ale kosztowała dwa tysiące dolarów. A ja znalazłam prawie identyczną za dziewięćset dolarów - stwierdziła Rose z nieskrywaną dumą.

- Mamo - wtrąciła Hannah - teraz w Internecie można kupić wszystko.

Rose wzruszyła ramionami.

- Dużo czasu spędzam przy komputerze. Gdy mam ochotę zrobić sobie przerwę w pracy, surfuję po Sieci. To bardzo odpręża. To również mój główny sposób na utrzymywanie kontaktu ze światem.

Zresztą fascynujący. Czuję się wtedy połączona z tyloma ludźmi!

Hannah uniosła brwi.

- A zagładasz czasem na czaty?

Rose nie odpowiedziała, poczuła jednak, że się rumieni.

- Och, nie - jęknęła Birdie z przerażeniem.

- A jeśli zaglądam, to co? - odparowała Rose zaczepnie.

- Przecież wiesz, że mnóstwo zboczeńców poluje tam na samotne, łatwowierne kobiety, takie jak ty.

**CZTERY PORY ROKU**

- Nie wszyscy są zbrojeńcami. Zdarzają się też bardzo mili ludzie, którzy chcą po prostu z kimś porozmawiać.

Birdie zaśmiała się z sarkazmem.

- Mnóstwo ludzi zagląda na czaty - powiedziała Hannah, stając w obronie Rose.

- Mam nadzieję, że przynajmniej ty tego nie robisz?! - oburzyła się Birdie, mrużąc oczy.

- Oczywiście, że robię.

Birdie bezwładnie oparła się o szafkę,

- Boże drogi, czego jeszcze dzisiaj się dowiem? Moja siostra i moje dziecko spędzają czas na czatach internetowych, trumna dla Meny ma przyjść pocztą, a jutro w tym domu odbędzie się jakiś cholerny piknik. .

W tej samej chwili do kuchni zajrzał Dennis:

- Hej, może was zainteresuje, że w drzwiach stoi szofer!

## ROZDZIAŁ TRZECI

Birdie i Rose przez krótką chwilę patrzyły na siebie, a potem Rose zerwała się od stołu i pobiegła do drzwi. Wysoki, jasnowłosy człowiek o atletycznej budowie ciała, wciśnięty w czarny garnitur szofera, uśmiechnął się do niej niepewnie.

- Przepraszam, czy to dom pani Season?

Spojrzała ponad jego masywnym ramieniem, ale siostry nie było. W mroku błyszcząły tylko czerwone światła zaparkowanej przy krawężniku limuzyny. Skinęła głową, zaniepokojona.

.- Moja pasażerka prosi, żeby wyszła pani po nią za dom - wyjaśnił szofer z cieniem uśmiechu.

Rose nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Stojąca za nią Birdie wystąpiła naprzód i zapytała władcym tonem:

- Gdzie jest pani Season?

Szofer dyskretnie odchrząknął i pochylił się w ich stronę.

- Jest tam, z boku domu. Chciałaby wejść, ale... Ona... „, cóż, chyba wypła trochę za dużo.

Birdie wymamrotała pod nosem przekleństwo. Dennis wyszedł na schodki i ucisnął dłoń kierowcy.

- Może wniesie pan bagaże - powiedział, dając głową sygnał w stronę Birdie.

- Chodź, Rose, pójdziemy po nią - westchnęła i oby-

## CZTERY PORY ROKU

dwie siostry poszły po płaszcze. Hannah powlokła się za nimi.

Śnieg przestał padać i księżyc w pełni wyglądał jak biały talerz na atramentowym niebie. W jego świetle czysta, dziewicza biel była tak piękna, że zapierało dech. Wchodząc na świeży śnieg Rose zawsze czuła szczególny dreszcz, niczym odkrywca eksplorujący nieznany teren. Przed nią wiła się ścieżka z głębokich odcisków stóp jej siostry. Poszła za tymi śladami, uważnie starając się stawiać stopy we wgłębienia. Zza domu dobiegał wysoki śmiech i krzyki.

Skreśliła za róg i w świetle księżycy, na de nieskalanej bieli ujrzała barwną plamę złożoną z jaskrawoczerwonych włosów i czarnego futra z norek. Birdie, z rękami opartymi *a* na biodrach, stała o kilka metrów dalej. Jiilian leżała na śniegu i zaśmiewając się z zachwytem, robiła orzełka.

- Jilly! - zawołała Rose z radością. Jilly odwracając głowę w jej stronę, przestała machać rękami i nogami.

- Rosie! Popatrz na ten śnieg! Piękny, prawda? Nie widziałam takiego śniegu od dzieciństwa! Jest cudowny! Chodź tu, Rosie. Birdie! Pamiętasz, jak ilekroć tak napadało, robiłyśmy w ogrodzie orzełka? Zobacz, zrobiłam już dwa!

Rose poczuła, jak ogarnia ją dziecinne podniecenie i podbiegła do siostry. Obok nich pojawiła się roześmiana Hannah.

- Fantastycznie! - zawołała z radością i rozkładając szeroko ręce, upadła na plecy w głęboką zaspę.

- Hannah, natychmiast wyjdź z tego śniegu! - wykrzyknęła Birdie z irytacją. - Och, nie, Rose, nie rób tego! Rose!

Ale Rose, nie zwracając na nią uwagi, z piskiem zamknęła oczy, rozłożyła ręce i także rzuciła się na śnieg.

### **Mary Alice Monroe 43**

- Daj spokój, Birdie, nie bądź taka sztywna - zaśmiewała się Jilly. - Nikt nas nie widzi!

Birdie jak dotąd uparcie stała o kilka metrów dalej, ale teraz ruszyła w ich stronę.

- Jilly, przeziębisz się na śmierć - gderała. - Wszystkie się poprzeziębiacie. Bez porządnych butów, bez rękawiczek, bez czapek. Zachowujecie się jak dzieci. Jilly, chodź tu, daj mi rękę.

Jilly królewskim gestem wyciągnęła do niej dłoń, a potem ze śmiechem szarpnęła, pociągając siostrę w dół. Birdie krzyknęła z zaskoczeniem i upadła obok sióstr. Poczowała na policzkach lodowate zimno i miała ochotę udusić Jilly, która najwyraźniej była zupełnie pijana. Czuć było od niej szkocką whisky, której zapach mieszał się z delikatnym aromatem perfum. Birdie podniosła się na kolana i otarła śnieg z twarzy, gotowa do wybuchu.

Ale właśnie w tej samej chwili dostrzegła rozjaśnioną śmiechem twarz siostry i wpatrzyła się w nią bez słów. Była piękna, ale nie dlatego, że dobijały się o nią magazyny mody, lecz dlatego, że była twarzą pamiętaną z dzieciństwa. Oczy Jilly iskrzyły się dziecinną radością życia, jakiej Birdie nie zaznała od lat, i teraz nie wiedziała, czy Jilly jest rzeczywiście pijana, czy po prostu szczęśliwa.

- Stęskniłam się za tobą, siostrzyczko - powiedziała Jilly trzeźwo, zaglądając jej w oczy z dziwną melancholią i strzepując śnieg z jej kołnierza. - Zawsze robiłaś najładniejsze orzełki, pamiętasz? Śnieg był wtedy taki sam jak teraz. Miękki jak pył. Pamiętasz to? Ale zawsze musiałam cię wyciągać na dwór siłą - dodała z uśmiechem.

Birdie skinęła głową.



## **CZTERY PORY ROKU**

Hannah zanosila się śmiechem, nie mogąc uwierzyć, że ktoś ośmielił się wrzucić jej matkę w śnieg. Obok niej zdrajczyni Rose zaśmiewała się do łez, których kropelki zamarzały jej na rzęsach i klaskała w dłonie spontanicznie jak mała dziewczynka. Nagłe wzruszenie chwyciło Birdie za gardło, gdy usłyszała śmiech trzech kobiet, które kochała najbardziej na świecie. Powoli i głęboko wdychała chłodne powietrze, czując, jak wilgoć wypełnia jej płuca i gardło. Od zimnego śniegu paliły ją policzki; była pewna, że są równie czerwone jak policzki Hannah.

Co właściwie sprawiło, że wszystkie klęczały w tym świeżym, śnieżnym puchu, w świede księżycy, i bawiły się jak dzieci, zamiast omawiać szczegóły pogrzebu? Odpowiedź była aż nadto oczywista. My. To Jilly zawsze inicjowała wszystkie zabawy.

Było jednak bardzo zimno i w Birdie odezwał się rozsądek. Nie mogły tu stać przez cały wieczór. Po alkoholu można łatwo popaść w hipotermię i nawet tego nie zauważyć. A poza tym przed jutrzejszym pogrzebem trzeba było jeszcze omówić niezliczone szczegóły, pomyśleć o kolacji... Jilly na pewno była głodna. W przeciwieństwie do siostry, Birdie była matką, żoną, lekarzem. Osobą odpowiedzialną.

W jednej chwili poczuła się tu obca. Nie mogła bawić się razem z nimi. No i było jej bardzo zimno. Koniuszki palców miała ogniście czerwone i odrętwiałe.

- Czas wracać do domu - stwierdziła.

- Dobrze, mamusiu - zachichotała Rose.

Birdie najchętniej zaczęłaby krzyczeć. Nie miała najmniejszego zamiaru być dla nich wszystkich matką. Podniosła się powoli, wyraźnie czując swoje czterdzieści jeden lat.

## Mary Alice Monroe 45

- Wstawajcie z tego śniegu. Idziemy.

Rose, zawsze chętna do pomocy, wyciągnęła rękę do Jilly. Hannah wzięła ją za drugą rękę i Jilly podniosła się, z wdziękiem rozkładając szeroko ramiona jak piękny ptak. Feniks, pomyślała Birdie z uśmiechem.

- Niedobrze mi - jęknęła Jilly.

- Za dużo wypiałś - stwierdziła Birdie trzeźwo, podtrzymując ją mocno. - Czy możesz iść?

- Jestem modelką, *cherie*. Chodziłam po wybiegu w gorszym stanie.

- Oszczędź mi szczegółów. Po prostu stawiaj jedną stopę za drugą.

Jilly wyprostowała ramiona jak żołnierz, puściła rękę siostry i z nadzwyczajnym wdziękiem poszła przed siebie przez zaśnieżony ogród.

- Nie mówiłaś, że twoja siostra jest taka fajna - stwierdziła Hannah z zachwytem. Birdie dostrzegła w jej oczach podziw i poczuła ukłucie zazdrości- Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała w nich coś innego niż lekceważenie.

Naraz usłyszała jakiś pisk i podniosła głowę w samą porę, by zobaczyć, jak Jilly zachwiała się na swych niedorzecznie wysokich szpilkach i upadła plecami w zaspę. Stłumiła uśmiech i pośpieszyła z pomocą. Rose podeszła z drugiej strony i razem doprowadziły siostrę do drzwi, bezwładną teraz jak szmaciana lalka.

W świetle wiszącej nad wejściem lampy Birdie przyjrzała się siostrze okiem lekarza. Nie widziała jej już dziesięć lat. Jilly wciąż była zmysłowo piękna, a jej płomiennorude włosy nie straciły nie ze swej gęstości i przepychu. Nosiała teraz

## **CZTERY PORY ROKU**

znacznie słabszy makijaż, więc jej twarz wydawała się sympatyczniejsza i bardziej naturalna. Birdie jednak zauważyła jej bladość i wymizerowanie, a także nabrzmiałe powieki i siny odcień warg. Jilly była wychudzona, kości jej twarzy i dłoni przebijały spod niebiesko żyłkowanej skóry. Intuicja, wyostrzona przez lata praktyki, ostrzegła Birdie, że jej siostra jest przemęczona, a być może także chora.

- Pomóż mi, Rose - mruknęła. Hannah otworzyła przed nimi drzwi.

- Już jest w porządku - szepnęła Jilly.

- Oczywiście, że tak. Jeszcze jeden krok. Raz, dwa, raz, dwa... - dyrygowała Birdie i powoli udało im się wejść po schodach do ciepłego wnętrza.

W kilka godzin później pozmywały naczynia, zgasiły światła i rozeszły się do swoich pokoi. Cały dom wydawał się odpoczywać. Rose usiadła przed komputerem. Nie była śpiąca; wbrew swoim zwyczajom wypila wieczorem kawę, a ponadto niepokoiły ją myśli o jutrzejszym dniu.

Lubiła te wieczorne godziny, gdy nikt jej nie potrzebował ani nie wołał. Miała wtedy czas tylko dla siebie. Merry zawsze kładła się wcześnie, zasypiała szybko i spała spokojnie przez całą noc. Czasami zdarzało się, że budziły ją jej dolegliwości, ale zwykle oddychała spokojnie, pogrążona w szczęśliwych snach. Rose wiedziała o tym, bo często siadywała przy jej łóżku i obserwowała lekki uśmiech na uśpionej twarzy młodszej siostry.

Jej własna sypialnia, największa w domu, kiedyś należała do rodziców. Po śmierci matki Rose kilkakrotnie proponowała Merry, by się tam przeniosła, ta jednak wolała pozostać we własnym pokoju, pełnym koronek i lawendy. Rose po-

## **Mary Alice Monroe 47**

stanowiła więc zając ten pokój sama, a w swojej starej sypialni urządziła gabinet do pracy przy redakcji tekstów. Dom liczył aż dwanaście pokoi, ale gabinet należał tylko do niej i wszystkie sprzęty, jakie tam ustawiła, znalazły się tu z jej wyboru. Biurko było zaprojektowane specjalnie pod komputer. Obok stały półki z jej własnymi książkami. Wchodziła tu, zamykała drzwi i czuła się wolna. Mogła robić, co chciała. Przeważnie czytała albo wędrowała po Internecie.

Teraz jak zwykle włączyła komputer i czekając, aż się załaduje, myślała o tym, jak bardzo Birdie się myliła, sądząc, że internetowe pogawędki przeznaczone są tylko dla ludzi samotnych i odizolowanych od normalnego świata. Rose wiedziała, że tak nie jest. Jej internetowy przyjaciel, Danny Boy, był kierowcą ciężarówki i jeździł po całym kraju. Nie znali nawet swoich nazwisk, nie wymienili zdjęć ani nic takiego, ale Rose wiedziała z listów, że był samotny z powodu swego wędrownego trybu życia.. Nie był żadnym zбочeńcem. Zachowywał się jak dżentelmen i w tym, co pisał, nie było niczego wulgarnego ani głupiego. Właściwie był najmiłszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała, choć było to tylko spotkanie w Sieci. Trafili na siebie przed kilku miesiącami na czacie dla zbieraczy znaczków pocztowych i ich rozmowy szybko nabrały osobistego charakteru. Pisali o wszystkim, swobodnie dzielili się myślami i Rose nie poczuła się zaskoczona, gdy Danny napisał do niej na prywatne konto.

Otworzyła pocztę i na widok czekającego listu poczuła znajomy dreszcz podniecenia. Danny okazał jej wielkie wsparcie, gdy zdecydowała się zlekceważyć dyrektywy Birdie i urządzić lunch po swojemu. Po śmierci Merry przysłał

**CZTERY PORY ROKU 1**

jej szczere, płynące z głębi serca kondolencje. Chociaż nie знаła jego twarzy, uważała go za swego najbliższego przyjaciela. Otworzyła list.

Droga Rosebud!

Przez cały dzień zastanawiałem się, czy Twoje siostry już przyjechały. Domyślam się, jak bardzo jesteś podekscytowana i jakie to smutne, że okazją do Waszego spotkania stał się pogrzeb Twojej najmłodszej siostry. W komunikacie meteorologicznym słyszałem, że u Was w Chicago sypie śnieg. Co za pech. Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Daj znać  
Teraz jestem w Teksasie. Pogoda jest dość dobra, ale zbierają się chmury i wszyscy wpatrują się w niebo i nasłuchują komunikatów radiowych. Wkrótce wracam na Środkowy Zachód.

Danny Boy

Uśmiechnęła się, jak zwykle zastanawiając się, jak on wygląda, ile ma lat, czy jest wysoki, czy niski, gruby czy chudy, czy łysieje, a może ma włosy związane w kitkę? Nie, żeby miało to jakieś znaczenie, ale nie potrafiła pohamować ciekawości. Położyła palce na klawiaturze.

Drogi Danny Boy!

Tak, moje siostry już są! Mieliśmy straszną śnieżycę, ale wszystko jest w porządku. Birdie i jej rodzina jakoś tu dotarli, a samolot Jilly też wylądował, chociaż z opóźnieniem. Jest wspaniale! Powinnam już iść spać, bo jutro czeka mnie bardzo długi dzień i mam milion rzeczy

## **Mary Alice Monroe 49**

do zrobienia. Będę musiała wstać wcześniej, wypolerować srebra, nakryć do stołu, zrobić kanapki. Och, Boże, ta Usta nie ma końca. Ale nie mogę spać. Powieki same mi się zamykają, ale serce bije za szybko. Ostatnio nie sypiam dobrze. Nienawidzę ciemności. Leżę w łóżku i wpatruję się w sufit tak długo, aż przed oczami zaczynają mi wirować czerwone plamki. Nie wiem, na co czekam, ale czuję, że coś się wydarzy. Być może Merry krąży tu gdzieś w pobliżu. Kto wie? Mam nadzieję, że nie brzmi to, jakbym zwariowała. Chyba po prostu brakuje mi snu. Ale moje siostry są tutaj!

Serdeczności, Rosebud

Wysłała Ust i zajęła się wędrowaniem po Sieci. Po chwili z zaskoczeniem zobaczyła sygnał nadejścia nowej poczty. Była to odpowiedź od Danny'ego. Widocznie akurat jest na linii, pomyślała, czując z nim nieoczekiwaną, niemal intymną więź.

Droga Rosebud, połów się, jest już późno! Danny Boy

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Jilly zbudziła się i ujrzała smugę jasnego światła sączącego się spomiędzy zasłon. Przez chwilę leżała nieruchomo, zupełnie zdezorientowana, zawieszona gdzieś między jawą a głębokim snem. Czuła suchość w ustach, było jej bardzo zimno i nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. , Łóżko było jakieś dziwne. Ściany... zapachy...

Naraz sobie przypomniała. Była w swoim starym pokoju, który przed laty dzieliła z Birdie. Zamrugła powiekami i przetarła twarz dłońmi. Jej umysł był już zupełnie rozbudzony, ale ciało jeszcze nie. Może to z powodu zmęczenia podróżą i przesunięcia czasu, a może podekscytowania powrotem do domu, w każdym razie wiedziała, że nie uda jej się już zasnąć. Za dużo wypila poprzedniego wieczoru i teraz w jej głowie huczał normalny kac: W połączeniu z niewystarczającą ilością snu oznaczało to, że czeka ją piekielny dzień.

Oblizwała wyschnięte wargi i podparła się na łokciach. Miała na sobie tylko dzienną bieliznę. Najwidoczniej Rose i Birdie pomogły jej się rozebrać. W swoim mieszkaniu w Paryżu wstałaby, podkręciłaby termostat, nałożyłaby grube skarpety i poszukała w kuchni czegoś do zjedzenia. Może posłuchałaby jakiejś muzyki. Ale tutaj nie chciała wszystkich budzić, szczególnie Merry.

## **Mary Alice Monroe 51**

Przetarła oczy, teraz już całkiem przytomna. Nie, pomyślała z bólem, nie może obudzić Merry. Usiadła i rozejrzała się po pokoju. Nic się tu nie zmieniło. Kwadratowa biała toaletka wciąż zastawiona była pudełeczkami pełnymi kolczyków, guzików, szpilek i pierścionków, które wrzuciła tam przed laty. Stolik Birdie pełen był różnych pływackich trofeów i medali na niebieskich wstążkach. W pokoju znajdowały się dwa pojedyncze łóżka z białymi wezłowiami z kutego żelaza. Na łóżku Birdie leżał jej ulubiony miś, duży i niegdyś biały, a teraz brudny i szary jak poranne światło. Jilly natychmiast spojrzała na swoje łóżko i uśmiechnęła się z zachwytem. Jej miś również A tu był, brązowy i obszarpany.

- Cześć, panie prezydencie - mruknęła, sięgając po niego. Wszystko tu było dokładnie takie samo jak przed laty.

Niesamowite wrażenie. Sądziła, że rodzice postarają się zatrzeć po niej wszelkie ślady i teraz poczuła się zaskoczona. To miło ze strony Rose, że położyła ją spać w jej dawnym pokoju. Jakie sny miewała kiedyś w tym łóżku! Ale również koszmary.

Ostatni raz spała tu w ostatniej klasie szkoły średniej, zanim wyjechała do Marian House. Po powrocie matka przeniosła ją do pokoju gościnnego. To była część planu. W domu z nikim nie rozmawiała o Marian House, nawet -a szczególnie - z siostrami. Natychmiast po ukończeniu szkoły matka wysłała ją na roczne studia do Paryża. Sorbona to dobra uczelnia- tak będzie ci łatwiej, wyjaśniła. Nikt cię nie będzie wypytywał, gdzie byłaś przez tyle miesięcy.

- Już po wszystkim, Jillian - stwierdziła po prostu. -% Nie musimy nigdy do tego wracać. Wszystko może być



## **CZTERY PORY ROKU**

tak samo jak przedtem. Doskonale wyglądasz. Jesteś taka szczupła!

Wtedy zaczęło się udawanie. Wyjechała do Francji na wiosnę, a jesienią, gdy została zauważona i zaczęła pracować jako modelka, zburzyła plany matki, oświadczając, że nie wróci do domu.

Otrząsnęła się ze wspomnień i przytulając misia, wypełzła z łóżka. Najpierw podeszła do szafy. Znalazła tam swoje stare ubrania z lat siedemdziesiątych. Wszystko nadal tu było. Narzuciła na ramiona krótkie jedwabne kimono w kolorze lawendy, swój ulubiony domowy strój z czasów szkoły średniej, i zeszła na dół po schodach, czujnie wachając powietrze, jak zgubiony pies, który szuka drogi do domu. Raz czy dwa razy zatrzymała się przed którąś z fotografii, a potem przystanęła na podeście, skąd widziała cały hol i salon. Pyłki kurzu wirowały w promieniach słońca wpadającego do wnętrza przez wysokie, łukowate okna. Jilly stała i patrzyła, obiema rękami trzymając się poręczy. W tym domu czas się zatrzymał. Ubiegłej nocy była zbyt pijana, by cokolwiek zauważyć, ale teraz na widok ciężkich brokatowych zasłon, zabytkowego wieszaka przy drzwiach i kryształowego żyrandola w holu znów wróciła myślami do dnia, kiedy miała siedemnaście lat i po raz ostami schodziła po tych schodach.

Był to dzień wyjazdu do Francji.

- Jilly, schodź wreszcie! - wołała matka. - Czas już jechać!

Siedziała na krawędzi łóżka jak przykuta z nogami skrzyżowanymi w kostkach i rękami splecionymi na kolanach. Była tak szczupła, że kupiony przez matkę granatowy żakiet

### **Mary Alice Monroe 53**

bezsztalnie wisiał na jej ramionach jak na manekinie. Ostatnie tygodnie, pełne kłamstw i tajemnic, zupełnie ją wyczerpały. Jeszcze raz z rozpaczą rozejrzała się po pokoju, utrwalając w pamięci wszystkie szczegóły. Czuła, że zanim znów się tu znajdzie, minie wiele czasu.

- Jilly! - wołała matka coraz ostrzej.

Podniosła się, pogłaskała ulubionego misia i cicho zeszła na dół po szerokich schodach, rozpoczynając podróż, która miała ją na długo odizolować od rodziny. Szła ze sztywno wyprostowanymi ramionami i wysoko uniesioną głową. Wzrok miała szklisty i zwrócony jakby do wewnątrz. Już wtedy poruszała się tym charakterystycznym krokiem, który ifc potem stał się jej znakiem rozpoznawczym w europejskim świecie mody.

Na dole lekko zgarbiony ojciec cicho krążył między holem a garażem, wynosząc do samochodu jej walizki. Wydawał się przygnębiony jej wyjazdem, ale Jilly nie była pewna, czy jej się tylko nie wydaje. Ojciec nie potrafił okazywać uczuć, a w ostatnich tygodniach wyraźnie jej unikał. Całymi dniami przesiadywał w budynku sądu albo w swoim gabinecie.

Piętnastoletnia Birdie i jedenastoletnia Rose stały przy drzwiach, przytulone do futryny, szepcząc coś do siebie. Jilly rzuciła im przelotny uśmiech. Zazdrościła im niewinności.

Trzeba było jechać. Cała rodzina poruszyła się jednocześnie, jak na zawołanie.

- Zróbmy sobie zdjęcie! - wykrzyknęła matka, wymachując rękami. Widać było, że znów piła. Jilly poczuła smutek i niepokój o siostry. Nie będzie mogła już ich chronić przed napadami złości matki.

**CZTERY PORY ROKU**

- Bill, przynieś aparat!

Wszystkie siostry stłoczyły się wokół Jilly, Ignąc do niej z cichą desperacją. Birdie otoczyła ją ramieniem i Jilly poczuła zapach jej ciała, mocny i ostry, jeszcze nie zamaskowany dezodorantem.

Rose stanęła z przodu i łokciem przysunęła Mery do najstarszej siostry. Mała złapała Jilly za rękę.

- Merry, Rose, nie kręćcie się tak - poprosił ojciec. - Patrzcie teraz wszystkie tutaj. O, tak. Cztery Pory Roku, proszę o uśmiech! Powiedzcie: marmolada!

Jilly uśmiechnęła się szeroko. Stojąc tak ramię w ramię z siostrami, znów poczuła, że należy do rodziny. Ten moment został uwieczniony na zdjęciu. Postanowiła, że zabierze ze sobą to wspomnienie Europy. Wszystkie cztery, blisko siebie, Ale chwila zaraz przeminęła i matka znów zaczęła nimi dyrygować.

- Baw się dobrze! Będziemy za tobą tęsknić! Przywieź mi butelkę francuskich perfum!

- Pożegnaj się z siostrą, Merry - powiedziała matka, poszturchując małą. - Jilly musi już jechać.

- Nie chcę, żeby jechała! - rozplakała się Merry, potrząsając głową tak mocno, że długie warkocze owinęły się wokół jej szyi.

Jilly odwróciła głowę, obawiając się, że smutek w oczach siostry może rozbić jej kruchy spokój.

- Do widzenia, kochanie - zawołała przez ściśnięte gardło i poszła do drzwi. Merry jednak wybuchnęła jeszcze głośniejszym płaczem i przywarła do jej ręki. Rodzice oderwali ją siłą, chociaż starali się być delikatni.

- Jilly musi już iść - powtarzali łagodnie.

## **Mary Alice Monroe 55**

Jilly ostatkiem sił powstrzymywała łzy. Wcześniej przysięgła sobie, że będzie się zachowywać tak, jak matka sobie tego życzyła. Zraniła ich wszystkich już wystarczająco.

- Nie musi! - łkała Merry. - Nie musi nigdzie iść! Powiedz jej, żeby została! Proooszę, mamó!  
Powiedz, żeby została!

Jilly zachowała w sercu te krzyki jak talizman. Podeszła do siostrzyczki, pocałowała ją w policzek i mocno uścisnęła, przez cały czas nie spuszczać wyzywającego wzroku z twarzy ojca. Masz prawo pozwolić mi zostać, jeśli chcesz, możesz jeszcze to zrobić, mówiło jej spojrzenie.

- Jilly! Wstałaś już!

Zamrugła powiekami i wróciła do teraźniejszości.

- Rose! - wykrztusiła przez wyschnięte gardło; Podbiegła do siostry i uścisnęła ją mocno. Przez dłuższą chwilę stały objęte, kołysząc się lekko. Żadnych więcej wspomnień; istnieje tylko dzień dzisiejszy, powiedziała sobie Jilly, wdychając zapach włosów siostry.

- Byłaś myślami gdzieś daleko - zauważyła Rose.

- Cofnęłam się w czasie - wyjaśniła Jilly. - To dlatego, że znów tu wróciłam.

- Nie chciałam cię budzić. Czytałam o skutkach zmiany czasu i myślałam, że może będziesz spała aż do samego pogrzebu. Ale tak się cieszę, że już wstałaś. Tęskniłam za tobą.

- Ja też za tobą tęskniłam - powiedziała Jilly z nostalgią. Chociaż Rose była od niej tylko o sześć lat młodsza, wyglądała, jakby dopiero niedawno skończyła szkołę średnią.

- Wyglądasz na zmęczoną - rzekła Rose z troską. - Na pewno już się wyspałaś?

**CZTERY PORY ROKU**

Zmęczona i stara, pomyślała My.

- Nie wyspałam się, ale odrobinę to później. Poza tym kto mógłby dzisiaj długo spać? Ptaki hałasowały za oknem, a od samego świtu ciągle ktoś dzwonił do drzwi.

- To dostawcy. Po pogrzebie zjemy lekki lunch tutaj w domu.

- Świetny pomysł - ucieszyła się My, ziewając. - Myślałam, że będziemy musiały pójść do jakiejś starej, zatęchłej restauracji. Tak będzie o wiele przyjemniej.

- Naprawdę tak myślisz, My? - rozpromieniła się Rose. Zaprowadziła siostrę przez szeroki hol do jadalni i wskazała stosy porcelanowych talerzy, filiżanek, półmisek i poczerwiałych sreber.

- Mama trzymała te wszystkie śliczne rzeczy popakowane w pudłach. Na strychu jest tego jeszcze więcej. I tak będziemy musiały wszystko uporządkować i podzielić. Wybierz sobie te, które ci się najbardziej podobają.

- Dla mnie nie ma to żadnego znaczenia.

- Musisz coś wybrać! Jesteś najstarsza, więc masz pierwszeństwo.

- Coś ci powiem. Wybierz za mnie i zatrzymaj je sobie. Rose była zaskoczona tą wspaniałomyślnością.

- Chcę użyć tej porcelany do lunchu, ale najpierw niestety trzeba wszystko umyć i wypolerować. Masz ochotę pomóc?

- Oczywiście - odpowiedziała Jilly, jednocześnie spoglądając tęsknie na drzwi kuchni. - Ale miej odrobinę litości. Jeśli najpierw nie dostanę trochę kawy, kilku tabletek aspiryny i litra wody do picia, to padnę trupem i będę zupełnie bezużyteczna.

## Mary Alice Monroe 57

Rose odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się dźwięcznie.

- No to chodź. Przygotowałam *petit dejeuner* - powiedziała, wyraźnie akcentując francuskie słowa. - Nic specjalnego, ale zastanawiałam się, co najbardziej lubisz, i pomyślałam, że to będzie ci smakować.

Jilly poczuła się wzruszona jej troską i staraniami.

- Rose, dziękuję ci za kwiaty w sypialni - powiedziała cicho, kładąc rękę na ramieniu siostry. -

Pamiętałaś, że bardzo lubię żółte róże. Oprócz tego dziękuję ci, że położyłaś mnie w moim starym pokoju. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- Tak przypuszczałam - szepnęła Rose konspiracyjnym

tonem, po czym, szybko zmieniając nastrój, uśmiechnęła się ciepło i dodała: - Lepiej chodź już na śniadanie, zanim wszystko zje Dennis.

Dennis... Jilly przyglądała włosy, wyprostowała ramiona i weszła do kuchni wypełnionej ciepłem, krzątaniną i zapachem świeżo parzonej kawy. Tutaj także panował chaos. Na szafkach piętrzyły się wysokie stosy białych pudełek z piekarni, plastikowe torebki ze świeżymi warzywami leżały obok desek do krojenia i noży, a resztę miejsca zajmowały plastikowe pojemniki ze sklepu. Dennis i Hannah siedzieli przy stole, spokojnie chrupiąc rogaliki.

- Dzień dobry wszystkim - mruknęła Jilly i poszła prosto do kranu z wodą. Na widok jej nóg wyłaniających się spod krótkiego, seksownego kimona Hannah szeroko otworzyła oczy.

- Dzień dobry, ciociu Jillian.

Jilly uniosła palec do góry i zanim się odezwała, najpierw wypła szklanekę wody. Dopiero później zatrzymała

**CZTERY PORY ROKU**

wzrok na bladej, ciemnookiej, dość pulchnej nastolatce siedzącej na krześle w niedbałej pozie. Rude włosy świadczyły o przynależności do rodziny Seasonów.

- Hannah?

Dziewczyna skinęła głową.

- Nie poznałabym cię, gdyby nie te włosy. Urosłaś, i to we wszystkie strony! - zawołała, ale na widok błysku cierpienia w oczach i lekkiego rumieńca na policzkach dziewczyny natychmiast zrozumiała, że Hannah jest przewrażliwiona na punkcie swojej wagi.

- Stałaś się kobietą! - poprawiła się gładko. Twarz Hannah odprężyła się.

- Mam już piętnaście lat, ciociu Jillian. Prawie szesnaście.

- Mów do mnie: Jilly. Wszyscy tu jesteśmy dorośli - mrugnęła, sięgając po drugą szklanekę wody. Dennis odłożył na stół „Chicago Tribune” i otaksował ją znacznie chłodniejszym spojrzeniem niż córka, zamaskowanym uprzejmym, choć sztywnym uśmiechem. Jilly odniosła wrażenie, jakby temperatura w kuchni nagle obniżyła się o kilka stopni, i mocniej owinęła się kimonem.

- A więc córka marnotrawna wróciła wreszcie do domu - powiedział, składając gazetę.

Jilly poczuła rozdrażnienie. Można było się spodziewać, że po dziesięciu latach Dennis powita ją jakimś biblijnym cytatem nabrzmiałym krytyką. Nie była głodna, ale sięgnęła po rogalik, by ukryć zdenerwowanie.

- Marnotrawna? - powtórzyła, unosząc brwi.

- To trafne określenie - stwierdził Dennis, krzyżując ramiona na piersiach. - Dawno utracone dziecko powraca z tułaczki po świecie.

## Mary Alice Monroe 59

Jilly oderwała rozek rogalika i wsunęła do ust.

- Nie wiedziałam, że byłam na tułaczce.

- Ona m i e s z k a w Paryżu, tato - wtrąciła Hannah ze zniecierpliwieniem.

- W tej rodzinie każdy, kto mieszka dalej niż o kilka godzin jazdy, jest przybyszem z innego świata - uśmiechnął się krzywo jej ojciec i dodał: - Ale cieszymy się, że wróciłaś.

Rose postawiła kubek kawy obok dzbanka ze świeżą śmietanką i cukierniczki i spojrzała na stół z niepokojem, splatając ręce.

- Wiem, że kawa nie jest tak dobra jak ta, do której przywykłaś, ale...

Jilly z wdzięcznością podniosła kubek do ust, ignorując śmietankę.

- Mmm, Rose. Jest lepsza. Rose rozpromieniła się z dumą.

Dennis wrócił do swojej gazety. Jilly przyglądała mu się ukradkiem. Starzał się dokładnie tak, jak przypuszczała. Zawsze był przystojny. Już w szkole średniej miał wygląd dojrzałego intelektualisty i wydawał jej się bardzo atrakcyjny. Nosił wtedy długie włosy sięgające ramion, z przedziałkiem pośrodku. Grube oprawki okularów podkreślały ciemne, przenikliwe oczy i szerokie brwi. I ten dołek w podbródku. Dopiero teraz Jilly zauważyła, że Hannah odziedziczyła po ojcu podbródek, a także oczy.

Włosy na czubku głowy trochę mu się przerzedziły i przybyło mu kilka centymetrów w pasie, ale mimo to starzał się naprawdę ładnie. Jilly uznała, że jest nawet atrakcyjniejszy niż kiedyś; miał w sobie urok dojrzałości. Birdie miała szczęście.



## **CZTERY PORY ROKU**

- Nie mogę sobie wyobrazić życia w Paryżu - powiedziała Hannah, opierając podbródek na dłoni. - Jak możesz chcieć wracać stamtąd do starego, nudnego Chicago? Albo do Milwaukee? - Przewróciła oczami i sięgnęła po kolejny rogalik.

- Na pewno chcesz go zjeść? - mruknął Dennis znad gazety.

Hannah zeszywniała. Na jej twarz i policzki powoli wypełzał rumieniec. Ukradkiem zerknęła na Jilly, cofnęła rękę z powrotem na kolana i skuliła się obronnie. Serce Jilly ścisnęło się ze współczuciem. Wiedziała, że Dennis chciał dla córki dobrze, ale zrobił to tak niedelikatnie! Ostatnią rzeczą, jaka mogła pomóc zmagającej się z nadwagą nastolatce, było zwracanie na ten fakt uwagi.

- Hannah - powiedziała Jilly swobodnie - podaj mi grejpfrut, proszę. To była jedna z pierwszych rzeczy, których musiałam się nauczyć, gdy zostałam modelką. Jeść dużo owoców i pić litry wody. Woda wypłukuje z organizmu toksyny i dodaje blasku cerze. Może masz ochotę na pół grejpfruta? Wiesz - ciągnęła, krojąc owoc na plasterki - kiedy czuję się wyczerpana, tak jak teraz, przez cały dzień bezmyślnie coś podjadam. Więc proszę cię, bądź tak miła i kiedy zobaczysz, że sięgam po jedzenie, zwróć mi uwagę. Przysięgam, że cię nie pobiję - zaśmiała się, patrząc z zadowoleniem, jak na twarzy Hannah również pojawia się nieśmiały uśmiech.

Wzięła łyżeczkę i wbiła ją w miąższ grejpfruta. Hannah z błyskiem w oku sięgnęła po drugą połówkę. Jilly doskonale zdawała sobie sprawę z prestiżu, jaki zawód modelki przydawał jej w oczach siostrzenicy. Ukrad-

## Mary Alice Monroe 61

kiem obserwując Hannah, pomyślała, że jest ona nie tyle gruba, co po prostu duża, podobnie jak Birdie w jej wieku. Birdie jednak była pływaczką o silnych mięśniach i gładkim, zwinnym ciele, co w połączeniu z jej pewnością siebie i silnym charakterem dawało wspaniały efekt. W przeciwieństwie do jej ciała Hannah było miękkie, przygarbione i bezwładne. Brakowało jej błysku.

Podniosła wzrok i nieoczekiwanie pochwyciła uważne spojrzenie Dennisa wychylającego się zza gazety. W miejsce wcześniejszej dezaprobaty teraz na jego twarzy malowała się wdzięczność za wyratowanie go z niezręcznej sytuacji. Jilly skwitowała to krótkim uśmiechem.

Tylne drzwi otworzyły się, wpuszczając powiew zimnego powietrza, i w progu stanęła Birdie z naręczem plastikowych toreb.

- Co za dzień! - wykrzyknęła. - Świeci słońce i śnieg się roztopia. Nikt nie będzie miał problemu z dojazdem na pogrzeb. Chodźcie zobaczyć, co kupiłam: papierowe talerze, serwetki i filiżanki. I tony plastikowych sztuczków.

- Papierowe talerze? - powtórzyła Rose z niedowierzaniem, zaglądając do toreb.

- Spójrz na ten wzór, Rose. Ten szary kolor jest poważny, ale chyba nie nazbyt ciemny, jak sądzisz? - zastanawiała się Birdie głośno, rozglądając się po kuchni.

Wszyscy siedzący przy stole patrzyli na nią w milczeniu, ale tylko jedna z twarzy przyciągnęła jej uwagę.

- Jilly! Jesteś już na nogach! - zawołała, napotykać spojrzenie siostry. W pierwszej chwili w jej oczach pojawiła się radość i zaskoczenie, zaraz jednak zastąpił je błysk dezaprobaty na widok skąpego odzienia Jilly. Zerknęła szybko

## **CZTERY PORY ROKU**

na Dennisa, odłożyła paczki na bok i trochę niezgrabnie uścisnęła siostrę. Jilly odniosła wrażenie, że w tym jowialnym powitaniu kryje się jakiś chłód.

- Wczoraj wieczorem leciałaś przez ręce - powiedziała Birdie, przypatrując się jej z zawodową przenikliwością. - A dzisiaj jesteś blada jak ściana.

Jilly przesunęła palcami po twarzy.

- Miałam za sobą okropny lot i jeszcze gorszą drogę z lotniska. - Tak jak oczekiwała, w oczach Bindie błysnęło poczucie winy. - Do tego oczywiście różnica czasu. Ale Rose jak zwykle doskonale się o mnie troszczy. Dostałam kawę, owoce i czuję się już dużo lepiej.

Miała ochotę zapytać Birdie, dlaczego ona sama wygląda tak źle. Jilly miała nadzieję, że wstrząs, jakiego doznała na widok siostry, nie jest widoczny na jej twarzy. Birdie miała czterdzieści jeden lat, a wyglądała na pięćdziesiąt. Jej sylwetka była nieforemna i nalana, rude refleksy w jej brązowych włosach znikły, a na ich miejsce pojawiły się pasma siwizny. A co gorsza, te włosy były obcięte w nietwarzowy, męski sposób. Birdie zawsze była największa ze wszystkich sióstr, ale kiedyś ciało miała giętkie i silne i nosiła się jak królowa. Zmieniła się bardzo. Czy sprawił to wiek, czy nieodpowiednia dieta, czy zwykle zaniedbanie? - zastanawiała się Jilly.

Birdie zdjęła szalik, rzuciła granatowy płaszcz na oparcie krzesła i obciągając sweter na szerokich biodrach, podeszła do pochylonej nad torbami Rose.

- Ale, Birdie, to wszystko nie będzie nam potrzebne - powiedziała Rose, podnosząc na siostrę zmartwiony wzrok.

### **Mary Alice Monroe 63**

- Oczywiście, że będzie - oburzyła się Birdie, wyładowując zawartość pierwszej torby na szafkę. Dennis głęboko westchnął i znów schował się za gazetą.

- Doprawdy, Rose - ciągnęła niezrażona Birdie. - Lunch będzie w domu, bo już nie mamy innego wyjścia. Ale ten twój pomysł, żeby użyć rodzinnej porcelany i kryształów, jest o wiele za romantyczny. To ma być pogrzeb, a nie spektakl teatralny. Za dużo roboty z czyszczeniem tego wszystkiego, a potem jeszcze trzeba pozmywać. I nie martw się o koszty tych jednorazowych naczyń, bo z przyjemnością je pokryję.

Rose wyprostowała się i stanowczo odsunęła torby na bok.

- Ale... - przełknęła ślinę. - Już rozpakowałam porcelanę.

- Rose, bądź rozsądna. Nie możemy używać, naczyń mamy.

Jilly zerknęła na Hannah i zauważyła w jej oczach taką samą złość jak na twarzy ojca. Rose jednak nie ustąpiła tak łatwo.

- Dlaczego nie?

Birdie zostawiła na chwilę zawartość toreb i oparła dłonie o blat szafki.

- Po pierwsze, dlatego - powiedziała dobitnie po kilkunastu sekundach wymownego milczenia - że żaden pojedynczy komplet porcelany nie jest wystarczająco duży. Po drugie, nie mamy tylu widelców do sałatek ani jednakowych kieliszków. Musiałybyśmy pomieszać różne wzory. A jest już za późno na wypożyczenie naczyń.

- A jakie to ma, do diabła, znaczenie? - warknął Dennis,

**CZTERY PORY ROKU**

wyraźnie zirytowany zachowaniem żony. - Jeśli Rose chce użyć tej cholernej porcelany, to pozwól jej na to!

- Dennis - wycedziła Birdie ostrzegawczo, z trudem kontrolując ogarniającą ją furję. - Czy mógłbyś przynieść z samochodu resztę toreb?

Dennis rzucił gazetę na stół, z rozmachem odsunął krzesło i poszedł do wyjścia, omijając żonę wielkim łukiem.

W kuchni błyskawicznie narastało napięcie. Dennis i Birdie wymieniali spojrzenia, w których błyskały sztylety. Jilly starała się obojętnie pić swoją kawę, ale jej oczy były zwięzione i nieruchome. Nie znała Birdie od tej strony. Jej siostra zawsze miała apodyktyczną osobowość, ale teraz zachowywała się wręcz brutalnie. Rose wyglądała na zupełnie załamana. Stała bez ruchu i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w jeden punkt.

- Skoro Rose zaplanowała, że użyjemy naczyń mamy - zaczęła Jilly ostrożnie - to właśnie tak powinniśmy zrobić. Nie mamy czasu na wypożyczanie, więc po prostu weźmy się do pracy i wyczyścimy je. - Odstawiła filiżankę i podniosła głowę nieco wyżej. - W końcu to jej uroczystość. Stałowy ton w jej głosie nie uszedł niczyjej uwagi. Birdie ściągnęła ramiona i skierowała na nią ostre spojrzenie.

- Jej uroczystość? - Wzięła głęboki oddech i powiedziała opanowanym tonem: - Jilly, dopiero co tu przyjechałaś. Być może nie doceniasz wszystkiego, co zrobiłam, by zorganizować ten pogrzeb. Wszystko było już ustalone, aż tu nagle Rose zaczęła wprowadzać zmiany. Wyobraź sobie, lunch w tym domu! Nie masz pojęcia....

- Ależ oczywiście, że mam! - odpowiedziała Jilly z lek-

## **Mary Alice Monroe 65**

kim uśmiechem. - To nie jest formalne przyjęcie przy stole, tylko niewielkie spotkanie towarzyskie. Robisz wokół tego zbyt wiele zamieszania. Zdarzało mi się organizować większe przyjęcia dosłownie z minuty na minutę. Wszystko zależy od nastawienia. To fantastyczny pomysł, żeby w końcu użyć wszystkich tych rzeczy. Mama prawie nigdy nie przyjmowała gości...

- Dlatego, że była perfekcjonistką - odrzekła Birdie, podchodząc bliżej. - Uważała, że albo należy coś zrobić porządnie, albo wcale.

- Och, daj spokój, Birdie - skrzywiła się Jilly, machając ręką. - Mama tak bardzo przejmowała się odpowiednim zestawianiem porcelany, regułami, co się podaje po której stronie, i podobnymi sprawami, że wszystkie te zasady zupełnie ją paraliżowały. Prawda wygląda tak, że dla mamy nic nigdy nie było wystarczająco dobre. Zawsze martwiła się przede wszystkim o to, co powiedzą inni. I dlatego nikt nas nie odwiedzał.

Hannah ze zdumieniem przyglądała się tej tajemniczej ciotce, której w kilka chwil udało się uciszyć matkę. Wyglądało na to, że Birdie resztkami sił broni swej pozycji już tylko po to, by nie stracić autorytetu w oczach córki.

- Daj spokój, Birdie - powtórzyła Jilly, podnosząc się od stołu. - Rose wszystko przygotowała, a my teraz tylko pomóżmy jej poskładać to w całość.

- Jilly - upierała się sfrustrowana Birdie. - To nie jest zabawa. Przyleciałaś tu po tylu latach i spodziewasz się, że wszystko będzie tak samo jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

Jestem pewna, że twoje życie w Europie było bardzo eks-

**CZTERY PORY ROKU**

cytujące i pełne rozrywek - ciągnęła sztywno - ale tutaj w Ameryce nie wszystko można przerobić na zabawę. Jilly potrząsnęła głową.

- Dlaczego nie? Posłuchaj, Birdie. Jak to się właściwie stało, że zrobiłaś się tak stara i zgorzkniała? Birdie zeszywniała, jakby ktoś ją uderzył, i Jilly natychmiast pożałowała swych słów.

- Damy sobie radę - dodała łagodzącym tonem. - Urządzimy najbardziej uroczy lunch, jaki tylko można sobie wyobrazić. Użyjemy porcelany i sreber, nakryjemy stół haftowanymi różowymi obrusami z koronką, podamy herbatę i kanapki. Ustawimy wszędzie kwiaty.

- Właśnie tak - zawołała Rose głosem pełnym emocji, - Jestem pewna, że Merry właśnie tego by sobie życzyła!

Po raz pierwszy tego ranka ktoś wspomniał o Merry. Merry, której już z nimi nie było i której obecność nagle stała się przytłaczająca. Obchodziły swój żal na palcach, od dzieciństwa szkolone w ukrywaniu uczuć. Ale teraz, gdy to imię zostało wypowiedziane, Merry znów pojawiła się w ich myślach.

W oczach Rose błysnęły łzy. Jilly podeszła do niej i objęła ją ramieniem. Birdie zrobiła to samo.

- Cieszę się, że jesteś w domu - powiedziała do ucha Jilly. - Tęskniłam za tobą.

- Ja też - szepnęła Jilly i dopiero teraz przytuliły się naprawdę serdecznie.

Dennis z trudem otworzył drzwi, oburącz trzymając naręcze wypchanych toreb.

- Już wszystko w porządku - zawołała Birdie na jego widok. - Zanieś to z powrotem do samochodu!

## **Mary Alice Monroe 67**

Dennis zatrzymał się, nic nie rozumiejąc.

- Nie pytaj o nic! - poprosiła Birdie, zgarniając z szafki resztę toreb. - Odniosę to, chociaż dalej uważam, że miałam rację - rzuciła przez ramię.

Dennis wzruszył ramionami, potrząsnął głową i wyszedł. Jilly napotkała spojrzenie Rose i obie siostry uśmiechnęły się do siebie.

Birdie przystanąła obok garażu i rozejrzała się po podwórzu. Na błękitnym niebie jasno świeciło słońce. Przez roziskrzony śnieg przebijały się główki krokusów, niosąc ze sobą obietnicę spóźnionej wiosny. Z boku domu śnieg topniał na pustym prostokącie podwórka, gdzie kiedyś znajdował się basen.

' Oczami wyobraźni Birdie znów ujrzała niepowtarzalny błękit wody. Bahama blue, tak się nazywał ten kolor. Co drugie lato wszystkie siostry pomagały malować pochyłe cementowe ściany. Po zakończeniu pracy wyglądały jak smurfy... Cała rodzina lubiła bawić się w basenie. W szczęśliwszych czasach tato zaraz po powrocie z pracy wskakiwał do wody jak bomba, ochlapując piszczące z zachwyty córki, a potem po kolei brał je na ręce i wrzucał do basenu, one zaś udawały, że są syrenami. Jeszcze raz, tatusiu!

Spędzały w basenie całe dni i wychodziły dopiero wtedy, gdy palce miały już zupełnie pomarszczone, a usta sine. Szczególnie Birdie. Uwielbiała pływać i posiadała naturalną umiejętność wstrzymywania oddechu dłużej niż ktokolwiek inny, kogo znała.

Syreny... Na jej ustach pojawił się uśmiech. Od lat nie wracała pamięcią do tej zabawy. Oczywiście wymyśliła ją



## **CZTERY PORY ROKU**

Jilly, ale reguły tych zabaw układała Birdie. Na przykład to, że pod Islandią należy wstrzymać oddech, a kto dotknie odpływu, ten nie żyje. Zawsze tak było z nią i Jilly: jedna reprezentowała wyobraźnię, a druga reguły. Prawa i lewa półkula mózgu. Tworzyły dobry zespół. Były najlepszymi przyjaciółkami. Rose także uwielbiała tę zabawę. I Merry.

Birdie skurczyła się na wspomnienie drobnych ramion poruszających się chaotycznie pod jaskrawobłękitną wodą. Zamrugła powiekami i znów zobaczyła przed sobą tylko prostokąt ziemi tam, gdzie kiedyś był basen. Śnieg, który z powodu zamieci usypał się w zasy, tworzył w tym miejscu wysoki kopiec. Przyszło jej do głowy, że to wygląda jak grób.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Majowy Bal, jak później nazwano lunch po pogrzebie, w niczym nie przypominał zwykłej, ponurej stypy, nawet jeśli sprowokował kilka drwiących uśmiezków. Birdie podsłuchiwała kilka niezbyt pochlebnych komentarzy gości na widok obrusów z różowego adamaszku obrębionych koronką. Ogólnie rzecz biorąc, była jednak poruszona, gdy się przekonała, jak wiele osób naprawdę lubiło Merry. Chociaż jej siostra rzadko widywała się z obcymi, z reguły wywierała na nich głębokie, niezatarte wrażenie. Może sprawiała to jej niewinność, a może radość życia, w każdym razie różowe obrusy i koronki stanowiły należyty hołd oddany jej pamięci, co Birdie musiała przyznać.

Ostami goście właśnie nakładali w holu płaszcze. Jilly, z włosami zebranymi w prosty węzeł na karku, stała przy drzwiach w pozycji tancerki, żegnając znajomych i rodzinę z wdziękiem, którego Birdie zawsze jej zazdrościła. Można byłoby przypisać ten wdzięk zawodowemu doświadczeniu modelki i aktorki, Birdie jednak dobrze wiedziała, że jej siostra zawsze była łabędziem.

Dla odmiany, Rose przez całe popołudnie była prawie niewidoczna. Nieśmiało przemykała przez pokoje, dyskretnie donosiła kolejne pełne talerze, zbierała puste i wynosiła je do kuchni. Na gościach niewątpliwie sprawiała wrażenie

## **CZTERY PORY ROKU**

doskonałej gospodyni, Birdie jednak wiedziała, że jej siostra wolałaby wyszorować całą podłogę szczoteczką do zębów, niż wdać się w rozmowę o niczym z całym zgromadzonym towarzystwem. Jedną z ostatnich pozostałych jeszcze osób była pani Kasparov, właścicielka agencji nieruchomości, która miała się zająć sprzedażą domu, drobna kobieta o szpakowatych włosach i wystających górnych zębach. Ze względu na nieco agresywny sposób bycia przypominała Birdie teriera.

- Oto lista ofert dla porównania oraz inne informacje, o które pani prosiła - powiedziała, podając Birdie tekturową teczkę..

- Dziękuję. Myślę, że wystawimy dom na sprzedaż najszybciej, jak to będzie możliwe, żeby skorzystać z wiosennego ożywienia na rynku. Zadzwonimy do pani - odrzekła Birdie, dyskretnie popychając rozmówczynię w kierunku drzwi.

Pani Kasparov skinęła głową na męża i obydwójce pożegnali się z Jilly. Zdawało się, że po ich wyjściu cały dom odetchnął. Birdie rozmasowała kark. W tej chwili marzyła tylko o jednym: żeby usiąść gdzieś z wysoko opartymi nogami i nie ruszać się przez następnych kilka godzin. Jilly rzuciła jej współczujący uśmiech.

W tej chwili jednak prawnik rodziny, pan Collins, który dotychczas cierpliwie czekał na krzesło przy oknie, podniósł się i popatrzył na nią wyczekująco.

- Myślę, że możemy już zacząć - stwierdziła Birdie. - Dziękujemy panu za cierpliwość. Może przejdziemy do jadalni?

Położyła rękę na ramieniu Rose i razem podeszły do ma-

## **Mary Alice Monroe 71**

honiowego stołu, z którego pozbierano już naczynia. Birdie bezwiednie zaczęła się zastanawiać, komu przypadną w udziale ciężkie meble z jadalni. Ten drewniany komplet doskonale by wyglądał w jej domu. A poza tym, kto jeszcze mógłby go potrzebować? Jilly na pewno nie będzie miała ochoty wlec ze sobą do Francji mebli, a Rose prawdopodobnie wyniesie się do jakiegoś małego mieszkania... Jilly usiadła na końcu stołu, naprzeciwko pana Collinsa, który zajął się rozkładaniem papierów. Siedziała wyprostowana, ze ułożonymi rękami. Jej zielone oczy były szeroko otwarte i czujne. Wszyscy czekali, aż Rose zajmie swoje miejsce.

W końcu pan Collins złożył ręce na stole i uśmiechnął się życzliwie, Wysoki i dystyngowany, był kiedyś najlepszym przyjacielem ich ojca: Mówiły do niego „wujku George”, ale gdy dorosły, tylko Merry kontynuowała ten zwyczaj. Ponieważ jednak była to szczególna sytuacja, a pan Collins pełnił obowiązki doradcy prawnego rodziny, tym razem zachowywał się z pełną szacunku rezerwą. Poprawił okulary i zaczął mówić:

- Wasza siostra była dla mnie kimś bardzo szczególnym, a wasz ojciec był moim bliskim przyjacielem. Od wielu lat doglądałem interesów całej rodziny Seasonów i dlatego mam teraz przyjemność i zaszczyt wystąpić jako współwy-konawca testamentu waszego ojca oraz funduszu powierniczego Meredith.

Zatrzymał wzrok na Jilly, która oddała mu spojrzenie pełne rezerwy.

- Myślę, że wszystkie wiecie, jaka była wola waszego ojca dotycząca podziału majątku po jego śmierci?

Trzy siostry skinęły głowami.

## **CZTERY PORY ROKU**

- W czasie, gdy wasz ojciec sporządzał testament, czyli w sierpniu 1977 roku, jego główną troską było zapewnienie opieki i bezpieczeństwa finansowego waszej najmłodszej siostrze, Meredith, wiedział bowiem, że nie będzie ona zdolna utrzymać się samodzielnie po śmierci rodziców. Wasza matka zgodziła się przejąć tytuł własności tylko do jednej trzeciej wspólnego majątku, przekazując resztę na fundusz powierniczy założony na nazwisko Meredith. Zapewne pamiętacie, że po śmierci waszej matki, w 1990 roku, to, co pozostało z jej stanu posiadania, zostało podzielone równo pomiędzy wszystkie cztery córki. Wydaje mi się, że była to kwota czterdziestu tysięcy dolarów?

Jilly skinęła głową z niewzruszonym wyrazem twarzy. Birdie przypomniała sobie Ich ówczesną rozmowę telefoniczną. Jilly nie skrywała głębokiego rozczarowania, słysząc, jak niewiele pozostało z majątku matki. Birdie aż do tej pory nie potrafiła się pozbyć lekkiej niechęci do siostry, gdy o tym myślała.

Pan Collins znów poprawił okulary i zajrzał do papierów.

- Zostało również ustalone, że w wypadku śmierci Meredith reszta masy spadkowej ma zostać rozdzielona w równych częściach między pozostałe rodzeństwo. W chwili obecnej oznacza to Jillian, Beatrice i Rose Season. W skład masy spadkowej wchodzi wszystkie pozostałe pieniądze, ruchomości i nieruchomości, czyli ten dom, bowiem dom letni w Indianie został sprzedany w 1984 roku. Zablokowałem konta bankowe, sprzedałem to, co pozostało z papierów wartościowych i po szacunkowym odliczeniu podatków oraz wydatków związanych z pogrzebem daje to kwotę około

### **Mary Alice Monroe 73**

dwudziestu tysięcy dolarów. Oczywiście, nie biorę tu pod uwagę pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży domu. Jilly wyprostowała się raptownie.

- Tylko tyle? - zapytała z niedowierzaniem. - Myślałam, że ojciec zostawił spory majątek!

- Och, na litość boską - prychnęła Birdie ze złością.

- Wasz ojciec rzeczywiście zostawił spory majątek - zgodził się spokojnie pań Collins. - Jednakże ten majątek z czasem stopniał. Wydatki na utrzymanie domu tej wielkości, nie wspominając już o kosztach leczenia i edukacji Merry, były bardzo znaczne. Jeśli sobie życzyacie, mogę przedstawić szczegółowe rozliczenie.

- Staraliśmy się żyć bardzo oszczędnie - wtrąciła Rose zmartwionym głosem.

- To nie jest konieczne - potrząsnęła głową Jilly. - Na pewno wszystko jest w porządku, jestem tylko... zaskoczona. Ile może być wart ten dom?

Birdie natychmiast otworzyła swoją teczkę i przerzuciła papiery.

- Według pani Kasparov cena rynkowa wynosi około pięciuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Minus prowizja, podatek obrotowy i temu podobne.

Jilly wyglądała na zdruzgotaną.

- Chyba żartujesz! Na tym terenie? To nie może być prawda. Wydaje mi się, że to bardzo niska cena! Znów to samo, pomyślała Birdie. Rzuciła szybkie spojrzenie na Rose, nie chcąc, by uraziło ją to, co zamierzała powiedzieć.

- Pani Kasparov uważa, że dom i cała posiadłość wymaga wielkiego wkładu pracy. Oto, co wyszczególniła: we-

## **CZTERY PORY ROKU**

randa miejscami gnije, rury są popękane, tynki na ścianach również. Cały dom trzeba pomalować i wymienić tapety. Ogród jest zupełnie zarośnięty, a zasypany basen zmniejsza wartość posiadłości. Poza tym, oczywiście, wyposażenie kuchni i łazienek jest bardzo przestarzałe i wymaga całkowitej wymiany. Dom jest piękny architektonicznie i doskonale położony, ale nadaje się raczej dla koneserów. - Odłożyła papiery na stół i zaplotła dłonie. - W zupełności zgadzam się z tą oceną. W tych okolicznościach nie możemy się spodziewać, że uda nam się uzyskać wysoką cenę.

- Bez względu na stan domu, trzeba wziąć pod uwagę, że to podwójna działka - upierała się My. - Położona nad jeziorem! Sama ziemia jest tyle warta. Na sąsiedniej ulicy jest dom do sprzedania za milion!

- Przejdź się po pokojach, My. Nie możesz porównywać tych dwóch domów - pokręciła głową Birdie i dodała z wahaniem: - Zastanawiałam się nawet, czy zburzenie domu nie byłoby najlepszym wyjściem.

- Nie — szepnęła Rose z przerażeniem. Jilly nie wydawała się przekonana.

- Chciałabym zasięgnąć opinii kogoś innego.

- Możesz sobie porównać inne oferty - powiedziała Birdie, podając jej teczkę. - Musimy się zastanowić, czy wolimy same przeprowadzić remont, czy sprzedać dom w takim stanie, w jakim jest, najszybciej, jak to możliwe. Szczerze mówiąc, ja jestem za tym drugim wyjściem.

Rose kręciła się niespokojnie na krześle, co chwila nerwowo zmieniając położenie rąk. W milczeniu popatrzyła na pana Collinsa, a potem znów, kurcząc się w obronnym geście, zwróciła spojrzenie na siostry.

## **Mary Alice Monroe 75**

Pan Collins odchrząknął.

- No cóż, tę sprawę musicie ustalić między sobą. Nie chciałbym się wtrącać, ale jeśli będziecie potrzebować profesjonalnej porady albo - uśmiechnął się życzliwie - po prostu rady starego przyjaciela, to jestem do usług.

- Dziękujemy panu - powiedziała Birdie, a za nią My. Rose jednak nie odezwała się i siedziała zamyślona.

- Czy to już wszystko? - zapytała Birdie. Nie rozumiała, w jakim celu pan Collins prosił o osobistą rozmowę, skoro miała to być tylko formalność, którą równie dobrze można było załatwić przez telefon.

- Pozostała jeszcze do omówienia pewna delikatna sprawa - rzekł pan Collins niepewnie.

Birdie podniosła wzrok, zaskoczona.

- Och? A co takiego?

Pan Collins powoli zdjął okulary i schował je do wewnętrznej kieszeni. Wydawało się, że zbiera myśli.

- Poprosiłem was o spotkanie, ponieważ jest coś, co chciałem omówić z wami wszystkimi. To wyjątkowa sytuacja. - Znów odchrząknął i zerknął na Rose. - Znałem Merry od dnia jej urodzenia. Czasami przychodziła odwiedzić moją żonę i mnie. Jak wiecie, wasza siostra miała ograniczoną zdolność prawną, ale podczas ostatniej choroby intuicja powiedziała jej, że jej czas zbliża się do końca. - Prawnik znów zwrócił spojrzenie na Rose, która siedziała na krześle blada i nieruchoma.

- Odbyliśmy kilka długich rozmów. Mamy szczególnie interesowała się pewną sprawą. - Zawahał się i wyciągnął spod sterty papierów kasetę wideo, do której przezroczystą taśmą przyklejona była niebieska koperta ozdobiona paste-



**CZTERY PORY ROKU**

lowymi kwiatami. Birdie przymrużyła oczy, zauważając, że pismo ha kopercie było duże i dziecinne; pismo Merry.

Rose podniosła się i jakby o wszystkim wiedziała, spokojnie wzięła kasetę z rąk pana Collinsa i poszła z nią do salonu, gdzie stał telewizor z podłączonym do niego magnetowidem.

- Może usiądziecie na kanapie? - zawołała, sygnalizując siostronom, by poszły za nią.

Birdie i Jilly podniosły się w milczeniu, nie wiedząc, czego się mogą spodziewać, i zajęły miejsca na dwóch fotelach. Rose dostrajała telewizor. Pan Collins stał pośrodku.

- O co tu chodzi? - zapytała w końcu Birdie.

- Proszę o cierpliwość - odrzekł krótko. - Za chwilę wszystko się wyjaśni.

- Gotowe - skinęła głową Rose i nacisnęła guzik odtwarzacza.

W pokoju zapadła cisza. Przez chwilę przewijała się pusta taśma, a potem nagle na ekranie ukazała się pełna życia twarz Merry. Trzy siostry jednocześnie wciągnęły oddech.

- O, mój Boże - szepnęła Birdie, podnosząc dłoń do ust.

Widok był bolesny. Uroda Merry zapierała dech w piersiach. Nie miała żadnych zewnętrznych oznak upośledzenia umysłowego. Delikatna budowa, wiotka talia, wspaniałe niebieskie oczy, które, kiedy się uśmiechała, rozjaśniały całą twarz - a do tego jeszcze dziwny, prawie nieziemski urok. Choć miała trzydzieści dwa lata, była w niej dziecięca niewinność i wdzięk.

Obraz przybliżył się i Birdie dostrzegła oznaki choroby w ciemnych smugach znużenia pod oczami Merry, bladości

## **Mary Alice Monroe 77**

skóry i niebieskawym odcieniu warg. Merry była podobna do Rose. Dwie młodsze siostry Season miały podobną drobną budowę ciała i długie, proste, złotorude włosy. Tyle tylko, że Merry była krucha i słaba, a Rose silna i zdrowa. Z ekranu dobiegł głos pana Collinsa.

- Cześć, Merry, jak się dzisiaj czujesz?

- Dobrze - odrzekła Merry dziwnie nieśmiało, zasłaniając twarz ramieniem. - Bardzo dobrze. Wujku, czy teraz robisz film?

- Tak.

- Taki jak ten z Jackiem i Ali?

- Taki sam - zapewniał niewidoczny na ekranie prawnik. Merry skinęła głową, wpatrując się w jakiś niewidoczny punkt.

- Co chcesz nam dzisiaj powiedzieć?

- Nic.

- Nic? - roześmiał się pan Collins. - Myślałem, że masz nam coś do powiedzenia.

Merry zmarszczyła czoło i potrząsnęła głową, onieśmielona i zmieszana.

- Chciałaś coś powiedzieć swoim siostram? Rose, Birdie

i...

- Jilly! - wykrzyknęła Merry, podnosząc się na krześle. - Czy Jilly to zobaczy?

- Na pewno. A teraz powiedz Jilly, Birdie i Rose to samo, co wcześniej powiedziałaś mnie.

Ale Merry tylko patrzyła w kamerę pustym wzrokiem.

Birdie pochyliła się do przodu, uważnie wpatrując się w ekran. W tej chwili oznaki uszkodzenia mózgu jej siostry były wyraźnie widoczne.

**CZTERY PORY ROKU**

- Kiedy pokażę ten film twoim siostram - ciągnął pan Collins ze wspaniałym spokojem - to co chcesz, żeby usłyszały?

- One będą mnie widzieć?

- Tak.

Merry podniosła do góry wskazujący palec i powiedziała z wielką powagą:

- Chcę, żebyście znalazły Spring. Macie jej poszukać, dobrze? I powiedzcie jej... - Przez chwilę zastanawiała się, a potem uśmiechnęła się prosto do kamery i dokończyła: - Powiedzcie jej, że ją kocham. Proszę.

- Kto to jest Spring? - zapytał pan Collins. Merry spochmurniała i potrząsnęła głową.

- Nie wolno mi o tym mówić.

- Kto tak powiedział?

- Rose.

- Rozumiem. Dobrze, czy chcesz powiedzieć coś jeszcze? Na twarzy Merry znów pojawiło się rozproszenie. Opuściła ramiona i przecząco potrząsnęła głową.

- Pokażesz ten film Rose i Birdie? I Jilly? My jesteśmy Cztery Pory Roku - powiedziała z wyraźną dumą, podnosząc do góry cztery palce. W tej chwili jednak zaczęła kaszleć, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, aż zabrakło jej tchu.

Kamera została odrzucona na bok, obraz przechylił się, a potem na ekranie telewizora ukazały się smukłe nogi Merry i nogi człowieka śpieszącego jej z pomocą. W de przez cały czas rozbrzmiewał suchy kaszel. Po chwili obraz zniknął.

Nikt się nie odezwał. W końcu Rose wstała i wyłączyła telewizor. Jilly nadal patrzyła w ciemny ekran. Birdie pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczki.

## Mary Alice Monroe 79

- Jeszcze list - powiedziała Rose po chwili.

„ - Ach, tak - ocknął się pan Collins i wziął do ręki kopertę. - Jest zaklejonny. Kto go otworzy?

- Ja - wyciągnęła rękę Rose. - Oczywiście wiedziałam, że Merry była u pana, i wiedziałam też, co dręczy, ale wcześniej nie widziałam tej taśmy. Merry potrafiła być bardzo tajemnicza, gdy jej na tym zależało - uśmiechnęła się smutno. - Dziękujemy panu. To było bardzo wzruszające. W naszej rodzinie nie kręci się filmów wideo i jest to jedyna taśma z Merry, jaką mamy. To było niezwykle uczucie, znów ją zobaczyć i usłyszeć jej głos.

- Wiem, co jest w tym liście - ciągnęła po chwili. - Sama go napisała. Bardzo się starała. Pisała go kilka razy, zanim poczuła się zadowolona z efektu.

- Przeczytaj - poprosiła Birdie.

Rose otworzyła kopertę i i wyciągnęła ze środka arkusik pastelowego papieru. Wygładziła go, spojrzała przełomie na Jilly i odchrząknęła.

- List nosi datę piątego marca 1998, roku.

- Miesiąc przed śmiercią - zauważyła Birdie.

- Tak. Nie jest długi. „Droga Jilly, Birdie i Rose. Pod moim łóżkiem jest kapsuła czasu. Dałyście mi ją. Proszę, oddajcie ją Spring. Proszę, oddajcie jej też wszystkie moje pieniądze. Ona powinna mieć ładny dom. Wasza siostra, Merry. P.S. Najpierw musicie ją znaleźć." To wszystko -zakończyła Rose, składając list.

Jilly roztarta skronie i pochyliła się do przodu.

- Przepraszam, ale chyba czegoś to nie rozumiem. Co to za imię? Merry często pytała mnie o Spring. Kto to taki?

- To chyba imię jej lalki? - przypomniała sobie Birdie.

**CZTERY PORY ROKU**

- Tej, którą miała od dzieciństwa. Wiecie której, tej z rudymi włosami? Wszędzie zabierała tę lalkę ze sobą.

- Tak - powiedziała Rose. - Ta lalka nazywa się Spring. Ale Merry nie chodziło o lalkę.

- Nie trzymaj nas w niepewności. Chodzi o jakąś przyjaciółkę, prawdziwą albo wymyśloną?

Rose spojrzała na pana Collinsa, szukając u niego pomocy. Skinął głową, dając znak, by mówiła dalej.

-Jilly - zaczęła Rose .poważnie i urwała.

Jilly siedziała cicha i nieruchoma, jakby pozując do fotografii.

Birdie spojrzała na śmiertelnie poważną twarz Rose, a potem na równie poważnego pana Collinsa.

- Chyba to nie może być nieistotnego - odezwała się w końcu Jilly lekkim tonem. - Trudno się przejmować lalkami i kapsułami czasu.

- Proszę, uwierz, że nie chcę cię w żaden sposób zranić ani naruszać twojej prywatności - powiedziała Rose. -Merry kochała cię, w pewien sposób kochała cię chyba najbardziej z nas wszystkich. Zawsze byłaś dla niej kimś egzotycznym, szczególnym. Ciągle o tobie mówiła i uwielbiała twoje filmy. Nie rozumiała włoskiego, ale oglądała je po dwa albo trzy razy w tygodniu, po to tylko, by na ciebie popatrzeć.

- To bardzo miłe, ale co to ma wspólnego ze Spring? Czy to ja jestem Spring? Czy Merry chciała, żebym wróciła do domu? O to chodzi?

- Niezupełnie - westchnęła Rose z desperacją. - To takie trudne...

- Rose... - zawahała się Birdie.

## Mary Alice Monroe 81

Rose skinęła głową.

- Powiem wszystko jak najprościej, a potem będziemy mogli o tym rozmawiać, dobrze? Na tym polega główny problem - dodała. - W naszej rodzinie nikt z nikim nie rozmawiał. Gdybyśmy... No cóż, mniejsza z tym.

Spojrzała Jilly prosto w oczy.

- Jest faktem, że chociaż nikt nigdy nie mówił o tym głośno i otwarcie, wszystkie wiedziałyśmy, Jilly, dokąd wyjechałaś w 1973 roku. Oczywiście, wtedy nie znałyśmy szczegółów. Mama wymyślała jakieś historyjki, żeby nam zamydlić oczy. Ale wiedziałyśmy, że wyjechałaś, by urodzić dziecko.

Jilly pobladła i podniosła rękę do gardła. Birdie przyłożyła palce do ust, zupełnie ogłuszona. Rose wzięła głęboki oddech i ciągnęła:

- Nawet Merry wiedziała. Nie wiem, w jaki sposób udało jej się to zrozumieć, ale zawsze miała talent, swoisty rodzaj intuicji, do odkrywania prawdy. Ten dom jest duży, ale nie aż tak duży, by nie było słycać szeptów w nocy, płaczu za zamkniętymi drzwiami albo twoich kłótni z mamą i tatą.

Jilly mocno zacisnęła ręce na poręczach fotela, wbijając paznokcie w miękką, zniszczoną tapicerkę.

- Co dokładnie wiecie? - zapytała zimno. Rose spojrzała jej w oczy ze współczuciem.

- Wtedy wiedziałyśmy niewiele. Ja miałam tylko jedenaście lat, a Merry sześć, więc nie znałyśmy oczywiście żadnych szczegółów. Birdie nie rozmawiała z nami na ten temat. Później tak, ale nie wtedy. No i po latach wiele rzeczy wyjaśniła mi mama.

**CZTERY PORY ROKU**

Urwała na chwilę, ale gdy Jilly nie odezwała się, podjęła;

- Widzisz, Merry nigdy naprawdę nie rozumiała, co się w rzeczywistości zdarzyło. Wiedziała tylko, że wyjechałaś, by urodzić dziecko. Zapamiętała to, chociaż wtedy nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Gdybyśmy wiedzieli, mama na pewno wszystko by jej jakoś wyjaśniła. Ale ty wróciłaś do domu bez dziecka i Merry nie rozumiała, co się stało. Bardzo ją to zaniepokoiło. Co wieczór płakała. Pamiętasz to?

Jilly nic nie powiedziała.

- Ja trochę pamiętam - odezwała się Birdie. - Bardzo dużo się wtedy działo, atmosfera w domu była napięta. Chyba wszyscy myśleli, że Merry właśnie dlatego płacze.

- Gdy mama w końcu zrozumiała, że Merry wie o dziecku - podjęła Rose - wpadła w popłoch. Zwołała zgromadzenie rodzinne i zabroniła nam o tym rozmawiać, nawet ze sobą nawzajem. Twierdziła, że to zupełnie zrujnowałoby nam reputację.

- Właśnie wtedy mama kupiła jej tę lalkę - dodała Birdie. - Chyba zrobiła to po to, żeby pocieszyć Merry i również użyć lalki jako usprawiedliwienia, gdyby Merry zaczęła mówić o dziecku.

- Ale Merry nigdy o nim nie wspominała - pokręciła głową Rose. - Nikomu oprócz mnie, a ja zawsze jej powtarzałam, żeby nie rozmawiała o tym z nikim obcym. Zresztą słyszałyście to na taśmie.

Dziecko urodziło się wiosną i dlatego nazwała lalkę Spring. Tato nadawał nam imiona od pór roku, w których się urodziłyśmy. Domyślam się, że Merry chciała w ten sam sposób nazwać swoją lalkę. Ale wiedziałam, i mama też wiedziała, że tak naprawdę chodziło

### **Mary Alice Monroe 83**

o twoje dziecko, Jilly. Lalka była tylko substytutem. To dziwne; ale chyba nadanie dziecku imienia pomogło nam wszystkim przejść przez tę sytuację. Chodzi mi o to, że dziecko stało się realne, nie była to już tylko kolejna z naszych zabaw. Ale podczas gdy nasze życie toczyło się dalej, Merry przez cały czas wierzyła, że Spring jest gdzieś razem z tobą, Jilly. A gdy wróciłaś do domu bez dziecka, poczuła się bardzo zaniepokojona. Myślała, że zgubiłaś gdzieś Spring i że ona nas potrzebuje.

Twarz Jilly była kredowobiała. Patrzyła na Rose takim wzrokiem, jakby nie docierało do niej ani jedno słowo.

- Ale ja nie rozumiem - zmarszczyła czoło Birdie. - Co to ma wspólnego z listem i kasetą wideo? Czy Merry chciała, byśmy znaleźli prawdziwą Spring? To dziecko, które Jilly oddała do adopcji?

- Tak - odrzekła Rose.

- Ale... ale dlaczego?

- Chciała, żebyśmy dali Spring kapsułę czasu. I pieniądze.

Jilly schowała twarz w dłoniach. Birdie ochłonęła pierwsza.

- Ale to śmieszne! Mamy oddać ponad pół miliona dolarów zupełnie obcej osobie? To nasz spadek i mamy go podzielić na trzy! Przepraszam cię, Jilly, ale ja także mam dziecko. Czy moja córka się nie liczy?

- Merry nie chodziło o pieniądze ze sprzedaży domu, tylko o to, co zostało z jej funduszu powierniczego. Nie znała się na pieniądzach, ale wiedziała, że w banku jakieś ma. A poza tym interesowało ją głównie odnalezienie Spring

- wyjaśniła Rose.



**CZTERY PORY ROKU**

Birdie zwróciła się do prawnika.

- Z prawnego punktu widzenia Merry nie mogła podejmować samodzielnych decyzji, prawda? Ten Ust nie może być uznany za testament albo kodycył ?

- Nie można tego wykluczyć, ale ja bym się tym nie martwił - rzekł pan Collins uspokajająco. - Jak już mówiłem na początku, z punktu widzenia prawa Merry nie była samodzielna. Gdyby jednak któraś z was uważała inaczej - spojrzal na Rose - to musiałyby przedstawić ten list w sądzie. Wątpię jednak, by sąd go uznał. Przedstawiłem wam prośbę Meny, bo ona bardzo tego chciała i prosiła mnie, bym to zrobił.

- Rose, nie rozumiem, dlaczego nie wybiłaś jej tego z głowy - obruszyła się Birdie.

- Nie zachęcałam jej do tego, ale też nie zniechęcałam. Może ci się to podobać albo nie, ale Merry życzyła sobie, byśmy odnalazły Spring.

- Ale ja sobie tego nie życzę - powiedziała Jilly chłodno, przypominając o swoim istnieniu. Wszystkie oczy skierowały się na nią.

- Mam już dość tej rozmowy o szukaniu Spring, jakby chodziło o dziecko Merry - mówiła równym, odmierzonym tonem. - Nie zapominajmy, że chodziło tylko o lalkę. A co do... dziecka - wykrztusiła z trudem - to moja, i tylko moja decyzja. A ja tego nie chcę. Słyszycie mnie? Nie zrobię tego. I nie zgadzam się, żeby ktoś inny jej szukał. Nie masz do tego prawa - zwróciła się do Rose. - A Merry nie miała

**Dodatek do testamentu sporządzony później niż sam testament (przyp.tłum.).**

## **Mary Alice Monroe 85**

prawa wyciągać tej historii. To moja sprawa. Żadna z was nie ma pojęcia, przez co wtedy przesłam. Nie zamierzam znów tego odgrzebywać tylko po to, by zaspokoić waszą ciekawość albo spełnić bzdurny kaprys mojej siostry. Ta część mojego życia jest zamknięta. Żadna Spring nie istnieje. Z płonącymi oczami w bladej twarzy siedziała w królewskiej pozie, patrząc na siostry wyzywająco. Rose przyłożyła dłonie do drżących ust. Birdie splotła ramiona na piersiach.

Pan Collins założył ręce za plecami i powiedział ze zdumiewającym spokojem:

- Doskonale cię rozumiemy.

Ramiona Jiliy opadły. Naraz wydała się o wiele starsza i niewypowiedzianie zmęczona. Powoli podniosła się i wyszła z pokoju. W chwilę później dobiegł ich odgłos zamykanych drzwi sypialni.

- A więc... - odezwała się Birdie, rozpinając żakiet.

- Obawiałam się, że tak będzie - szepnęła Rose.

- A czego się spodziewałaś? Potrafisz sobie wyobrazić, przez co ona musiała przejść? Decyzja o poszukiwaniu dziecka oddanego do adopcji to jedna z najbardziej bolesnych i osobistych decyzji, jaką sobie w ogóle można wyobrazić. Merry i jej lalka to jedna sprawa, a uznanie jej prośby za ostatnią wolę to zupełnie co innego.

- Ale przecież to była jej ostatnia wola - wybuchnęła Rose. - Wiedziałam, że was to rozzłości, ale jakie miałam prawo odwodzić Merry od tego pomysłu? Birdie, ty zawsze patrzyłaś na nią jak na popsuty mechanizm, który po prostu potrzebował naprawy. Jak na pół człowieka. Kolejny obo-

## 86 CZTERY PORY ROKU

wiązek. A Jilly... nie wiem. Kocham ją, ale od dwudziestu lat widziałam ją tylko kilka razy. Nigdy nie próbowała naprawdę poznać Meny. A Merry miała piękną i niespotykaną osobowość. Była najdroższą mojemu sercu przyjaciółką. A skoro moja siostra i przyjaciółka prosiła mnie, bym prze- . kazała wam jej ostatnią wolę, nie mogłam tego nie zrobić.

- A nie pomyślałaś o konsekwencjach? - prychnęła Birdie.

- Pomyślałam. Spędziłam w tym domu całe życie. Rzuciłam szkołę, żeby móc tu pozostać i opiekować się Merry. I ty, i wszystkie moje koleżanki powychodziłyście za mąż, macie dzieci i własne życie, a ja tylko patrzyłam, jak mijają lata. Nie mów mi o konsekwencjach, bardzo cię proszę. - Urwała na chwilę i opanowała zdenerwowanie. - Nie zapominaj, że opiekowałam się też mamą, a ona, kiedy piła, lubiła mówić. Znam wszystkie brudne sekrety tej rodziny

i zupełnie szczerze myślę, że czas już oczyścić atmosferę. Musimy to zrobić, bo inaczej wszystko będzie nadal jątrzyć się i gnić. Nasi rodzice nie żyją. Merry nie żyje. Nie pozostało już nic, co zmuszałoby nas do utrzymywania kontaktów. Czas, byśmy wreszcie porozmawiały. Birdie otarła oczy.

- Nie jestem pewna, czy wyjdzie nam to na dobre. Pan Collins postąpił naprzód i stanął między nimi.

- Na mnie już czas. Decyzje należą do was. Moja rola jako wykonawcy testamentu jest jasna. Cały spadek zostanie podzielony na trzy równe części, jak to zostało określone przez waszego ojca. Jeśli podejmiecie inną decyzję, wówczas trzeba będzie sporządzić odpowiednie dokumenty. Ale oczywiście nie musicie podejmować jej dzisiaj. Proponuję,

## **Mary Alice Monroe 87**

żebyście się nad tym zastanowiły. Do widzenia. Proszę, pożegnajcie ode mnie Jilly i powiedzcie jej, że bardzo jej współczuję.

- Przekażemy jej pana słowa - obiecała Birdie, podając mu rękę. - Odprowadzę pana do drzwi.

Rose podała mu aktówkę, a potem taśmę wideo, ale potrząsnął głową.

- Nie, zatrzymajcie ją sobie. Na pewno zechcecie jeszcze raz ją obejrzeć. - Obrzucił salon nostalgicznym wzrokiem i dodał jeszcze: - Podjąłem trudną decyzję, zgadzając się na prośbę Merry.

Nie muszę dodawać, że to była prośba niezwykła. Jestem pewien, że jeśli jeszcze raz obejrzycie tę taśmę, przekonacie się co do intencji Merry; zrobiła to z miłości do was. Ach, zapomniałem o czymś.

Pochylił się, otworzył teczkę i wyjął z niej pudełko po dziecięcych butach pomalowane w jaskrawe kolory i owinięte taśmą klejącą. Birdie natychmiast rozpoznała pudełko i wyciągnęła rękę.

- Kapsuła czasu - powiedziała ze wzruszeniem.

- Tak - potwierdził pan Collins poważnie. - Jako współwykonawca testamentu przekazuję ją w wasze ręce. Życzeniem mojej klientki było, by to pudełko zostało doręczone Spring, o ile ją odnajdziecie.

Sądzę, że znacie jego zawartość.

Birdie potrząsnęła głową.

- Nie, a w każdym razie nie całą. Widzi pan, Merry otrzymała to pudełko od nas w prezencie, kiedy wróciła po wypadku ze szpitala. - Ogarnęła ją fala wspomnień. - Mój Boże, nie mogę uwierzyć, że to pudełko nadal istnieje. Minęło już tyle czasu, że zupełnie o nim zapomniałam.

Rose podeszła bliżej i objęła siostrę.

**CZTERY PORY ROKU**

- Każda z nas osobno dała coś od siebie, a mama spakowała wszystko razem. To była cała ceremonia.

A potem mama okleiła pudełko taśmą.

- Nigdy go nie otwierałaś? - zapytała Birdie z niedowierzaniem.

- Oczywiście, że nie! Przecież nie należało do mnie, tylko do Merry.

Birdie nie była pewna, czy ona sama okazałaby się równie szlachetna. Przypuszczała jednak, że przez tyle lat ciekawość wzięłaby górę.

- To pudełko to fragment naszego dzieciństwa - stwierdziła z zadumą w głosie. - A teraz należy do Spring.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po wyjściu pana Collinsa Dennis, bez marynarki i z plikiem papierów w ręku, zajrzał do jadalni i zapytał bez większego zainteresowania:

- Już po wszystkim?

- Gdzie byłeś? - odparła Birdie ostro.

Dennis zatrzymał się ze zdziwieniem i popatrzył na nią chłodno.

- A jak myślisz? Byłem na górze i sprawdzałem prace semestralne. Mówiłem ci sto razy, że mam dużo pracy.

- Idę na spacer - rzuciła szybko Rose, wyciągając płaszcz z szafy.

- Ty zawsze masz dużo pracy - prychnęła Birdie ze złością.

- O co ci chodzi? - zapytał Dennis defensywnie. - Powiedziałaś to tak, jakbym zajmował się piciem piwa i oglądaniem meczu. A ja pracowałem. Co twoim zdaniem powinienem robić?

- Na przykład być tu ze mną podczas odczytywania testamentu. - Birdie wiedziała, że przez jej słowa przebija gorycz, ale nie potrafiła nic na to poradzić. Obróciła się na pięcie, zebrała puste naczynia ze stolików i poszła do kuchni.

Dennis wsunął rękę do kieszeni spodni i poszedł za nią.

**CZTERY PORY ROKU**

- To była sprawa rodzinna - powiedział, zamykając za sobą drzwi kuchni. - Między wami trzema. Birdie zacisnęła usta i zawiązała fartuch.

- Ty też należysz do rodziny.

- Skoro chciałaś, żebym tam był, to trzeba było powiedzieć - wzruszył ramionami, zbierając z blatu puste butelki.

- Dlaczego zawsze muszę cię o wszystko prosić? Dlaczego nigdy sam nie zauważasz, kiedy mi jesteś potrzebny? Z lunchu też wymknąłeś się najszybciej, jak mogłeś.

- Wiesz, że nie znoszę takich imprez.

- A myślisz, że oprócz ciebie wszyscy inni kochają pogrzeby? - odparowała Birdie, zakręcając kran. Dennis wrzucał butelki i puszki do plastikowej torby. Zapanowała cisza, w której słychać było tylko brzęk szkła.

- Pan Collins i Rose przygotowali prawdziwą bombę - powiedziała w końcu Birdie spokojniejszym głosem. - I czułabym się lepiej, gdybym wtedy miała jakieś oparcie.

Dennis skinął głową i zapytał, również ciszej:

- A co takiego wymyślili?

Birdie spojrzała mu prosto w twarz.

- Nie uwierzysz. Merry zostawiła nam list i taśmę wideo.

- Wideo? To chyba musiało być dość makabryczne.

- Było. W tym nagraniu... przekazała nam swoją ostatnią prośbę. Chce, żebyśmy odnalazły, tylko się nie przewróć z wrażenia, dziecko Jilly.

Dennis znieruchomiał i jego twarz zastygła w szoku.

- Nabierasz mnie?

- Nie - pokręciła głową Birdie, z satysfakcją obserwując jego reakcję.

## Mary Alice Monroe 91

Głęboko zamyślony, podszedł do lodówki i wyciągnął piwo.

- A co powiedziała na to Jilly?

- Była wstrząśnięta. W pierwszej chwili w ogóle się nie odezwała, tylko siedziała zupełnie ogłuszona.

- Nie dziwię się jej.

- A potem Rose zaczęła opowiadać o tym, że Merry od początku wiedziała o dziecku i zastanawiała się, gdzie ono jest. Nie miałam o tym pojęcia. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że przejęła się tym dzieckiem do tego stopnia, by poświęcić mu swoją ostatnią wolę. Jilly aż do dzisiaj również nie wiedziała, że my wiemy.

- Boże, to prawdziwy dramat - powiedział Dennis odległym głosem, odwracając twarz. - Jilly na pewno uważała tę część swojego życia za zamkniętą.

- Na pewno. My zresztą też tak myślałyśmy. Ale w głębi serca czuję, że Rose ma rację. Ta sprawa nigdy nie została zamknięta, bo nigdy nie rozmawialiśmy o tym otwarciu. No więc Jilly tylko siedziała i słuchała, a kiedy w końcu się odezwała, była wściekła. Ale nie krzyczała, była opanowana, a może tylko przestraszona. W każdym razie ona nie chce, żebyśmy szukały dziecka, które oddała do adopcji. - Birdie urwała i przyłożyła rękę do policzka. - Słyszałeś, co ja przed chwilą powiedziałam? Głośno? Dziecko, które Jilly oddała do adopcji. Czy masz pojęcie, przez ile lat wymawialiśmy te słowa tylko szeptem, za zamkniętymi drzwiami?

Dennis pochylił głowę i przymknął oczy.

- Nie powinna go szukać. Ma swoje życie. To dziecko też; nie powinna tego burzyć.



**CZTERY PORY ROKU**

- Wydaje mi się, że teraz to już nie jest tak wielki problem. Och, ale to jeszcze nie wszystko! Merry chciała, żebyśmy oddały tej Spring jej pieniądze.
- Wszystko, cały spadek?
- Nie, Rose uważa, że chodziło o dwadzieścia tysięcy, które zostały z funduszu powierniczego. My tym też była zirytowana Nie rozumiem, dlaczego. Śpi na pieniądzach, więc o co jej chodzi? Na zdrowy rozum to Rose powinno najbardziej zależeć na pieniądzach, bo nie ma złamanego grosza, tymczasem to właśnie ona chce je oddać. Nie ma sensu być chciwym. I tak zostanie nam sporo, gdy sprzedamy dom.
- Jak myślisz, ile można za niego dostać? - zapytał Dennis znad butelki z piwem.
- Nie wiem. Pięćset tysięcy, może więcej.
- Moglibyśmy wreszcie wybrać się w tę podróż, o której zawsze marzyliśmy - powiedział, opierając się o szafkę. - Do Włoch. Tylko ty i ja. Bez żadnych obowiązków, telefonów ani porządku dnia. Jedyne decyzje, jakie musielibyśmy podejmować, to co zjeść na obiad. - Przysunął się do żony i zaplótł ramiona wokół jej talii. - Nigdy nie pojechaliśmy w poślubną podróż. Potrzebujemy czasu tylko dla siebie, Birdie.
- Wiem - skinęła głową i oparła się o jego pierś. Dennis odpowiedział jej uściskiem i Birdie pomyślała, że jej mąż ma rację. W takich chwilach często wracała myślami do czasów, gdy byli ze sobą naprawdę blisko, gdy często się dotykali i każdy dotyk wyzwalał między nimi płomień. Myśleli o sobie przez cały dzień i tęsknili podczas każdej spędzanej osobno chwili. Teraz wydawało jej się, że było to już bardzo, bardzo dawno. Przez lata obiecywali sobie, że wybiorą się w podróż. To marzenie jak koło ra-

### **Mary Alice Monroe 93**

tunkowe pomogło im przetrwać trudne lata lekarskiego stażu Birdie i wczesnego dzieciństwa Hannah. Potem Birdie rozpoczęła samodzielną praktykę, a Dennis otrzymał posadę na Uniwersytecie Wisconsin. Lata mijały, a marzenie wciąż pozostawało niezrealizowane. Natomiast w miarę upływu czasu coś się między nimi popsło, choć trudno było dokładnie określić, co. Mieszkali w jednym domu bardziej jak współ-lokatorzy niż jak mąż i żona. Birdie zdawała sobie sprawę, że Dennis zbyt często musi znosić jej wybuchy irytacji, ale nic nie mogła poradzić na to, że wytrącał ją z równowagi bardziej niż ktokolwiek inny. Czasami miała wręcz wrażenie, że denerwując ją, jej mąż umyślnie stara się zwrócić

na siebie jej uwagę.

A może po prostu po dwudziestu latach zbyt dobrze już znali swoje nawyki i wady. Dennis również potrafił ją ranić i doprowadzać do furii. Nigdy jednak nie zważyła w to, że go kocha. Był jej mężem, ojcem ich jedyne dziecko, przyjacielem.

Potał nosem o jej ucho, Birdie jednak poczuła, że nie chce, by jej dotykał.

- Obydwoje jesteście zmęczeni - powiedziała i odsunęła się, udając, że nie zauważa rozczarowania na jego twarzy. -Może zrobię coś do zjedzenia i pooglądamy telewizję?

- Dlaczego zawsze to robisz?

- Co?

- Odsuwasz się ode mnie, gdy jesteśmy blisko. Zaśmiała się nerwowo.

- Nie robię tego!

- Ależ tak - stwierdził Dennis poważnie.

Twarz Birdie pociemniała.

## **CZTERY PORY ROKU**

- Nie robię tego, by cię zranić. Chcę być blisko ciebie, tylko że... Ostatnio nie mam ochoty na seks, a wiem, że ty masz. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Może to hormony.

- Być może - odrzekł, biorąc do ręki torbę z pustymi butelkami. - Ale to trwa już od dawna, Birdie. Zbyt długo.

Odwrócił się i wyszedł przez tylne drzwi. Birdie odprowadziła go wzrokiem i nagle poczuła się bardzo, ale to bardzo samotna. \

Śnieg na chodnikach topniał w ciepłym blasku słońca. Rose szła znajomą od dzieciństwa ulicą. Znała tu każdy dom i każde podwórze. Rozpoznawała, który z sąsiadów przyciął żywopłot albo że ktoś dobudował werandę. Domy w większości były zadbane. Przez okna można było podpatrzeć typowe sceny z życia amerykańskich rodzin.

Zatrzymała się przed własnym domem, postawiła kołnierz i ciasno założyła ręce na piersiach. Próbowała spojrzeć na dom obojętnie, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Lista braków, sporządzona przez panią Kasparov, była niestety aż nadto prawdziwa. Ich dom był najbrzydszy i najbardziej zrujnowany na całej ulicy. Mroczny i melancholijny, ustawiony w kącie wielkiej podwójnej działki, zasłonięty przez wysokie sosny i gąszcz dawno nieprzycinaanych krzewów. Światło z wewnątrz przenikające przez żaluzje w miejscach, gdzie brakowało listewek, jeszcze wzmagało przygnębiające wrażenie.

Pamiętała dni, kiedy te posępne okna emanowały szczęściem, a w mrocznych pokojach rozlegał się śmiech całej rodziny. Merry była ostatnim światelkiem tego domu, a teraz i ono zgasło. Stara wiktoriańska willa wyglądała na to, czym była - a była domem pełnym tajemnic.

## **Mary Alice Monroe 95**

Rose westchnęła, wspięła się po schodkach i niezauważona przez nikogo, wśliznęła się do wnętrza. W godzinę później we wszystkich pokojach panowała już całkowita cisza, przerywana tylko dźwiękiem wietrznych dzwoneczków za oknem. Rose siedziała w swoim pokoju . przed komputerem. Otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła z niej grubą kopertę opatrzoną inicjałami D.B. Danny Boy. W kopercie były kopie jego listów. Nie była to korespondencja miłosna - nie łączyła ich tego rodzaju relacja. Rose traktowała je jak listy od najlepszego przyjaciela. Położyła ręce na klawiaturze, wzięła głęboki oddech i napisała:

Drogi Danny,

Boję się i jestem w rozpacz. Czuję się zupełnie bezwartościowa. Wcześniej byłam przynajmniej odpowiedzialna za moją siostrę Merry, ale teraz jej już nie ma. Moje starsze siostry mają Własne życie, w którym nie ma dla mnie miejsca. Wkrótce one także wyjadą. Nawet ten dom, który zawsze był moją przystanią, wydaje się wrogi i odpychający. Ale to nie ma znaczenia, bo ja też muszę stąd odejść.

Siedzę tu w ciemności, słuchając wiatru za oknem i czekając na świt. Przypomina mi się „ukośny promień światła” Emily Dickinson i zastanawiam się, czy po śmierci nic nie ma?

Rosebud

Odpowiedź przyszła prawie od razu.

Droga Rosebud, Żadnej rozpacz. Zapal światło!

## 96 CZTERY PORY ROKU

Przysięgałem sobie, że tego nie zrobię. Rozmawiamy ze sobą już długo, chociaż dopiero od kilku tygodni są to listy prywatne. Myślę o nas jak o parze przyjaciół. Mam nadzieję, że Ty też. Może więc nie uznasz mnie za jednego z tych internetowych podrywaczy, gdy Ci napiszę to, co chcę Ci napisać. Przez cały dzień siedzę za kierownicą i przemierzam jedno miasto za drugim, milę za milą. Muszę Ci powiedzieć, że często czuję się samotny. Każdy dzień jest podobny do poprzedniego. Na drogach zawsze panuje tłok, a niektórzy kierowcy to wariaci. Zupełnie inaczej niż kiedyś, gdy widziałem przed sobą prostą, pustą drogę.

Od jakiegoś czasu jednak wiem, że gdy skończę pracę i zaparkuję, to będzie na mnie czekał list od Ciebie. Nie wiem, co rozumiesz przez „ukośny promień światła”, ale muszę Ci powiedzieć, że Twoje listy są najjaśniejszym punktem mojego dnia. Za oknem mojej kabiny nie ma dzwoneczków, ale Twoje słowa są dla mnie muzyką.

Myślisz, że jesteś nikim? Jesteś kimś wyjątkowym! Jestem szczęśliwy, że Cię poznałem. Ale nie martw się, mówiłem już, że nie jestem żadnym świrem i nie chcę, by to brzmiało zbyt osobiście.

Danny

Rose przyłożyła ręce do płonących policzków i roześmiała się na głos. Odpowiedziała krótko, z obawy, by się nie rozkleić i nie wpaść w zbyt intymny ton. Czuła jednak, że Danny czeka na list, i napisała, by go uspokoić.

Dobranoc, Danny. Teraz będę spała dobrze. Twoja przyjaciółka, Rosebud

## Mary Alice Monroe

97

Po drugiej stronie holu Jilly leżała w podwójnym łóżku, gapiąc się w sufit. A więc wiedziały przez cały czas, myślała z przygnębieniem. Nawet Meny. Przez całe lata szeptem rozmawiały o jej sekrecie. „Wiesz co? Jilly urodziła dziecko!” Matka wszystko im wyjaśniła. „Wiedziecie, że Jilly zawsze była nieposłuszna. Chyba nie chcecie skończyć tak jak ona.” - Czy wiedziały, że przez te wszystkie lata głównie ona sama zabraniała sobie o tym myśleć?

Zakonnice w Marian House przekonywały ją, aby uznała po prostu, że to wszystko nigdy się nie zdarzyło - „to”, czyli skandaliczne i grzeszne poczęcie, ciąża oraz urodzenie dziecka poza sakramentem małżeństwa. Będzie mogła wówczas dostąpić zbawienia. Opuściła ciężką zasłonę na ten epizod swego życia, okryła go czarną mgłą niepamięci, tak nieprzeniknioną, że z biegiem lat jej samej prawie udało się uwierzyć w jego nieistnienie.

Czasami w ciągu tych lat jakiś drobny impuls przywracał jej pamięć: widok niemowlęcia w wózku, zapach jedzenia w barze samoobsługowym, dźwięk deszczu dzwoniącego o szybę wczesnym rankiem. Odsuwała wówczas od siebie wspomnienia szybkim potrząśnięciem głowy i nakazywała sobie myśleć o czymś innym. Zamknęła pamięć o dziecku w najgłębszym zakamarku serca i wyrzuciła klucz.

Ale Merry zdołała tam dotrzeć. Jakże myliła się siostra Benedict! Całe lata milczenia zostały wymazane przez te proste słowa jej najmłodszej siostry: Odnajdźcie Spring.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

*5 stycznia 1973*

Jilly miała siedemnaście lat i była w ciąży. Siedziała na miejscu pasażera w czarnym cadillacu, z jedną ręką na delikatnie zaokrąglonym brzuchu, i apatycznie patrzyła na monotony krajobraz rozciągający się wzdłuż autostrady 95, która prowadziła na północ stanu Wisconsin. Ranek był jasny i słoneczny, jakby kpiąc sobie z mrocznej atmosfery panującej w samochodzie.

- Czy chcesz, żebym się zatrzymał? - spytał ojciec, nie odwracając oczu od drogi. Przez ostatnie cztery godziny milczał, kilka razy zapytał tylko, czy jest głodna albo czy chce pójść do toalety. Nigdy nie był szczególnie rozmowny i rzadko rozmawiał z córkami o takich rzeczach, jak stopnie w szkole, chłopcy czy plany dotyczące college'u. Ale dzisiejsze milczenie było formą kary.

- Nie - odpowiedziała, powstrzymując płacz. - Dziękuję, nic mi nie trzeba.

Pomimo długiej jazdy, ojciec jak zwykle wyglądał nieskazitelnie schludnie w ciemnym garniturze i wyprasowanej białej koszuli. Jilly, w workowatej sukience i starym płaszczu matki, czuła się przy nim jak obdarciuch. Niebieska wełna nie była wystarczająco ciepła na styczniową pogodę,

## Mary Alice Monroe 99

ale był to jedyny rozszerzany w talii płaszcz w domu: Nie ma znaczenia, czy jest ciepły, czy nie, powiedziała sobie Jilly. I tak w ciągu następnych kilku miesięcy nie zamierza często wychodzić na zewnątrz.

Westchnęła i znów spojrzała za okno, przeliczając mile, które dzieliły ją od domu i beztrudnego życia licealistki z Illinois. Wiedziała, że przekroczyła już granicę między byciem dzieckiem a staniem się kobietą. Dokonało się to pewnego listopadowego wieczoru, gdy weszła do sypialni rodziców, zamknęła za sobą drzwi i cicho oznajmiła, że jest w ciąży.

Matka, rzecz jasna, zareagowała histerią i płaczem. - Och, mój Boże! W ciąży? Och, mój Boże, ty chyba jesteś pijana! Upiłaś się, tak? - krzyczała, podnosząc się na łożku, z którego oglądała telewizję. Ciężkie powieki, niewyraźne, zatarte słowa i pusta szklanka przy łożku świadczyły, że sama przed chwilą piła.

- Mamo, nic nie piłam.

- Jak mogłaś nam to zrobić?! Wiedziałam, że jesteś nieodpowiedzialna, zawsze taka byłaś. Ale nie miałam pojęcia, że jesteś również niemoralna! To, co zrobiłaś, to śmiertelny grzech! Śmiertelny grzech! I skandal! Twój ojciec jest w tym mieście sędzią. Pomyślałaś o nim? Czy w ogóle pomyślałaś o kimkolwiek oprócz siebie?

A więc matka płakała nad sobą, nie nad Jilly.

- Och, Bill, nie zniosę tego! Dwie córki stracone... Twoje siostry też będą miały teraz zszarganą opinię! I ja! - krzyczała.

Ojciec zacisnął wargi i nie powiedział ani słowa, tylko ze zmarszczonym czołem powoli odłożył czytany właśnie magazyn na podłogę.



## 100 CZTERY PORY ROKU

Jilly wbiła wzrok w ziemię, zakłopotana i zawstydzona. Wszyscy wiedzieli, że porządne dziewczyny nie robią takich rzeczy. Nie zachodzą w ciążę. Stojąc u stóp łóżka, spojrzała rodzicom w oczy i serce w niej zamarło, gdy zobaczyła wypisany w nich werdykt: Mian Season nie jest porządną dziewczyną. Po pierwszym wybuchu matka szybko wytrzeźwiała i wyszła do łazienki. Jilly zerknęła na ojca. Jego twarz miała dziwny wyraz, jakby jeszcze nie dotarło do niego to, co usłyszał. Ileż to razy kłócili się o jej godzinę powrotu do domu? Ojciec zawsze jej wówczas powtarzał, że to nie do niej nie ma zaufania, ale do chłopców, z którymi się spotyka.

- Kiedy to dziecko ma się urodzić? - zapytała matka, wychodząc z łazienki. Miała umytą twarz, wyszczotkowane włosy i wydawała się już zupełnie spokojna. W Jilly wstąpiła nadzieja, że będzie to prawdziwa rozmowa, a nie tylko kiepski dramat.

- Na początku maja.

- Byłaś u lekarza? Czy jesteś pewna tej ciąży?

- Byłam w ośrodku planowania rodziny.

- Boże drogi! - wykrzyknęła matka. - Dlaczego właśnie tam?

Z jej punktu widzenia ośrodek planowania rodziny mieszczący się w biednej, zamieszkannej przez tak zwany element, części miasta był bastionem fanatycznych wrogów Kościoła, oferującym możliwość aborcji i kontroli urodzeń młodemu, niemoralnemu pokoleniu, które głosiło hasła wolnej miłości. I oto okazało się teraz, że jej córka również należy do tego pokolenia.

## **Mary Alice Monroe 101**

- Bill... - westchnęła, dramatycznym gestem biorąc męża za rękę.
- Wyślemy ją do doktora Applebee - odrzekł rozsądnie
- i wtedy będziemy wiedzieli, jak jest naprawdę.
- Jestem w ciąży. W trzecim miesiącu. Zrobiłam badanie krwi. Nie ma tu żadnej pomyłki - odrzekła Jilly spokojnie.

Stanowczość w jej głosie oraz to, że sama znalazła drogę do ośrodka i zrobiła badania, zaskoczyła oboje rodziców. Jilly zauważyła, że od tej chwili zaczęli ją traktować inaczej, bardziej poważnie, prawie jak dorosłą osobę.

- Kim jest ojciec dziecka? - zapytał Bill Season. Jilly odwróciła twarz.
  - Nie powiem.
- Nie naciskaj na nią - wtrąciła się matka. - Na pewno jeszcze nie oswoiła się ze swoim stanem. Ja też nie mogłam uwierzyć, gdy byłam z tobą w ciąży - zwróciła się do córki.
- Oczywiście, byłam już mężatką - dodała szybko. - Ale zupełnie mnie to ogłuszyło. Musiałam zrezygnować z kariery tancerki...

Jilly wiedziała, że skoro matka wspomina swą karierę, oznacza to, że najgorsze już minęło. Matka uważała lata spędzone w Chicago Ballet Company za najważniejsze w swym życiu i nie przepuściła żadnej okazji, by przypominać wszystkim, że poświęciła się dla rodziny.

Gdy przerażenie i szok minęły, do rodziców zaczęło docierać, że zostaną dziadkami. Ich głosy złagodniały, a wizje nabrały jaśniejszych barw. Byli przekonani, że Jilly jest zakochana i stara się chronić wybranka swojego serca przed ich gniewem. Zaczęli ją pocieszać, snuć plany wyjścia z sytuacji, zapewniać o swojej pomocy. Wspomnieli również

**CZTERY PORY ROKU**

o usunięciu ciąży, ale że byli katolikami, tak naprawdę to wyjście nie wchodziło w grę. Ich dobroć była nie do zniesienia. Jilly czułaby się lepiej, gdyby obrzucili ją najgorszymi wyzwiskami, bo wtedy przynajmniej mogłaby zupełnie się od nich odciąć emocjonalnie. Tymczasem paraliżowało ją poczucie winy.

- Usiądź - powiedziała matka, wskazując na brzeg łóżka. - Nie mogę patrzeć, kiedy tak stoisz i się kołyszysz w przód i w tył. W twoim stanie nie powinnaś się męczyć. O, tak lepiej. A teraz, kochana Jilly, oczywiście będziesz musiała wyjść za tego chłopca.

- Wyjść za niego?! Mamo, ja jestem...

- Jesteś jeszcze młoda, wiem. Ale nie aż tak. Wiele dziewcząt wychodzi za mąż zaraz po szkole. Możecie zamieszkać tutaj, z nami.

Jilly widziała, jak umysł matki wchodzi na wysokie obroty. Ann Season nigdy nie ukrywała, że przede wszystkim pragnie wydać swoje córki za mąż i doczekać się wnuków. Jej zdaniem posyłanie córek na studia nie miało większego sensu, szczególnie gdy chodziło o tak piękną dziewczynę jak Jilly.

- Ale ja nie...

- Można by wyremontować drugie piętro i urządzić tam odpowiednie mieszkanie.

- Ale to...

- Och, to żaden kłopot. Od dawna chciałam coś z tym piętrem zrobić. Kiedy byłyście małe, służyło wam do zabawy, ale teraz... - Oczy matki rozjaśniły się. - Kiedy pomyślę, że w tym domu znów będą małe dzieci...

- Mamo, przecież jeszcze nie powiedziałam, że wezmę ślub.

### **Mary Alice Monroe 103**

- A co innego możesz zrobić? Dziewczyna w takiej sytuacji nie ma innego wyjścia! O ile oczywiście ten chłopak ma odrobinę przyzwoitości. Mam rację, Bill?

Ojciec przez chwilę siedział nieruchomo, zastanawiając się nad czymś. Było już późno i powieki zaczynały mu opadać. Jilly pomyślała, że jest bardzo zmęczony i bardzo stary. Późno się ożenił, późno został ojcem, nigdy nie interesował go nawet sport, a co dopiero wygłupy z dziećmi. Darzył je spokojną miłością, stabilną i pełną troski. Wszystkie jego córki czuły się kochane, ale wiedziały, że jedyną prawdziwą namiętnością w jego życiu była żona. Traktował małżeństwo w nieco staroświecki i bardzo poważny sposób.

- Chcesz za niego wyjść? - zapytał trzeźwo. Jilly potrząsnęła głową.

- Nie, tato.

Matka prychnęła z frustracją, rozsiadając się wygodniej na poduszkach.

- Kim jest ojciec dziecka? - zapytał znów Bill Season spokojnie, ale tym razem bardziej stanowczo.

- Nie mogę wam powiedzieć - powtórzyła Jilly ze znużeniem.

- Oczywiście, że możesz. Jak ma na imię?

- Czy to ten chłopak Connorów? - zapytała matka. - Spotykałaś się z nim przez jakiś czas.

- Nie.

- W takim razie kto?

Jilly popatrzyła na swoje ręce.

- Nie powiem.

- Powiedz - nalegał ojciec.

- Nie - odparła Jilly równie zdecydowanym tonem.

## 104 CZTERY PORY ROKU

Zapadło milczenie. Bill Season patrzył na swoją najstarszą córkę spod przymrużonych powiek takim wzrokiem, jak- , by była ona stojącym pośrodku sali sądowej świadkiem, i nieśpiesznie ważył myśli.

- Jillian, jesteś moją najstarszą, pierworodną córką - odezwał się w końcu swoim zwodniczo łagodnym, profesjonalnym tonem, który Jilly znała tak dobrze. - Nigdy nie zapomnę dumy ; i radości, jakie poczułem, gdy pierwszy raz trzymałem cię na rękach. Mam na uwadze tylko twoje dobro. Jestem twoim ojcem i mam obowiązek chronić ciebie i mojego wnuka. I pamiętaj, że jestem twoim ojcem przede wszystkim, a dopiero potem sędzią. Więc powiedz mi, kim jest ojciec tego dziecka?

Jilly musiała zebrać całą swoją determinację, by się nie poddać i nie wyznać mu prawdy.

Nie wiedziała, kim jest ojciec dziecka. Nie była pewna. W grę wchodziło dwóch chłopców, jeden z jej szkoły, drugi z college'u. Samo to, że była w ciąży, było już wystarczająco okropne; jak miała jeszcze powiedzieć rodzicom, że poszła do łóżka z więcej niż jednym chłopakiem? Byliby zdruzgotani.

Nazwaliby ją dziwką. Wyrzuciliby z domu, wyparliby się jej. Ale co najgorsze, zraniłaby ich jeszcze mocniej. Bardziej się bała utraty ich miłości niż utraty dziecka.

- Nie mogę wam powiedzieć - wykrztusiła.

Na tym rozmowa się urwała. Ojciec zamknął się przed nią, matka porzuciła marzenia o dzieciach bawiących się na drugim piętrze domu i zajęła się niezbędnymi ustaleniami. Gdy skupiała się na jakimś zadaniu, a nie na piciu, potrafiła działać skutecznie. Następnego ranka skontaktowała się z katolickim ośrodkiem opieki społecznej i, za ich poradą, wybrała dom dla samotnych matek Marian House.

## Mary Alice Monroe 105

I tam właśnie jechali w ten zimny styczniowy poranek. Jilly oparła głowę o chłodną szybę samochodu, odpędzając od siebie uczucie chłodu, które mroziło jej krew na dźwięk słów „Marian House: Dom dla Samotnych Matek”. Prawie jak dom dla młodocianych przestępców. Takimi nazwami straszono niegrzeczne dzieci: „Bądź grzeczny, bo trafisz do poprawczaka”. Albo: „Jeśli nie przestaniesz się włóczyć po nocach, to skończysz w domu dla samotnych matek”. Większość ludzi nie widziała żadnej różnicy między tymi dwoma przybytkami. Pobyt w którymkolwiek z nich oznaczał, że złamało się jakieś prawo i za karę było się odizolowanym od normalnego społeczeństwa.

% Patrząc na nagie drzewa i wielkie, puste, ośnieżone pola północnego Wisconsin, zastanawiała się, jak wygląda Marian House. Nikt z nią wcześniej nie rozmawiał o tym miejscu, nie opowiadał, jak tam jest, ani nie pytał jej o zdanie. Po prostu ją tam wysyłano. Wyobrażała sobie, że inne dziewczyny będą starsze od niej, wulgarne, z utlenionymi włosami i oczami podkreślonymi grubym czarnym ołówkiem, wrogo nastawione do dziewcząt z zamożniejszych domów jak ona. Albo niedomyte wieśniaczki, które kochały się jak koty w stogach siana, stodołach i na przyczepach ciężarówek z chłopcami o brudnych rękach. Była pewna, że nie znajdzie z nimi wspólnego języka i modliła się, by zdołać jakoś przetrwać te kilka miesięcy piekła. Położyła rękę na brzuchu i poczuła ruchy dziecka. Biedny maluch, jej jedyny przyjaciel. Nie dbała o to, co się z nią stanie, ale za nic na świecie nie pozwoliłaby zrobić krzywdy dziecku. Samochód mknął przed siebie. Ojciec, znany z tego, że każdemu potrafił udzielić dobrej rady, dla niej nie miał ani

## **CZTERY PORY ROKU**

jednego słowa pociechy. Bolało ją to bardziej, niż przyznawała sama przed sobą. Właśnie teraz bardzo potrzebowała jego miłości. Zerkając ukradkiem na jego nieustępliwy profil, przysięgła sobie, że jeśli jej ojciec nigdy jej nie wybaczy, ona nie wybaczy mu również. I nigdy nie powie jemu, ani nikomu innemu, prawdy o ojcu dziecka. Nigdy. To był jej sekret na wieki.

Koszmarna podróż w końcu dobiegła kresu i długi cadillac przetoczył się przez ciężką, ozdobną bramę z kutego żelaza. Za bramą było wzgórze porośnięte majestatycznymi drzewami. Jechali pod górę stromą, krętą drogą. Posiadłość była ogromna, położona na uboczu i piękna. Znajdowało się tu nawet jezioro. Jilly zauważyła ogrodzenie z wysokiej siatki zakończonej na górze kolczastym drutem i zastanawiała się, czy ma ono chronić dziewczęta przed społeczeństwem, czy społeczeństwo przed dziewczętami. Przy ostatnim zakręcie minęli dużą, wykutą w skale grotę poświęconą Maryi Dziewicy. Ironia sytuacji nie umknęła uwagi Jilly. Dalej droga prowadziła prosto na rozległy parking. Na szczycie wzgórza stał duży budynek z surowej cegły. Wszystkie okna zasłonięte były okiennicami oprócz czterech na górze i trzech na dole. Po prawej stronie znajdowały się białe drzwi, a nad nimi nieosłonięta żarówka. Marian House było miejscem praktycznym, surowym i pozbawionym wszelkich ozdób.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział ojciec, zatrzymując samochód na pustym parkingu. - Wygląda całkiem przyzwoicie.

Nie było to wprawdzie podrzędne schronisko, jakiego oczekiwała Jilly, ale nie wyglądało też zachęcająco. Zdenerwowana i przestraszona, otworzyła drzwiczki i wysiadła,

## **Mary Alice Monroe 107**

uważając, by się nie pośliznąć na splachetku lodu. Drżąc z zimna, posłusznie poszła za ojcem do wejścia.

- Witam - powiedziała drobna, bardzo już wiekowa zakonnica, która otworzyła im drzwi. Sięgała ojcu zaledwie do piersi i musiała podnosić wysoko głowę, by spojrzeć mu w twarz. Jej cera miała papierowy odcień, charakterystyczny dla starszych zakonnicek, ale oczy za okularami bez oprawek lśniły jasnym błękitem.

- Jestem siostra Celestine - przedstawiła się - A to na pewno pan Season i Jillian.

Na pozór była łagodna i uśmiechała się miło, ale Jilly od pierwszej sekundy, gdy poczuła na sobie jej laserowe

spojrzenie, była pewna, że należy się z nią liczyć.

- Spodziewaliśmy się was o jedenastej - powiedziała z lekką naganą w głosie. - Zostało tylko dwadzieścia minut do lunchu. Mamy mało czasu na obejrzenie domu.

Obróciła się szybko, aż długi habit zawirował, i poszła do dużej świetlicy z zielono-białym linoleum na podłodze. Stały tu nowoczesne kanapy i fotele obite jasnopomarańczową tkaniną, a pośrodku duży, stary telewizor. Na stolikach leżały katolickie pisma i kilka egzemplarzy Biblii.

- To jest nasza świetlica - powiedziała siostra Celestine z dumą. Jilly pomyślała, że atmosfera tego pomieszczenia przypomina poczekalnię w szpitalu.

- Telewizję można oglądać po południu i wieczorem do dziesiątej. Telefon znajduje się przy schodach, obok mojego biura. To automat. Można go używać również do dziesiątej. Niektóre dziewczęta wcześniej chodzą spać.

Weszli do kolejnego pomieszczenia z małą kuchenką i dwoma obszernymi stołami z metalu i winylu.



**CZTERY PORY ROKU**

- Tutaj dziewczęta mogą sobie zrobić coś do jedzenia, jeśli są głodne. Ale nie wolno niczego gotować - ostrzegła siostra Celestine. - Oprócz wody na kawę czy herbatę. Jest też lodówka na sok i mleko oraz jabłka, którymi można się częstować. Wiesz, że mamy tu sad? Jesienią dziewczęta pomagają w zbiorze jabłek.

Jilly uśmiechnęła się uprzejmie, ciesząc się w duchu, że jest zima.

Siostra Celestine kierowała większość komentarzy do ojca, który w płaszczu i z kapeluszem w ręce w milczeniu szedł obok niej. Słuchał uprzejmie, ale niczego nie komentował ani nie zadawał żadnych pytań. Jilly szła za nimi prawie przez nich niezauważana, rozglądając się po salach, z których każda wydawała się zimniejsza od poprzedniej. To miał być jej nowy dom.

Ponieważ mężczyźni nie mieli wstępu do prywatnych pokoi dziewcząt, siostra Celestine pokazała ojcu pokój gościnny na pierwszym piętrze, żeby dać mu jakieś wyobrażenie o mieszkalnych wnętrzach domu. Pokój był surowy jak wszystko tutaj. Umeblowanie stanowiły dwa łóżka przykryte bawełnianymi narzutami w kolorze wypłowiałej zieleni. Nad każdym łóżkiem wisiał krucyfiks.

- Gasimy światła o dziesiątej. Wstajemy wcześniej i razem z innymi zakonnice idziemy na codzienną mszę do kaplicy. W niedziele dziewczęta mogą spać nieco dłużej - do ósmej, bo msza jest odprawiana dopiero o dziewiątej.

Jilly uśmiechnęła się gorzko. W weekendy nigdy nie wstawała z łóżka przed jedenastą. Boże, jak uda jej się wytrzymać te kilka miesięcy?

- Szkoła jest w tym małym budynku po drugiej stronie

## Mary Alice Monroe 109

parkingu. Mamy *ta* emerytowane siostry-nauczycielki, które zajmują się nauką dziewcząt. Znamy program szkoły Jillian i jestem pewna, że nie dopuścimy do żadnych zaległości. Dla młodszych dziewcząt nauka jest obowiązkowa, a dla absolwentek szkół średnich dobrowolna. Nauka religii i higieny jest obowiązkowa dla wszystkich.

Ojciec zacisnął usta i po raz pierwszy popatrzył na Jilly. Dostrzegła w jego oczach wstyd, że jego córce, córce szanowanego sędziego i praktykującego katolika, który posyłał dzieci do katolickich szkół i w każdą niedzielę brał udział we mszy świętej, niezbędne było przypominanie religijnych zasad. Co do „higieny”, chodziło oczywiście o tematykę dotyczącą ciąży, porodu oraz abstynencji. Siostra Celestine zawróciła do frontowych drzwi, kończąc na tym prezentację domu.

- Jadalnia jest po tamtej stronie - wskazała kierunek ruchem ręki. - Dziewczęta jedzą posiłki z nowicjuszkami. Niestety, nie mogę pana tam zaprowadzić.

- Tu jest nowicjat? - zdziwiła się Jilly. Nie miała wcześniej pojęcia, że będzie mieszkać razem z zakonnicami.

- Och, tak, oczywiście. Ten budynek to tylko część większego kompleksu. Kiedyś był to majątek rodowy - wyjaśniła siostra Celestine. - Nasz zakon nabył tę posiadłość w 1960 roku. Do oryginalnego budynku dobudowaliśmy skrzydła. Tam dalej jest jeszcze centrum konferencyjne i dom opieki dla starszych zakonnicek.

Jilly spojrzała za okno, ale za ścianą sosen i świerków dostrzegła tylko fragment ceglanego muru, który widocznie miał oddzielać grzeszników od świętych. - Kiedyś była to szkoła średnia dla dziewcząt, które

**CZTERY PORY ROKU**

chciały wstąpić do nowicjatu - ciągnęła zakonnica. - Ale niestety ich liczba malała w takim tempie, że kilka lat temu musiałyśmy ją zamknąć. Na to miejsce zakon otworzył Marian House, by zaspokoić inne potrzeby społeczności. - Siostra Celestine westchnęła i splotła ręce. - To znak czasów, niestety.

Ojciec spojrział przez okno na swój samochód. Jilly spuściła oczy. Obchód był zakończony.

- Myślę, że to najlepsza chwila, by się pożegnać - stwierdziła siostra Celestine, swoim zwyczajem chowając dłonie w rękawach habitu. - Przed lunchem muszę jeszcze omówić kilka szczegółów z Jillian, a już jesteśmy spóźnione. Posiłki są podawane punktualnie.

Nie zostawiła ich samych, tylko odsunęła się o kilka kroków. Intymność jednak nie była potrzebna. Ojciec położył dłonie na ramionach Jilly i spojrział jej w oczy.

W ich wzroku błysnęła czułość, przekraczając bariery gniewu i wzajemnego obwiniania się. W spojrzeniu ojca Jilly dostrzegła coś, co pozwoliło jej wierzyć, że nadal ją kocha, ale także smutek i rozczarowanie. Wstrzymała oddech, czekając na słowa miłości i pociechy, które tak rozpaczliwie pragnęła usłyszeć. Chciała mu powiedzieć, że przeraża ją życie w tym bezosobowym miejscu, pośród obcych ludzi, w czasie, gdy jej brzuch będzie rósł coraz bardziej. Przede wszystkim nic nie wiedziała o rodzeniu dzieci. Właśnie w takich chwilach dziewczyny najbardziej potrzebowały obecności najbliższych sobie osób. Wszystko to próbowała przekazać ojcu spojrzeniem. Od siłą powstrzymywanych słów zaczęło ją boleć gardło.

Gdzieś na zewnątrz rozległ się kościelny dzwon. Dwanaście uderzeń wzywających zakonnice na lunch.

## Mary Alice Monroe 111

Chwila pożegnania dobiegła końca. Ojciec znów przedzierzgnął się w szacownego sędziego. Pochylił się i suchymi wargami pocałował ją w policzek.

- Do widzenia, Jillian. Przyjedziemy po ciebie po...

- zawahał się. - Gdy już będziesz gotowa, by wrócić.

Stała przy wejściu, patrząc za nim. Szedł szybko i nie zatrzymał się w drzwiach samochodu, by jej pomachać. Jilly mocno wczepiła palce w drewnianą futrynę, powstrzymując płacz. Tatusiu, nie odchodź! Będę już grzeczna. Przepraszam! Zabierz mnie do domu!

- Jillian? Chodź tędy, proszę. Weź swoją torbę. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z siostrą Celestine. Na jej twarzy widniał uśmiech, ale ton głosu nie dopuszczał żadnego sprzeciwu. Jilly wzięła do ręki walizkę i posłusznie poszła za szeleszczącym habitem do małego biura przy schodach; w środku mieściło się tylko drewniane biurko i dwa krzesła. Siostra Celestine usiadła za biurkiem i wskazała jej krzesło naprzeciwko, a potem niespokojnie zerknęła na zegarek.

- Mam nadzieję, że twój pobyt tutaj okaże się dla ciebie na tyle miły, na ile można oczekiwać w tych okolicznościach

- oznajmiła bez wstępów. - Mam tu wszystkie dokumenty, ale chciałabym sprawdzić niektóre rzeczy.

- Wzięła do ręki wieczne pióro i odkręciła skuwkę. - Termin twojego porodu wypada na...

- Pierwszego maja.

- Byłaś badana przez lekarza?

- Tak. Byłam u doktora Applebee w Evanston - odrzekła Jilly, przypominając sobie upokorzenie, jakim była dla

niej ta wizyta. Z mocno zaciśniętymi powiekami przełyka-

**CZTERY PORY ROKU**

la łyzy, gdy palce lekarza brutalnie wgłębiały się w jej ciało. Gdy już było po wszystkim, popatrzył na nią z nieukrywaną dezaprobatą i rzucił: - Następnym razem użyj prezerwatywy.

- Podczas pobytu tutaj będziesz odwiedzać lekarza w każdy poniedziałek. W domu opieki dla sióstr są pielęgniarki, które można wezwać w razie potrzeby. Będziesz rodzić w szpitalu Świętego Franciszka. To zaraz obok, oni znają nasze dziewczęta. Zwykle zawozi je tam prywatna karetka.

Karetka? Jak dotąd, Jilly nie wybiegała myślą tak daleko w przyszłość. Oczami wyobraźni ujrzała przerażającą wizję czerwonych świateł i wycia syren.

- Rozumiem też, że w dalszym ciągu zdecydowana jesteś oddać dziecko do adopcji?

Jilly zacisnęła dłonie na kolanach. A więc oto nadeszła ta chwila. Mogła zadać pytanie, które dźwięczało jej w głowie przez cały czas, gdy matka wypełniała formularze adopcyjne. Teraz matki nie było.

- Czy jest jakiś sposób... To znaczy, co by było, gdybym chciała zatrzymać moje dziecko? - Wzięła głęboki oddech i czekała na odpowiedź.

Siostra Celestine była wyraźnie niezadowolona. Zacisnęła wargi i zanim odpowiedziała, znów spojrzała na zegarek.

- Posłuchaj, Jillian - westchnęła, z trudem tłumiąc irytację. - Jestem pewna, że już ci to wyjaśniono. Byłoby ci bardzo trudno zapewnić dziecku przyzwoity dom i standard życia, jaki mogą mu dać przybrani rodzice. Dopilnujemy, by twoje dziecko trafiło do rodziny o podobnym profilu

### **Mary Alice Monroe 113**

etnicznym i pozycji społecznej. I oczywiście będzie wychowane po katolicku. Spróbujemy nawet znaleźć mu rodziców z rudymi włosami i zielonymi oczami - dodała z cieniem uśmiechu.

Kiedy Jilly nic na to nie odpowiedziała, siostra Celestine zmarszczyła brwi i znów zerknęła w papiery.

- Twój rodzice wyraźnie zaznaczyli, że ich życzeniem jest, by dziecko zostało oddane do adopcji.

Jilly mocniej zacisnęła ręce.

- Rozumiem.

Zakonnica podniosła na nią wzrok.

- Pomyśl, jak czuje się dziecko wychowywane jako nieślubne. Bękart. To okrutne słowo, ale obydwie wiemy, że

dziecko by je usłyszało. Przybrani rodzice będą je kochać. Twoje dziecko stanie się częścią ich rodziny. Zapewnią mu lepszy dom, niż mogłabyś to zrobić ty. Nie zapominaj, że jego potrzeby są ważniejsze niż twoje. Jeśli naprawdę je kochasz, to powinnaś je oddać.

Jillian popatrzyła na siedzącą przed nią małą, zasuszoną postać, zobaczyła w jej oczach chłód i brak litości wynikające z tego, że siostra Celestine przez wiele lat przeprowadziła już niezliczoną ilość takich rozmów, i pochyliła głowę z poczuciem klęski. Jej ręka odruchowo powędrowała na brzuch. Czy przybrana matka będzie miała świadomość, z czego Jilly musiała zrezygnować, by doskonałe małżeństwo mogło się stać doskonałą rodziną? Czy jej dziecko będzie wiedziało, że próbowała je zatrzymać? Że oddała je dla jego dobra?

- Na pewno z czasem sama zrozumiesz, że to wyjście jest najlepsze również i dla ciebie. Będiesz mogła wrócić

**CZTERY PORY ROKU**

do własnego życia, skończyć szkołę, być może pójść do college'u. A pewnego dnia weźmiesz ślub i będziesz miała inne dzieci.

Siostra Celestine zebrała papiery i postukała nimi o krawędź stołu.

- Możemy wrócić do tej rozmowy później - dodała, nie dając Jilly szansy na odpowiedź. - Ale teraz naprawdę musimy już iść. Poznasz pozostałe dziewczęta. Teraz jest ich dwanaście. Oczekujemy jeszcze dwóch w najbliższych kilku dniach. Wszystkie będą się zachowywać wobec ciebie przyjaźnie, ale pamiętaj, że dla żadnej z was nie jest to łatwy okres i można się spodziewać więcej emocji i łez niż w normalnych sytuacjach. Na pewno znajdziesz tu przyjaciółki, ale... - Pochyliła się nad stołem i jej głos nabrał surowych tonów. - W Marian House obowiązuje absolutna dyskrecja. Wszystkie przyjaźnie zaczynają się i kończą tutaj. Jest bardzo ważne, żebyś o tym pamiętała. Gdy będziesz stąd odchodzić, nie próbuj pozostawać w kontakcie z żadną z dziewcząt. Nie wolno ci zdradzić nikomu swojego nazwiska ani nikogo o nie pytać. Każda z was ma tu tylko imię. Nie wolno ci też mówić, skąd jesteś, do jakiej szkoły chodzisz, ani wyjawiać żadnych szczegółów na temat twojej rodziny. Naruszenie tej reguły nie będzie tolerowane. W takim przypadku natychmiast odeślemy cię do domu. Rozumiesz?

Jilly kiwnęła głową.

- Jest jeszcze kilka innych zasad, ale wyjaśnię ci je w drodze do jadalni. Musimy się pośpieszyć.

Lunch już prawie się kończy.

Wyszły na zewnątrz na wyłożoną cegłami ścieżkę, która

## **Mary Alice Monroe 115**

przecinała wysoki żywopłot. Za nim stał wielki ceglany budynek z białymi kolumnami i rzędem wspaniałych, łukowatych okien. Widok był tak imponujący, że Jilly zaparło dech.

- Przeprowadzę cię przez główne wejście, ale tylko ten jeden raz - powiedziała siostra Celestine, wchodząc na podjazd dla samochodów. - Wszystkie nowicjuszeki są teraz w kościele, więc możemy przemknąć się niezauważone. Nie wolno im kontaktować się z zewnętrznym światem.

A szczególnie z najgorszymi grzesznicami, pomyślała Jilly.

Wewnątrz dom był jeszcze piękniejszy niż na zewnątrz, ale nie miała czasu na zachwyty. Siostra Celestine szybko przeprowadziła ją przez labirynt wysokich pomieszczeń o ścianach wyłożonych elegancką, ciemną boazerią. W pewnym momencie ściany zmieniły kolor na jasnozielony i Jilly poczuła zapach jedzenia. Przystanęły przed dwuskrzydłowymi drzwiami, zza których rozlegało się szuranie krzesel, pobrzękiwanie talerzy i wysokie kobiece głosy.

Siostra Celestine spojrzała na nią z zachęcającym uśmiechem i otworzyła drzwi. Sala była duża i bardzo jasna. Słońce wpadało do środka przez ogromne okna, zajmujące prawie całe trzy ściany. Stało tu około tuzina szarych metalowych stołów, a po prawej stronie łada, przy której wydawano posiłki, ze stertą sztućców i plastikowych brązowych tac. Jedyłą ozdobą był wiszący na ścianie wielki drewniany krucyfiks.

Gdy Jilly weszła do jadalni, gwar ucichł i wszystkie oczy zwróciły się nią. Siostra Celestine przedstawiła ją pozostałym dziewczętom, używając tylko imienia. Jilly słyszała



## 116 CZTERY PORY ROKU

dudnienie własnej krwi. Wszystkie twarze rozmazywały się jej w oczach, a przez głowę przebiegła tylko jedna myśl.

Nie były to krzepkie, wulgarne, żujące gumę, zepsute dziewczyny, jakie wyobrażała sobie wcześniej. Wyglądały tak samo jak jej szkolne koleżanki.

Wyglądały tak jak ona.

Miesiące mijały szybko. Do lutego Jilly zdążyła już dokładnie poznać zasady obowiązujące w Marian House. Rytm dnia wyznaczany był przez dzwony. O szóstej dzwony podnosiły je z łóżek. W sali było zawsze zimno, a podłoga wydawała się lodowata. Do siódmej łóżka musiały być posłane, a dziewczęta gotowe na mszę. Burczenie w żołądkach młodych matek współzawodniczyło z wysokim, monotonnym śpiewem zakonnice. Po śniadaniu szły do szkoły. Punktualnie podawany lunch był głównym posiłkiem dnia.

Podczas tej właśnie przerwy dostarczano im pocztę. Koperty z adresami zwrotnymi zamazanymi czarnym flamastrem były rozdawane w kolejności alfabetycznej. Matka zbierała listy od Birdie i Rose, a także od przyjaciół, wysyłała je wszystkie raz na tydzień w dużej kopercie. Jilly starannie opisywała zabawne wydarzenia, jakie jej się przytrafiały we francuskiej szkole przy Uniwersytecie Wisconsin, gdzie rzekomo przebywała. Niektóre zakonnice studiowały na uniwersytecie i zgodziły się wysłać jej listy ze skrzynki w Green Bay.

Dzwonek o piątej sygnalizował koniec czasu wolnego. Kolacja była o szóstej, a potem aż do dziesiątej wolno im było oglądać telewizję.

W marcu ciąża Jilly była już wyraźnie widoczna i dziec-

## **Mary Alice Monroe 117**

ko kopało coraz mocniej. Czasami czuła pod skórą zarysy drobnych pośladek albo mocne uderzenie piąstką. W kwietniu siostra Benedict zaprosiła Jilly, Simone i Sarah do małego pokoju z wygodnymi krzesłami i sprzętem stereo. Były następne w kolejce do porodu. Puszczala im ballady, głównie Joan Baez i Judy Collins, którymi Jilly była zachwycona. Zakonnica karmiła swoje podopieczne gorącą czekoladą i herbatnikami. Jilly kochała siostrę Benedict nie tylko za wyjaśnienia, czym różni się ogólna narkoza od znieczulenia zewnątrzoponowego, ale przede wszystkim dlatego, że siostra traktowała je jak równe sobie, a nie jak niegrzeczne dzieci pozbawione uczuć i prawa głosu.

Wszystkie dziewczyny spragnione były informacji i zadawały setki pytań. Czy naprawdę w szpitalu założą im przepaskę na oczy, żeby po urodzeniu nie widziały dziecka? Czy zasłonią im uszy futrzanymi nausznikami, żeby nie słyszały jego płaczu? Czy te wszystkie opowieści są prawdziwe? Siostra Benedict spoważniała i potrząsnęła głową.

- Być może tak było, kiedyś, wiele lat temu, ale teraz już się tego nie robi. Nie martwcie się. Nigdy jednak nie rozmawiały o rozwoju dziecka ani o opiece nad niemowlęciem. Od wszystkich dziewcząt oczekiwano, że oddadzą dzieci do adopcji. Podczas ostatniej ze swych wizyt siostra Benedict poradziła im:

- Nie bierzcie swojego dziecka na ręce, nie patrzcie na nie nawet. Znieście dzielnie cierpienie i módlcie się o siłę. Potem już będzie tak, jakby to wszystko w ogóle się nie zdarzyło.

Pierwszy dzień maja nadszedł i przeminął. Dziewiątego maja Simone pojechała do szpitala. Wróciła dwa dni później,

## **CZTERY PORY ROKU**

z płaskim brzuchem, przygnębiona i milcząca. Wydawało się, że dziecko, które wyszło z jej ciała, zabrało ze sobą całą jej radość i energię. Po porodzie Simone przypominała pustą muszlę. Prawie nie wychodziła ze swojego pokoju; jedna z zasad Marian House mówiła, że dziewczętom, które wróciły ze szpitala, nie wolno przeszkadzać, jeśli drzwi do pokoju są zamknięte. Simone nie została jednak długo. Już następnego dnia przyjechali jej rodzice i zabrali ją ze sobą. Ubrana w nową odzież, z walizką przy boku, wyglądała jak zagubione dziecko. Gdy obróciła się i pomachała Jilly ręką, jej ciemne, zwykle pełne wyrazu oczy były apatyczne i puste. W nocy Jilly długo płakała, wiedząc, że już nigdy nie zobaczy przyjaciółki.

Tej samej nocy karetki zabrała Sarah. Jilly usłyszała na korytarzu pośpieszne kroki siostry Celestine i zacisnęła dłonie na poduszce. Sarah głośno jęczała i skarżyła się na ból w plecach. Następnego ranka przy śniadaniu siostra Celestine oznajmiła, że Sarah urodziła syna.

Jilly wiedziała, że ona będzie następna. Nie mogła uciec przed nieuniknionym. Przez kilka dni żyła wsłuchana we własne ciało. Chodziła na długie spacery, unikała pikantnego jedzenia i wczesnie kładła się spać. W końcu, siedemnastego maja, dwa tygodnie po wyznaczonym terminie, poczuła pierwszy skurcz.

Byłoby o świcie. Leżała w łóżku, z szeroko otwartymi oczyma, słuchając paplaniny ptaków za oknem. W rękach trzymała budzik, żeby zmierzyć odstępy między skurczami. Nikt nie musiał jej mówić, że już się zaczęło. Przepęłniały ją jednocześnie podekscytowanie i przytłaczający smutek. Zanim słońce zajdzie, jej dziecko się urodzi. Większość ko-

## **Mary Alice Monroe 119**

biet na jej miejscu nie posiadałaby się ze szczęścia. Dla niej były to ostatnie godziny, które miała spędzić ze swoim dzieckiem.

Gdy rozległy się dzwony o szóstej, Jilly miała skurcze co pięć minut. Podniosła się ostrożnie i z trudem dotarła do wspólnej łazienki. Na jej widok szepty innych dziewcząt ucichły. Jilly nie powiedziała im, co się dzieje - jeszcze nie. Zostało jej tak niewiele czasu. Weszła pod prysznic. Gorąca woda cudownie łagodziła ból pleców. Oparła dłonie o ścianę i stała nieruchomo, poddając się mocnym strumieniom.

- Jilly, pośpiesz się! Spóźnisz się na mszę.
- Idźcie beze mnie - powiedziała, otwierając drzwi i owijając się szlafrokiem. - Ja tu zostanę.
- Będziesz miała kłopoty - ostrzegła ją Pat, która już wcześniej przypatrywała się jej podejrzliwie.
- Chcesz, żebym zawołała siostrę Celestine? - zapytała Julie, która za miesiąc miała urodzić bliźnięta.
- Nie! Proszę, nic jej na razie nie mówcie. Nie mówcie nikomu! - prosiła Jilly. - Nie chcę jeszcze iść do szpitala. Jeszcze nie czas. Wiem o tym. Nauczyłam się wszystkiego od siostry Benedict.

Julie patrzyła na nią bez przekonania.

- Dobrze, ale na wszelki wypadek zostanę z tobą. Och, nie patrz tak na minie. Najwyżej siostra Celestine rozzłości się na nas obydwie. No i co z tego? Nie zostawię cię tu. Masz taki dziwny wyraz twarzy.
- Jaki?
- Moja suczka wyglądała tak samo, gdy obwąchiwała wszystkie kąty, szukając najlepszego miejsca do urodzenia szczeniaków. Jak często masz skurcze?

## 120 CZTERY PORY ROKU

- Och, Boże - szepnęła Nancy ze strachem. - Skurcze?

- Och, nie wiem, niezbyt często - skłamała Jilly, ale w tej samej chwili przymknęła oczy i wydała z siebie stłumiony jęk.

- Och, Boże - powtórzyła Nancy. Julie skinęła głową.

- Mhm. Nancy, biegnij po siostrę Celestine. Przepraszam, Jilly, ale wiesz, że musimy to zrobić. Nie możesz ukryć porodu.

Z następnych kilku godzin pozostały jej tylko wspomnienia ruchu i pojedynczych dźwięków. Szelest habitu siostry Celestine, stuk paciorków drewnianego różańca, zawodzenie syreny karetki, oślepiająca lampa w szpitalnej sali, szorstki ton pielęgniarki: - To jedna z tych dziewczyn z Marian House.

W szpitalu panował duży ruch i sale porodowe były pełne. Pielęgniarki mruczały coś o pełni księżyca. Jilly próbowała rozluźnić się i uśmiechnąć, ale odpowiadały jej tylko chłodne spojrzenia i jeszcze zimniejsze dłonie. Siostra Benedict mówiła, że personel szpitala jest profesjonalny i uprzejmy. Może pielęgniarki zachowywały się uprzejmie wobec mężatek, ją jednak traktowały jak dopust boży.

Przez wiele godzin leżała sama na sali porodowej, śmiertelnie przerażona. Cały jej świat składał się tylko z dwóch osób: z niej samej i z dziecka. Cierp i módl się, powtarzała sobie. Późnym popołudniem bóle stały się naprawdę ostre. Jilly powstrzymywała krzyk, zapierając się piętami o prześcieradło i zaciskając zęby. Przysięgła sobie, że zachowa choć resztki godności. Jednak nagle nadeszła potężna fala bólu, a zaraz po niej następna.

## **Mary Alice Monroe 121**

- Niech ktoś mi pomoże! - wykrzyknęła z rozpaczą i zaraz otoczyło ją kilka postaci. Została przewieziona do innej sali, pełnej jaskrawych świateł i sprzętów ze stali nierdzewnej. Pielęgniarki przywiązały jej ręce do łóżka i uniosły bezużyteczne nogi na strzemiona. Jilly była przerażona, odrętwiała i unieruchomiona.

- Widać już główkę - stwierdziła jedna z pielęgniarek i pokazała Jilly małe lusterko. - Jeśli chcesz, to możesz popatrzeć.

Jilly podążyła wzrokiem za palcem pielęgniarki.

- I co? Widzisz dziecko?

Euforia i wdzięczność wirowały w jej umyśle, mieszając się z ostrzeżeniami siostry Benedict - nie patrzeć na dziecko! Musiała je jednak zobaczyć. Uniosła się na łokciach, wyciągnęła szyję i zerknęła z ukosa ponad ramieniem lekarza.

- Jeszcze jedno parcie - powiedział doktor, przytrzymując główkę dziecka dłońmi w gumowych rękawiczkach.

Jilly wzięła głęboki oddech, poddała się fali i zaczęła przecierać raz za razem. Przed oczami wirowały jej ciemne plamki, łokcie, na których się opierała, zaczęły drżeć z wysiłku, aż poczuła, że nie wytrzyma już ani sekundy dłużej. Ani na chwilę jednak nie oderwała wzroku od lusterka.

Doktor Brewster trzymał w rękach śliski, różowo-fioletowy, zakrwawiony pakuneczek o twarzyczce mopsa. Jilly nigdy jeszcze nie widziała piękniejszego widoku. Opadła na łóżko z głupio szczęśliwym uśmiechem. Jej dziecko. Niecierpliwie obserwowała każdy ruch lekarza, kiedy wziął maleństwo na ręce. Usłyszała delikatny klaps, a potem głośnie zawodzenie.

## **CZTERY PORY ROKU**

Pielęgniarki szybko zakropiły dziecku oczy, następnie drobne ciało zostało umyte, zważone, a potem owinięte w cienką pieluchę. Jilly zacisnęła palce. Rozpaczliwie pragnęła dotknąć malucha, poczuć jego miękkość i ciepło.

- Proszę - jęknęła, próbując wyciągnąć ręce, i w tej samej chwili zrozumiała, że pielęgniarka chce go gdzieś zabrać. Oddech zamarł jej w piersi. To nie mogła być prawda.

- Nie... nie... nie zabierajcie go! - wykrzyknęła łamiącym się głosem, wyprężając się w skórzanych pasach. W tej samej chwili pielęgniarka z dzieckiem na ręku zniknęła za drzwiami i na ten widok całe ciało Jilly przebiegł bolesny skurcz.

Urodziła dziewczynkę.

Przez wiele następnych lat często słyszała opowieści innych kobiet o porodzie. Młode matki czy staruszki, wszystkie jednakowo siadały w kręgu na fotelach w salonie albo na twardych barowych stołkach i dzieliły się wspomnieniami jak starzy weterani. Gdy któraś z nich zauważała, że Jilly pozostaje milcząca, zwykle pochylała głowę w jej stronę, dotykała jej ręki i mówiła coś w rodzaju: Nie martw się, pewnego dnia też to poznasz. Jilly wzruszała wówczas ramionami z uprzejmym uśmiechem.

Nikt nie wiedział, że ona również brała udział w tej bitwie, nie zaznała jednak uczucia triumfu, tylko strachu i niewypowiedzianej utraty. Leżała w ciemnościach w małej jak komórka sali poporodowej, słuchając dudniącego za oknem deszczu, i szlochała z całego serca. Łzy płynęły i płynęły, aż w końcu poczuła się zupełnie wyczerpana i całkiem pusta.

Wreszcie nadszedł świt. Leżała nieruchomo na plecach,

## **Mary Alice Monroe 123**

z rękami złożonymi na pustym brzuchu, patrząc na prążki cienia na suficie. Uświadomiła sobie, że jest zupełnie sama. Nie było przy niej rodziców, sióstr, przyjaciół ani nawet żadnego obcego człowieka, który zechciałby ją pocieszyć. Nikt nie był w stanie zmniejszyć bólu jej serca ani zrozumieć, ile kosztowała ją decyzja o oddaniu dziecka. Mogła polegać tylko na sobie, na własnych możliwościach i własnym rozsądku.

Myjąc się i ubierając przed powrotem do Marian House, poczuła martwy spokój, który można było wziąć za rezygnację. Dawna Jillian zniknęła wraz z wypłakanymi łzami. Urodziła dziecko i stając się matką, sama przestała być dzieckiem.

Wychodząc ze szpitala na chłodne, wiosenne powietrze wiejskiego regionu Wisconsin, poczuła, że część jej samej została w tym budynku na zawsze. Najlepsza część. I że odejście było najmądrzejszą rzeczą, jaką mogła zrobić dla swojej córki. Jaką byłaby matką? Jaki mogła dać przykład swojemu dziecku? Co mogła mu zaofiarować? Siostra Celestine miała rację. Skoro kochała swoje dziecko, to musiała mu zapewnić dobry, przyzwoity dom i odpowiednich rodziców. Jej własna matka też miała rację: Jilly była nieodpowiedzialna, rozwiązała, samolubna.

Teraz jednak otrzymała szansę, by dla swojego dziecka zrobić coś dobrego. Popelniła wiele błędów, ale decyzja o oddaniu córki do adopcji była jedynym bezinteresownym czynem w jej życiu. A mimo wszystko wciąż wydawała się jej największym koszmarem, największym grzechem.

Stała przed szpitalem i po raz ostatni wpatrzyła się w okna sali noworodków. Czowała niemal fizyczną więź ze śpiącą



**CZTERY PORY ROKU**

tam malutką dziewczynką, chociaż nigdy nie trzymała jej w ramionach, nie dotknęła jej skóry ani nie pocałowała jej policzka.

- Bądź silna, maleńka. Bądź szczęśliwa. Dasz sobie radę - szepnęła i przysięgła sobie, że ona również da sobie radę.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Rose obudziła się wcześnie rano, w pełnej gotowości do rozpoczęcia nowego dnia. Światło słońca kładło się na jej policzkach, napełniając ją nową nadzieją. Szybko narzuciła na siebie długą, czarną spódnicę i ulubiony szary sweter, zniszczony, ale bardzo wygodny, i po szerokich schodach zeszła na dół. Poruszała się jak tancerka, pewnie, płynnie i zgodnie z jej własnym, wewnętrznym rytmem. Wyciągnęła ze spiżarni wszystkie największe miski, pudełka płatków, rodzyнки, orzechy, słoiczki z cynamonem i innymi przyprawami, po czym ustawiła to wszystko na blacie. Mieszając składniki, wróciła wspomnieniami do ostatniego wieczoru. My wyglądała na wstrząśniętą. Wcześnie poszła do swojego pokoju. Birdie była wyraźnie poirytowana, co odbiło się na jej mężu i córce.

Rose dosypała do płatków cynamonu, wymieszała je dokładnie i wylała do dużych kamionkowych misek, które wstawiła do piekarnika. Po kwadransie cała kuchnia pachniała cynamonowym ciastem. Na górze rozległy się kroki i Rose z uśmiechem podniosła wzrok. Nie mogła się już doczekać, kiedy siostry zejdą na śniadanie.

Birdie obudziła się chora. Kręciło jej się w głowie, a żołądek podchodził do gardła. Usiadła i jęknęła. Dennis, leżący obok, poruszył się i niechętnie otworzył oczy.

**CZTERY PORY ROKU**

- Co się stało... - wymamrotał, podnosząc głowę, niezupełnie jeszcze rozbudzony. - Źle się czujesz?

- Tak. Och... chyba się czymś zatrulałam. Co to za zapach? Chyba Rose coś piecze na dole w kuchni.

Zdaje się, że mi niedobrze.

Przyłożyła dłoń do czoła i znieruchomiała, czekając, aż jej żołądek się uspokoi.

- I jak? Lepiej? - zapytał Dennis, przymykając oczy.

- Trochę lepiej. Chyba zjem kilka krakersów. A tobie nic nie jest?

Dennis przetarł twarz rekami i podniósł się na łokciach. Po chwili odpowiedział:

- Tak. To znaczy nie, nic.

- Mam nadzieję, że to" nie jest grypa. Nie mam czasu chorować.

- Nigdy nie masz czasu. Dokąd idziesz? Wracaj do łóżka i odpocznij.

Jednak Birdie była już na nogach i zawiązywała szlafrok.

- Nie dam się tak łatwo. Ubiorę się, wypiję słabą herbatę, zjem grzanekę i zobaczymy, jak się wtedy pocuję. Poza tym Rose jest już na dole i na pewno przygotowuje śniadanie z pięciu dań.

- Cała Rose. Wiecznie robi coś dla innych.

- Powinna trochę odpocząć, bo się wykończy.

- Ty też. Zostań tutaj ze mną, Birdie, proszę, wróć do łóżka....

Ona jednak zignorowała wyciągniętą w jej stronę rękę.

- Przyniosę ci kawę - rzuciła i pośpieszyła do drzwi. Pomimo niedyspozycji żołądka ciągnęło ją do kuchni. Chciała być z siostrami.

## **Mary Alice Monroe 127**

Jilly też obudziła się z bólem głowy. Noc spędziła w dziwnym odrętwieniu, patrząc na zmieniające się światło na niebieskiej tapecie. Powrót wspomnień sprawił, że czuła się tak, jakby jeszcze raz urodziła swoje dziecko, tylko że tym razem wracała z nim do domu i wszyscy o tym wiedzieli. Wstając z łóżka, uświadomiła sobie z przerażeniem i ulgą zarazem, że teraz nic już nie będzie takie samo.

Wszystko się wydało. Tajemnica przestała istnieć. Poczowała zapach cynamonu i kawy. Miała ochotę na jedno i drugie, czuła gwałtowny głód życia. Owinęła się jedwabnym lawendowym szlafrokiem, związała włosy gumką i ochlapała twarz zimną wodą. Pomimo braku snu wcale nie była zmęczona, a wprost przeciwnie, czuła się lżejsza i młodsza. Szła po schodach w stronę, skąd dochodził brzęk talerzy i odgłosy rozmowy. Myśl o spotkaniu z siostrami wzbudzała w niej lekkie zdenerwowanie, ale śmiało pchnęła drzwi i stanęła w progu.

Birdie i Rose nakrywały drewniany stół błękitnym obrusem, gawędząc przyjaźnie. Napięcie, wyraźnie wyczuwalne poprzedniego dnia, zniknęło bez śladu. Jilly z wahaniem zatrzymała się w progu.

Birdie dostrzegła ją pierwsza i na jej twarzy pojawił się wyraz czujności, ale zaraz przełamał go ciepły uśmiech.

- Nie wierzę własnym oczom. Spójrz, kogo my tu widzimy!

- Dzień dobry! - zawołała Rose, stawiając na stole dzbanek z kawą.

Jilly poczuła bezmierną ulgę.

- Tak, wstałam już - uśmiechnęła się trochę nieśmiało.

**CZTERY PORY ROKU**

- Razem z ptakami. Ponieważ nic nie można z nimi zrobić, |pozostaje tylko do nich dołączyć.

Wspólnie z siostrami zaczęła się krzątać po kuchni i przygotowywać nakrycia do śniadania. Rose wyciągnęła ciasto z piekarnika i wszystkie trzy usiadły przy stole jak niegdyś w dzieciństwie.

- Pan Collins chce, byśmy do czwartku poinformowałygo, jakie mamy plany w związku z domem i posiadłością - powiedziała Birdie przy jedzeniu. - Może porozmawiamy o tym teraz, a decyzję podejmiemy później, zgoda?

Jilly i Rose zgodnie skinęły głowami.

- Najwięcej czasu zajmie nam podzielenie wszystkiego między siebie. Meble, obrazy, porcelana, kryształ i srebro, Dom jest tym wypełniony po brzegi. Mama była niezłym chomikiem. Ale najpierw musimy wszystko spisać. Na myśl o porządkowaniu strychu i sutereny przechodzą mnie dreszcze.

- Strych jest pełen skarbów - powiedziała Rose, stając w obronie zgromadzonych przez lata rzeczy.

- Nie chcę niczego stamtąd wyrzucać.

- Rose, przecież wszystkie dobrze wiemy, że w naszej rodzinie nie tylko mama była chomikiem — uśmiechnęła się Birdie.

- Umówmy się, że niczego nie będziemy wyrzucać, dopóki wszystkie się na to nie zgodzimy.

- Ależ w taki sposób te porządki zajmą nam sto lat!

- Wobec tego zrobię wszystko sama - Rose nie dawała za wygraną.

- Zaraz, chwileczkę - włączyła się Jilly, podnosząc dłoń do góry. - Może jednak spróbujemy.

Zacznijmy od strychu

## Mary Alice Monroe 129

i torujemy sobie drogę na dół. Co można wyrzucić, a co nie, będziemy decydować w trakcie pracy. Wszystkie razem.

Godzinę później Jilly wdrapała się na zakurzony, słabo oświetlony strych i aż otworzyła usta ze zdziwienia. Wyglądało to gorzej, niż mogła sobie wyobrazić. Dach się zapadał, kartonowe pudła pokryte były plamami wilgoci, na ścianach i podłodze widniały liczne zacieki! Szyby w oknach były popękane, a całe piętro pachniało kurzem, pleśnią i mysimi odchodami.

Kiedyś było to ich miejsce zabaw, Królestwo Wyższe, rządzone przez siostry Season. Nazywane strychem drugie piętro domu, projektowane było z myślą o pokojach dla służby. Znajdowało się tu kilka małych sypialni z ukośnymi sufitami, jeden pokój nieco większy, przypuszczalnie salon, oraz mała łazienka ze starą, poźółkłą wanną i miniaturowym zlewem. W dzieciństwie siostry Season kochały te pokoje, ponieważ była to przestrzeń pozostająca poza obrębem władzy rodziców.

Nieurządzona, niczyja, czekała na odkrycie. Zagarnęły ją więc, tworząc w wyobraźni całe miasta i państwa, dopóki matka ich stamtąd nie wypędziła, pełna obaw, że zniszczą przechowywane przez nią w pudłach skarby.

- Wygląda to strasznie - stwierdziła Birdie, wyłaniając się ze schodów.

Jilly nie mogła temu zaprzeczyć. Strych był prawie po sufit zastawiony pudłami, między którymi prowadziły jedynie wąskie ścieżki. Ale co najgorsze, nie był to bałagan zorganizowany. Składano tu wszystko jak popadło, niczym w wielkiej, kuchennej szufladzie.

- Życia nam nie wystarczy, żeby to wszystko przejrzeć - westchnęła Jilly. - To dżungla. Pewnego dnia, po długich,

**CZTERY PORY ROKU**

żmudnych poszukiwaniach, ktoś znajdzie między pudłami tylko nasze kości.

- Moim zdaniem należałoby ustawić pod oknem śmieciarkę i wrzucić do niej wszystko jak leci - pokręciła głową Birdie.

- Nic z tego! - wykrzyknęła Rose, wbiegając po schodach.

- Tylko spójrz na to wszystko! - odparła Birdie, zaglądając do plastikowej torby pełnej drucianych wieszaków. - Właśnie o tym mówię. Po co komu, na litość boską, tyle wieszaków? I starych czasopism. - Przejrzała jedno z nich i z prychnięciem odrzuciła je na podłogę. - Tego tylko nam brakowało. Kolejny przepis na potrawkę z kurczaka.

- Chciałam je oddać na ffiakulaturę - powiedziała Rose nieśmiało.

Birdie zakasała rękawy, przygotowując się do wykonania trudnej misji.

- Dobrze, więc ja to zrobię za ciebie - mruknęła, torując sobie ścieżkę do następnego pokoju. - Hej, tu nie jest tak źle! - zawołała po chwili. - Chyba najgorzej jest na początku. Proponuję zacząć stąd, bo tu jest więcej miejsca i można się w ogóle jakoś poruszać.

- Tam był zamek Rose - przypomniała sobie Jilly.

- Co? - zdziwiła się Birdie.

- Zamek Rose, pamiętasz? A tamten pokój był twój. Mój był oczywiście największy.

Na twarzy Rose pojawiła się melancholia.

- Teraz rozumiesz, o co mi chodziło? Tu jest tyle wspomnień. Nie chcę, żeby Birdie powyrzucała je wszystkie do śmieci. Ona ma jednotorowy umysł.

## **Mary Alice Monroe 131**

Jilly miała ochotę powiedzieć, że śmietnik jest naprawdę najodpowiedniejszym miejscem dla tych wszystkich skarbów, ale ugryzła się w język.

- Nie martw się, Rose - odrzekła uspokajającym tonem.

- Nie musimy podejmować żadnych istotnych decyzji dzisiaj. Ale Birdie ma trochę racji. Możemy zatrzymać niektóre rzeczy, ale na przykład wszystkie te wieszaki i czasopisma trzeba powyrzucać. Nie zamierzam spędzić tu paru miesięcy.

Nałożyły fartuchy, przygotowały plastikowe worki na śmieci i zabrały się do otwierania dziesiątków pudełek. Znalazły wyciągi bankowe sprzed dwudziestu lat, dwa oprawione w skórę komplety Encyklopedii Britannica, stare książki wyrwane z okładek, tandetne obrazki w ramkach, zakurzone plastikowe choinki i wieńce, niezliczoną ilość zdekompletowanych talerzy, półmisek i waz. W następnym pokoju był stary dziecięcy wózek, rozmaite bezużyteczne narzędzia, zardzewiałe opiekacze i kilka innych wiekowych urządzeń elektrycznych z przetartymi sznurami, zwoje drutu, a także stare narty i łyżwy.

Po kilku godzinach wyczerpanie przeważało nad entuzjazmem.

- Gdzie ta śmieciarka? - jęknęła Birdie.

- Popatrz tylko, jak ja wyglądam - poskarżyła się Jilly.

- Brudne dzinsy, brudna bluza. A mój manicure... szkoda gadać.

- Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam takiej kolekcji rupieci - gderała Birdie.

Ale w największym pokoju czekały na nie ciekawsze znaleziska. W dużym pudle trafiły na swoje rysunki z dzieciństwa i szkolne świadectwa, w następnym - na zbierane



**CZTERY PORY ROKU**

od kilku pokoleń stare rodzinne fotografie w kolorze sepii i z postrzępionymi brzegami. Były też pudełka pełne starych dziecięcych ubranek. Znalazły klarnet Jilly, flet Birdie i baletki Rose.

Popołudniowe słońce schodziło coraz niżej i Jilly czuła, jak powraca dobrze jej znany niepokój.

Historia rodziny mieszała się z kurzem, było jej duszno i tęskniła za łykiem świeżego powietrza.

Spojrzała przez ramię. Rose i Birdie siedziały obok siebie, z nostalgiczną przyjemnością przeglądając zdjęcie po zdjęciu. Jilly niepewnie podniosła się na nogi.

- Ja mam już dość - oświadczyła. - Jestem wyczerpana, brudna, mam ochotę na kieliszek wina i gorącą kąpiel. Zostawmy to na dzisiaj.

Birdie podniosła głowę z uśmiechem.

- Rose miała rację. Tu są prawdziwe skarby. Popatrz tylko. - Podniosła do góry fotografię, na której widniały trzy małe dziewczynki w świątecznych sukienkach. - Ty masz włosy spięte spinką nad czołem, a Rose brakuje przedniego zęba!

Rose roześmiała się, opierając brodę na ramieniu Birdie.

- Popatrz na siebie. Jesteś jak zwykle skrzywiona! Wyglądasz tak na wszystkich zdjęciach!

- Niezła ekipa - powiedziała Birdie, nie kryjąc wzruszenia. - Chciałabym pokazać te zdjęcia Hannah. To jej dziedzictwo.

- Wobec tego zatrzymaj je sobie - mruknęła Jilly. - Złóż wszystkie do pudełka i zabierz do domu.

- A ty nie chcesz żadnego? - Rose skierowała zdziwony wzrok na Jilly.

## Mary Alice Monroe 133

- Nie. Weźcie je sobie.

- A twoje świadectwa ze szkoły? Jilly potrząsnęła głową.

- Nie chcę niczego. To tylko bezwartościowe papiery. Birdie uniosła brwi do góry.

- Jak możesz tak mówić? - zapytała spokojnie Rose. - To są pamiątki naszej przeszłości.

Jilly wzięła głęboki oddech i potarła skronie opuszkami palców. Przeszłość wirowała w jej głowie niczym płatki śniegu miotane zamiecią.

- Widzisz, właśnie o to chodzi. Otóż ja myślę, że wcale nimi nie są. Cieszą się z tych zdjęć, jakby to były prawdziwe, szczęśliwe wspomnienia. Mówicie nawet, że to skarby. Ale wszystko jest tylko w waszych głowach. Przeszłość, jaką można znaleźć pod tym kurzem, nie jest szczęśliwa. To tylko stworzone przez naszą kochaną mamę pozory.

- Och, Jilly... - mruknęła Birdie. - Nie mów tak. Jilly była jednak wyczerpana i słowa siostry tylko ją zirytowały.

- Wiem, co mówię. Jestem w końcu najstarsza. Pamiętam więcej niż ty. I kiedy patrzę na te fotografie, przypominam sobie, jak tato kazał nam się uśmiechać do zdjęcia. To wszystko jest tylko wyreżyserowanym spektaklem. Wszystko było na niby. Mama przez cały czas udawała. Taka gra. Niebezpieczna, desperacka gra o przetrwanie. Codziennie musiałam kryć to, że pije, udawać, że wszystko jest normalnie. Wszyscy ją kryli, włącznie z tatą, i dlatego na widok tych zdjęć idealnej amerykańskiej rodziny ogarnia mnie wściekłość. Oto sędzia Season i jego cztery córeczki!

**CZTERY PORY ROKU**

- My, przestań! - oburzyła się Rose.

- Wczoraj to ty wydobywałaś spod ziemi brudne tajemnice, więc teraz nie protestuj. To nieuczciwe.

Gdzie są zdjęcia, które pokazują, jak było naprawdę?

Siostry patrzyły na nią z wyrazem zakłopotania.

- Założę się, że w tym pudełku nie ma ani jednego zdjęcia, które przedstawiałoby mamę chodzącą po domu z butelką dżinu albo którąś z nas, jak po przyjściu ze szkoły siedzi przed telewizorem i zapycha się kanapką z masłem orzechowym, bo mama nie zawracała sobie głowy przygotowaniem nam drugiego śniadania. Albo jak tato wymyka się do biura tylnymi drzwiami. Jak ja uciekam z domu przez okno albo jak Birdie w basenie wypruwa sobie żyły, żeby zaspokoić próżność rodziców^kolejnym wygranym medalem, albo jak Rose zaharowuje się w domu na śmierć, żeby tylko byli z niej zadowoleni. Nie złości was to?

Gdy Birdie i Rose nie odezwały się ani słowem, Jilly zaczęła krzyczeć:

- Mnie to złości! Nawet po tylu latach jestem na nich wściekła! Ta rana wcale się nie zagoiła Co z niej była za matka? Miała w nosie wszystkie swoje obowiązki. Birdie, ona była wiecznie nieobecna.

Zostawiła nas samym sobie. Ona...

Naraz urwała w pół słowa, gdy to, co powiedziała, zaczęło docierać do jej świadomości. Nieobecna... porzuciła... Boże, dopomóż mi, myślała z paniką, czując, jak cała krew odpływa jej z twarzy. Jestem taka sama jak moja- matka. Sposób, w jaki siostry na nią patrzyły, mówił jej, że rozumieją, o czym teraz myśli.

- Nie mogę o tym mówić - wykrztusiła z trudem. - Nie mogę.

## Mary Alice Monroe 135

- Przecież wiesz, że nie zawsze tak było - powiedziała Rose ze smutkiem.

- Jak to nie? Rose, popatrz na te zdjęcia! - Jilly przemogła się i wyciągnęła z pudełka garść fotografii.

- Byłaś jeszcze mała. Na tym zdjęciu masz może ze cztery lata, a na tym, ile - ze dwa? Wiesz, dlaczego uważasz te fotografie za świadectwo twojej przeszłości? Bo nie pamiętasz, jak było naprawdę.

Twoimi wspomnieniami są te zdjęcia! Ale one nie są prawdziwe!

Rose podniosła na nią oczy pełne łez. Jilly wrzuciła fotografie do pudełka i stanęła w kącie oparta o duży karton.

- Przepraszam - powiedziała, siląc się na spokój. - Nie miałam zamiaru wyciągać wszystkich tych brudów na wierzch. Od lat starałam się o tym nie myśleć. Ale tak się stało, Rose, że tym listem Merry otworzyłaś puszkę Pandory. Wszystkie demony zostały uwolnione. Nic na to nie poradzę. Nie chciałam ranić ani ciebie, ani Birdie. Nikogo nie chcę ranić. Ale ja się z tym nigdy nie pogodziłam.

- Ja też nie chciałam ciebie ranić - rzekła cicho Rose. Birdie otworzyła usta i znów je zamknęła.

Wydawała

się teraz starsza, niż była i bardzo zmęczona. W ciszy, jaka zapadła, wzięła do ręki plik fotografii i zaczęła je bezmyślnie przerzucać. Naraz, mocno czymś zaintrygowana, chwyciła następną garść i te również szybko przejrzała.

- Zaczekajcie chwilę - zawołała z podnieceniem, grzebiąc w pudełku. Wybrała jeszcze kilka fotografii, a potem zaczęła przerzucać dziecięce ubranka w drugim pudełku. - Wydaje mi się, że jest w tym jakiś inny sens.

Jilly i Rose nie odpowiedziały, pogrążone we własnych myślach.

## 136 CZTERY PORY ROKU

- Tak, bez wątpliwości - podjęła Birdie. - Popatrz, . Rose. Jilly ma rację. Na wszystkich tych zdjęciach jesteśmy jeszcze bardzo małe. I wszystkie ubranka, które mama zachowała, pochodzą z czasów, gdy Meny miała dwa, trzy lata.

- No i co z tego? - zdziwiła się Jilly, odgarniając włosy z twarzy. Marzyła o papierosie.

- Nie rozumiesz? - Birdie wyprostowała się i stanęła tuż przed nią. - Mama wtedy nie piła.

Jilly wzięła głęboki oddech i oparła dłonie na biodrach. Nie chciała iść tam, gdzie Birdie pragnęła ją zaprowadzić.

- Popatrz - powtórzyła Birdie, podając jej kilka fotografii. - Te zdjęcia... naprawdę pochodzą ze szczęśliwych czasów.

Jilly nie wzięła ich do ręki.

- Chcesz powiedzieć, że mama przestała przechowywać wszystkie te rzeczy, gdy zaczęła pić.

- Tak. A zaczęła pić po wypadku Meny. Zapadła chwila milczenia.

- Nie pamiętam, kiedy to było dokładnie - odezwała się w końcu Rose. - Pamiętam tylko, że był okres, gdy byliśmy szczęśliwi, potem w moich wspomnieniach jest spora luka, a potem już byłam starsza, a ona dużo piła. Ale to, co mówisz, ma sens; rzeczywiście mogło tak być, że zaczęła pić dopiero po wypadku.

- To by wyjaśniało również tę lukę w twojej pamięci - podsumowała Birdie

- To smutne. Biedna mama. Wszystko jest jasne - Rose zamyśliła się.

Jilly patrzyła na nią uważnie. W półmroku, ze swą drob-

## Mary Alice Monroe 137

ną sylwetką i złotorudymi włosami wyglądała tak, jak matka w tamtym okresie.

- Rose, nie ma sensu jej usprawiedliwiać. Mama była alkoholiczką.

- Nie.

- Och, nie zaczynaj znowu...

- Jilly - przerwała jej Birdie stanowczo.

Jilly urwała i zwróciła się w stronę siostry z niewzruszonym wyrazem twarzy.

- Naprawdę nie chcę znowu wdawać się w ten spór. Wszystkie dobrze wiemy, że piła jak gąbka, a jeśli któraś z nas nie ma tyle odwagi, by nazwać to po imieniu - popatrzyła na Rose - no to trudno. Każda z nas musi sobie z tym poradzić na swój własny sposób.

- Zostawmy ten temat - zniecierpliwiła się Birdie. - Nie o to teraz chodzi. Chcę ci pokazać, że mylisz się w tym, co powiedziałaś. Miałyśmy cudowne dzieciństwo. Najlepsze na świecie. Mama była wtedy przy nas, obecna całą sobą. Ty i ja miałyśmy szczęście, Jilly, bo byłyśmy już w gimnazjum, kiedy zdarzył się ten wypadek. Rose miała zaledwie sześć lat. Ale ja dokładnie wszystko pamiętam, i choć nie zaprzeczam, że potem zaczęło się piekło, to gdy myślę o naszym dzieciństwie, pamiętam wcześniejsze lata. Zauważ, Jilly, przecież kiedy tutaj weszłyśmy, ty też przypomniałaś sobie nasze zabawy. Nie możesz zaprzeczyć, że były to najwspanialsze dni w naszym życiu.

- Tak, Jilly. Ja też pamiętam - oświadczyła Rose z błyszczącymi oczami. - Pamiętam, jakby to było wczoraj. Pamiętam wszystkie zabawy.

- Na przykład tę? - Birdie pokazała im fotografię, na

**CZTERY PORY ROKU**

której wszystkie trzy, uśmiechnięte i opalone, w dramatycznych pozach wylaniały się z basenu, trzymając się metalowej drabinki. Na głowach miały błyszczące diademy, a na ustach jaskrawoczerwoną szminkę. Na tarasie nad ich głowami stała dwuletnia Meny, również w diademie i z uśmiechem promiennym jak letnie słońce.

Jilly zapatrzyła się na fotografię.

- Syreny - szepnęła.

- To była moja ulubiona zabawa - powiedziała Rose z nostalgicznym uśmiechem, sięgając po zdjęcie.

- To była ulubiona zabawa nas wszystkich - zauważyła Birdie.

- Merry była taka śliczna - westchnęła Jilly. - Kiedy to zdjęcie było zrobione?

- Myślę, że ma tu dwa lata - odrzekła Birdie. - Musiało to więc być w tym samym roku, kiedy zdarzył się wypadek.

Jilly podeszła do okna. Rose stanęła obok i objęła ją mocno. Przez brudną, pękniętą szybę widać było zarys miejsca, gdzie niegdyś był basen. W wyobraźni Jilly mignął makabryczny kolaż: bezwładne białe ramiona, unoszące się na powierzchni rude włosy, falująca niebieska woda. Świergot jakiegoś ptaka przekształcił się w wysoki głos dziewczynki wołającej ją po imieniu: Jilly! Jilly! Pomóż mi!

- Popatrz na jej oczy - powiedziała Birdie ochryłym głosem. - Widać, że jest bardzo podekscytowana naszą zabawą.

- Była bardzo dumna, że jest jedną z Pór Roku - dodała Rose. - Zawsze tak nas nazywała. Zresztą same słyszałyście na taśmie.

Jilly odwróciła głowę od okna.

## Mary Alice Monroe 139

- Może mama schowała gdzieś także nasze diademy? Chciałabym mieć swój na pamiątkę.

- Możliwe, że zostawiła je w basenie i leżą tam, przysypane ziemią - westchnęła Birdie.

Jilly przypomniała sobie wielki samochód-wywrotkę wysypujący do basenu jedną przyczepę ziemi po, drugiej i poczuła bolesny skurcz żołądka. Po kilku głębokich oddechach ból ustąpił. Pomasowała brzuch, z westchnieniem rezygnacji sięgnęła po fotografię syren i znów jej się przyjrzała, tym razem długo i uważnie.

- To był koniec - powiedziała po chwili.

- Koniec czego?

- Koniec naszego dzieciństwa. Ostatnia zabawa - Podniosła wzrok na siostry. Milczały, ale widziała, że ją rozumieją.

- Nigdy o tym nie myślałam - powiedziała cicho Rose.

- Ja też nie - dodała po chwili Birdie - ale może powinniśmy? Może powinniśmy o tym porozmawiać. Nie sądzicie, że już czas?

- Nie - odrzekła Jilly lakonicznie. - To nas do niczego nie doprowadzi. Przeszłość minęła, zostawmy ją w spokoju.

- Ale to nie jest przeszłość - upierała się Rose. - Tylko nasz wspólny problem.

- Przed chwilą sama wyrzucałaś nam, że boimy się prawdy, a teraz chcesz zostawić przeszłość w spokoju. Więc jak to jest? - zapytała Birdie.

Jilly potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi! Jak wielki bagaż winy mogę przyjąć na siebie w jeden weekend? Wynoszę się stąd. - Rzuciła fotografię w stronę Rose, zerwała się na nogi i bardzo szybkim, zdecydowanym krokiem wyszła.



**CZTERY PORY ROKU**

- Jilly! - zawołała Rose, podrywając się z miejsca. - Zaczekaj! To przecież nie była tylko twoja wina! Czy myślisz, że tylko ty czułaś się odpowiedzialna za wypadek Merry? - Stała na szczycie schodów, ale Jilly, nie odwracając nawet głowy, zbiegała w dół. - Wszystkie tak się czułyśmy! Popatrz tylko na zdjęcie, przecież wszystkie byliśmy wtedy w basenie. Wszystkie cztery!

Jilly zniknęła w korytarzu pierwszego piętra.

- Dlaczego ona zawsze to robi? - zapytała bezradnie Rose, zwracając się do Birdie.

- Co?

- Ucieka.

Birdie ze smutkiem wzruszyła ramionami i podniosła się z podłogi.

- Chodźmy jej poszukać. Zajrzały do sypialni Jilly, ale tam jej nie było. Nie było jej również w salonie, jadalni ani w kuchni. Ale Hannah, dojadająca resztki ciasta, powiedziała im, że ciocia Jilly poszła do suterenu.

- Oczywiście - wzruszyła ramionami Birdie. - Poszła do Niższego Królestwa.

- Boże, od ilu już lat nie słyszałam tego określenia - westchnęła Rose.

W dzieciństwie, widząc, że świat dzieli się na dwie części: bogatą i biedną, stworzyły na strychu Wyższe Królestwo pełne światła i przepychu, a w suterenu Niższe Królestwo - przeznaczone dla nieszczęśliwych biedaków.

- Zawsze wolałam Niższe Królestwo od Wyższego - powiedziała Rose.

- Ja też. Zabawniej było głodować i żebrać o jedzenie,

## Mary Alice Monroe 141

niż być królem. Pamiętasz ten irchowy szalik, którym nakrywałam sobie głowę?

- Czy pamiętam? Okropnie ci go zazdrościłam. A w dodatku wcale nie był twój - zaśmiała się Rose. - To był szalik Jilly.

Przystanęły przed drzwiami do sutereny i Rose zapytała:

- A może nie powinnyśmy jej przeszkadzać? Przeżyła wstrząs. Może chce być teraz sama.

- Czas, by przeżyła jeszcze większy wstrząs - odrzekła Birdie z determinacją. - Masz rację, Jilly zawsze ucieka. Ale dopóki będzie uciekać, nigdy nie stanie twarzą w twarz ze swoimi problemami i nigdy nie przestaną jej prześladować. Jak myślisz, dlaczego aż trzy razy wychodziła za mąż? Kobiety, które wyrzekły się swoich dzieci, często mają później problemy w związkach. Nie możemy rozwiązać jej problemów, ale możemy przynajmniej spróbować zmusić ją, by odpowiedziała sama sobie na kilka pytań. Ona potrzebuje pomocy, profesjonalnej pomocy. Przeszła przez to wszystko bez niczyjego wsparcia. I Bóg jeden wie, co przeżyła we Francji jako samotna młoda dziewczyna. - Birdie potrząsnęła głową. - Nie wiem, czy miałabym tyle siły co ona.

- Ale traktujmy ją delikatnie - poprosiła Rose.

- Nie zapominaj, że ja też ją kocham.

- Oczywiście, że tak. Ale, Birdie, wybacz, że to powiem, czasem bywasz trochę brutalna.

- Będę grzeczna - obiecała Birdie.

Znalazły Jilly opartą o stalowy słup. W ustach trzymała niezapalonego papierosa. W przepastnej, wilgotnej suterenie panował przygnębiający półmrok. Przy cementowej ścianie

**CZTERY PORY ROKU**

stał stół do ping ponga zastawiony jakimiś pudłami i starymi narzędziami. Podeszły powoli, Rose - przegarniając włosy, Birdie - z rękami wsuniętymi do tylnych kieszeni dżinsów.

Na ich widok Jilly zsunęła się wzdłuż słupa i usiadła na cemencie.

- Mamo, co wy tam robicie? - zawołała Hannah ze szczytu schodów.

- Rozmawiamy! - odkrzyknęła Birdie. Hannah zaczęła powoli schodzić w dół.

- Wracaj na górę - nakazała jej Birdie. - Chcemy porozmawiać same.

Ciężkie, czarne buciory i nogawki wytartych dżinsów zatrzymały się w połowie schodów, po czym z wahaniem zawróciły i zniknęły z pola widzenia. Hannah gniewnie zatrasnęła za sobą drzwi.

- Mogła tu zejść - powiedziała cicho Jilly.

- Nie. Musimy porozmawiać same, w trójkę. Jilly jednoznacznie spojrzała na schody.

- Ja już mam chyba dosyć rozmów. Rose usiadła na podłodze obok niej.

- Ta rozmowa na górze nie skończyła się tak jak powinna.

Twarz Jilly pozostała nieruchoma.

- Nic nie szkodzi.

Birdie również przycupnęła obok nich. Jilly poczuła się otoczona. Nigdzie nie było już żadnego miejsca, gdzie mogłaby się schronić. W dodatku cementowa posadzka była zimna i wilgotna.

Niespokojnie obróciła papierosa w palcach.

- Zapal go - machnęła ręką Rose. - W tym domu pa-

## Mary Alice Monroe 143

lenie było zabronione tylko ze względu na Meny. Teraz to już nieaktualne.

- Jesteś pewna? - zapytała Jilly, ale już wyciągnęła z kieszeni zapalki.

- Kiedyś cię to zabije - ostrzegła ją Birdie.

- I co z tego? - wzruszyła ramionami Jilly, głęboko zaciągając się dymem. Nie zamierzała teraz wyjaśniać siostrze, dlaczego nie miało dla niej żadnego znaczenia, co się stanie z jej płucami, ciałem, całą tą beznadziejną egzystencją. Była stara i jej życie tak czy owak było już skończone, pełne mroku bardziej zabójczego niż jakikolwiek rak.

- No cóż... - Jilly podniosła wzrok na ich twarze. - Skoro już znaleźliśmy się w Niższym Królestwie, to zdaje się, że nadszedł czas cierpienia i gniewu.

- Dlaczego to miejsce wydaje się teraz takie smutne? - zapytała Rose. - Kiedy przychodziłyśmy się tu bawić, byłyśmy przecież naprawdę szczęśliwe. Nie miałam ochoty w ogóle stąd wychodzić; pamiętam, jak płakałam, kiedy mama wołała nas na górę.

- Może teraz jest nam smutno, bo wiemy, że tamte dni już minęły - zauważyła Birdie. - A wiesz, co ja zapamiętałam najlepiej? Pewność siebie. I nieprawdopodobny optymizm. Naprawdę wierzyłam, że mogę zrobić wszystko, co zechcę. - Wyjęła z kieszeni fotografię czterech syren w basenie i przez chwilę na nią patrzyła. - Co się z nami stało? Byłyśmy pełne marzeń i fantazji. Nie jesteśmy tymi samymi dziewczynami co wtedy.

Jilly potrząsnęła głową z gorzkim śmiechem.

- Ja z pewnością nie.

- Jesteśmy takie same - zaprotestowała Rose. - Tylko

**CZTERY PORY ROKU**

ukryłyśmy te syreny gdzieś głęboko w sobie. Teraz przypominamy sobie rzeczy, o których żadna z nas nie myślała przez trzydzieści lat. Miałam nadzieję, że właśnie to się zdarzy, gdy znów się spotkamy. Jilly, Birdie, nie rozumiecie? Merry właśnie tego chciała. Chciała, żebyśmy pamiętały, żebyśmy wróciły do dzieciństwa. Co za ironia, ona sama nigdy nie wyszła z dzieciństwa, a była taka szczęśliwa. Myślę, że z tym szukaniem Spring właśnie o to chodzi.

Jilly wyciągnęła przed siebie długie nogi, krzyżując je w kostkach. Na twarzy Birdie pojawił się dziwny grymas.

- Powinniśmy to zrobić" - powiedziała Rose. Jilly gwałtownie podniosła głowę.

- Co?

- Znaleźć Spring.

- Och, daj spokój... - mruknęła Jilly, zgniatając papierosa.

- Już o tym rozmawialiśmy - powiedziała Birdie ze znużeniem.

Rose obracała w rękach fotografię.

- To była jej ostatnia prośba.

Głos Jilly zabrzmiał zimno i stanowczo.

- Nie.

- Rose, daj spokój.

- Jesteśmy jej to winne - ciągnęła Rose niewzruszenie. - Każda z nas z innego powodu.-Merry nigdy nie winiła nas za to, co się wydarzyło. Zawsze nas kochała i nigdy wcześniej o nic nas nie prosiła.

Jilly nagle poczuła, że braknie jej tchu, a nagle łomotanie serca za chwilę rozsadzi jej klatkę piersiową.

- Nie znaliście Merry tak dobrze jak ja - mówiła Rose.

## Mary Alice Monroe 145

- Wielka szkoda. Nie mówię tego po to, by was krytykować, ale to prawda. Jilly, ty wyjechałaś z domu, gdy miałaś siedemnaście lat i nigdy nie wróciłaś. Dla ciebie Merry była tylko wiecznym dzieckiem, które kochałaś z daleka. Ty, Birdie, zajmowałaś się finansami tego domu i dbałaś o nasze zdrowie, ale nigdy nie przyjechałaś tu po to, żeby po prostu z nią porozmawiać. Merry była człowiekiem, a nie tylko obowiązkiem. Może obydwie bałyście się odkryć, kim jest naprawdę. Wiem, że wszyscy uważają, że ja się dla niej poświęciłam, ale to wcale tak nie było. Merry była wspaniała. Wiecie o tym, że miała wrodzony talent do ogrodnictwa? Wszystko, co posadziła, fantastycznie rosło. Uwielbiała dokarmiać ptaki i zrobiła nawet listę wszystkich gatunków, które pojawiały się w ogrodzie. Mnóstwo rzeczy ją ciekawiło. Ale przede wszystkim potrafiła kochać z całego serca. Mogła słuchać tego, co mówiłam, całymi godzinami, obojętnie na jaki temat. Zawsze wiedziała, kiedy jest mi smutno, i starała się mnie rozweselić. I bardzo lubiła wszelkie gry. Och, mogłabym mówić o niej godzinami. Tyle rzeczy chciałabym wam opowiedzieć... Gdybyście znały ją lepiej, to może zrozumiałybyście tę prośbę.

- Może masz rację, Rose. Może powinnam to zrobić

- powiedziała cicho Birdie. - Przez wiele lat byłam nieszczęśliwa i nawet nie wiedziałam, dlaczego. Gdy pomyślę o wszystkich marzeniach, jakie kiedyś miałam, o tym, z jaką radością budziłam się co rano... Tęsknię za tą dziewczyną, którą byłam. Chciałabym znów nią być. Powinnam ją odszukać. Ty, Jilly, chyba także miałaś rację. - Wzięła do ręki fotografię i jeszcze raz się w nią wpatrzyła. - To chyba rzeczywiście był koniec naszego dzieciństwa. Ale może uda

**CZTERY PORY ROKU**

nam się je odnaleźć, gdy spełnimy wolę Merry. - Potrząsnęła głową i ze smutkiem przymknęła oczy. - Coś w każdym razie muszę zrobić.

- Ale ja nie mogę - szepnęła Jilly. Birdie otworzyła oczy.

- Nie musisz. Nikt nie chce cię unieszczęśliwiać. Znajdziemy Spring i oddamy jej kapsułę czasu.

- Nie - powtórzyła Jilly twardo. - Nie chcę, żeby ktokolwiek szukał tego dziecka. Czy to jest jasne? Spring to nie jest jakaś abstrakcyjna postać. Nawet nie jest już dzieckiem. To dorosła kobieta, która ma własne życie. Nie możemy tak po prostu wkroczyć w nie tylko po to, żeby załatwić jakieś swoje problemy. Może ona nie chce zostać l' odnaleziona. Nie przyszło wamłó do głowy?

- Nie będziemy jej do niczego zmuszać. Możemy tylko poszukać informacji i podjąć decyzję później. Nawet nie musimy się z nią spotykać.

- To może potrwać całe lata.

- Nic nie szkodzi.

- Poza tym nie mam pojęcia, od czego zacząć - powiedziała Jilly niepewnie. - Nie znam żadnych nazwisk.

- To najłatwiejsza część zadania - stwierdziła Birdie.

- To tylko szczegóły, Jilly. Najważniejsze, żebyś się zgodziła.

- Proszę, Jilly, zgódź się - powiedziała Rose błagalnie.

- Będziemy jej szukać razem. Wszystkie trzy. Będziemy z tobą, prawda, Birdie?

- Przez cały czas.

Gdyby wiedziała, co ją tu czeka, nigdy by nie przyjechała. A jednak jakiś głos w jej sercu szeptał cicho, że to

## **Mary Alice Monroe 147**

nieprawda; że gdzieś głęboko na dnie serca zawsze skrywała nadzieję, że pewnego dnia znów zobaczy swoją córkę. Nie sądziła, że uda im się porozmawiać, to byłoby oczekiwanie zbyt wygórowane. Dręczyła ją jednak ciekawość, jak wygląda jej córka jako dorosła kobieta. Tak, chodziło o czystą ciekawość.

Otworzyła usta, ale zaraz znów potrząsnęła głową. Tym razem jej głos brzmiał już stanowczo.

- Nie. Nie prosicie mnie o to. Nie mogę tego zrobić.

Późnym wieczorem Jilly siedziała na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę, owinięta kocem, i patrzyła w okno. Pokój był ciemny. Księżyc, okrągły i jasny, oświetlał podwórze. Resztki śniegu wyglądały jak wyspy na morzu ciemnego błota i trawy. Nieco dalej widać było ciemniejszy prostokąt trawnika - pozostałość po basenie.

Gdy usłyszała ciche stukanie do drzwi, podniosła głowę i zawołała:

- Otwarte!

Drzwi uchyliły się i Rose nieśmiało zapytała:

- Czy mogę wejść?

- Jasne - odrzekła Jilly, nie odwracając się. Rose usiadła na materacu obok niej.

- Nie zeszłaś na kolację. Martwiłam się o ciebie.

- Nie byłam głodna.

Przez chwilę obydwie patrzyły na podwórze za oknem. W końcu Rose powiedziała:

- Przepraszam, Jilly. Nie powinnyśmy tak nalegać. Nie chciałyśmy cię zdenerwować. Będzie tak, jak zdecydujesz. Ty jesteś dla nas najważniejsza.



**CZTERY PORY ROKU**

Jilly oparła czoło na kolanach, walcząc ze łzami.

- Nie winię nikogo - odrzekła. - Może tylko siebie. Nie wiecie, o co prosicie. Skąd miałybyście wiedzieć? Może wszystko byłoby inaczej, gdybyśmy rozmawiały o tym wtedy, kiedy wróciłam do domu z Marian House. Nie byłoby tych wszystkich tajemnic i może nie wyjechałabym. - Wzruszyła ramionami. - Ale stało się tak, jak się stało. W ogóle nie jesteście w stanie sobie wyobrazić, jakie to było bolesne. Miałam wtedy wrażenie, że wszyscy myślą tylko o tym, żeby jak najprędzej pozbyć się mnie z domu.

- Nie, Jilly! Nie chciałyśmy, żebyś wyjeżdżała. Nie miałyśmy pojęcia, co się dzieje!

- Wiem, wiem. Wtedy też o tym wiedziałam, ale ból nie był przez to mniejszy. - Odwróciła głowę i spojrzała na księżyc - Wiesz, co robiłam, kiedy zapukałaś? Patrzyłam za okno i przypominałam sobie czasy, gdy miałam może trzynaście lat. W lecie bardzo lubiłam leżeć tu przy oknie i patrzeć, jak nietoperze wślizgują się do wody. To mnie uspokajało. Birdie miała rację. To były piękne czasy. Byłam taka... - zawahała się - zadowolona z życia. Już nigdy później tak się nie czułam.

Rose słuchała w milczeniu.

- Potem zaczęłam szaleć. Bardzo. I wszystko popsułam. Zniszczyłam życie całej rodziny.

- Musi ci być bardzo ciężko...

- Jest.

- Ale przecież mówiłaś, że nas nie winisz. Jilly, musisz przestać obwiniać także siebie. Minęło już tyle lat. Byłaś bardzo młoda. Przestań o tym myśleć.

- Jak możesz żądać, żebym przestała o tym myśleć, sko-

## Mary Alice Monroe 149

ro równocześnie nalegasz, żebym zajęła się odgrzebywaniem przeszłości? Zastanawiam się nad tym od dwóch dni i nadal myślę, że nie powinnam jej szukać. Mogę tylko zniszczyć jej życie, tak jak zniszczyłam własne. Poza tym w gruncie rzeczy miała szczęście, że ją oddałam. Nie jestem stworzona do macierzyństwa. Brak mi poczucia odpowiedzialności. Nie można mieć do mnie zaufania. Nie jestem...

- Przestań się oskarżać! Tak, oddałaś swoje dziecko do adopcji, ale nie zrobiłaś tego ot, tak sobie, były ważne powody. Sama mówisz, że nie dostałaś wsparcia od nikogo. Jaki miałaś wybór? Sama byłaś jeszcze dzieckiem, a musiałaś podejmować dorosłe decyzje. Postąpiłaś najlepiej, jak mogłaś. A teraz powinnaś sobie to wybaczyć.

- Możliwe, że ona mi tego nie wybaczyła nigdy.

- A może uważa, że nie ma ci czego wybaczać? Oczy Jilly napełniły się łzami. Pozwoliła im płynąć. Jej siostra siedziała obok, milcząco.

- Boję się, Rose - wyznała. - Nie umiem przełamać lęku. Myśl o powrocie do przeszłości przeraża mnie.

- Jeśli nie wrócisz i nie uporządkujesz tego wszystkiego, to nigdy się od tej przeszłości nie uwolnisz. Ze strony Jilly dobiegło drżące westchnienie.

- Rose, co ja mam zrobić?

Rose wzięła ją za rękę z uspokajającym uśmiechem.

- A co chcesz zrobić?

- Chcę wrócić do domu - odrzekła Jilly bez zastanowienia.

Rose pochyliła się do niej i objęła ją mocno. Poczucie bezpieczeństwa, jakie ogarnęło Jilly, uświadomiło jej, jak bardzo go potrzebuje. Pragnęła znów odnaleźć w sobie błó-

150

### **CZTERY PORY ROKU**

gi, niewinny spokój tamtego ostatniego lata, kiedy jeszcze była zadowolona ze świata i z siebie. Warto wiele poświęcić, by odzyskać to uczucie.

Widziała przed sobą niezmierny ocean strachu i zaprzeczeń i zdawała sobie sprawę, że musi przezeń przejść. Mocno pochwyciła rękę Rose, zamknęła oczy, wzięła głę boki oddech i z uczuciem, jakby rzucała się z urwiska, szepnęła:

- Zgadzam się.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Drogi Danny,

Tak wiele rzeczy zdarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, że nie wiem, od czego zacząć. Najważniejsze chyba jest to, że moje siostry i ja zaczynamy naprawdę rozmawiać. Runęły mury Jerycha! Po dość trudnej rozmowie postanowiłyśmy odnaleźć dziecko, które moja siostra dawno temu oddała do adopcji. To była ostatnia prośba Meny. Pakujemy się i wyruszamy na poszukiwania. Kolejna decyzja, jaką musimy podjąć, dotyczy sprzedaży tego domu. Wiem, że siostry nie chcą ranić moich uczuć, i jestem im za to bardzo wdzięczna. Mam jednak rozdarte serce. Spędziłam w tym domu całe życie i cierpię na myśl, że będę musiała się stąd wyprowadzić. Widzisz, zrezygnowałam ze studiów, żeby opiekować się chorą matką i siostrą, która w dzieciństwie przeszła uraz mózgu. Ktoś musiał to zrobić, a ja chciałam. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie pytałam, co się stanie z domem, ale jeśli mam być zupełnie szczerą, to jeszcze do niedawna chciałam go zatrzymać. Zasłużyłam na ten dom. W końcu to dzięki mojej decyzji siostry mogły stąd odejść i ułożyć sobie własne życie. Jilly, moja najstarsza siostra, zrobiła w Europie karierę jako modelka. Zagrała nawet we włoskim westernie z Clin-

**CZTERY PORY ROKU**

tem Eastwoodem. Birdie skończyła studia medyczne, wyszła za mąż i ma własną rodzinę. Nikt mnie nie prosił, żebym została w domu, ale kto miał to zrobić? Nie mogłabym oddać siostry do zakładu. Nigdy bym się na to nie zdecydowała.

Nie wiem, dlaczego, ale czuję, że Tobie mogę wyznać całą prawdę. Teraz, patrząc wstecz, widzę, że jedną z przyczyn mojej decyzji była bezwładność. Tak naprawdę nigdy nie zastanawiałam się, czy chcę czegoś, czy nie. Ale teraz mam wybór i mogę zmienić swoje życie. Mogę decydować, co chcę robić dalej. I co najdziwniejsze, nie chcę tego domu! Jest zbyt duży, za stary, zbyt drogi w utrzymaniu, za bardzo obciążony wspomnieniami, dobrymi i złymi. Chcę zacząć wszystko od nowa.

Obawiam się tylko, że nie mam dokąd pójść. Niczego właściwie nie umiem robić. Przypuszczam, że mogłabym się zatrudnić jako opiekunka. Z pewnością mam do tego wystarczająco wiele doświadczenia! A szczerze? Nie wiem, czym chciałabym się zająć. Właśnie to jest najbardziej przerażające.

Tak czy owak, teraz, gdy Ci o tym napisałam/czuję się lepiej. Dziękuję Ci, że tam jesteś, Rosebud  
Droga Rosebud,

Rzeczywiście wiele się u Ciebie dzieje. Ale nie śpiesz się z niczym. Moja mama zawsze powtarzała, że gdy się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy, czy coś w tym rodzaju, i myślę, że to prawda. Rozumiem Cię, gdy piszesz, że dom powinien pozostać Twój. Myślę, że masz rację, ale życie

## **Mary Alice Monroe 153**

nie zawsze jest sprawiedliwe. Czasami trzeba je przyjmować po prostu takim, jakie jest. Opowiem Ci o pierścionku mojej babci Sue.

Babcia po swojej śmierci nie zostawiła wiele. Kilka mebli, trochę naczyń, ale nic naprawdę wartościowego. Jediną cenną rzeczą był pierścionek z brylantem - wyszukany, z mnóstwem malutkich brylancików osadzonych wokół jednego większego. To się chyba nazywa pierścionek koktajlowy. Szczerze mówiąc, nie sędzę, by wart był aż tak wiele, ale babcia dostała go od dziadka Hanka i z dumą nosiła przy każdej większej okazji. Dlatego, gdy umarła, wszyscy chcieli ten pierścionek dostać. Babcia miała dwóch synów i trzy córki, a jedną z nich była moja mama. No cóż, zaczęły się walki o pierścionek. Babcia powinna była wyraźnie wskazać osobę, która ma go odziedziczyć, ale chyba nie potrafiła się z nim rozstać nawet w myślach.

Pewnego dnia pierścionek po prostu zniknął i nikt nie umiał go znaleźć. Oczywiście natychmiast zaczęły się wzajemne oskarżenia. To było dziesięć lat temu, a moja mama z tego powodu do tej pory nie rozmawia z jedną ze swoich sióstr.

Nigdy już chyba się nie dowiemy, co się stało z pierścionkiem. Moim zdaniem zabrał go dziadek Hank, który grał na wyścigach, ale nie ma na to dowodu. No cóż, mam nadzieję, że pierścionek przyniósł mu szczęście w grze. Niech spoczywa w spokoju. Często w rodzinie rozmawiamy o pierścionku, zwykle po kilku piwach, gdy języki się rozluźniają. Teraz wszyscy się zgadzają, że trzeba było po prostu sprzedać pierścionek, nawet jeśli każdy dostałby tylko po dziesięć dolarów. Tak naprawdę nikomu się on nie

**CZTERY PORY ROKU**

podobał, był brzydki, wielki i krzykliwy. Miał wartość głównie jako pamiątka po babci. Wiem, że moja mama tęskni za swoją mamą, ale jeszcze bardziej tęskni za siostrą, z którą nie rozmawia! Więc nie wahaj się, tylko zgódź się na sprzedaż domu! Podziel się pieniędzmi z siostrami i zacznij nowe życie, o którym marzysz. Nie chcesz chyba jednak zostać opiekunką czy czyjąś panią do towarzystwa - chociaż mówiąc poważnie, czuję się w tej ciężarówce bardzo samotny. Może pojeździsz ze mną przez jakiś czas?

Pamiętam, co powiedziała moja babcia Sue: „Zabiorę ten pierścionek ze sobą”. Cha, cha. To był żart. Tak naprawdę mawiała, że budynek to jeszcze nie dom. Nawet wyhafto- « wała to na poduszce. I to jest prawda.

Napisz mi, jaka będzie Twoja decyzja.

Twój przyjaciel,

Danny

Następnego ranka Birdie zadzwoniła do pana Collinsa i powiadomiła go o decyzji Jilly.

- To doskonała wiadomość - rzekł z wyraźnym zaangażowaniem. - Obydwoje z żoną mieliśmy nadzieję, że tak się stanie. Chciałbym was jeszcze raz zapewnić, że choć list najprawdopodobniej nie miałby mocy prawnej, gdyby przedstawić go w sądzie, to jednak jestem przekonany o słuszności podjętej przez Jilly decyzji.

- Dziękuję panu za pomoc i za dobroć, jaką okazał pan Meny. Nie była to prosta decyzja, ale myślę, że ma pan rację. Wola Meny zasługuje na uhonorowanie.

- Jillian jest bardzo dzielna.

## **Mary Alice Monroe 155**

- Tak, to prawda. Ale nie zostanie z tym sama. Rose i ja pojedziemy z nią.

- To świetnie. Będzie bardzo potrzebowała waszego wsparcia. Poproś ją, żeby do mnie zadzwoniła.

Myślę, że będę mógł pomóc.

Jilly ubrała się w elegancki granatowy kostium, związała włosy w węzeł i wybrała się w odwiedziny do pana Collinsa. Powitała ją pani Collins, przystojna starsza kobieta o niebieskich oczach, również ubrana z poczuciem elegancji, lecz skromnie. Znała cel wizyty Jilly i po kilku minutach uprzejmej pogawędki zaprowadziła ją do gabinetu męża. Pan Collins wstał i wyciągnął rękę na powitanie. Nawet w domu miał na sobie garnitur i krawat. Jillian usiadła na wygodnym skórzanym krześle i po chwili przeszli do rzeczy.

- Takie poszukiwania są skomplikowane i bardzo wyczerpują emocjonalnie. Na pewno spotkasz wiele osób, które będą kłamać i wysyłać cię w ślepy zaułek. Będą też tacy, którzy powiedzą ci wprost, że nie masz prawa szukać swojej córki, i będą to uzasadniać najrozmaitszymi argumentami. Najczęściej usłyszysz, że możesz zniszczyć jej życie. Ale nie słuchaj tych ludzi i nie pozwól, by cię zatrzymali. W żadnej części naszego kraju poszukiwanie dziecka oddanego do adopcji nie jest nielegalne. Istnieją jednak rozmaite przeszkody. Jako prawnik, który reprezentował ciebie i twoich rodziców przy adopcji, być może będę mógł usunąć niektóre z nich.

- Nie mam pojęcia, od czego zacząć - przyznała Jilly. - Chciałam najpierw dotrzeć do dokumentów adopcyjnych.



**CZTERY PORY ROKU**

- Niestety, jest bardzo możliwe, że są one utajnione. Możesz napisać podanie z prośbą o udostępnienie tych dokumentów, ale musisz się liczyć z decyzją odmowną. Nie martw się jednak - powiedział z łagodnym uśmiechem. - Właśnie w tym mam nadzieję ci pomóc. Mogę zadzwonić do znajomego, który jest sędzią w Wisconsin, i poprosić go, żeby postarał się uzyskać bezpośredni dostęp do dokumentów. W Wisconsin, gdzie miała miejsce adopcja, moja licencja nie jest ważna. Rodzice adopcyjni najprawdopodobniej również wynajęli prawnika. Najlepiej by więc było, gdybyś tam pojechała i sama spróbowała trochę poszukać. Jedź najpierw do Marian House i sprawdź, czy mają jakieś archiwa, a potem do szpitala, w którym rodziłaś.

- Mam jechać do Marian House? - powtórzyła Jilly z przerażeniem.

- O ile wiem, siedziba zakonu nadal się tam znajduje, nie jestem tylko pewien, czy istnieje jeszcze dom dla samotnych matek.

- Nienawidzę tej nazwy. Czułam się tam jak przestępca. Pan Collins opuścił wzrok na swoje dłonie.

- Bardzo mi przykro, że tak się czułaś.

- Pojadę, skoro to konieczne. - Urwała na chwilę. - Czy są jakieś agencje, które mogłyby się zająć poszukiwaniami w moim imieniu?

- Owszem, są osoby, które wykonują takie usługi za opłatą, ale problem w tym, b.y znaleźć kogoś wiarygodnego. Musiałabyś bardzo dokładnie sprawdzić referencje. I jest to kosztowne.

- Moja sytuacja finansowa jest, szczerze mówiąc, beznadziejna.

## **Mary Alice Monroe 157**

Pan Collins uniósł brwi i w jego oczach mignęło współczucie..

- Ach. No cóż, osobiste poszukiwania mogą być trudniejsze, ale też mogą ci przynieść wiele innych korzyści. Może się nawet okazać, że będą miały wpływ terapeutyczny. I pamiętaj, Jillian, że nie jesteś sama. Siostry będą ci pomagać. Ja ze swojej strony postaram się otworzyć przed tobą jak największą ilość drzwi. Prawdę mówiąc, skontaktowałem się już z pewną osobą z Ośrodka Informacji o Adopcjach, która ma sporo przydatnych ci kontaktów, i choć nie wolno mi ujawniać jej metod, to jestem pewien, że zdobędzie dla mnie listę nazwisk, która pozwoli przynajmniej zawęzić obszar poszukiwań.

Gdy Jilly spojrzała na niego z wyraźnym niezrozumieniem, pan Collins dodał:

- Jedno z tych nazwisk będzie nazwiskiem twojej córki. Jilly siedziała zupełnie ogłuszona. Nazwisko córki.

- Oczywiście, zabierze to trochę czasu. Ty będziesz musiała się zająć eliminowaniem z tej listy kolejnych nazwisk. Ale jeśli dotrzemy do dokumentów adopcyjnych, wszystko potoczy się szybciej. Radzę ci również, żebyś jak najszybciej wypełniła ankietę w agencji adopcyjnej. Dzięki temu, jeśli twoja córka również będzie szukać informacji o tobie i zwróci się do agencji lub sądu, otrzyma twoje dane natychmiast i będzie mogła nawiązać z tobą bezpośredni kontakt. Czy masz telefon komórkowy?

- Birdie na pewno ma.

- Sprawdź, czy można z niego korzystać poza granicami stanu. Musimy mieć ze sobą łączność.

Proponuję, żebyś zostawiła numer w agencji i nadała mi uprawnienia pośrednika.

**CZTERY PORY ROKU**

- Jak pan myśli, ile to może potrwać?
  - Trudno powiedzieć. Każda sytuacja jest inna. Czasami poszukiwania trwają tylko kilka dni, a czasem rok lub więcej. Wiele zależy od tego, czy informacje są dostępne i czy twoja córka również cię szuka. Jilly odchyliła się na oparcie krzesła.
  - Mój Boże, o tym w ogóle nie pomyślałam.
  - Jest wiele powodów, dla których adoptowane dzieci szukają swoich matek. Ile twoja córka teraz ma lat?
  - Prawie dwadzieścia sześć.
  - Aż tyle? - zdziwił się pan Collins. - Trudno w to uwierzyć. Ale w takim razie prawdopodobieństwo, że cię szuka, jest spore. Od chwili ukończenia osiemnastu lat ma prawo podjąć działania w tym kierunku bez pozwolenia rodziców. Istnieją również medyczne powody takich poszukiwań. Jeśli sama ma dzieci, to z pewnością zależy jej na medycznej historii rodziny. Może też zwyczajnie chcieć cię poznać. Kto wie?
  - Co powinnam zrobić najpierw?
  - Zaczynij pisać dziennik. Zanotuj wszystko, co pamiętasz, i zapisuj wszystko, czego się dowiesz w trakcie poszukiwań. Nie omijaj żadnego szczegółu, choćby wydawał ci się najbardziej błahy. Nigdy nie wiadomo, który fragment układanki okaże się rozstrzygający. Tego rodzaju przedsięwzięcie składa się z wielu etapów. Zrób pierwszy krok, a reszta przyjdzie sama.
- Jilly rozplotła zaciśnięte dłonie i podniosła się.
- Chyba jeszcze nie podziękowałam panu za pomoc.
  - Nie było takiej potrzeby.
  - Szczersze mówiąc, to ja nie widziałam takiej potrzeby

## Mary Alice Monroe 159

- roześmiała się. - Czułam gniew. Chyba nienawidziłam pana za to, że pomógł pan odebrać mi moje dziecko.

Te słowa chyba sprawiły mu cierpienie.

- Przykro mi, że tak się czułaś.

- Byłam młoda. Nigdy nie chciałam oddawać mojej córki. Wiedział pan o tym?

Zmarszczył czoło i potrząsnął głową.

- No cóż, teraz nie ma to już znaczenia - uśmiechnęła się Jilly blado. - Mam tylko nadzieję, że moje dziecko trafiło do dobrych rodziców i miało piękne dzieciństwo...

- Gardło jej się ścisnęło. Przyłożyła palce do drżących ust. i wybuchnęła: - Dlaczego kazali mi ją oddać? Co było takiego strasznego w tym, że wychowywałabym dziecko sama? Mama i tato w ogóle nie brali takiego rozwiązania pod uwagę!

- To były inne czasy - przypomniał jej pan Collins łagodnie. - Wybór był mniejszy.

Jillian otarła oczy i wstała.

- Dziękuję panu. O dwadzieścia sześć lat za późno. Pan Collins przytrzymał jej dłoń.

- Wybacz, że powiem jak ojciec... ale myślę, że Bill nie miałby nic przeciwko temu. Takie poszukiwania niosą ze sobą bardzo dużo przeżyć. Mogą ujawnić stare lęki i kompleksy. Ale mogą również przynieść wspaniałe niespodzianki. Podejmij je z otwartym sercem i umysłem. Nie wahaj się przyjąć pomocy ode mnie i od sióstr. Tym razem, Jillian, nie jesteś sama.

Urwał i zauważyła, że jego oczy zwilgotniały.

- Zdaję sobie sprawę, że wszystko, co robiliśmy, było spowite tajemnicą i że cierpiałaś z tego powodu. Jestem już

**CZTERY PORY ROKU**

stary i widziałem w życiu wiele zmian. Myślę, że gdyby twoi rodzice jeszcze żyli, również przyłączyliby się do twoich poszukiwań.

Jilly westchnęła głęboko i spokojnie. Pragnęła wierzyć, że tak by się stało, ale stare blizny były jeszcze zbyt bolesne. Pomyślała sobie jednak, że zabierze te słowa w czekającą ją podróż.

Rodzina zebrała się przy mahoniowym stole w jadalni i Jilly powtórzyła wszystkim, czego się dowiedziała od prawnika.

- To znaczy, że możemy poznać Spring nawet już w przyszłym tygodniu! - wykrzyknęła Rose. - To niewiarygodne!

- To będzie tylko jedno zlyielu nazwisk na liście - ostrzegła ją Jilly. - Nie ma sensu robić sobie zbyt wielkich nadziei. I tak musimy pojechać do Marian House. Nie zamierzam jechać tam sama.

- Nie pojedziesz sama. Przecież obiecałyśmy, że będziemy z tobą przez cały czas - przypomniała jej Birdie.

Dennis utkwiał w żonie zdumione spojrzenie.

- Ty też jedziesz?

- Tak - odrzekła Birdie po chwili wahania, czerwieniąc się.

Dennis z trzaskiem odłożył sztucce na stół.

- A kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

- Mamo, czy ja też mogę jechać? - wtrąciła Hannah.

- Jeśli to jakiś kłopot, to mogę pojechać tylko z Rose - dodała Jilly.

- Nie. Powiedziałam, że pojedę, i pojedę. Dennis, czy możemy porozmawiać o tym, kiedy będziemy sami?

## Mary Alice Monroe 161

- Wydaje mi się, że i tak już podjęłaś decyzję. Jak zwykle - dodał, odrzucając serwetkę. - Przepraszam. Po jego wyjściu w jadalni zapanowało napięcie.

- Naprawdę, Birdie... - zaczęła Rose.

- Już postanowiłam, że jadę. Jest mi to potrzebne - wyjaśniła Birdie cicho.

- Czy ja też mogę jechać? - poprosiła znów Hannah. - Naprawdę bardzo bym chciała. W przyszłym tygodniu i tak są ferie wielkanocne, a w domu nie ma nic do roboty.

Birdie miała ochotę odmówić, ale patrząc w rozjaśnione nadzieją oczy córki, zawahała się.

- Dobrze - odrzekła. - Powiem o tym twojemu ojcu.

Dennis pakował swoje *rzeczy* do walizki. Birdie niepewnie zatrzymała się w progu.

- Dokąd się wybierasz?

- A co cię to obchodzi? - odrzekł bezbarwnie.

- Dennis, zachowujesz się jak dziecko.

- Dziękuję - mruknął, dorzucając do walizki skarpetki. Następnie wyciągnął z szafy trzy koszule i położył je na wierzch, nie zwracając sobie głowy składaniem.

- Znów to robisz - powiedziała Birdie. - Wycofujesz się. Uciekasz.

Gdy nie odpowiedział, weszła i zamknęła za sobą drzwi. Nie zносиła tego gościnnego pokoju z mnóstwem białych koronek. Nigdy nie czuła się to dobrze.

- Zostaw tę walizkę na chwilę. Musimy porozmawiać. Zatrzymał się i podniósł na nią wzrok. Gdy się wreszcie

odezwał, głos miał opanowany, ale oczy błyskały groźnie zza okularów.

## 162 CZTERY PORY ROKU

- Nie wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać. Postanowiłaś pojechać na te bezsensowne poszukiwania, nie pytając mnie o zdanie, więc ja też postanowiłem wybrać się na wycieczkę.

- Dokąd?

- Nie wiem. Gdziekolwiek. Potrzebuję wakacji - zaśmiał się krótko. - Może pojedę na motocyklu. Wszedł do łazienki i zaczął pakować przybory toaletowe.

- O czym ty mówisz? Skąd ten pomysł? - zawołała za nim Birdie.

- Słowa, słowa, słowa. - Wrzucił kosmetyczkę do walizki i spojrzał na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Nie mamy w tym wielkiej- wprawy. Rozmowa, komunikacja, dyskusja. To takie ćwiczenie w używaniu słów. Rzadko to robimy. Ty używasz słów, by mi rozkazywać. Mówisz mi, co robię nie tak, albo mówisz to samo Hannah. Zawsze jest coś, na co narzekasz i co ci się nie podoba. Ale rozmowa? - Potrząsnął głową. - Nie, Birdie, tym się raczej nie zajmujemy.

- Ty też ze mną nie rozmawiasz! - odparowała. - Nigdy niczego ze mną nie uzgadniasz. Zamykasz się w sobie.

- Trudno jest rozmawiać, gdy druga osoba tylko wydaje polecenia.

Birdie spojrzała na niego spokojnie.

- To niesprawiedliwe. Przy stole to ja poruszam jeden temat za drugim, a ty siedzisz i nie reagujesz. Przecież tak jest. Kiedyś przesiadziałam całą kolację w milczeniu, żeby sprawdzić, czy się odezwiesz. Nie odezwałeś się. Hannah też nie. Zjedliśmy bez jednego słowa.

## Mary Alice Monroe 163

- Niektórzy mogliby to nazwać świętym spokojem. Birdie wyrzuciła ręce do góry.
  - Poddaję się. Mam już dość. I ciebie, i Hannah. Wy...
  - Następna sprawa! - wybuchnął Dennis z nieoczekiwaną złością. - Atakujesz Hannah. Ciągłe masz do niej o coś pretensje. Nie widzisz, jaką krzywdę jej wyrządzasz? Zamyka się w sobie i zaczyna się objadać...
  - Jak śmiesz mnie o to winić! Dennis stanął tuż przed nią i spojrzał jej prosto w twarz.
  - Możesz się mnie czepiać, ile tylko chcesz, ale ją zostaw w spokoju! - powiedział cichym, groźnym głosem, w którym Birdie wyczytała nieskrywaną nienawiść.
    - Ja nie... - zaczęła bezradnie.
  - Tak - przerwał jej brutalnie. - Tak właśnie robisz. Nigdy nie jesteś z niej zadowolona. Przystawiasz ją z kąta w kąt jak kapral. Wiecznie coś ci się w niej nie podoba. Wobec mnie zachowujesz się tak samo. To jest znęcanie się. I życzę sobie, żebyś przestała to robić.
- Birdie zadrżała na samą myśl, że miałyby się znęcać nad własną córką. Nikogo na świecie nie kochała bardziej niż Hannah; Dennis nie miał racji.
- A jednak w głębi duszy wiedziała, że jest w tym ziarno prawdy. Wiedziała, że jest w niej gniew, który ostatnio coraz bardziej wymyka się spod kontroli. Próbowwała przerwać ten zakłęty krąg, ale bezskutecznie.
- Dennis, czy ty nie widzisz, co się z Hannah dzieje? Ona wpada w depresję. Popatrz na jej stosunek do jedzenia. A im bardziej tyje, tym jej depresja się pogłębia. To śmiertelnie niebezpieczne błędne koło. Oczywiście, że uważnie ją obserwuję.
  - fc Depresja w tym wieku jest bardzo niebezpieczna.



**CZTERY PORY ROKU**

- Ona nie ma depresji. To tylko taki etap rozwoju.
  - To by było zbyt proste. Ale jak sobie chcesz. Ja za bardzo ją kocham, żeby zostawić ją własnemu losowi. Tak postąpili moi rodzice z Jilly. Nie pozwolę, żeby to samo J przytrafiło się mojemu dziecku.
  - Na litość boską, Birdie, to zupełnie nie tak! Hannah jest dobrym dzieckiem. Uspokój się.
  - Oczywiście, że jest dobrym dzieckiem! I dlatego trzeba jej dobrze pilnować.
  - Jesteś przewrażliwiona!
  - A tobie właśnie brakuje wrażliwości! Dennis zaśmiał się krótko i gorzko.
  - Widzisz? Właśnie o tym mówię. My nie rozmawiamy.
  - Naprawdę próbuję.... Żak bardzo się staram być dobrą matką...
- Głos Birdie załamał się. Zakryła twarz rękami, pewna, że Dennis natychmiast wykorzysta ten moment słabości przeciwko niej. Ale co dziwne, jej wybuch podziałał na niego uspokajająco. Opuścił ramiona, przeganiając włosy dłońmi i odetchnął głęboko.
- Wiem, że się starasz - powiedział z głębokim smutkiem, który napełnił ją jeszcze większym lękiem. Opuściła ręce i wpatrzyła się w jego twarz.
  - Wiem, że jesteś dobrą matką. Jestem pewien twoich uczuć. Ale za wiele bierzesz na siebie, Birdie. Wydaje ci się, że wszystkiemu podołasz. Ciągłe chcesz coś udowodniać światu i w końcu wszystko staje się dla ciebie bitwą. Ciągłe dążysz do perfekcji. Ale w życiu nie ma ideałów.
  - Może masz rację - podjął już ciszej. - Ja się wycofuję. Im bardziej ty atakujesz, tym bardziej ja uciekam. Birdie,

## **Mary Alice Monroe 165**

zmieniasz się w jędzę - powiedział bez gniewu. - I ja już nie chcę znosić tego dłużej.

W pokoju zapanowała martwa cisza Birdie była bardzo blada. Dennis patrzył na nią krytycznie, bez emocji i w taki sposób, że nagle zdała sobie sprawę ze swojej bezkształtnej figury, wyciągniętego swetra, nieuczesanych włosów. Ona również przyglądała mu się uważnie. Widziała wszystkie szczegóły jakby w powiększeniu: przenikliwe oczy otoczone głębokimi zmarszczkami, przerzedzone brązowe włosy mocno przyprószone siwizną, pełne usta poblądłe z gniewu i wyczerpania. Uświadomiła sobie, że zestarzelili się razem - i że bardzo się od siebie oddalili.

Dennis położył ręce na walizce i zamknął ją.

- Wiem, że starasz się, jeśli chodzi o Hannah - powiedział ze znużeniem. - Ale nie, jeśli chodzi o mnie. Mam już dość tego ciągłego odpychania. Potrzebuję czegoś więcej. Więzi. Radości. Seksu. Nie staję się coraz młodszy. A wiesz, co jest najgorsze?

Potrząsnęła głową i obronnym gestem splotła ramiona na piersiach. Wiedziała, że to, co usłyszy, bardzo ją zaboli.

- Chciałem wybrać się z tobą w podróż. Od lat błagałem cię, żebyśmy gdzieś wyjechali.

Gdziekolwiek. Przynosiłem do domu foldery z biur podróży. Nawet rezerwowałem loty. Ale ty zawsze byłaś za bardzo zajęta albo nie chciałaś nigdzie jechać bez Hannah. Nawet na weekend! A teraz mówisz mi, że jedziesz w podróż z siostrami? W dodatku w ostatniej chwili? Jedziesz z nimi, chociaż nie chciałaś pojechać ze mną! Jak ja mam się teraz czuć?

Odwrócił głowę, ale Birdie zdążyła zauważyć, że w jego oczach błysnęły łzy.

**CZTERY PORY ROKU**

- Spróbuj to zrozumieć, Dennis - powiedziała głosem nabrzmiętym targającymi nią emocjami. - Trudno mi to wyjaśnić. Ostatnio czułam się bardzo nieszczęśliwa. To wszystko musi mieć wspólną przyczynę. To leży gdzieś we mnie, nie w tobie. Potrafisz to zrozumieć?

Skinął głową i Birdie odetchnęła z ulgą.

- Wiem; i widzę, że ostatnio coś jest z tobą nie tak - powiedział, ale w jego głosie nie było współczucia.

- Nasze małżeństwo i tak się rozsypuje. Więc przestańmy udawać.

Birdie poczuła emanujący z tych słów lodowaty chłód. Stała z otwartymi ustami i bezwładnie zwieszonymi ramionami, gdy Dennis podniósł walizkę i wyszedł.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Dennis zdecydowanym krokiem wszedł do kuchni.

- Chodź, Hannah - zawołał. - Wyjeżdżamy.

Jilly i Hannah raptownie odwróciły głowy. Gdy rodzice Hannah kłócili się na górze, Jilly zauważyła jej niepokój, zabrała ją do kuchni, zamknęła drzwi i dla odwrócenia uwagi zaproponowała wspólne sporządzenie listy rzeczy, które trzeba było zabrać w podróż. Teraz w oczach Hannah pojawiło się coś więcej niż zaskoczenie.

- Co się dzieje? - zapytała Jilly. Dennis nie odrywał oczu od córki.

- Jedziemy do domu. Pakuj swoje rzeczy.

- Ja nie jadę - odparowała Hannah buntowniczo, wzrokiem błagając ciotkę o pomoc.

- Birdie powiedziała, że Hannah może jechać z nami - wtrąciła Jilly łagodząco. - Dlaczego nie chcesz jej na to pozwolić? Niech się trochę rozerwie.

- Powiedziałem: nie. Idź się pakować - uciął krótko Dennis.

Hannah zerwała się z krzesła.

- Nie! Nie jadę do domu. Nie zmusisz mnie do tego! Odepchnęła krzesło i wybiegła z kuchni, trzaskając drzwiami. Dennis natychmiast pobiegł za nią. Jilly zerwała

**CZTERY PORY ROKU**

się na równe nogi. Dogoniła go na werandzie i mocno pochwyciła za ramię.

- Daj jej spokój!

Hannah biegła przez podwórze i zniknęła za wysokim żywopłotem.

- Daj jej czas, żeby mogła ochłonać. Za chwilę wróci. Dokąd miałyby pójść?

Poczuła, że zdenerwowanie, z jakim Dennis wszedł do kuchni, mija, i z lekkim zażenowaniem cofnęła rękę. Przesunął dłonią po włosach i spojrzał na nią krytycznie.

- Dlaczego to robisz?

-Co?

- Zmuszasz wszystkich, żeby tańczyli, jak im zagrasz.

- Ja?!

- Zawsze taka byłaś, manipulowałaś ludźmi według swojej woli.

- Sama już nie wiem, co mnie złości bardziej - powiedziała, cofając się. - Twój stosunek do tej podróży czy to, że mnie przypisujesz jej zainicjowanie. Mylisz się w obydwu przypadkach. Jeśli ktokolwiek może się tu uważać za ofiarę, to przede wszystkim ja.

- Powstrzymaj więc to szaleństwo.

Jilly zawahała się, ostrożnie dobierając słowa. Myśli wirowały jej w głowie.

- A co w tym wszystkim najbardziej cię denerwuje?

- Dobrze, powiem ci. Od dawna chciałem spędzić trochę czasu sam na sam z moją żoną, ale ona zawsze była zbyt zajęta. A teraz nagle, bum! Dla ciebie ma czas.

- Ona nie robi tego dla mnie, tylko dla siebie. I chwala jej za to. Gdybyś choć na chwilę był w stanie zauważyć

## Mary Alice Monroe 169

kogoś innego, nie tylko własny pepek, to widziałbyś, jak bardzo Birdie jest nieszczęśliwa.

Twarz Dennisa pokryła się ciemną chmurą.

- Rozumiem. Więc całe to przedsięwzięcie jest z twojej strony altruizmem, tak? A czy kiedykolwiek pomyślałaś o tym, jak to dziecko, ta Spring, może się poczuć, gdy ją odnajdziesz? Może ona wcale tego nie chce? Może nie chce się spotykać z dawno utraconą matką? Może zniszczysz jej życie?

Jilly zaśmiała się krótko.

- Pan Collins ostrzegał mnie, że usłyszę takie rzeczy, ale nie sądziłam, że usłyszę je tak szybko. A z pewnością nie od ciebie.

- Mówię tak, bo to prawda. I możesz zniszczyć nie tylko jej życie. Popatrz, co robisz z naszym.

Jilly spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

- A co takiego robię z waszym życiem?

- Przecież nie wiesz, jakie mogą być konsekwencje tych poszukiwań - rzekł Dennis prowokacyjnie.

Jilly przypatrywała mu się w skupieniu.

- Mów dalej.

Dennis opuścił wzrok. Jilly wstrzymała oddech.

- Muszę coś wiedzieć, Jilly - szepnął. - Czy to ja jestem ojcem?

Wiedziała doskonale, że właśnie te słowa usłyszy, ale mimo wszystko poczuła się wstrząśnięta.

- Czy nie jest przypadkiem za późno na to pytanie?

- Odpowiedz.

Jilly opuściła wzrok na swoje białe stopy. W głowie wirowały jej różne myśli. Nie była pewna, co ma mu powiedzieć. Najprościej byłoby zaprzeczyć. Wtedy wszyscy by-

**CZTERY PORY ROKU**

liby szczęśliwi i daliby jej święty spokój, tak jak kiedyś rodzice. Mogła znów postąpić tak samo. Ale skończyła już z udawaniem. Obiecała sobie, że stawi czoło swoim demonom i raz na zawsze skończy z kłamstwami. Nie chciała już spokoju za wszelką cenę, kosztem siebie samej.

Spojrzała w brązowe oczy Dennisa i odrzekła:

- Nie wiem.

Miała wrażenie, że z tym jednym słowem ubyło jej wiele lat. Z kolei Dennis jakby się postarzał.

- Co to znaczy? To znaczy... że mogę być ojcem?

- Tak.

Zaklął pod nosem i spojrzał na nią oskarżycielsko.

- Nie puszczałam się na pmwo i lewo - wzruszyła ramionami. - Przecież wiesz o tym. Był tylko ten jeden raz z tobą. I jeden inny chłopak.

Zauważyła w jego oczach, że on również pamięta tamten pełen emocji tydzień.

Ona i Dennis spotykali się przez większą część lata 1972 roku. Dennis, choć samotnik, był jednak popularny w szkole. Ceniono go za inteligencję i dlatego redagował szkolną gazetkę. Był wystarczająco przystojny, by podobać się dziewczynom, i wystarczająco dobrze grał w koszykówkę, by zyskać respekt wśród chłopców. Jilly po raz pierwszy zwróciła na niego uwagę, gdy wystąpił w telewizyjnym teleturnieju i odpowiedział na trudne pytanie z zakresu literatury. Był inny, wrażliwy, intrygujący... i miał uroczy dołek w podbródku.

Wzięła go więc na cel, a ponieważ jemu niezmiernie pochlebiało zainteresowanie najpiękniejszej dziewczyny w szkole, wkrótce stali się parą.

## **Mary Alice Monroe 171**

Było to wyjątkowo piękne lato. Całymi dniami przesiadywali na plaży z grupą przyjaciół Jilly. Wszyscy chłopcy zazdrościli Dennisowi, gdy nacierał jej plecy olejkiem do opalania. W ciepłe wieczory jeździli całą grupą do McDonald'sa, a potem wracali na plażę, rozkładali koce i pod osłoną mroku oddawali się pieszczotom.

Jilly była jego pierwszą dziewczyną i od razu zrozumiała, że popełniła błąd. Po pierwsze, brakowało między nimi tej niezbędnej iskry, a po drugie, gdy już się to stało, Dennis niewolniczo się do niej przywiązał. W przeciwieństwie do niego Jilly wiedziała, że był to wyłącznie wpływ seksu. Chodził za nią wszędzie jak szczeniak i ciągle chciał, by pozwalała się dotykać, musiała więc z nim zerwać. W następnym tygodniu poznała przystojnego chłopca z college'u i po wypiciu zbyt dużej ilości piwa wpuściła go na tylne siedzenie swojego samochodu. Dennis, zgodnie z jej oczekiwaniami, dowiedział się o tym i przestał dzwonić.

- Złamałaś mi wtedy serce - powiedział teraz z uśmiechem.
- Przecież wiesz, że żadne z nas nie było zakochane.
- Gdy po latach dowiedziałem się, że miałaś dziecko, byłem wstrząśnięty i nie mogłem przestać się zastanawiać, czy to moje. Z wyliczeń wynikało, że mogło tak być. Ale potem pomyślałem, że gdybym to ja był ojcem, powiedziałaabyś mi o tym. A poza tym, mój Boże, byłem już mężem twojej siostry... .
- Czy kochałeś Birdie, gdy się z nią żeniłeś? Dennis wydawał się zaskoczony.
  - Szaleńczo, desperacko! Naprawdę.



**CZTERY PORY ROKU**

- Bogu dzięki - wymamrotała. - Zawsze się nad tym zastanawiałam.

Dennis ze ściągniętą twarzą spojrział w stronę sypialni.

- Ona nigdy nie potrafiła się pogodzić z tym, że wcześniej spotykałem się z tobą. Przekonywałem ją, że to niedorzeczne, że to było ó wiele wcześniej... ale gdyby teraz usłyszała to, co powiedziałaś, byłaby zdruzgotana.

- Nie zamierzam jej tego mówić.

- A co będzie, jeśli dziecko okaże się podobne do mnie? Jilly wstrzymała oddech.

- O tym nie pomyślałam - przyznała.

- W takiej sytuacji Birdie nigdy już nie podniosłaby się

z tego. Pomyślałaby sobie, że... - Wyraz oczu Dennisa stał się twardy. - Nie chcę, by kiedykolwiek zwątpiła, że ją kochałem.

- Kochałeś? - powtórzyła Jilly czujnie. - W czasie przeszłym?

Dennis tylko wzruszył ramionami.

- Jedno jest pewne. Nie pozwolę wciągać w to wszystko Hannah.

- Za dużo się martwisz. Po pierwsze, Hannah nawet się nie domyśla, że może istnieć jakikolwiek związek między nią a moim dzieckiem, więc nie będzie niczego podejrzewać. Po drugie, nie chodzi o żadne dziecko. Spring ma już dwadzieścia sześć lat. Po trzecie, musimy sobie jakoś poradzić z prawdą bez względu na to, jaka ona będzie.

- Jilly, nie zawsze należy ujawniać całą prawdę. Dla dobra rodziny czasem lepiej jest zachować niektóre rzeczy w tajemnicy.

- Czego nie wiesz, to cię nie może zranić, tak?

- Coś w tym rodzaju.

### **Mary Alice Monroe 173**

- Mylisz się - powiedziała, szukając po kieszeniach papierosa. Ku swemu zdumieniu zobaczyła wyciągniętą przed sobą otwartą paczkę. Dennis palił? Wzięła jednego i gdy podawał jej ogień, ich palce zetknęły się na krótką chwilę, wystarczająco jednak długą, by poczuła falę gorąca. Och, Boże, pomyślała, powoli wydmuchując dym. Teraz byłoby zupełnie inaczej. Zmieszanie widoczne na jego twarzy powiedziało jej, że on też to poczuł,

- Jak w dawnych czasach - zauważył, śmiejąc się lekko. Ten śmiech sprawił jej ulgę. Z rękami w kieszeniach, oparty o kolumny werandy, Dennis przypominał jej teraz tamtego chłopca z liceum.

- Nie wiedziałam, że palisz.

- Czasami wymykam się na jednego - przyznał.

- Birdie?

- Tak, Birdie - odrzekł z urazą.

- Posłuchaj, Dennis. Nie chcę krzywdzić ani ciebie, ani Birdie, ani Rose, ani przede wszystkim Hannah. Nikomu nic nie powiem, chyba że któraś z nich sama mnie zapyta. Ale wtedy powiem prawdę. Może wydaje ci się, że kłamstwo posłużyłoby rodzinie, ale to byłby dalszy ciąg tego samego.

- Spojrzała na popękany tynk na ścianie. - Ten dom potrzebuje gruntownego remontu. A kiedy skończymy, spakujemy bagaże i będziemy mogli pójść dalej.

Denis przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

- Proszę cię tylko o to, żebyś nie zabierała ze sobą Birdie i Hannah.

- Prosisz niewłaściwą osobę. To nie zależy ode mnie. Ja ich nie namawiam. Mogę pojechać bez nich.

**CZTERY PORY ROKU**

Dennis zastanawiał się przez chwilę.

- Ja w każdym razie wyjeżdżam. Powiedz Birdie, że pojechałem pociągiem. Zostawię jej samochód.

Jilly zrozumiała to, czego nie powiedział głośno.

- Wyjeżdżasz z Evanston?

- Opuszczam Birdie - rzekł Dennis z trudem.

- Nie wierzę.

- Zbierało się na to już od dawna.

- Jeśli chodzi o tę podróż, mogę z nią porozmawiać. Wiem, że jest uparta, ale nic nie jest warte...

- Nie. Chodzi o coś więcej. Wolałbym, żeby nie jechała z tobą. Wiesz dlaczego. Ale uparła się, a znam ją zbyt dobrze, by próbować ją przekonać. I szczerze mówiąc, jestem już tym zmęczony. Zmęczony ciągłym proszeniem jej o coś. Nie, Jilly - dodał, widząc, że chce coś powiedzieć. - Proszę, nic nie mów. Powiedz jej tylko, że wyjechałem.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę i w jego oczach coś błysnęło. Położył ręce na jej ramionach, pocałował ją w czoło i powiedział cicho:

- Żałuję, że nie mogłem wtedy być przy tobie, przynajmniej jako przyjaciel. Teraz nie będę stawał ci na drodze. Do widzenia i powodzenia.

Oczy Jilly zwilgotniały i widziała tylko jego zatartą sylwetkę, gdy schodził po schodkach.

Drogi Danny,

Nie mogę w to uwierzyć! Naprawdę wyruszamy w podróż. Jutro rano.

Jestem zdenerwowana i trochę się boję, ale to takie podniecające! Wyobraź sobie tylko, ja i podróż!

Trasę znam

## **Mary Alice Monroe 175**

już na pamięć. Ściągnęłam z Internetu wszystkie dostępne mapy. Przygotowałam mnóstwo taśm z moją ulubioną muzyką, zapakowałam kanapki, żebyśmy nie musiały jeść byle gdzie, i nie śmieć się, ale zabieram też mnóstwo płynów do kąpieli. Jilly mówi, że to najlepsze lekarstwo na stres. Zaczęłam pisać dziennik, ale przecież mam Ciebie! Pamiętam, jak pisałeś, że czekasz na moje listy pod koniec każdego dnia. Ja też będę czekać.

Pa, pa!

Rosebud

Droga Rosebud,

Witaj w moim świecie. Jestem pewien, że pokochasz drogę. Czasami w pobliżu miast zdarzają się korki, ale na wsi, szczególnie w północnym Wisconsin, gdzie jedziecie, wzgórza są łagodne, a drogi kręte. Zobaczysz wielkie farmy z czarno-białymi krowami, silosy czekające na ziarno, a już niedługo pierwsze źdźbła wychodzące z ziemi i zieloną mgiełkę na gałęziach drzew.

Ja w dalszym ciągu jadę na zachód, w stronę Wichita. Drogi są tu płaskie, a horyzont daleki. Łatwa jazda. W takie dni bardzo chciałbym, żebyś siedziała obok mnie i żebyśmy mogli rozmawiać naprawdę, nie tylko przez e-mail. Jadąc, myślę o Tobie. Zastanawiam się, jak wyglądasz. Jaki masz kolor włosów? Oczu? Jak się uśmiechasz?

Zaciekawiony,

Danny

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Jilly, Birdie, Rose i Hannah jechały na północ w stronę Wisconsin. Podręczne torby załadowane były do bagażnika land rovera wraz z laptopem Rose, butelkami wody i soku, taśmami z muzyką, książkami i całą furą zakupów spożywczych, które zrobiła Rose.

Birdie prowadziła jako pierwsza, zgłaszając się na ochotnika. Ubrana wygodnie w spodnie khaki, flanelową koszulę i puchową kamizelkę, nie spuszczała oczu z drogi i nie zdradzała ochoty do rozmów. Po kilku godzinach przejęła kierownicę Jilly. Jazda sprawiała jej przyjemność; już dawno nie podróżowała po Stanach. Rose miała na sobie długą dzinsową spódnicę i biały bawełniany sweter. Drobnie stopy w czarnych pantoflach opierała na torbach z prowiantem. Długie włosy splotła w warkocz, który opadał jej przez ramię. Jej oczy wyrażały zmartwienie.

Ostatnie godziny przed wyjazdem były katorgą dla Jilly. Jej siostry w nieskończoność wносиły torby do samochodu i przynosiły je z powrotem, ciągle coś w nich przepakowując, a potem jeszcze Birdie kilkakrotnie sprawdzała, czy wszystkie drzwi są zamknięte. Jilly, dla której podróże były chlebem powszednim, poczuła się zupełnie wyczerpana po tym preludium.

## **Mary Alice Monroe 177**

- Chyba powinniśmy zacząć rozglądać się za jakimś miejscem na nocleg - stwierdziła teraz.
- Zaznaczyłam obszar, na którym powinniśmy szukać - odpowiedziała Rose, rozkładając mapę samochodową. - Ale obawiam się, że mamy niewielki wybór.
- Jestem okropnie głodna - jęknęła Hannah.
- Najpierw znajdziemy motel, a potem poszukamy jakiejś przyzwoitej restauracji.
- Mamy zresztą kanapki - wzruszyła ramionami Rose.
- Mnie zależy tylko na łazience - włączyła się Jilly. - Marzę o gorącej kąpieli.
- Powinniśmy chyba wziąć dwa pokoje. Jeden dla mnie i Hannah, a drugi dla was - stwierdziła Birdie.
- Podzielimy się kosztami.
- Ja chcę mieszkać z ciocią Jilly - zaprotestowała Hannah.

Birdie poczuła ukłucie zazdrości, odpowiedziała jednak spokojnie:

- Jak chcesz. Mnie to nie sprawia żadnej różnicy. Och, zobaczcie, tu jest drogowskaz do Marriotta. Zdaje się, że to całkiem porządne hotele.

Rose przekartkowała przewodnik.

- Alę są dość drogie.
- Ile za noc?
- Zaraz... Sto czterdzieści pięć dolarów za pokój dwuosobowy - zmarszczyła brwi. - Na ile nocy chcemy się zatrzymać?
- Mnie na to nie stać - powiedziała spokojnie Jilly, nie spuszcżając oczu z drogi.
- Jak to? - zdumiała się Birdie.

**CZTERY PORY ROKU**

Jilly mocniej zacisnęła ręce na kierownicy. Teraz albo nigdy.

- Jestem bez grosza - wykrztusiła, spoglądając na ich twarze we wstecznym lusterku. - Nie żartuję. Nie mam pojęcia, ile czasu zajmą te poszukiwania ani ile będę musiała zapłacić za informacje. Powinno mi wystarczyć na kilka tygodni, pod warunkiem, że będziemy się zatrzymywać w tanich motelach i unikać czterogwiazdkowych restauracji. Birdie, mam na myśli naprawdę skromne warunki. Cokolwiek, byle było tam w miarę czysto.

Zapadło zdumione milczenie. Jilly czuła na policzkach rumieniec, ale cieszyła się, że ma to już za sobą.

- A co się stało z twoimi pieniędzmi? - zapytała w końcu Rose, gdy już odzyskała głos: - Przecież byłaś bardzo bogata. A futro, biżuteria?

- Byłaś żoną Rothschilda! - wykrzyknęła Birdie.

- Biżuterię już sprzedałam. A ten pierścionek? - Podniosła rękę, pokazując brylant na palcu. - To sztuczny kamień. Za futro mogłabym dostać jakieś marne grosze, więc je zatrzymałam, a jeśli chodzi o mojego ostatniego męża, to był taką samą podróbką jak pierścionek. Przystojny, ale ubogi krewny głównej gałęzi rodu. Moimi pieniędzmi spłacił swoje długi. Pewnego ranka obudziłam się z kacem i pustym kontem w banku.

- Co za drań! - wykrzyknęła Hannah, ale jej oczy rozbłysły podekscytowaniem.

- W takim razie miałaś szczęście, że udało ci się go pozbyć - stwierdziła Birdie.

Widok wściekłości w jej wzroku sprawił Jilly przyjemność.

## Mary Alice Monroe 179

- Tak, teraz o tym wiem. Niestety był to bardzo kosztowny błąd, popełniony w najgorszym możliwym momencie. W ciągu czterech lat mój uroczy małżonek roztrwonił wszystko, co ja uzbierałam przez dwadzieścia. Nic mi nie zostało i nie mam tego jak odrobić. Jestem za stara.

- Nie jesteś stara! - zaprotestowała Rose.

- Popatrz na buzię Hannah, a potem na moją. Kamera nie kłamie. - W tylnym lusterku widziała rozpromienioną twarz siostrzenicy, której ten komplement najwyraźniej sprawił wielką przyjemność.

- Chcę po prostu powiedzieć, że dopóki nie dostaniemy pieniędzy za dom, muszę się liczyć z każdym groszem. Przykro mi, że podczas czytania testamentu zachowałam się jak sknera, ale teraz przynajmniej wiecie, dlaczego. Boję się biedy.

- Rozumiem - uśmiechnęła się Rose. - Szczególnie że jesteś w takiej samej sytuacji jak ja.

- Ja też rozumiem - przyłączyła się Birdie. - Chociaż chyba obydwie uważacie mnie za krezuskę.

- Coś w tym rodzaju - uśmiechnęła się Jilly.

- To teraz coś wam powiem. Mam tak obciążoną hipotekę, że wszystkie jedziemy na jednym wózku. Jestem bogatsza od was tylko na papierze, ale nie w gotówce.

Jilly radośnie nacisnęła klakson i wszystkie cztery wybuchnęły szczerym śmiechem.

- Przepraszam, że tak mówię - zwróciła się Birdie do Jilly - ale cieszę się, że nie jesteś bogata. To trochę wyrównuje nasze pozycje.

- Ale w porównaniu z nami miałaś takie barwne życie - dodała Hannah z admiracją.

- Nie było aż tak barwne - odrzekła Jilly w zamyśleniu.



**CZTERY PORY ROKU**

- Prawdę mówiąc, chwilami bywało dość nużące. Nieustanna rywalizacja. Ani jednej osoby, której można by się zwierzyć, nikogo, komu można by zaufać. Ambicja czasem prowadzi do bardzo brzydkich zachowań. Chodziło wyłącznie o zachowanie pozorów. To było bardzo puste życie, Hannah. I bardzo samotne.

Rose pochyliła się do przodu i oparła ramiona na zagłówku.

- Nie będziesz tęsknić za Paryżem?

- Nie, zupełnie nie. Moja kariera już minęła. Przyszedł czas, by wrócić do domu - stwierdziła Jilly z nostalgią.

Dom. Rose zawsze uważała Evanston za swój dom. Mieszkała tam przez całe życie. Jakie to uczucie, zastanawiała się teraz, tworzyć nowy dom, na nowo szukać swojego miejsca na ziemi? Nie wiedzieć, gdzie sprzedają najlepszy chleb w okolicy, nie znać nikogo z przechodniów? Odwróciła głowę i zapatrzyła się na nieznany krajobraz.

Birdie poczuła wewnętrzny dreszcz, jakby mimo puchowej kamizelki ogarnęła ją fala chłodu.

Pomyślała o tym, co się teraz stanie z jej domem. Dennis wyjechał popołudniowym pociągiem do Milwaukee i nawet się z nią nie pożegnał. Powtarzała sobie, że to tylko chwilowy kryzys. Spadło na nich zbyt wiele. Zamierzała wieczorem zadzwonić do niego i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Powinna zachować pełną kontrolę nad sytuacją. To było jej zadanie jako żony i matki.

Mimo wszystko nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że jej dom rozsypuje się w gruzy.

Jilly przez chwilę upajała się ciszą, jaka zapadła w samochodzie, i powtarzała w myślach to dziwne słowo: dom.

## **Mary Alice Monroe 181**

Mieszkała w wielu domach i mieszkaniach w całej Europie, ale słowo to nieodmiennie kojarzyło jej się ze starym budynkiem przy Michigan Avenue.

A jednak teraz przyszło jej do głowy, że samochód, którym jedzie, również jest jej domem, i że stanie się nim każdy dwugwiazdkowy motel, w jakim się zatrzymają. Dom jest wszędzie, gdzie są jej siostry. Bo dom to nie miejsce, lecz stan umysłu.

- Czy już dojeżdżamy? - zapytała Hannah i wszystkie trzy siostry uśmiechnęły się pod nosem.

- Wiecie, że tańcem stanu Wisconsin jest polka? - zapytała Rose.

- Robi się już późno - jęknęła Birdie, która prowadziła samochód jako ostatnia tego dnia. - Chyba powinniśmy się zatrzymać w najbliższym motelu.

- Tak, tak, zrobmy to - dodała Jilly, masując sobie kark - bo Rose za chwilę zacznie nam opowiadać o florze i faunie tego stanu.

- Kwiatem stanu Wisconsin jest fiołek leśny. Wszystkie kobiety jednogłośnie jęknęły.

Już jakiś czas temu przejechały przez Green Bay, otoczone lasami miasteczko, nad którym dominowała fabryka papieru. Widziały po drodze mnóstwo moteli, ale zdecydowały się podjechać bliżej Marian House. A teraz znalazły się na głębokiej prowincji, pośród porośniętych lasami wzgórz i pokrytych ostatnimi splachetkami śniegu błotnistych pól. Tak daleko na północ wiosna jeszcze nie dotarła. Birdie zaczynała się niepokoić. Temperatura spadała z minuty na minutę, a słońce rzucało ostatnie promienie znad

**CZTERY PORY ROKU**

lasu. Miała tylko nadzieję, że nie zacznie padać śnieg. Włączyła ogrzewanie i pomyślała, że zatrzyma się w najbliższym motelu bez względu na to, ile będzie kosztował nocleg. Mogła nawet zapłacić za wszystkich, byle tylko wyjść wreszcie z samochodu. Kark miała zupełnie zdrętwiała. Z mapy wynikało, że niedaleko powinna być miejscowość Hodges. Mocniej nacisnęła pedał gazu.

W pół godziny później wjechały do sennego miasteczka. Wzdłuż głównej ulicy stały budynki z czerwonej cegły, pochylone ze starości, ale ozdobione misternymi detalami architektonicznymi. Znajdował się tu sklepik z gazetami, apteka, bar szybkiej obsługi, bank, księgarnia, sklep spożywczy i kilka sklepików ze starociami. Birdie zwolniła i wszystkie kobiety z ciekawością spoglądały przez okna.

- Musiało to być kiedyś piękne miasteczko - zauważyła Birdie.
- Trochę jak z powieści Stephena Kinga - wzdrygnęła się Hannah.
- A mnie się wydaje czarujące - zaprotestowała Rose. - Wiecie, że główna produkcja stanu Wisconsin to wyroby mleczarskie?
- Ja wolałabym teraz trochę wina i sera - stwierdziła Jilly.
- Miejmy nadzieję, że jest tu jakiś motel.

Jilly bez słowa wskazała na tablicę z napisem: Motel River's End. Czyste pokoje, uprzejma obsługa, rozsądne ceny.

- To chyba coś dla nas - wykrzyknęła Birdie, zapisując adres. - Jaka ładna nazwa, River's End!
- Każda z nich miała podobną wizję: wygodne łóżko, te-

### **Mary Alice Monroe 183**

lewizor i widok rzecznych meandrów za oknem. Nadzieje jeszcze wzrosły, gdy Birdie przejechała przez uroczy mostek nad niewielką, czystą rzeczką. Zaraz za mostkiem stał biały domek z czarnymi okiennicami. Był to pensjonat. Niestety, na drzwiach widniała wywieszka: Brak wolnych miejsc. Dalej były tory kolejowe, a za nimi, przycupnięty na wąskim skrawku lądu, motel River's End. W samochodzie zapadło milczenie. Nie było żadnej bramy ani nawet podjazdu, tylko barak z tuzinem jednakowych brązowych drzwi i okien, a pośrodku niewielkie biuro.

- Fantastycznie - mruknęła Jilly. - Właśnie czegoś takiego szukałyśmy. Rany boskie, gdyby dziewczyny z Paryża mogły mnie teraz zobaczyć...

- Z Paryża? Boję się nawet myśleć, co powiedziałyby moje koleżanki z Milwaukee - prychnęła Hannah.

Birdie zatrzymała samochód przed wejściem i opuściła okno.

- Jest gorzej, niż myślałam. Ten barak jest zbudowany z pustaków. Widać je pod farbą.

- Nie czepiaj się - zakpiła Jilly. - Mimo wszystko farba nie odpada, a to już jest coś.

- Tu albo nigdzie - rzekła Birdie z determinacją. - Ja jestem zdecydowana spróbować.

- W każdym razie powinno tu być tanio - wzruszyła ramionami Rose.

Zmęczone i zrezygnowane wysiadły z land rovera na wilgotne, chłodne powietrze i zaczęły wyciągać bagaże. Birdie weszła do biura recepcji. W środku było nie lepiej niż na zewnątrz. Wyposażenie wnętrza pochodziło z lat pięćdziesiątych. Drewniana lada z wypaczonym blatem, stojak

**CZTERY PORY ROKU**

pełen broszur przedstawiających narciarzy i łódki na jeziorze, i to wszystko.

- Dzień dobry! - zawołała Birdie, ale nikt się nie pojawił. - Halo! - zawołała jeszcze raz. Znów nic. Coraz lepiej, pomyślała ze zniechęceniem. Na parkingu nie było żadnego samochodu. Motel wyglądał na zupełnie pusty. Podeszła do okna i przez poźółkłe żaluzje wyjrzała na zewnątrz. Wszystkie torby stały już na środku parkingu.

- Dzień dobry. W czym mogę pani pomóc? - zapytał zmysłowy męski głos o dziwnym akcencie. Birdie, odwracając się zaskoczona, aż przyłożyła dłoń do piersi. Za ladą pojawił się wysoki, ciemnoskóry mężczyzna. Wyglądał na Hindusa. Zaczesane do tyłu czarne włosy opadały na kołnierzyk białej koszuli. Ale najbardziej przykuwały uwagę jego oczy, ciemne i magnetyczne.

- Przestraszył mnie pan - powiedziała Birdie z dziwnym skrepowaniem.

- Przepraszam. Byłam na zapleczu i nie słyszałem, jak pani weszła. Czy długo musiała pani czekać? Miał miarowy, brytyjski akcent.

- Nie - odrzekła Birdie, starając się odzyskać wewnętrzną równowagę. - Dopiero przyjechałyśmy. Czy ma pan wolne pokoje?

Usta recepcjonisty drgnęły z lekkim rozbawieniem.

- Mam. Ile pokoi chce pani wynająć?

- Dwa podwójne. W każdym będą mieszkać dwie osoby. Hindus zdjął klucze z tablicy.

- Pokój 101 i 102. Są tam podwójne łóżka i małe patio wychodzące na rzekę. Chociaż przy tej pogodzie... Jak długo zamierzają się panie tu zatrzymać?

## **Mary Alice Monroe 185**

- Na razie na jedną noc, może na dwie. Nie jesteśmy jeszcze pewne.
- Dobrze. Gdyby chciały panie zostać dłużej, nie będzie żadnego problemu.
- Przypuszczam, że w obydwu pokojach są telefony i telewizory?
- Oczywiście.

Szybko dokończyli formalności i Birdie wyszła z budynku. W tym mężczyźnie było coś takiego, że czuła się przy nim nieswojo. Może fakt, że był cudzoziemcem, a może emanująca z niego męskość, która sprawiła, że w niewielkiej przestrzeni biura zaczęło jej brakować powietrza, i\* - Chodźcie - zawołała do pozostałych. - Wnosimy rzeczy!

Zataszczyły torby do położonych na samym końcu baraku dwóch pokoi. Birdie otworzyła jeden z nich, zapaliła światło i poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Za sobą usłyszała niedowierzający głos Hannah:

- Naprawdę zostajemy tutaj?! Co za nora!

Birdie weszła do ciasnego pomieszczenia i zamknęła drzwi, chociaż w środku nie było wiele cieplej niż na zewnątrz. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było podkręcenie grzejnika. Dwa łóżka, oddzielone od siebie tylko wąskim skrawkiem podłogi, od strony wezłowania przykręcone były do wyłożonej boazerią ściany. Przy każdym łóżku stał nocny stolik z paskudną futurystyczną lampką. Pokój jednak był czysty, a meble, choć już zniszczone, z prawdziwego drewna.

Birdie stała przez chwilę nieruchomo z walizką w ręku, zastanawiając się, czy ładować bagaże z powrotem do sa-

**CZTERY PORY ROKU**

mocho, czy jednak rozpakować je i zostać tutaj. Zdecydowała za nią naturalna potrzeba fizjologiczna.

- Nie jest tak źle - powiedziała bez przekonania. Z trudem przecisnęła się między łózkami i otworzyła odrapane drzwi do łazienki.

Tu było jeszcze gorzej. W przestrzeni wielkości małej szafy mieścił się tylko prysznic osłonięty ceratową zasłoną zawieszoną na metalowych haczykach oraz nieduży sedes. Birdie widziała kiedyś taki prysznic na biwaku. Wstrzymała oddech i ostrożnie zajrzała za zasłonę.

Och, Boże, pomyślała z przerażeniem, co powie na to Hannah? A Jilly? Rury były zardzewiałe, ze ściany wystawał kapiący metalowy kran, a odpływ w podłodze był zwykłą dziurą w cemencie przykrytą metalową kratką. Birdie pomyślała o własnej wielkiej łazience z wanną wyposażoną w wodny masaż i jęknęła.

Gdy wróciła do pokoju, zastała tam Rose i Jilly.

- Witaj w pałacu maharadży - prychnęła Jilly. - Popatrz na te dzieła sztuki.

Birdie zatrzymała wzrok na umieszczonych na ścianie wizerunkach hinduskich bogów.

- W podłodze łazienki jest zwykła kratka ściekowa.

- Masz kratkę? Szczęściara. U nas jest tylko dziura w posadzce - machnęła ręką Jilly. - Mówiłam, że chcę jakiś tani motel, ale to już chyba przesada! Nie możemy tu zostać!

Birdie powstrzymała ziewnięcie.

- Jest już późno. Znasz jakieś inne miejsce? Przynajmniej jest czysto, no i jest łóżko.

- I co z tego! - wykrzyknęła Jilly. - Nie ma wanny, żelazka, lodówki ani żadnej obsługi!

## **Mary Alice Monroe 187**

- Jilly - prychnęła Birdie. - Kiedy mijałyśmy trzygwiazdkowy hotel, stwierdziłaś, że to dla ciebie za drogo. Tutaj w każdym razie jest tanio.

- Ten motel nie ma ani jednej gwiazdki. Chyba że ujemne...

- Nie jest tak źle - przerwała jej Rose. - Tu... Dalsze jej słowa zagłuszyło wycie rur. Birdie pobiegła do łazienki i ze zgrozą ujrzała, że poziom wody w sedesie złowieszczo się podnosi.

- Zaraz się wyleje! - wrzasnęła. - Szybko, dzwońcie do biura!

- A gdzie jest telefon?

- Tu, przy telewizorze - zawołała Hannah i szybko wykręciła zero. Spod drzwi łazienki zaczęła wyciekać stróżka wody. Birdie zauważyła ją pierwsza.

- Uwaga! - krzyknęła, przestępując z nogi na nogę.

Nieoczekiwanie kobiety wybuchnęły śmiechem. Sytuacja stawała się zbyt absurdalna. Jilly upadła na jedno łóżko, Hannah na drugie i zaśmiewały się do łez. Tylko Rose stała pośrodku i z niepewnym wyrazem twarzy patrzyła na wyciekającą z łazienki wodę, gdy wtem w jej głowę trafiła poduszka. Rose rozejrzała się ze zdumieniem, a potem błyskawicznie zrzuciła buty i zanurkowała na łóżko. Bitwa rozszalała, się w mgnieniu oka. Poduszki fruwały we wszystkie strony, łóżka trzeszczały, a cztery skaczące i wierzgające kobiety płakały ze śmiechu.

Nikt nawet nie zauważył, że otworzyły się drzwi, dopóki w pokoju nie rozległ się głęboki, męski głos:

- Bardzo przepraszam!



## 188 CZTERY PORY ROKU

Dopiero wtedy wszystkie jednocześnie zastygły na łóżkach w dziwnych pozach, z szeroko otwartymi ustami.

W drzwiach stał ciemnowłosy recepcjonista. W jednej ręce trzymał poduszkę, która przed chwilą trafiła go w głowę, a w drugiej wiadro z mopem i gąbkami.

- Nazywam się Patel i jestem menedżerem tego hotelu - wyjaśnił, usiłując zachować godność. - Pukałem kilkakrotnie...

Birdie, Hannah i Rose natychmiast wygładziły ubrania i zeszły z łóżek.

- Przepraszamy, nie słyszałyśmy pukania - powiedziała Birdie.

- I za to, że dostał pan poduszkę - dodała Rose, powstrzymując śmiech.

- Nie miałyśmy pojęcia, że pan jest za drzwiami - zaśmiała się Hannah.

- Jeszcze raz przepraszam - odrzekł mężczyzna uprzejmie, choć z wyraźnie wyczuwalnym odcieniem zgorszenia, i przeniósł wzrok na drzwi łazienki. Kobiety jak na sygnał odsunęły się, robiąc mu przejście. Spod gęstych, ciemnych brwi pan Patel rzucił głębokie spojrzenie na Jilly i zniknął w łazience.

Birdie, Rose i Hannah jak na komendę zakryły usta rękami, powstrzymując wybuch śmiechu. Tylko Jilly się nie poruszyła. Od chwili, gdy pan Patel pojawił się w drzwiach, stała nieruchomo w tej samej pozycji, z poduszką w lewej ręce. Ich gospodarz miał na sobie nieskazitelne czarne spodnie i białą koszulę oraz zachowywał się w bardzo formalny sposób, jednak w jego spojrzeniu wyczuła zwierzęcą gwałtowność jak u prowadzonego na cienkiej smyczy tygrysa.

## Mary Alice Monroe

189

Ten błysk jednak zaraz zniknął i Jilly nie miała pewności, czy nie było to tylko złudzenie spowodowane grą światła. Odłożyła poduszkę, wzięła swoją torebkę i wyszła na zewnątrz na papierosa.

Gdy toaleta została naprawiona i wszystkie wzięty prysznic, były już zbyt zmęczone, by szukać restauracji. Siedziały w pokoju, zastanawiając się, co robić, gdy znów ujrzały w drzwiach pana Patela. Tym razem niósł butelkę schłodzonego białego wina i cztery kieliszki.

- Bardzo przepraszam za kłopot z łazienką - powiedział bez uśmiechu, ale ostre rysy jego twarzy wyraźnie przy tym złagodniały.

41» Birdie podziękowała mu wylewnie i przyjęła wino, zapewniając, że nie było to konieczne.

Zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie plecami. W oczach sióstr dostrzegła, że nie tylko pod nią kolana miękły na widok tego mężczyzny. I znów wszystkie wybuchnęły śmiechem. Widok matki w nowym wcieleniu sprawiał wyraźną przyjemność Hannah, która czuła się tu akceptowana na równych prawach jako kobieta.

Nalały wina do kieliszków, niewielką ilością częstując także Hannah. Na kolację zjadły zabrane z domu ser i bagietki, które zostały im jeszcze z pogrzebu, z paskami selera i marchewki, oraz pomarańcze i winogrona kupione przez Rose. Potem przebrały się w piżamy, włączyły telewizor - przy czym Hannah z zachwytem odkryła, że motel jest podłączony do sieci kablowej - wyciągnęły prywatne zapasy czekolady i przez kilka godzin odpoczywały. W końcu, gdy powieki zaczęły im opadać, Jilly i Hannah poszły do swojego pokoju.

**CZTERY PORY ROKU**

Gdy Birdie mocno usnęła, Rose zasiadła przy komputerze. Danny pytał ją o wygląd. Nie miała pojęcia, co ma mu napisać, żeby wydać się atrakcyjną i jednocześnie nie sprawiać wrażenia, że się przechwala. Pisała i kasowała, aż w końcu sięgnęła po gazetę i zaczęła studiować rubrykę z ogłoszeniami towarzyskimi. Po dłuższych deliberacjach list był gotowy. Rose stwierdziła, że nic lepszego nie wymyśli, i szybko wcisnęła klawisz „wyślij”.

Drogi Danny,

No dobrze, oto opis mojej osoby. Nie bardzo potrafię pisać o sobie i czuję się trochę zażenowana, ale skoro prosiłeś...

Mam trzydzieści sześć lat, jestem Wolna, biała, średniego wzrostu, mam rude włosy do pasa.

Większość ludzi uważa, że jestem szczupła. Wiesz już, że zbieram znaczki. Lubię też czytać (dużo), gotować, surfować po Internecie, a ostatnio odkryłam, że uwielbiam podróże.

To już wszystko. Myślę, że jestem dość spokojną osobą, ale mam nadzieję, że nie nudną. Mam jeszcze wiele innych zainteresowań i szukam kogoś, z kim mogłabym je dzielić.

Rosebud

Danny chyba czekał na list od niej, bo odpowiedź przyszła prawie natychmiast.

Droga Rosebud,

Napisałaś dziś później niż zwykle. Mam nadzieję, że to z powodu podróży, a nie dlatego, że zapytałem Cię o wygląd. Może nie powinienem tego robić. Wydajesz się trochę

## **Mary Alice Monroe 191**

speszona. Proszę; nie czuj się tak. Teraz, czytając Twoje słowa, wyobrażam sobie twarz. Ale nie powiedziałaś mi najważniejszego: jakiego koloru masz oczy? Danny

Rose, przeczytawszy jego list, odetchnęła z ulgą i ze śmiechem napisała krótką odpowiedź:

Nic z tego, Danny. Najpierw musisz mi napisać, jak Ty sam wyglądasz. Rosebud

Wysłała Ust i nie czekając już na odpowiedź, wyłączyła komputer, a w chwilę później zgasła górne światło.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jilly obudziła się następnego dnia z uczuciem, że oto znalazła się w samym środku cyklonu. Usiadła na łóżku, przyciskając koc do piersi, i rozejrzała się nieprzytomnie.

Hannah, także rozbudzona, wstała i odsunęła zakurzone zasłony. Tuż za oknem przejeżdżał z łomotem pociąg towarowy. Woda w stojących na stole szklankach drżała od wibracji. Na porośniętej trawą skarpie torowiska stał biały, kudłaty kundel z czarną łatką na oku i ujadał na pociąg z takim zapalem, że omal się nie przewrócił.

Jilly wybuchnęła serdecznym śmiechem. Hannah przetarła oczy i ziewnęła.

- Dzień dobry! - zawołała, przekrzykując pociąg.

- Nie widziałam takiego pociągu od dwudziestu pięciu lat - pokręciła głową Jilly, dziwiąc się jak dziecko - W dzieciństwie zawsze liczyłyśmy wagony!

Hannah przyjrzała się jej uważnie. W świetle poranka pozbawiona makijażu twarz Jilly wydawała się starsza. Przy ustach i pod oczami miała wyraźne zmarszczki, cała jej postać zachowała jednak piękno i harmonię linii charakterystyczną dla modelki. Hannah zrobiło się żal, że ona sama tak nie wygląda. Żalowała nawet, że to nie Jilly jest jej matką, tylko bezkształtna, masywna Birdie.

## Mary Alice Monroe 193

Przeniosła wzrok za okno i naraz wykrzyknęła z podnieceniem:

- Jedzie węglarka! Czerwona!

I rzeczywiście czerwona, odrapana węglarka śmignęła za oknem. Zza ściany rozległy się głosy Birdie i Rose wołające:

- HUUU-huuuu!

- HUUU-huuuu! - zawtórowały im Jilly i Hannah.

To był ich stary zwyczaj z dzieciństwa i Jilly ucieszyła się, widząc, że Hannah również go zna. W chwilę później zadzwonił telefon.

- Jak Wam się podobała pobudka? - zapytała Birdie radosnym głosem.

- Nietypowa - odrzekła Jilly. - Absolutnie pierwsza klasa!

- Jestem głodna. Pan Patel mówił, że w mieście jest restauracja. Możemy tam dojść piechotą.

- Aha, to widzę, że już z nim rozmawiałaś?

- Będziecie gotowe do wyjścia za dwadzieścia minut? - zapytała Birdie, ignorując zaczepkę siostry.

Jilly spojrzała na zegarek. Było piętnaście po ósmej, a zależało jej, żeby jak najwcześniej wyjechać do Marian House.

- Jasne - odrzekła.

Ranek był słoneczny i zanosilo się na to, że dzień będzie dość ciepły. Wyszły z hotelu w dobrych nastrojach, przeszły przez tory i znalazły się na głównej ulicy miasteczka. Jilly wyglądała jak zwykle elegancko w czarnych spodniach i czarnej skórzanej kurtce do kolan. W prowincjonalnym miasteczku zwracała na siebie uwagę, ignorowała jednak odwracające się w jej stronę głowy przechodniów.

Hannah szła obok niej, a Birdie i Rose za nimi.

**CZTERY PORY ROKU**

Między domami zaczynał się już ruch. Starszy mężczyzna miarowo zamiatał chodnik przed zakładem fryzjerskim, kwiaciarka wystawiała przed sklep bukiety żonkili i stokrotek. Wiejska jadłodajnia była przestronna i jasna, z okrągłymi dębowymi stolikami. Na ścianach wisiały tabliczki ze starymi powiedzeniami w stylu „Gość w dom, Bóg w dom”. Na pięknym kontuarze z drewna i chromu stała zabytkowa kasa, marzenie każdego kolekcjonera.

- To miejsce nie zmieniło się od ponad dwudziestu lat - mruknęła Jilly.

- Byłaś tu wcześniej? - zaciekawiła się Rose.

Jilly nie odpowiedziała. Skinęła tylko głową i zacisnęła usta.

Nawet kelnerka wyglądała? jakby wyjęto ją z przeszłości. Była to jowialna kobieta około siedemdziesiątki, prawie tak wysoka jak Jilly, ale o znacznie cięższej sylwetce i bezpośrednim sposobie bycia. Powitała je serdecznie i poprowadziła do stolika przy oknie.

- Jestem Maude - oznajmiła, wyciągając notes. - Jesteście nietutejsze, prawda?

Skinęły głowami potakująco, uśmiechając się ostrożnie.

- A skąd przyjechałyście?

Rose, Birdie i Hannah popatrzyły niepewnie na Jilly.

- Z Chicago - odrzekła, nieco poirytowana tą konspiracją.

Maude uśmiechnęła się szeroko.

- Ach, z Chicago! O tej porze roku niewielu mamy tu gości z Chicago. W lecie często tędy przejeżdżają w drodze do Door County. Tam jest dużo sklepów ze starociami.

- Szukamy klasztoru, który niegdyś był w tej okolicy

## Mary Alice Monroe 195

- powiedziała Jilly, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie. - Wie pani, o jakim klasztorze mówię?

- Pewno Holy Hill.

- Czy on jeszcze istnieje?

- Och, tak. Ale teraz już prawie nikogo tam nie ma. Zostało tylko kilka starszych zakonnice, które dożywają swych ostatnich lat. Kiedyś to było inaczej. Mnóstwo ludzi jeździło do Holy Hill. Tamte dziewczyny wciąż tu przyjeżdżają. Pani też tam była?

Jillian drgnęła i mocno zaplotła ręce.

- Dziewczyny?

- No, właściwie kobiety - poprawiła się Maude, obracając ołówek w palcach. - No te, które były w nowicjacie. Uczyły się na zakonnice. Większość z nich wystąpiła potem ze zgromadzenia, aż w końcu zupełnie przestali przyjmować nowe. Kiedyś młode dziewczyny były inne niż teraz. I te niedoszłe zakonnice czasami tu przyjeżdżają. Myślałam, że pani też tam była. Ale nie - roześmiała się i pokręciła głową. - Pani nie wygląda na jedną z nich.

- Raczej nie - wtrąciła krótko Birdie. Kelnerka spieszyła się nieco.

- No, ale ja tu gadam, a panie czekają głodne. Co mam podać?

- Ja chyba nie jestem głodna - stwierdziła Jilly. - Tylko kawę i sok pomarańczowy.

- Dla mnie też - dołączyła się Birdie.

- Nic z tego - zaprotestowała Rose. - Musimy zjeść coś porządnego. Czy te drożdżówki są własnego wyrobu?

- Pieczemy je co rano - oświadczyła Maude z dumą.

- To świetnie. W takim razie weźmiemy koszyk bułek-



**CZTERY PORY ROKU**

czek z jagodami i z kukurydzą, dżem, kawę i sok dla wszystkich - zdecydowała Rose. - A do tego jeszcze podwójną porcję bekonu.

Siostry popatrzyły na nią ze zdumieniem.

- Jestem głodna - wyjaśniła Rose, zamykając jadłospis.

Gdy Maude przyniosła zamówione jedzenie, Jilly, przewyciężając ucisk w żołądku, zapytała: - - Czy może nam pani powiedzieć, jak dojechać do klasztoru?

Zbliżając się do czarnej bramy z kutego żelaza, poczuła się tak, jakby znów była wystraszoną siedemnastolatką w ciąży i podobnie jak wtedy marzyła tylko o tym, by zawrócić i pojechać do domu. Wciśnięta w kąt samochodu, patrzyła na Birdie, która prowadziła. Jej siostra była bardzo podobna do ojca: taka sama krzywizna nosa, mocna budowa, takie same poważne usta. Miała ochotę poprosić ją, żeby się zatrzymała, powiedzieć, że zmieniła zdanie i nie chce tam jechać, wykrzyknąć wszystko to, co nie przeszło jej przez gardło przed laty.

Birdie jednak spojrzała na nią przez ramię i widząc w jej oczach przerażenie, wzrokiem przesłała jej sygnał: Trzymaj się, siostrze! Nie jesteś sama.

Jilly więc milczała, gdy wjechały między wzgórza posiadłości, minęły spokojne, otoczone cyprysami jezioro, grotę Maryi Dziewicy i teraz wspinały się na najwyższe wzgórze.

Marian House. Prosty, trzykondygnacyjny budynek z cegły, który kiedyś tak bardzo zaważył na jej życiu, znów się przed nią pojawił w całej okazałości. Jilly wstrzymała oddech i gdy samochód zatrzymał się na parkingu, bezwied-

## **Mary Alice Monroe 197**

nie osłoniła twarz ramieniem, jakby broniąc się przed uderzeniem.

- Jilly, dobrze się czujesz? - zapytała Rose, otaczając ją ramieniem.

- Nie chcę tu być - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło. Rose z niepokojem popatrzyła na Birdie.

- Zostań w samochodzie - powiedziała Birdie zdecydowanie. - Ja zapukam do drzwi. Nie jestem pewna, czy ktoś tu w ogóle jest.

Wyszła z samochodu, biorąc głęboki oddech. Jilly patrzyła za nią spod przymrużonych powiek, niemal pewna, że drzwi otworzy siostra Celestine. Birdie nacisnęła dzwonek, odczekała chwilę, po czym głośno zastukała.

Jilly opuściła szybę w oknie. Wysoko na niebie krążyły ptaki. Opuściła powieki i usłyszała gwar głosów dziewcząt idących przez trawnik od strony kaplicy. Potrząsnęła głową i otworzyła oczy. Birdie stała przy samochodzie.

- Chyba nikogo tu nie ma. Czy jest jeszcze jakiś inny budynek?

.Wjechały na następne porośnięte sosnami wzgórze i zatrzymały się przed nowicjatem, który wyglądał równie pięknie i majestatycznie jak przed laty.

- Tutaj mieszkałaś? - zapytała oszołomiona Hannah.

- Akurat - wzruszyła ramionami Jilly. - To był dom oblubienic Chrystusa. Mariom Magdalenom musiał wystarczyć Marian House. Tutaj nawet nie wolno nam było przychodzić.

Zauważyła zmarszczenie brwi Rose.

- Kto to jest Maria Magdalena? - dopytywała się Hannah. - W innej sytuacji Jilly mogłaby się doskonale bawić na wi-

**CZTERY PORY ROKU**

dok wyrazu twarzy Birdie, ale teraz jej umysł zaprzętały głosy i obrazy z przeszłości. Myślała o Simone, Sarah, Julie i innych dziewczynach i zastanawiała się, gdzie są teraz. Czy szukały swoich dzieci? Pragnęła znów je zobaczyć i porozmawiać z nimi. Tylko one mogłyby zrozumieć jej uczucia. Minęły sady i winnice, tak zapuszczone i zaniedbane, że na ich widok Jilly poczuła niejasny smutek. Widocznie większość spośród starszych zakonnicy już zmarła, a nowe nie przybywały. Zanosilo się na to, że niebawem cała posiadłość zostanie sprzedana na działki budowlane.

Przy końcu drogi stał długi budynek dawnego centrum konferencyjnego, cały z żółtej cegły, nowocześniejszy i w lepszym stanie niż pozostałe, ale równie bezbarwny. Tutaj mieściły się główne biura. Arcyfium - jeśli jakieś było - musiało więc znajdować się właśnie tu. Jilly zastanawiała się, czy spotka siostrę Celestine, siostrę Benedict albo którąkolwiek inną. Podczas pobytu tutaj często marzyła o tym, że pewnego dnia wróci i pokaże im wszystkim, kim się stała, co osiągnęła. Ale cóż mogłaby im teraz powiedzieć? Trzykrotnie rozwiedziona była modelka, której udało się zagrać w paru włoskich westernach; później szczęście ją opuściło. Nie było się czym chwalić.

- Nie musisz tam wchodzić, jeśli nie chcesz - powiedziała do niej Rose, jak zwykle najbardziej wyczulona na nastroje innych. - Tylko daj nam wszystkie swoje notatki.

- Nie masz cię czego bać - pocieszała ją Hannah. Jilly poczuła irytację. Co ta mała mogła wiedzieć? Miała zaledwie piętnaście lat!

- Pomyśl tylko - perorowała Hannah z młodzieńczą gorliwością. - Odniosłaś w życiu sukces. Jesteś sławna! Nie

## **Mary Alice Monroe 199**

zmarnowałaś życia! I to za granicą. I nikt ci w tym nie pomógł. Sama sobie poradziłaś. Możesz spojrzeć w twarz każdemu, bez żadnych obaw. Jestem naprawdę dumna, że mam taką ciotkę! Irytacja zmieniła się we wzruszenie. Słowa Hannah, nieoczekiwane i szczere, przyszły w najodpowiedniejszym momencie i złagodziły jej lęk. Poczuli się dowartościowani. Nigdy jeszcze nikt jej nie powiedział, że jest z niej dumny.

- Dziękuję ci, skarbie - odrzekła i pogładziła siostrzenicę po policzku. - Przez całe życie komplementowano tylko moją urodę. Zastanawiałam się, czy ci wszyscy ludzie, kiedy na mnie patrzą, nie widzą niczego innego. Od nikogo nie usłyszałam takiego komplementu jak od ciebie! Jesteś kochana. - Wzięła głęboki oddech i wyjęła z torby notatnik. - Chodźmy.

Duży budynek wydawał się opustoślały.

- Tu chyba też nikogo nie ma - mruknęła Birdie.

- Ktoś musi być, chyba że sprzątają krasnoludki - zażartowała Hannah. - Widzisz przecież, jak tu czysto.

I rzeczywiście, długi wyłożony zielonym linoleum korytarz pachniał sosnowym mydłem i lśnił w świetle promieni słonecznych wpadających do środka przez uchylone żaluzje. Jilly stała nieruchomo, znów otoczona wizjami z przeszłości. Ten budynek był sprzątany przez zakonnice. Patrząc w głąb korytarza, mogła niemal dostrzec ich pośpiesznie przemykające sylwetki w habitach, z drewnianymi różańcami w dłoniach.

Nawet po tylu latach miała wrażenie, że jeśli ktoś ją tu przyłapie, zostanie ukarana. Dziewczynom z Marian House nie wolno było zapuszczać się tak daleko. Jilly była tutaj

**CZTERY PORY ROKU**

tylko kilka razy - przychodziła na sesje z siostrą Benedict, a potem tuż przed opuszczeniem domu, by podpisać dokumenty dotyczące zrzeczenia się dziecka. Spojrzała w głąb korytarza i pod wpływem impulsu podeszła do trzecich drzwi po lewej. Echo jej kroków głośno odbijało się od ścian. Drzwi otworzyły się cicho i Jilly wstrzymała oddech. To był ten pokój. Pośrodku stał okrągły dębowy stół, na którym składała swój podpis. Nawet obraz na ścianie był ten sam - duża reprodukcja „Matki Boskiej z Dzieciątkiem” Petera Paula Rubensa.

Przed oczami stanął jej tamten dzień. Pracownica ośrodka adopcyjnego siedziała za stołem i patrzyła na nią przez grube szkła okularów. Pokój przeniknięty był zapachem jej perfum. Obok stała siostra Celestirie, schludna i sztywno wyprostowana, z dłońmi ukrytymi w rękawach habitu.

- Podpisz tutaj - powiedziała obca kobieta niskim, ochryłym głosem.

Jilly właśnie wróciła ze szpitala, dwa dni po porodzie, i wciąż czuła się wyczerpana. Opadła na krzesło i tępo wpatrzyła się w papiery.

- Pośpiesz się, Jillian, nie będziemy na ciebie czekać godzinami - zniecierpliwiała się siostra Celestine. Zrobiła, co jej kazano.

- Jeszcze tutaj. I tu. Bardzo dobrze - powiedziała z satysfakcją nieznajoma, po czym upchnęła plik papierów w teczce. - Podjęłaś właściwą decyzję.

Stało się. W holu Marian House czekali już na nią rodzice. Jilly poczuła dojmującą ulgę na myśl, że już po wszystkim. Nareszcie mogła wrócić do domu.

- Jilly?

## **Mary Alice Monroe 201**

Drgnęła i obróciła głowę. Obydwie siostry stały tuż za nią, wyraźnie zaniepokojone.

- Wszystko w porządku - uspokoiła je szybko, ocierając łzę z policzka. - Chciałam się tylko rozejrzeć. Tu było główne biuro - wskazała na drugą stronę korytarza. - A tam recepcja. Sprawdźmy, może ktoś tam jest.

Ale jasnozielone biuro również było puste. Z tyłu za błyszczącym blatem znajdowała się duża, staroświecka tablica rozdzielcza z bezpiecznikami, a na biurku stał mikrofon. Birdie podeszła do niego i powiedziała głośno:

- Halo? Czy ktoś tu jest?

Za drzwiami rozległo się szuranie krzesła, a potem jedyny w swoim rodzaju szum habitu i stukot paciorków różańca. Jilly wyprostowała się odruchowo na widok niskiej, starszej zakonnicy o krępej budowie ciała. Miała gęste, zrosnięte brwi, które zwisały nad okularami.

- Dzień dobry - uśmiechnęła się Birdie promiennie. Zakonnica oddała jej uśmiech, ale w jej oczach błysnęło zaniepokojenie.

- Dzień dobry - odrzekła.

- Dla niej chyba nie jest szczególnie dobry - szepnęła Hannah do Jilly, zasłaniając usta dłonią.

Jilly rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie i postąpiła o krok do przodu.

- Dzień dobry, siostro. Nazywam się Jillian Season i mam nadzieję, że będzie mogła mi siostra pomóc.

Szukam pewnych dokumentów. Czy tutaj jest archiwum?

Zakonnica obrzuciła ją taksującym spojrzeniem od stóp do głów.

- Dokumenty? O jakie archiwum pani pyta?

**CZTERY PORY ROKU**

Jilly nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pan Collins nie radził jej się przyznawać, że jest matką poszukującą dziecka oddanego do adopcji, ona jednak przysięgła sobie, że już nigdy więcej nie będzie kłamać.

- Dokumenty dotyczące adopcji - odrzekła gładko. Zakonnica w pierwszej chwili wydawała się jej nie rozumieć.

- Adopcji? - zapytała bezradnie, ale po chwili skinęła głową i spojrzała na Jilly pochmurnie. - Czy pani jest jedną z tych dziewcząt z Marian House?

Birdie i Rdse przysunęły się bliżej.

- Tak, jestem, czy też raczej: byłam. Szukam dokumentów adopcyjnych mojego dziecka - odrzekła Jilly, patrząc zakownicy prosto w oczy. - Czy wie siostra, gdzie można je znaleźć?

- Już ich tu nie ma.

- A gdzie są?

- Nie wiem. Wszystkie dokumenty zabrano stąd po zamknięciu Marian House. To był rok 1981 albo 82, nie pamiętam dokładnie. - Jej głos nabrał oskarżycielskich tonów. - A po co pani te dokumenty?

- Mam nadzieję odnaleźć... moją córkę - powiedziała Jilly.

Zakonnica potrząsnęła głową.

- Niech ją pani zostawi w spokoju. Co się stało, to się nie odstanie. Nie ma sensu niszczyć życia tego dziecka i całej jego rodziny. Uważam, że to byłoby bardzo egoistyczne.

Birdie poruszyła się godnie.

- Proszę wybaczyć, siostrzo, ale nie przypominam sobie, żebyśmy pytały siostrę o zdanie.

## Mary Alice Monroe 203

- Birdie... - Jilly położyła rękę na jej ramieniu. Twarz starszej kobiety poczerwieniała.
  - To wszystko, co wiem. Proszę już iść. Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc.
  - Jeszcze tylko jedno pytanie - wtrąciła szybko Jilly, przypominając sobie rady pana Collinsa. - Czy siostra Celestine jeszcze tu jest?
- Zakonnica wydawała się zaskoczona.
- Nie, siostra Celestine nie żyje - odparła trochę łagodniej. - Już ponad dziesięć lat, świeć Panie nad jej duszą.
  - Przykro mi to słyszeć. A siostra Benedict?
  - Która to?
  - W 1973 roku zajmowała się opieką zdrowotną.
  - Ach, pamiętam. Wiecznie były z nią jakieś kłopoty. Niedługo później wystąpiła z zakonu.
- Nikogo już nie ma, pomyślała Jilly. Marian House był domem duchów.
- Ktoś pociągnął ją za rękaw. To Birdie sygnalizowała, że czas już iść.
- Birdie, Rose i Hannah zawiozły Jilly do motelu, twierdząc, że powinna tam czekać na wiadomość od pana Collinsa. Tak naprawdę chodziło jednak o to, że Jilly potrzebowała teraz samotności i wszystkie o tym wiedziały. We trzy wybrały się na lunch do tej samej restauracji, gdzie jadły śniadanie. Widok przyjaznej twarzy Maude był pożądaną odtrutką po wizycie w klasztorze.
- Czy teraz rozumiecie, przez co Jilly musiała tam przejść? - zapytała Birdie, przepełniona lojalnością wobec siostry. - Co za koszmarna atmosfera!



**CZTERY PORY ROKU**

Rose skinęła głową.

- Trudno tam oddychać. Melancholia wprost unosi się w powietrzu. Nic dziwnego, że nie chciała do tego wracać nawet w myślach.

Wszystkie trzy umilkły. Birdie z rezygnacją popatrzyła na swoją kanapkę z bekonem.

- Drożdżówki pieką sami, ale na lunch podają chleb rostowy! Bez pomidora. A frytki są tłuste.

Rose skubała plasterek sera.

- Ta zakonnica była zupełnie pozbawiona uczuć. Nie mieści mi się to w głowie.

Birdie skinęła głową.

- Nie ma się co dziwić. Jest stara i mieszka w miejscu, gdzie wszyscy czekają tylko na śmierć.

Zupełnie jak w domu starców.

- Ciekawa jestem, jak to wyglądało, gdy ciocia Jilly tam była? - odezwała się Hannah, milcząca przez całą powrotną drogę z klasztoru. - Była wtedy niewiele starsza ode mnie.

Birdie odłożyła na bok kanapkę i popatrzyła na nią ze zdumieniem. Nigdy tak o tym nie myślała.

Hannah była jeszcze dzieckiem, potrzebowała opieki i przewodnictwa matki, zakazów i ograniczeń! Miłości i zrozumienia. Czy Jilly rzeczywiście była aż tak młoda, gdy odeszła z domu? Gdy rodziła dziecko?

- Biedna Jilly - szepnęła.

- Nigdy ani jednym słowem nie wspominała o tym, co przeżyła w Marian House - zauważyła Rose. - Nie potrafię sobie wyobrazić, przez co musiała tam przejść. Chociaż wtedy na pewno wszystko było trochę inaczej. Więcej zakonnice,

## Mary Alice Monroe 205

no i były jeszcze nowicjuszki, nie wspominając już o innych dziewczynach w ciąży.

- Czy myślicie, że one też szukają swoich dzieci? - zapytała Hannah.

Birdie wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, że wróciłyśmy do punktu wyjścia. Archiwa zniknęły nie wiadomo, gdzie. Zakonnice, które Jilly знаła, też już nie ma. Wyprawa do Marian House zupełnie nic nam nie dała.

- To tylko chwilowy impas - powiedziała spokojnie

Rose.

- Więc co teraz robimy? - zapytała Hannah.

- Trzeba sprawdzić w motelu, może są jakieś wiadomości od pana Collinsa - zauważyła Rose. - Poza tym jest Internet. Zajmę się tym zaraz po powrocie.

- Znalazłoby się jeszcze kilka miejsc, gdzie , warto by sprawdzić, ale mamy za mało danych - stwierdziła Birdie. - Trzeba na to popatrzeć realistycznie. Te poszukiwania mogą nam zająć całe miesiące, a nawet lata.

- Gdzie jeszcze może być metryka urodzenia? W urzędzie powiatowym?

- Tak, ale na razie mamy za mało danych - powtórzyła Birdie i zaczęła odliczać na palcach: - Znamy nazwisko matki i datę urodzenia, ale nie znamy godziny. Wiemy też, gdzie dziecko się urodziło. -

Drgnęła i jej twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem. - Oczywiście! Że też nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Szpital! Jilly urodziła w szpitalu, a nie w Marian House! Musiał tam pozostać jakiś ślad.

- Chodźmy! - Rose zerwała się na nogi i sięgnęła po torebkę.

**CZTERY PORY ROKU**

- Zaraz, zaraz - pomachała ręką Birdie. - Przecież najpierw musimy się dowiedzieć, który to był szpital.

- A ile ich tu może być? Wystarczy nam książka telefoniczna.

Rose znów usiadła za stołem i postukała palcami w blat.

- Chyba i tak będziemy musiały zabrać ze sobą Jilly. Birdie przełknęła ostami kęs kanapki i rzuciła jej rozbawione spojrzenie.

- Nie zapominaj, moja droga - oświadczyła z satysfakcją - że jestem lekarką.

Jilly siedziała na materacu i kartkowała książkę telefoniczną. Znalazła Katolicki Ośrodek Adopcyjny i zapisała numer, ale nie mogła sobie przypomnieć nazwiska kobiety, która zajmowała się jej sprawą.

Przejrzała też listę szpitali. W okolicy były trzy, ale nazwa żadnego z nich nie wywoływała żadnych skojarzeń. Była pewna, że szpital nosił imię jakiegoś świętego, lecz na liście takiego nie było.

Pamiętała jazdę karetką, ale nie miała nawet pojęcia, do jakiego miasta ta karetka ją zawiozła. Z kolei w drodze powrotnej była zbyt wyczerpana i odrętwiała, by zapamiętać jakiegokolwiek szczegóły.

Odrzuciła książkę telefoniczną na bok i przymknęła oczy. W jej wyobraźni pojawiły się twarze dziewcząt, z którymi dzieliła los. Tyle twarzy... dlaczego nie mogła sobie żadnej przypomnieć? Przez całe życie bezskutecznie usiłowała wyrzucić je z pamięci, a teraz, gdy było jej to potrzebne, miała w głowie kompletną pustkę.

Podniosła się, zgarnęła papierosy i zapalki i wyszła na patio. Był to właściwie kawałek spękanego betonu, pośrodku

## **Mary Alice Monroe 207**

którego stał stół i cztery krzesła, a obok kamienna donica wypełniona po brzegi śmieciami i niedopałkami.

- Naprawdę sięgnęłaś dna, Jillian Season - mruknęła do siebie Jilly.

Ale lasy za rzeką były piękne, niebo nad nimi błękitne i lekki wietrzyk przyjemnie owiewał twarz, a rzeczka wiała się powoli między kamieniami. Szum wody działał uspokajająco. Jilly wytarła krzesło chusteczką i usiadła. Wzięła kilka głębokich oddechów. Starła się o niczym nie myśleć, gdy po lewej stronie usłyszała szczekanie psa i okrzyki mężczyzny. Z ciekawością spojrzała w tamtą stronę.

To był pan Patel. Stał na brzegu rzeki obok drewnianego mostku, zbierając gałęzie. Biały piesek, którego widziała rano, kręcił się obok; włożył łapę do wody, zaszczekał, a potem zaczął obwąchiwać kupę śmieci. Pan Patel nie zwracał na niego uwagi. Miał na sobie robocze ubranie, gumki i rękawice. Obok, na gałęzi drzewa, wisiała kurtka.

Jilly patrzyła na niego bezmyślnie. W jego ruchach było coś przykuwającego uwagę. Ciało miał szczupłe i mocne, a ruchy pewne. Owszem, był przystojny, o egzotycznej urodzie. Jilly uśmiechnęła się, widząc, że pan Patel ubrał się do pracy w starą białą koszulę. Podwinięte rękawy ostro kontrastowały z brązowymi ramionami. Ta biała koszula to zapewne wpływ brytyjski, pomyślała Jilly, widoczny również w jego akcencie.

Zdradził ją pies. Gdy lekko zakaszła, podniósł łeb i zaszczekał ostrzegawczo. Pan Patel wyprostował się i rozejrzał. Jilly znieruchomiała z papierosem w dłoni. Nie odezwał się ani nie pomachał jej na powitanie. Przez chwilę, gdy patrzył na nią nieruchomo, znów skojarzył jej się z przy-

**CZTERY PORY ROKU**

czajonym do skoku tygrysem. W końcu skinął głową. Odpowiedziała mu tym samym.

Pies jednak nie zamierzał zachowywać rezerwy. Przybiegł do niej, szybko przebierając krótkimi nóżkami, i wskoczył jej na kolana.

- Ty nieznośny psiaku! Masz brudne łapy! Jesteś niegrzeczny - łajęła go Jilly ze śmiechem. Szczeniak był bardzo sympatyczny: mały, biały, z opadającymi uszami, musiał mieć wśród przodków jakiegoś teriera. Miał niezwykle, brązowe oczy w kształcie migdałów, błyszczące niemal ludzką inteligencją. Wąski i biały łepiek ozdabiała brązowa łątka na lewym oku.

- Widzę, że łobuz z ciebie - mówiła Jilly, drapiąc go za uchem. - A ja lubię łobuzów. Zauważyłeś to, prawda?

Usłyszała zbliżające się kroki pana Patela, ale nie podniosła głowy. Dopiero gdy stanął tuż obok niej, spojrzała mu prosto w oczy. W tej samej chwili psiak zeskoczył z jej kolan.

- Mam nadzieję, że pies nie zdenerwował pani - powiedział pan Patel.

- W żadnym wypadku. Jest bardzo sympatyczny.

- Potrafi być dokuczliwy.

- Wierzę - zaśmiała się, patrząc, jak szczeniak obwąchuje kamienie po drugiej stronie patio. - Ma pan ochotę na papierosa?

- Nie, dziękuję. Nie palę. Jilly lekko przechyliła głowę na bok.

- Och. W pokojach nie wolno palić, prawda?

- Tak - rzekł z lekkim rozbawieniem. - Ale nie sędzę, żeby zakłócała pani spokój sąsiadom, bo i tak żadnych nie ma.

## Mary Alice Monroe 209

Wymienili uśmiechy i znów przeleciała między nimi jakaś iskra porozumienia.

- Gdybym był potrzebny, zawsze jestem na miejscu - oświadczył mężczyzna.

W zasadzie kończyło to rozmowę, Jilly jednak nie zamierzała dać się zbyć tak łatwo. Wyciągnęła do niego rękę.

- Nazywam się Jillian Season. Jilly.

Zawahał się, ale szybko zdjął rękawice i podał jej dłoń.

- Jestem Rajiv Patel.

- Jest pan tu menedżerem?

- Tak. I właścicielem. Mam nadzieję, że nie uzna pani tego za wścibstwo z mojej strony, ale chciałbym zapytać,

czy są panie spokrewnione? Jest wyraźne podobieństwo... Włosy...

- To moje dwie siostry i siostrzenica. Rude włosy to znak firmowy naszej rodziny.

- I przyjechały tu panie z wizytą do kogoś bliskiego? Jilly potrząsnęła głową.

- Nie, a w każdym razie niezupełnie. Próbujemy odnaleźć kogoś z naszej rodziny. Kogoś, kogo nie widziałam już od bardzo dawna.

Przez twarz Rajiva Patela przebiegł cień.

- Rodzina jest wszystkim. Ma pani szczęście, mogąc mieć przy sobie siostry.

Wrażliwy mężczyzna, pomyślała. Podobało jej się to.

- Napije się pan czegoś? Może wody?

- Nie, dziękuję - odrzekł. - Muszę wracać do pracy. Po kilku krokach jednak zatrzymał się i jeszcze raz spojrzął na nią przez ramię.

- Powodzenia w poszukiwaniach - powiedział szczerze

**CZTERY PORY ROKU**

i odszedł. Biały piesek popatrzył za nim, ale został przy patio.

- Proszę pana! - zawołała za nim Jilly. - Pański pies!

- Nie jest mój! - odkrzyknął, nie zwalniając kroku. - Ostrzegam, to zwykły żebrak! Jeśli raz go pani nakarmi, to już nigdy się nie odczepi.

- A więc jesteś żebrakiem, tak? - zaśmiała się Jilly, spoglądając przyjaźnie na kundla, który usiadł u jej stóp i zabawnie przekrzywił łeppek. - W dodatku profesjonalistą - pokręciła głową. - Przypominasz mi mojego byłego męża.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła nieduży kawałek ciasta Rosę. Zawsze miała przy sobie coś dla takich przybłędów. Pies podkraść się bliżej, jednym susem dopadł poczęstunku i zjadł je razem z opakowaniem, a potem popędził nad rzekę i skrył się w wysokiej trawie obok pana Patela. Żaden z nich dwóch nie zwracał na nią więcej uwagi.

Nic dziwnego, pomyślała, gasząc papierosa. Nie widzieli jej, bo tak naprawdę wcale jej tu nie było. Z prędkością światła podróżowała przez czas.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Agnes Muirfield.

Jilly usiadła na łóżku, gwałtownie obudzona z drzemki. Właśnie przypomniała sobie nazwisko kobiety z ośrodka adopcyjnego, która zajmowała się jej sprawą. Może sprawiło to świeże powietrze albo odpoczynek, w każdym razie była pewna, że się nie myli.

Wstała, ochlapała twarz zimną wodą, związała włosy i na wszelki wypadek wyszorowała zęby.

Drzemka pomogła jej dojść do siebie. Wizyta w Marian House sprawiła, że Jilly znów poczuła się jak wyrzutek społeczeństwa, teraz jednak zaczynała w niej wzbierać złość. Rose miała rację. Podjęła kiedyś najlepszą decyzję, jaką mogła podjąć, pozbawiona . wsparcia rodziców, sióstr zakonnych czy pracowników społecznych takich jak Agnes Muirfield. Odpokutowała swój czyn wieloma latami cierpienia i wyrzutów sumienia. Teraz chciała usłyszeć kilka wyjaśnień.

Podeszła do telefonu i wykręciła numer Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego w Green Bay.

- Chciałabym rozmawiać z Agnes Muirfield - powiedziała zdecydowanie.

- Przykro mi, ale Agnes już wiele lat temu odeszła na emeryturę.

A niech to. Tego się obawiała.



**CZTERY PORY ROKU**

- Och. A czy może mnie pani połączyć z kimś, kto przejął jej sprawy?

Sekretarka połączyła ją z kobietą o nazwisku Donna Strobel. Jej mocny, pewny siebie ton przypominał głos Birdie. Jilly przez chwilę wahała się, czy zapytać wprost o dokumenty dotyczące adopcji, czy też wymyślić jakąś historyjkę, zdecydowała się jednak powiedzieć prawdę. Ku jej zdziwieniu ton pani Strobel stał się cieplejszy. Obiecała, że poszuka dokumentów i oddzwoni za jakieś pół godziny.

Jilly odłożyła słuchawkę i przez chwilę patrzyła bezmyślnie na telefon, jeszcze nie wierząc w to, co usłyszała. Dostanie dokumenty! Co za szczęście! Pół godziny wydawało jej się wiecznością. Sięgnęła po papierosa, ale paczka \ była pusta, chwyciła więc swoją sportową torbę na długim pasku i wąskim chodnikiem pobiegła do biura. Słońce już zachodziło i nadciągał wieczorny chłód. Jilly miała na sobie tylko cienki jedwabny sweter i czarne spodnie. Oplotła ramiona dłońmi i przycisnęła brodę do piersi., Weszła do biura i ze zdziwieniem ujrzała w kącie stolik nakryty białym obrusem, a na nim imbryk pełen aromatycznej herbaty, białe porcelanowe filiżanki i srebrne łyżeczki. Na talerzyku leżało kilka ciastek. Jilly tęsknie spojrzała na imbryk. Za jej plecami otworzyły się drzwi i rozległ się odgłos męskich kroków.

- Jilly, czy mogę pani nalać herbaty? Nie spodziewam się dziś innych gości.

Kątem oka zauważyła Rajiva, który wyszedł zza kontuaru. Zdążył się już przebrać w czarne podnie i świeżą białą koszulę. Włosy miał wilgotne po prysznicu. Stał przy stoliku i czekał z wyrazem nieskończonej cierpliwości.

### **Mary Alice Monroe 213**

- Bardzo proszę - odrzekła, czując narastające między nimi napięcie. Ten mężczyzna niezmiernie ją pociągał. Znała to uczucie bardzo dobrze, doświadczyła go tyle razy w życiu, że teraz nie mogła pomylić go z żadnym innym. Patrzyła, jak Rajiv nalewa herbatę do filiżanek i ostrożnie odstawia je na spodki, obserwowała każdy jego ruch. W świecie mody, w którym się obracała, gdzie fizyczne piękno nie było niczym wyjątkowym, nauczyła się zwracać uwagę na niuanse świadczące o czyimś charakterze i guście. Ileż to razy widziała suknię od słynnego projektanta noszoną na niemytym ciele albo koszulę za dwieście dolarów z oberwanym guzikiem? Ubranie Rajiva nie było drogie, ale nieskazitelnie czyste i wyprasowane. Paznokcie miał schludnie przycięte, a czarne buty, choć nieco znoszone, w dobrym gatunku i wypastowane.

Wydawał się świadomy tego, że jest przez nią obserwowany, ale nie była tego całkiem pewna.

Podobała jej się jego rezerwa, która świadczyła o dobrych manierach i wysokim poziomie samokontroli. Podsunął jej śmietankę; potrząsnęła głową. Cukier? Nie. Wszystko to było dość dziwaczne: elegancja i maniery rodem ze starego świata w tym obskurnym motelu, nie wspominając już o popołudniowej angielskiej herbacie.

Napój był znakomity, ale Jilly miała głowę zaprzątniętą telefonem.

- Czy sprzedaje pan papierosy? - zapytała.

- Owszem, ale nie mam dużego wyboru.

- Wszystko mi jedno.

- W takim razie - odrzekł z uśmiechem - coś się znajdzie. Proszę chwileczkę zaczekać.

**CZTERY PORY ROKU**

Herbata, pita dużymi łykami, przyjemnie rozgrzała ją od środka. Zerknęła na zegarek, pragnąc jak najszybciej znaleźć się z powrotem w pokoju. Rajiv wrócił po chwili z trzema paczkami różnych gatunków papierosów. Wybrała jedną i zapłaciła.

- A niech to - zawołała naraz, przerzucając drobiazgi w torbie. - Zapomniałam klucza!

- Mogę otworzyć drzwi zapasowym.

- Dziękuję. Czy mógłby się pan pośpieszyć? Czekam na ważny telefon.

Gdy zbliżali się do drzwi jej pokoju, telefon już dzwonił. Rajiv otworzył je i Jilly wbiegła do środka, ale było za późno. Usiadła na łóżku z ciężkim westchnieniem, przeklinając się za to, że w ogóle wychodziła. Przecież nie było jej najwyżej piętnaście minut!

- Czy to było coś bardzo ważnego? - zapytał Rajiv.

- Bardzo - mruknęła, zanurzając pałce we włosy.

- W takim razie ten ktoś zadzwoni jeszcze raz. Ja już pójdę. Przyniosę pani filiżankę herbaty.

- Dziękuję - kiwnęła głową i w tym momencie telefon znów zadzwonił. Rajiv już w drzwiach pochwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się lekko.

- Czy to pani Season? - zabrzmiało w słuchawce.

- Tak. Tak się cieszę, że pani dzwoni! Nie wytrzymałabym do jutra.

- Myślę, że dwadzieścia sześć lat czekania zupełnie wystarczy - zaśmiała się kobieta. - Mam te dokumenty przed sobą. Ale zdaje sobie pani chyba sprawę z tego, że prawo zabrania mi ujawniać jakiegokolwiek informacje, które umożliwiałyby identyfikację.

## **Mary Alice Monroe 215**

Jilly miała ochotę zapytać, dlaczego. Przecież chodziło o jej córkę! Wiedziała jednak, że upór nic tu nie pomoże i że pani Strobel wykonuje po prostu swoje obowiązki.

- Po pierwsze, pani córka urodziła się zdrowa i pod każdym względem normalna. Adopcja została zakończona w 1974 roku. Zapisy wskazują na to, że rodzina adopcyjna była uszczęśliwiona i zachwycona swoją nową córeczką. -

Jilly poczuła ukłucie zawiści. Ta radość powinna być jej radością. Wyjrzała za okno, przełykając ślinę.

- Proszę mówić dalej. Co to za rodzina?

- Wykształceni katolicy. Ojciec miał samodzielną pracę, matka została w domu, żeby wychowywać córkę. Kolejne

• raporty mówią, że dziecko było dobrze przystosowane społecznie, inteligentne i towarzyskie. Miała świetne wyniki w szkole.

- Jak ona wygląda?

- Zaraz... - Jilly usłyszała szelest przewracanych kartek. - Niebieskie oczy i rude włosy. Bardzo ładna. A więc jej córka również odziedziczyła rude włosy Seasonów. Serce Jilly biło coraz szybciej.

- Jak ma na imię?

Nastąpiła chwila milczenia, po czym pani Strobel odrzekła ze smutkiem:

- Przykro mi, ale nie mogę pani podać imienia, nazwiska ani adresu.

- Nawet samego imienia?

- Niestety. Bardzo żałuję.

Jilly podziękowała i odłożyła słuchawkę. Przez chwilę stała nieruchomo pośrodku pokoju. Wszystko wyglądało tak samo jak przed pięcioma minutami, a jednak cały świat się zmienił.

**CZTERY PORY ROKU**

Jej córka stała się realną osobą. Rudowłosa dziewczyna o niebieskich oczach. Jilly bardzo zapragnęła ją zobaczyć.

Usłyszała pukanie do drzwi i niechętnie poszła otworzyć. Wolałaby w tej chwili zostać sama. Za progiem stał Rajiv z imbrykiem i jedną filiżanką w ręku.

- Proszę, oto herbata - powiedział. Postawił imbryk na stoliku i przyjrzał się jej ze współczuciem w oczach. - Czy dobrze się pani czuje? Widzę, że pani płakała.

Jilly uniosła dłonie do policzków.

- Wszystko w porządku - odrzekła z uśmiechem, ocierając łzy. - Dostałam wiadomości... Wspaniałe wiadomości. O mojej córce.

Rajiv uśmiechnął się z ulgą.

- Na pewno jest tak samo piękna jak matka. Jilly musiała się roześmiać.

- Tak - zapewniła go. - Właśnie przed chwilą się tego dowiedziałam. - Widząc zdumienie na jego twarzy, wyjaśniła: - Właśnie szukam mojej córki. To były pierwsze informacje na jej temat, jakie udało mi się zdobyć. Ten telefon... Zaraz po urodzeniu oddałam ją do adopcji. Właśnie dlatego tu przyjechałyśmy. Szukamy jej razem, ja i moje siostry.

- Rozumiem.

W jego głosie nie było potępienia.

- Urodziłam ją, kiedy byłam bardzo młoda... niedaleko stąd. W Holy Hill.

- W tym domu sióstr zakonnych?

- Tak. To było dawno temu.

- Rozumiem - powtórzył. - I czy udało się pani dowiedzieć, gdzie ona teraz mieszka?

- Nie, jeszcze nie. Ale znajdę ją.

## Mary Alice Monroe 217

Rajiv nalał herbatę do filiżanki i podał jej.

- To co prawda herbata, nie szampan, ale za to w dobrym gatunku. Gratuluję!

Herbata była znakomita Jilly przymknęła oczy z zachwytu.

- Jest doskonała! Gdzie pan ją kupuje?

- Rodzina przysłała mi z Indii.

- Od jak dawna mieszka pan w Stanach?

- Niezbyt długo. Przyjechałem tu rok temu, w maju. Mój ojciec i wuj przybyli do Ameryki dwadzieścia lat temu. Zaczęli od jednego motelu, a teraz mają ich kilka, przede wszystkim na Południu. Georgia, Carolina, Tennessee. Można chyba powiedzieć, że są przykładem amerykańskiego sukcesu. Ostatnio zaczęli rozwijać działalność na Środkowym Zachodzie. Moi bracia i kuzyni prowadzą inne motele. Ojciec zaproponował mi na początek to miejsce - uśmiechnął się i po chwili dodał: - To dość trudny początek. Nie był chyba pewien, czy sprawdzę się w tej profesji, ale jestem mu wdzięczny za szansę. Potrzebowałem zmiany. Moje życie w Indiach stało się... - zawahał się - nieznośne. -. - Wspominał pan o rodzinie w Indiach. Ma pan żonę? Jego twarz pociemniała.

- Moja żona zmarła przed trzema laty.

Jilly znów zobaczyła ten dziwny błysk w jego oczach; teraz stał się dla niej bardziej zrozumiały.

- Przykro mi - powiedziała po prostu, nie siląc się na wyszukane słowa.

Rajiv uprzejmie skinął głową.

Za drzwiami rozległ się radosny głos:

- Otwórz, ciociu Jilly! To ja!

Przez krótką chwilę oboje poczuli się niepewnie, dziwnie

**CZTERY PORY ROKU**

skrępowani tym, że ktoś zastał ich w pokoju sam na sam. Jilly jednak szybko otrząsnęła się z tego wrażenia i poszła otworzyć.

- Mam doskonale nowiny! - zawołała z przesadnym entuzjazmem.
  - Nie, to my mamy... - Na widok gościa Hannah urwała i przeniosła podejrzliwe spojrzenie na ciotkę.
  - Zostawię panie same. Proszę się nie martwić o imbryk
  - powiedział Rajiv, wracając do roli uprzejmego menedżera.
  - Pokojówka przyniesie mi go, kiedy będzie sprzątać. Życzę miłego dnia.
- Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na Jilly i wyszedł, w drzwiach mijając się z Birdie i Rose, które szeroko otwo-' rzyły oczy ze zdumienia.
- Pan Patel przyniósł mi herbatę - wyjaśniła Jilly, wskazując na imbryk. - Jakie macie wiadomości?
- Wszystkie trzy usiadły na łóżku z oczami błyszczącymi podnieceniem.
- Znalazłyśmy dokumenty szpitalne! - zawołała Rose.
  - Jak to? - wykrztusiła Jilly z osłupieniem. - Skąd wiedziałyście, w którym szpitalu szukać?
  - Nie wiedziałyśmy - powiedziała Birdie. - Ale doszłyśmy do wniosku, że musiał to być jeden z trzech szpitali w okolicy. Zaczęłyśmy od najbliższego, i to był strzał w dziesiątkę! Miałyśmy szczęście. Czy mówi ci coś nazwa: Szpital Uniwersytecki?
  - Nie.
  - Tak myślałam - roześmiała się Birdie. — To dlatego, że siedem lat temu zmienił nazwę. Wcześniej to był Szpital Świętego Franciszka!

## **Mary Alice Monroe 219**

Jilly rozpromieniła się.

- Tak! Zgadza się!

- Mogło nas to zmylić na długo. Ale jak mówiłam, po prostu miałyśmy szczęście.

Jilly nie wierzyła własnym uszom.

- I tak po prostu pokazali ci dokumenty?

- No... niezupełnie. Musiałam trochę nazmyślać. Powiedziałam, że prowadzę badania dotyczące urodzeń żywych dziewczynek w tym rejonie w 1973 roku. Wylegitymowałam się, a ponieważ moja licencja lekarska jest ważna w stanie Wisconsin, udostępnili mi dokumenty.

- Hannah i ja trzymałyśmy się z boku, żeby nie wzbudzać podejrzeń - dodała Rose.

- Znałam datę urodzenia i nazwisko matki. Ale wyobraź sobie, że trochę zawiodła cię pamięć.

Pomyliłaś się o jeden dzień.

- Nie wierzę w to! - pokręciła głową Jilly, siadając na łóżku. - Nie. To niemożliwe. Przecież jestem matką i wiem najlepiej!

Birdie wzruszyła ramionami.

- Czasami szczegóły zacierają się w pamięci. Przecież nie zapisałaś nigdzie tej daty ani nie masz metryki urodzenia dziecka, a minęło już wiele lat. Gdzie ten twój notes?

Rose sięgnęła do torby i wyciągnęła zielony notes. Birdie przysunęła się do Jilly, a Rose i Hannah pochyliły się nad nimi.

- Twoja córka urodziła się o godzinie czwartej czternaście po południu, siedemnastego maja 1973 roku, w Szpitalu Świętego Franciszka. Poród odbierał doktor Joseph Brew-ster, a anestezjolog nazywał się Robert Clayton. Mała Season ważyła 3700 gramów, miała 53 centymetry i była



**CZTERY PORY ROKU**

w świetnej kondycji. Przekazano ją do Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego w dniu 20 maja. - Birdie podniosła wzrok i zawieszając na chwilę głos, uśmiechnęła się do Jilly z triumfem. - Twoja córka ma na imię Anne.

Wieczorem wybrały się do miasteczka, by świętować sukces. Zabrały ze sobą butelkę wina i wypity je razem z Maude oraz starszym, nieśmiałym dżentelmenem skrytym za kontuarem, który, jak się okazało, miał na imię Larry i od dwudziestu siedmiu lat był mężem Maude.

- A czy pracowaliście tu w siedemdziesiątym trzecim roku? - zapytała Jilly.

- Ja pracowałem - odrzekł Larry nieśmiało. Jego jasne oczy patrzyły ciepło spod gęstych, białych brwi.

- Ale żona nie. Była w domu z dziećmi. Pewnie się zastanawiasz, czy podawałem ci wtedy colę.

Możliwe. Robiłem koktajle mleczne dla wielu dziewcząt z Marian House, gdy tu przyjeżdżały raz na tydzień, w niedzielę. Zawsze dawałem im trochę większe porcje.

Jilly uniosła kieliszek w toaście.

- Dziękuję w imieniu nas wszystkich.

Po pierwszym nastąpiły kolejne toasty. Anne Season urodziła się na nowo! Rudowłosa, niebieskooka, gdzieś na nie czekała.

Wróciły do motelu zmęczone i na lekkim rauszu. Hannah i Jilly od razu poszły spać. Birdie i Rose również zamierzały się położyć.

- Chyba odważę się wziąć prysznic - oświadczyła Birdie, masując sobie krzyż.

## **Mary Alice Monroe 221**

- Idź - odparła Rose. - Ja pójdę po tobie. Ból w plecach dokuczał Birdie od rana i od czasu do czasu przeszywał ją lekki skurcz. Znowu spóźniał się jej okres. Przeszło jej przez myśl, że może jest w ciąży, ale zaraz roześmiała się w duchu z tego pomysłu. Już od lat bezskutecznie starali się o drugie dziecko i teraz Birdie nie zamierzała znów przeżywać rozczarowania. W jej wieku mógł to być raczej symptom nadchodzącej menopauzy.

Weszła pod strumień gorącej wody, oparła się dłońmi o kafelki i zaczęła się zastanawiać, co robi w tej chwili Dennis. Czy jest sam? Czy też o niej myśli? Przez ostatnie dni starała się wyrzucić z pamięci zarówno jego samego, jak i słowa, które wypowiedział przed swym nagłym wyjazdem. Nie wierzyła, żeby naprawdę tak myślał. Jedna kłótnia nie mogła zniweczyć dwudziestu lat małżeństwa.

Ale nie odbierał telefonów i nie odpowiadał na wiadomości, jakie mu zostawiała. Birdie miała ochotę ukarać go za to, ale z drugiej strony bardzo za nim tęskniła. Na myśl, że mógłby ją opuścić, dłonie zaciskały jej się w pięści z rozpaczą i bezsilnością.

Sięgnęła po ręcznik i na widok swego odbicia w lustrze zmarszczyła czoło. Piersi straciły kształt, a niegdyś szczupła talia zniknęła pod fałdami tłuszczu. Jej ciało nabrało zniechęconego, wyśmiewanego przez nastolatki kształtu gruszki. Skąd się wzięły te wszystkie siwe włosy? - pomyślała w popłochu, przysuwając twarz bliżej lustra. Od kiedy właściwie przestała zwracać uwagę na swoją figurę, włosy i paznokcie? Towarzystwo Jilly sprawiło, że boleśnie uświadomiła sobie niedostatki własnego wyglądu. Czuła się przy siostrze jak słoń przy gazeli. Teraz nikomu by nawet

**CZTERY PORY ROKU**

do głowy nie przyszło, że Jilly jest od niej starsza. Nic dziwnego, że Dennis wyjechał, pomyślała z odrazą.

Gdy wyszła z łazienki, Rose siedziała przy komputerze bez reszty pochłonięta przeglądaniem stron internetowych. Birdie nałożyła nocną koszulę i sięgnęła po komórkę. Domowy numer znów nie odpowiadał. Po piątym sygnale odezwała się automatyczna sekretarka.

- Tu dom Connorów. Mówi Dennis. Proszę zostawić wiadomość po sygnale.

Birdie zmarszczyła brwi. Dlaczego Dennis zmienił tekst nagrania? Dlaczego podaje tylko swoje imię? Wyłączyła telefon i zamyśliła się. Była za dziesięć jedenasta. Gdzie on się podziewał o tej porze? Zwykle spędzał wieczory w domu, nawet podczas weekendów."

Położyła telefon na stoliku obok łóżka, weszła pod kołdrę i zwinęła się w kłębek.

Jakiś czas później Rose podniosła głowę znad komputera z przekonaniem, że natrafiła na żyłę złota. Miała ochotę obudzić obydwie siostry i od razu im o tym opowiedzieć, ale spojrzała na zegarek i zmieniła zdanie. Zaznaczyła stronę Rejestru Soundex zakładką, wzięła głęboki oddech i weszła do poczty. Na widok czekającego listu od Danny'ego uśmiechnęła się od ucha do ucha, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak wiele te listy dla niej znaczą.

Droga Rosebud,

Dużo dzisiaj o Tobie myślałem. Zastanawiałem się, co Ci napisać o sobie. Łatwiej by mi było wysłać zdjęcie, ale wifem, że nie o to Ci chodzi.

### **Mary Alice Monroe 223**

No więc mam 38 lat, 175 cm wzrostu i ważę 80 kg. Włosy ciemne, oczy niebieskie. Wcześniej nosiłem wąsy, ale już je zgoiłem. Jestem prostym człowiekiem. Lubię biwaki i polowania. Tak dużo czasu spędzam w ciężarówce, że gdy mam wolne, lubię zajmować się czymś zupełnie innym. Sprawia mi przyjemność gotowanie i całkiem nieźle mi to wychodzi. Nie stosuję się do przepisów, tylko do własnego natchnienia. Chyba jestem samotnikiem, na to wskazuje moja praca i moje hobby. Ale towarzystwo ludzi lubię, szczególnie rodziny.

Jestem rozwiedziony i mam dziesięcioletniego syna, który mieszka ze swoją matką. Mój syn bardzo wiele dla mnie znaczy. Widuję się z nim zawsze, gdy jestem w domu, to znaczy w Nebrasce.

Wiem, że jesteś teraz niedaleko od Green Bay i zastanawiam się, jak długo jeszcze pozostaniesz w Hodges? Kończę trasę za kilka dni i za jakiś tydzień mógłbym przyjechać do Wisconsin. Może miałabyś ochotę się ze mną spotkać?

Danny

Rose poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Spotkanie? Boże, on chciał się z nią spotkać? Opadła na krzesło i odetchnęła głęboko. Przez cały czas w głębi duszy podejrzewała, że musi w końcu do tego dojść, ale była to bardzo mglista i abstrakcyjna perspektywa. Czytała, co prawda, wiele opowieści o ludziach, którzy poznali się przez Internet, potem spotkali się i albo szczęśliwie pozostali razem, albo też szybko się przekonali, że nie są dla siebie stworzeni. Nie chciała, by jej i Danny'emu przydarzyła się ta druga ewentualność. Tak, jak było dotychczas, było dobrze.

**CZTERY PORY ROKU**

Wyłączyła komputer i weszła do łóżka, ale długo nie mogła zasnąć. Patrzyła w mrok, słuchając wydobywających się ze starego grzejnika dźwięków i zastanawiając się, co też może wyniknąć z tego jednego niewinnego pytania, jakim Danny zakończył swój list. -

W końcu zdecydowała, że na razie pozostawi list bez odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jilly siedziała z nosem przyciśniętym do ekranu, w jednej ręce ściskając mysz, a w drugiej kubek z kawą. Serce biło jej mocno. Po wczorajszej rozmowie z pracownicą ośrodka adopcyjnego strona internetowa znaleziona przez Rose była kolejnym promykiem nadziei na jakieś informacje o córce. Rose, z uśmiechem satysfakcji na twarzy, siedziała obok.

- To strona Rejestru Soundex Reunion. Znalazłam ją wczoraj wieczorem.
  - Nie mogę w to uwierzyć. Oni naprawdę mogą mnie skontaktować z moją córką?
  - O ile ona też się zarejestrowała. To tak jak w biurze matrymonialnym.
  - Więc co mam zrobić?
  - Rejestracja przez e-mail jest niemożliwa - odrzekła Rose. - Ale możemy do nich napisać z prośbą o formularz
  - Poczta odpada. Zadzwońmy.
  - Dobrze, ale zaczekaj chwilę. Najpierw chcę ci coś jeszcze pokazać. - Przysunęła się do klawiatury, wklepała adres i weszła na stronę z opowieściami matek, które prowadziły podobne poszukiwania. JiUy odstawiła kawę, usadowiła się wygodnie i zaczęła czytać.
- W godzinę później wciąż siedziała przy komputerze z twarzą zalaną łzami. Nie czuła się już samotna. Takich jak

**CZTERY PORY ROKU**

ona było wiele. Rozumiała ich cierpienie i poczucie straty. Podobnie jak dla niej, dla wielu spośród nich oddanie dziecka do adopcji było jedynym możliwym wyjściem z sytuacji. One również czuły się jak zasługujące na surową karę kryminalistki. Niektóre wypierały z pamięci wszelkie fakty, inne latami zamartwiałały się o swoje dziecko. Niektóre miały później jeszcze inne dzieci, ale były i takie, które ich nie miały. Wszystkie jednak czuły się jednakowo zrozpaczone.

Jilly poczuła przypływ świeżej energii. Spisała z Internetu adresy wielu grup i agencji, które oferowały pomoc w poszukiwaniach, nałożyła dzinsy i sweter, przerzuciła torbę przez ramię i poszła do recepcji po koperty i znaczki.

- Co panią sprowadza? - zapytał Rajiv z uśmiechem, unosząc głowę znad papierów na biurku. -

Przyszła pani na herbatę?

- Nie jestem aż taką żebraczką jak ten pies - zaśmiała się. - Ale jeśli jest już zaparzona...

- Mogę zaparzyć świeżej.

- Nie, proszę nie robić sobie kłopotu. Jestem głodna i idę coś zjeść. Byłam tak zajęta, że zupełnie zapomniałam o posiłku. Dziś rano odkryłam Internet!

Rajiv odchylił się na oparcie krzesła i uniósł brwi.

- Widzę, że poszukiwania zataczają coraz szersze kręgi. Odkrywa pani nowe technologie?

- Proszę się ze mnie nie śmiać. Mniej więcej wiedziałam, co to jest Internet, ale nigdy mnie to nie wciągnęło. W mojej pracy nie był mi potrzebny. Nie miałam pojęcia, co tracę. Bogu dzięki, że Rose jest tu ze mną.

- A czym się pani zajmowała?

## Mary Alice Monroe 227

- Och... byłam modelką - powiedziała nieco lekceważącym tonem. - Czy sprzedaje pan znaczki pocztowe?

- Nie, ale mogę pani jeden podarować.

- Dziękuję, ale potrzebuję ich więcej. Gdzie jest najbliższa poczta?

- Pójdę z panią. Ja też mam coś do wysłania. Jilly uniosła brwi. Rozmowa z Rajivem była o wiele przyjemniejszą perspektywą niż rozmyślanie o nim.

Następnego dnia, gdy Jilly wracała z porannego spaceru, Rose czekała na nią w progu, wymachując dużą kopertą. Birdie i Hannah, wyraźnie podniecone, stały obok. - To przyszło, gdy cię nie było - zawołała Rose, podając jej kopertę poczty kurierskiej. - Nie mogliśmy się doczekać, kiedy wrócisz! Jilly uważnie obejrzała przesyłkę.

- To od pana Collinsa.

Koperta nie była gruba ani ciężka. Co może być w środku? Nazwisko? Wiele nazwisk? Może adres? Jilly rozerwała kopertę i wyjęła kilka kartek papieru. Na wierzchu był list od pana Collinsa. Jilly przebiegła go wzrokiem i podniosła głowę.

- Podaje mi listę nazwisk, jakie otrzymał od swojego informatora. Jest pewien, że wśród nich jest to, którego szukamy... - Jilly poblądła. - Nazwisko mojej córki!

- Bogu dzięki - szepnęła Rose. - Czytaj dalej.

- Pisz jeszcze, że wydanie dokumentów adopcyjnych opóźni się.

- Czytaj!

- Sędzia uznał, że konieczne będzie ustanowienie pełnomocnika prawnego. Pan Collins jest tym zdziwiony. Po-



**CZTERY PORY ROKU**

dejrzenia, że przyczyną może być lęk rodziny adopcyjnej przed kontaktem z biologiczną matką. Ale mamy nie tracić nadziei, że to tylko chwilowe opóźnienie. Szczerze oddany, i tak dalej. - Jillian złożyła list i odsunęła od siebie resztę papierów. - Boję się na nie spojrzeć. Birdie szturchnęła ją w ramię.

- Nie umierasz z ciekawości? Wiemy już, jak ona ma na imię.

- To się staje zbyt rzeczywiste... Z każdym krokiem jesteśmy bliżej niej. Po tylu latach to dla mnie trochę za szybkie tempo.

- Rozumiem, jak się czujesz - powiedziała współczująco Rose, podchodząc bliżej. - Czasami nie jesteśmy go- ąi towi, by stanąć z czymś twarzą w twarz. Jeśli chcesz trochę zwolnić, zrozumiemy to. Przecież mówiłyśmy, że będziemy cię wspierać.

Jakaś część duszy Jilly pragnęła zaczekać, wstrzymać na razie poszukiwania, ale inna jej część pytała, czy czekanie i tak nie trwało już zbyt długo? Jilly z natury była impulsywna, w przeciwieństwie do Rose. Wzięła głęboki oddech i przejrzała papiery.

Na liście było osiem nazwisk, z czego trzem towarzyszyło imię: Anne, w dwóch przypadkach razem z drugim. Dwa nazwiska miały obce brzmienie; Jilly wątpiła, by któreś z nich należało do jej córki. Ich rodzina miała angielsko-irlandzkie korzenie, a siostra Celestine zapewniała ją, że ośrodek adopcyjny stara się znaleźć dzieciom rodziców podobnych etnicznie.

- Przecież już wiadomo, że ona ma na imię Anne - zdziwiła się Hannah, zaglądając jej przez ramię. Jej matka wzruszyła ramionami.

## **Mary Alice Monroe 229**

- Imię mogli zmienić.

Jilly jednak potrząsnęła głową.

- Nie sędzę. Byłoby to prawdopodobne, gdybym to ja nadała jej imię Anne. Wówczas można by przypuszczać, że rodzina adopcyjna wolała nazwać ją po swojemu... Ale ja nie nadałam jej żadnego imienia. Radzono mi, żebym tego nie robiła, bo to wzmacnia więź. Więc skoro wybrali jej to imię sami, po co mieliby je zmieniać? - Spojrzała na Birdie i zapytała: - Czy ty zmieniłabyś imię Hannah po powrocie ze szpitala?

- Nie - potrząsnęła głową jej siostra. - Rozumiem.

- Więc chyba od razu możemy inne imiona odrzucić? - Zostawmy tylko wszystkie odmiany Anne - powiedziała Birdie po chwili zastanowienia.

Jilly wyjęła długopis z szuflady i postawiła krzyżyki obok trzech nazwisk.

Ann Josephine Neville.

Anne Rutledge.

Anne Marie Parker. . Patrzyły na listę, zastanawiając się, które nazwisko jest tym właściwym.

- Kto by pomyślał, że to dziecko otrzyma imię naszej matki? - pokręciła głową Birdie. - Czy to jakaś ironia losu?

- Myślę, że to sprawiedliwość w wydaniu metafizycznym - uśmiechnęła się Rose.

- Ja bym to nazwała raczej zemstą losu - stwierdziła Jilly. - Mama zapewne przewraca się w grobie.

- Boże, ileż w tobie gorczy! - zdumiała się Rose.

- Owszem - przyznała Jilly. - Nigdy w życiu nie nadałabym mojej córce imienia po niej.

**CZTERY PORY ROKU**

- Wybacz jej - powiedziała ciepło Birdie. - Przy mnie też jej nie było, kiedy rodziłam. Zresztą wcale bym tego nie chciała. Nie nadawała się do takich rzeczy.

- Och, daj spokój, Birdie - prychnęła Jilly. - Nie porównuj mojej sytuacji z twoją. Jeśli chodzi o mnie, nasza matka udawała, że w ogóle nie ma żadnego porodu.

- Tak... Mama chyba nie powinna mieć dzieci. Ale nas kochała. Nigdy nie miałam co do tego wątpliwości.

- Czasem to nie wystarcza - odparowała Jilly.

- Właśnie - wymamrotała Hannah, krzyżując ramiona na piersiach.

Bridie obróciła się w jej stronę z pociemniałą twarzą, ale na widok oskarżenia błyszczącego w oczach córki gwałtownie spokorniała i w jej własnych oczach błysnęły łzy. Czegoś takiego jeszcze żadna z jej sióstr nie widziała. W czasach szkolnych nazywano ją Żelazną Birdie - właśnie dlatego, że nigdy nie płakała.

- Nie kłóćmy się - poprosiła Rose. - Wreszcie mamy jakiś konkretny trop. Lepiej się zastanówmy, co robimy dalej.

Jilly sięgnęła po notes.

- No, dobrze. Mamy wiele szczęścia, że pan Collins podał nam nazwiska. Z tego, co czytałam w Internecie, niektórym kobietom dojście do tego etapu zajmowało kilka miesięcy. Według moich notatek powinniśmy zacząć od archiwum powiatowego i sprawdzać w miejskich rejestrach według roku urodzenia. Wiemy, że dziecko urodziło się w Green Bay County. Trzeba wziąć mapę, zaznaczyć krąg o promieniu pięćdziesięciu mil i iść po spirali. Pozostają jeszcze miejscowe książki telefoniczne.

- To zajmie wiele godzin - jęknęła Hannah. - Całe dni.

## **Mary Alice Monroe 231**

- A po co tu jesteśmy? - odparła Jilly ostro. - Jeśli chcesz, to możesz zostać w pokoju i oglądać telewizję.

Hannah wydawała się trochę zaskoczona tonem ciotki.

- Nie, nie, oczywiście, że pomogę - wycofała się.

- Dobrze - skinęła głową Jilly. Nie chciała w nieskończoność odgrywać roli „dobrej” ciotki, widziała bowiem, że z tego powodu Birdie ma z córką coraz większe kłopoty, a poza tym lekceważący stosunek Hannah do matki zaczął ją denerwować.

Wszystkie cztery wstały i sięgnęły po kurtki. Hannah wyszła z pokoju pierwsza, za nią Rose. Birdie dotknęła ramienia Jilly. - Dziękuję - powiedziała.

- Nie ma za co - odrzekła Jilly, patrząc jej w oczy. - Ale tak między nami, nie traktuj Hannah przez cały czas jak dziecka. Spróbuj zobaczyć w niej kobietę. Może się przekonasz, że jest bardziej dojrzała, niż myślisz.

Mrugnęła do siostry z uśmiechem i rzuciła jeszcze:

- Zdaje się, że zaczynam rozumieć, o co chodzi w tych relacjach matki z córką.

Szukanie adresów nie było takie proste, jak sądziły. Po dwóch dniach w dalszym ciągu nie miały niczego i w ich rozmowach zaczęła się pojawiać irytacja. Każdego popołudnia Jilly biegła do domu sprawdzić, czy nie nadeszła jakaś nowa przesyłka od pana Collinsa. Birdie co wieczór dzwoniła do Dennisa, ale za każdym razem odpowiadała jej automatyczna sekretarka. Rose tęsknie spoglądała na komputer, ale nie otwierała skrzynki pocztowej.

W wolnych chwilach zwiedzały sklepy w miasteczku. Rose

**CZTERY PORY ROKU**

kupiła stary, bardzo ładny dywanik, lampy i narzutę na łóżko, Jilly szklanki i filiżanki do użytku na miejscu. Nic jednak nie było w stanie podnieść ich na duchu, dopóki poszukiwania tkwiły w martwym punkcie. Po trzech dniach miały już dość i Jilly uznała, że czas wzmocnić morale ekipy.

Jilly wrzuciła do ust czekoladkę w taki sposób, jak mogliby to robić ucztujący starożytni Rzymianie. Na podwójnym łóżku leżał zatłuszczony karton z ostatnim kawałkiem pizzy, torba czekoladek, druga torba pełna czekoladowych ciasteczek, puste opakowanie po chipsach i torebka żelków.

Birdie podłożyła sobie poduszkę pod plecy.

- Mam wrażenie, że w Paryżu damy nie jadają takich rzeczy.
- Nie wiedzą, co tracą. To jest amerykańskie przyjęcie pizamowe. Lepsze niż prozac.
- Chyba jeszcze nigdy nie zjadłam tylu tych wszystkich śmieci na raz - jęknęła Rose, przetaczając się na brzuch.
- Chyba się pochoruję.
- Odrobina dekadencji jeszcze nikomu nie zaszkodziła
- stwierdziła Birdie, sięgając po ciasteczko.
- Tylko figurze - odparowała Jilly i rzuciła w nią cukierkiem. - Nie mogę uwierzyć, że mówi to lekarka.
- Wiesz, jak to jest - wzruszyła ramionami jej siostra:
- Lekarzu, lecz się sam.
- Jutro za to zapłacimy - pokiwała głową Jilly, odsuwając czekoladki na skraj łóżka. - Wszystkie oprócz Hannah. Popatrzcie na nią. Czy ktoś oprócz mnie zauważył, że nasza młoda piękność zjadła tylko jeden kawałek pizzy i w ogóle nie tknęła czekolady?

### **Mary Alice Monroe 233**

Birdie nie zauważyła. Obróciła głowę i przyjrzała się córce. Hannah spojrzała na nią nieśmiało i wróciła do piłowania paznokci.

- Po prostu nie byłam głodna.

Birdie przebiegła pamięcią ostatnie dni i dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej córka stała się bardzo wybredna w kwestiach jedzenia. Unikała ciężkich i tłustych potraw, które wcześniej stanowiły główną część jej menu, a w zamian wybierała sałatki i owoce. Bardzo starannie dobierała również ubrania i nakładała lżejszy makijaż niż przed wyjazdem.

- Przeszłaś na dietę? - zapytała ze zdumieniem, pamiętając, że Hannah nigdy nie chciała słyszeć o żadnych dietach.

- Właściwie to nie dieta - odrzekła jej córka. - Raczej styl życia.

Birdie uniosła brwi. To już zupełnie nie było podobne do Hannah. Zauważyła jednak, że na twarzy Jilly malował się wyraz dumy, który wyjaśniał tę nagłą metamorfozę. Zapewne wieczorem, po zgaszeniu światła, długo rozmawiały o dietach, urodzie i chłopcach. Może nawet o seksie. O tym wszystkim, o czym powinna rozmawiać z córką matka. Birdie poczuła przypływ zazdrości.

- Jaki styl życia masz na myśli?

- O co ci właściwie chodzi? - zaperzyła się Hannah. - Myślisz, że biorę jakiś prochy albo coś w tym rodzaju? Albo że mam anoreksję? Jem zdrowo! Tylko zrezygnowałam ze słodczy. Jezu, mamo, przecież namawiałaś mnie do tego od lat! Tylko że sama nigdy się do tych wskazówek nie stosowałaś.

**CZTERY PORY ROKU**

Cios dosięgną! celu. Birdie poczuła, że policzki zaczynają ją palić.

- Nie pomyślałam ani przez chwilę, że bierzesz prochy. Tylko zapytałam.

Hannah ze zdwojoną energią wróciła do piłowania paznokci.

- Poza tym ćwicz - dodała Jilly. - Co wieczór. A rano chodzimy pobiegać. Te wzgórza idealnie się do tego nadają.

Birdie poczuła się rozpaczliwie samotna. Dlaczego jej nie zaproponowały, by im towarzyszyła?

Wiedziała, że Jilly chce pomóc, ale tylko pogarszała sprawę. Czy nie rozumiała, że dla Hannah stawała się o wiele atrakcyjniejsza od matki? Była piękna i szczupła. Birdie czuła się przy niej jak stary % nietoperz.

Jilly jęknęła i przewróciła się na plecy.

- Brzuch mnie boli. Zabierzcie to wszystko jak najdalej ode mnie. Albo wyrzućcie. Już nigdy w życiu nie chcę oglądać czekolady.

Birdie sięgnęła po torebkę i ostentacyjnie wrzuciła do ust kolejną czekoladkę.

- Jutro będziesz mówić inaczej - zaśmiała się Rose.

- I kto to mówi. Przecież ty w ogóle nie jadasz słodczy.

- Owszem, zjadłam trochę - broniła się Rose. - Po prostu nie przepadam za czekoladą.

- Nienawidzę, gdy chude kobiety mówią takie rzeczy.

- Może dlatego, że one są chude, a ty nie - wymamrotała Hannah.

- Hannah - powiedziała Jilly ostrzegawczo. Dziewczyna wruszyła ramionami i znów wróciła do paznokci.

Birdie zjadła jeszcze jedną czekoladkę.

## **Mary Alice Monroe 235**

- Zastanawiam się, co zrobić z włosami - powiedziała Jilly, żeby zmienić temat. Wstała z łóżka i podeszła do lustra nad umywalką. - Popatrzcie, siwieję na skroniach. Zaczyna się!

- Witaj w klubie - rzuciła Birdie pochmurnie.

- Nie dopuszczę do tego, dopóki oddycham i mam choćby jednego dolara w kieszeni - odparła Jilly z oburzeniem.

Birdie znów zauważyła, że jej córka jest zachwycona postawą ciotki. Zaciśnęła usta, myśląc, że w przyszłym roku Hannah zapewne wybierze w szkole francuski zamiast hiszpańskiego.

- Muszę poszukać jakiegoś fryzjera - ciągnęła Jilly. - Albo lepiej nie. Wolę nie myśleć, co mógłby zrobić. Poradzę sobie sama. Nie chcę, żeby moja córka zobaczyła mnie po raz pierwszy z siwymi włosami. Czy w supermarketach są farby do włosów?

- Jasne. Jakie tylko chcesz - odpowiedziała Birdie. - Ale szczerze mówiąc, Jilly, ja prawie nie widzę tej twojej siwizny.

- Ja też nie - dołączyła się Rose.

- Prawie? To znaczy, że jednak coś widzicie - stwierdziła Jilly, pochylając się bliżej do lustra. - Nie znoszę swoich włosów!

- A mnie się zawsze twoje włosy bardzo podobały - przyznała Birdie, obracając w rękę papieraek po czekoladce. - I twoje też, Rose. Mają taki piękny kolor.

- Są pomarańczowe jak dynia - prychnęła Rose.

- Są piękne, słoneczne - powtórzyła Birdie. - Jak włosy mamy i Meny. Byłam bardzo szczęśliwa, gdy się oka-



**CZTERY PORY ROKU**

zało, że Hannah też odziedziczyła ten kolor. Wszystkie kobiety w rodzinie Seasonów mają takie włosy - oprócz mnie - zaśmiała się krótko. - Gdy byłyśmy małe i wychodziłyśmy gdzieś wszystkie razem, zawsze wydawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie i zastanawiają się, kim jest ta wielka, niezgrabna dziewczyna. Miałam wrażenie, że do was nie pasuję. Ja i moje zwyczajne ciemne włosy. Wiecie, co sobie pomyślałam, gdy przeczytałam w karcie szpitalnej, że dziecko Jilly urodziło się z rudymi włosami? Poczulałam się oszukana. Jeszcze jedna ruda panna Season. Dlaczego nie ja? Słowo daję, gdybym nie była tak podobna do taty, to dałabym sobie rękę uciąć, że mnie adoptowano.

- Ale przecież masz piękne włosy, Birdie - powiedziała Jilly z uczuciem. Zrobiło jej się terarprzykro za te wszystkie lata, kiedy kpiła z wyglądu Birdie, nie wiedząc, że trafia w najwrażliwszy punkt. Jej siostra zawsze tylko pogardliwie wzruszała ramionami, odparowując, że woli rozum od urody. - Twoje włosy mają taki piękny, rudawy połysk!

- Kiedyś miały. Teraz posiwiałam.

Jilly postukała palcem po ustach i stwierdziła dramatycznie:

- To można zmienić.

- Nie, nic z tego. Farbowanie włosów to nie dla mnie.

- A dlaczego?

- Wyglądam jak wyglądam, lepiej czy gorzej, ale to ja. Wolę być naturalna. Używam tylko odrobinę szminki i tuszu do rzęs.

Jilly jednak nie zamierzała poddawać się tak łatwo.

- Jest mnóstwo różnego rodzaju produktów do makijażu

## Mary Alice Monroe 237

- powiedziała, siadając obok Birdie. - Matka natura nie jest łaskawa dla starzejących się kobiet. Od nas tylko zależy, czy ją przechytrzymy. - Z rozjaśnionym nagle wzrokiem popatrzyła po twarzach wszystkich kobiet. - Zróbmy się na bóstwa!
- Nie - powtórzyła Birdie z uporem.
- Zobaczysz, jak będziesz wyglądać, gdy skończę! Nie pożałujesz!
- Nie.
- Birdie, zgódź się - dołączyła się Rose, powstrzymując śmiech.
- I kto to mówi! Od czasów liceum nie zmieniłaś fryzury. Jeśli ty to zrobisz, to ja też!
  - Och, nie - spłoszyła się Rose. - Ja nigdy nie zmienię fryzury. Nie wyobrażam sobie siebie w innej...
- Birdie roześmiała się.
- A dlaczego właściwie nie? - zapytała leniwie Hannah, wyciągając się na łóżku. - Tó tylko włosy. Odrosną. Ciociu Jilly, może podciąłabyś moje? Mam ochotę na jakąś zmianę. Może na krótko, tak jak Winona Ryder?
- Myślę, że wyglądałabyś w takiej fryzurze świetnie - pokiwała głową Jilly, taksując wzrokiem świeżą cerę i ciemne brwi siostrzenicy. - Masz ładny układ kości twarzy. Chyba powinnaś mieć włosy odrobinę dłuższe niż Winona, bardziej jak Meg Ryan. To podkreśli oczy. I mniej makijażu... Oczywiście, że tak. Rose, ty też. Nowe uczesanie może ci się bardzo podobać.
- Rose ze śmiechem, ale stanowczo potrząsnęła głową.
- Trzymaj się ode mnie z daleka, ty wariatko.
- Jak chcesz - wzruszyła ramionami Jilly. - Birdie, ale "H jeśli o ciebie chodzi, to powinnaś zastrzelić swoją fryzjerkę.

**CZTERY PORY ROKU**

Sposób, w jaki cię czesze, wcale nie jest dla ciebie korzystny. Siwe włosy też nie. Daruj, że ci to mówię, ale w końcu jestem twoją siostrą. Jeśli ja ci nie powiem, to kto to zrobi? No więc te włosy cię postarzają. Chcesz być ruda? Moim zdaniem z rudymi włosami wyglądałabyś znakomicie. Skoro matka natura popełniła błąd, to należy go naprawić.

- Nic z tego - powtarzała Birdie z uporem.

- Obydwie jesteście uparte jak osły - westchnęła Jilly.

- Mamo, ale dlaczego nie chcesz? - wtrąciła Hannah. - Ja też myślę, że z rudymi włosami bardzo dobrze byś wyglądała! A jak się zdziwi tato, kiedy wrócimy do domu!

Ten argument wyraźnie poruszył Birdie.

- Sądzę, że on i tak nic nie zauważy - wzruszyła ramionami, udając obojętność.

- Owszem, zauważy - perswadowała Hannah z przejęciem. - Mamo, powinnaś zrobić coś dla siebie! Nigdy nic takiego nie robisz. Zobaczysz, jakie to przyjemne! Ja mogę się zająć twoimi paznokciami. Zrobimy sobie wieczór piękności tak jak kiedyś, gdy byłam małą, pamiętasz?

Birdie przypomniała sobie z żalem, jak świetnie się wtedy bawiły. Spojrzała w oczy córki, próbując odgadnąć, co Hannah chce jej powiedzieć.

- Naprawdę myślisz, że byłoby mi dobrze z rudymi włosami? - zapytała niepewnie.

Oczy Hanny rozszerzyły się podnieceniem.

- Naprawdę! Wyglądałabyś super.

- Chodź tu, Birdie - zaśmiała się Jilly. Niespodziewanie Birdie poczuła, że ogarnia ją euforia.

- Nie mogę się oprzeć. Zaczynaj.

## **Mary Alice Monroe 239**

Kilka godzin później Jilly stała przy zlewie i myła plastikowe pojemniki po farbie. Pokój rozbrzmiewał niepoohamowanym śmiechem czterech kobiet. Jilly nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś usłyszy taki szczery, spontaniczny śmiech swoich sióstr.

Wieczór piękności bardzo się udał. Birdie wyglądała teraz

**0** dziesięć lat młodziej. Wybrała odcień farby o ton ciemniejszy od włosów córki. Jilly podcięła jej włosy w sposób uwydatniający kości policzkowe. Teraz jej niebieskie oczy błyszczały jak szafiry, powiększone i rozświetlone przez umiejętny makijaż. Gdy Birdie z niedowierzaniem patrzyła na swoje odbicie w lustrze, Jilly tylko uśmiechała się z satysfakcją.

Hannah również skorzystała na zmianie. Włosy, poprzednio sięgające ramion, teraz miała skrócone i wycieniowane w pazurki tańczące wokół twarzy. Ciężkie czarne kreski wokół oczu zniknęły, a twarz pokryta lekkim, pastelowym makijażem wydawała się promienna.

Nawet Rose przyłączyła się do nich w ostatniej chwili

1 zgodziła się trochę wyrównać końce swoich długich włosów. Jilly skróciła je tylko o kilka centymetrów i Rose prawie nie zauważyła różnicy, za to włosy wydawały się teraz bardziej gęste i zdrowsze.

Słuchając ich śmiechu, Jilly wróciła myślą do czasów, gdy taki śmiech rozbrzmiewał każdego dnia, a one wyobrażały sobie, że są księżniczkami, do których kiedyś będzie należał cały świat.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Stukanie do drzwi wyrwało Jilly z głębokiego snu. W pokoju było jeszcze ciemno.

- Kto tam? - zapytała nieprzytomnie, z trudem otwierając oczy.

- To ja, Birdie. Otwórz.

Zwlokła się z łóżka i poszła do drzwi. Ponad ramionami siostry zobaczyła pierwszą smugę" brzasku rozjaśniającą niebo.

- Tylko mi nie mów, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje - powiedziała Birdie i na widok śpiącej w najlepsze Hannah zmarszczyła nos z rozczarowaniem. - Myślałam, że co rano biegacie i chciałam się do was przyłączyć.

Jilly ziewnęła szeroko, patrząc uważniej na twarz Birdie rozjaśnioną dziwnym blaskiem. Jej siostra miała na sobie dzinsy i bordową bluzę z emblematem Uniwersytetu Wisconsin. Stała pośrodku pokoju, biegnąc w miejscu.

- Przestań tak podskakiwać - wymamrotała Jilly.

- To rozgrzewka.

- Mamo, to nie jest żadna rozgrzewka - jęknęła Hannah, podnosząc głowę znad poduszki. - Musisz się poroz-ciągać.

- A pokażesz mi, jak?

- Jasne - odrzekła Hannah z anielskim uśmiechem.

## Mary Alice Monroe 241

- Idźcie we dwie - powiedziała Jilly. - Mnie boli żołądek. Pójdę za wami, tylko trochę wolniej.

- Starzejesz się - zakpiła Birdie.

Dwadzieścia minut później Jilly, ubrana w dres, wyszła na zewnątrz i zaczęła przy ścianie ćwiczenia rozciągające. Zanosiło się na piękny dzień. Trawa pokryta była jeszcze rosą. Lekki wiatr niósł skądś słodki zapach. Czyżby zaczynały już kwitnąć bzy?

Wybrała łatwą trasę wzdłuż rzeki. Tutaj biegało się o wiele lepiej niż w mieście. Jilly uwielbiała zapach lasu i dotyk chłodnego powietrza na policzkach.

Zawróciła w stronę motelu i gdy była już niedaleko, zauważyła zbliżającą się do niej postać, a po chwili również biegnącego obok psa. Poczwała dreszcz podniecenia. O kilka metrów przed nią znajdował się drewniany mostek. Jilly zwolniła i otarła czoło rękawem.

Pies podbiegł do niej pierwszy, witając ją szczekaniem. Jilly pochyliła się i podrapała go za uchem.

- Czy jest pan pewien, że to nie pański pies? - zapytała podchodzącego do niej Rajiva.

- Ja jestem tego pewien, ale on chyba nie - roześmiał się.

- Czy on się jakoś nazywa?

- Nigdy mi się nie przedstawił.

- A pan jak go nazywa?

- Wcale go nie nazywam. Zwykle go ignoruję, ale jemu to nie przeszkadza. Lubi moje towarzystwo.

- Mógłby pan nadać mu jakieś imię.

- On nie należy do mnie. W gruncie rzeczy jest bardzo niezależny. Zna cały ten teren jak własną kieszeń. Zdaje

**CZTERY PORY ROKU**

się, że jest też lubiany przez płeć piękną. Widziałem w mieście kilka kundli z czarną łatką na oku.

Jilly roześmiała się. Zdecydowanie, pies miał wiele wdzięku.

- Ale powinien jednak mieć jakieś imię. Jak każdy.

- Jeśli nadam mu imię, to się do niego przywiążę, a tego nie chcę.

Jilly pomyślała o swojej córce.

- W takim razie ja nadam mu imię - zdecydowała w jakiejś dziwacznej próbie odkupienia przeszłości.

- Może Pete?

Rajiv przyjrzał się psu.

- Czy to imię nie jest za bardzo ludzkie?

- To może Pirat Pete? - zaproponowała Jilly, przypominając sobie wyczyny kundla.

- To już lepiej - uśmiechnął się Rajiv. - Pasuje do niego.

Jilly poczuła ogarniający ją spokój.

- Czy wybiera się pani w jakieś konkretne miejsce? -zapytał Rajiv.

- Nie, wyszłam tylko się przejść. A pan?

- Ja też. Więc może razem przejdziemy się donikąd? Minęli motel i poszli do miejsca, gdzie rzeka rozszerzała

się, a nurt przybierał na sile. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, badając wzajemnie swoją inteligencję, zainteresowania i doświadczenia. Rajiv był fascynującym rozmówcą o dużej wiedzy, Jilly wyczuwała w nim jednak wyraźny opór przed poruszaniem tematów osobistych. Musiała prawie wyciągać z niego każde słowo.

Ale zadawanie pytań szło mu bardzo dobrze, szczególnie

### **Mary Alice Monroe 243**

jeśli dotyczyły jej poszukiwań. Zdawało się, że jej historia bardzo go interesuje.

- Ile lat temu urodziła pani córkę?

- Dwadzieścia sześć. Trudno w to uwierzyć.

- A jej ojciec? Byliście małżeństwem?

- Nie - potrząsnęła głową. - Byłam zamężna trzykrotnie, ale nie z ojcem mojego dziecka.

- Trzykrotnie? - powtórzył Rajiv, patrząc na kołującego nad lasem jastrzębia.

- To długa historia - zaśmiała się lekko, przypominając sobie swoją starą zasadę: nigdy nie rozmawiać z obcymi o miłości i pieniądzu. Rajiv jednak wydawał się kimś zupełnie odmiennym od mężczyzn, których знаła do tej pory. Popatrzyła na jego profil i pomyślała: po co komu zasady, których nie można złamać?

Opowiedziała mu więc swoją historię, zaczynając od wyjazdu do Francji. Zauważyła ze zdumieniem, że zupełnie swobodnie mówi o rzeczach, o których nie mówiła jeszcze nikomu, a z pewnością żadnemu ze swoich przystojnych mężów. Rajiv był znakomitym słuchaczem.

- Wróciłam w końcu do domu i teraz tutaj szukam szczęścia - zakończyła. - Nigdy bym nie przypuszczała, że tym szczęściem okaże się moja córka, a po drodze odnajdę jeszcze skarby w osobach sióstr.

Zatrzymali się na szczycie stromej skarpy nad rzeką przy niewielkim ceglany domku otoczonym ogrodzeniem z kutego żelaza. Roztaczał się stąd wspaniały widok na rzeczne meandry oraz na całe Hodges.

- Jak ta pięknie - zachwyciła się Jilly.

- Dziękuję. Mieszkam tutaj - odrzekł Rajiv.



**CZTERY PORY ROKU**

- Naprawdę? Myślałam, że mieszka pan w jakimś obrzydliwym cementowym budynku.

Rajiv uśmiechnął się lekko.

- Wystarczy, że w takim pracuję. Nie daj Boże, żebym miał jeszcze mieszkać...

- Jak to się stało, że wylądował pan w takim, hm...

- Nie bądźmy okrutni wobec mojego ojca. Powiedzmy: w takim architektonicznie nieinspirującym motelu?

Jilly roześmiała się.

- Wygrał to miejsce w karty. Mówię zupełnie poważnie! Mnie nigdy nie pociągały rodzinne interesy.

Mieszkałem w Indiach i miałem swoje życie. Mówiłem ci, że byłem inżynierem programistą? -

Podczas rozmowy nie wiadomo kiedy przeszli na „ty”. - Trochę znam się na Internecie -dodał z porozumiewawczym uśmiechem.

- Rozumiem - Jilly odwzajemniła uśmiech. - Więc co cię przywiodło do motelu River's End?

Rajiv spoważniał.

- Ojciec zadzwonił i powiedział mi, że wygrał motel w Wisconsin. Mówił o karmie. Będzie chyba lepiej, jeśli w te zagadnienia nie będę się teraz zagłębiał, bo mogę nie wytrzymać i skoczyć w dół z urwiska.

- Musiałabym skoczyć za tobą, żeby cię ratować -wzruszyła ramionami. - Karma.

Rajiv spojrział na nią z ukosa.

- Nie sądzę, żebyś rozumiała, co to oznacza.

- To może mi wytłumaczysz? Przez jego twarz przemknął cień.

- Obawiam się, że nie jestem najlepszym nauczycielem. Zerknął na zegarek.

## **Mary Alice Monroe 245**

- Przepraszam cię, Jillian, ale jest już późno i muszę wracać do pracy. Ten spacer sprawił mi wielką przyjemność.

- Mnie też - powiedziała śmiało. - Może spotkamy się jeszcze kiedyś?

- Bardzo bym chciał.

- Jutro rano też wybieram się na spacer. Ich oczy spotkały się i znów przebiegła między nimi iskra porozumienia.

- W takim razie do jutra - rzekł Rajiv. Skinął jej głową, przeszedł przez furtkę i zniknął we wnętrzu domu.

Tego ranka zdarzyły się jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, listonosz przyniósł aplikację do Rejestru Soundex. Jilly wypełniła ją szybko i od razu oddała listonoszowi.

Drugie wydarzenie miało miejsce w archiwum, gdzie siedziały nad książkami adresowymi. W pewnej chwili Rose zerwała się z krzesła i nie zwracając uwagi na pełen dezaprobaty wzrok urzędniczki, zawołała triumfalnie:

- Znalazłam!

- Co znalazłaś? - poderwała się Birdie.

- Znalazłam adres Ann Josephine Neville! Miejscowość nazywa się Lake St. George. Ojciec David, matka Susan. Dane z 1973 roku. To jakieś siedemdziesiąt mil stąd.

- Neville? - powtórzyła Jillian, wyciągając kartkę z nazwiskami otrzymaną od pana Collinsa. - To pierwsze z nazwisk na liście!

- Nie wiadomo, czy w dalszym ciągu tam mieszkają.

- Tak podaje ewidencja!

**CZTERY PORY ROKU**

Jilly podniosła głowę i spojrzała w oczy siostry. - To już jest jakiś początek.

Siedziała przy telefonie z rękami mocno splecionymi na kolanach. Kilkakrotnie już podnosiła słuchawkę, a potem znów ją odkładała, zdumiona, że ręce mogą drżeć aż tak bardzo. Znów wyciągnęła dłoń, ale tym razem po papierosa, zapaliła go i powoli wydmuchnęła dym.

Dlaczego właściwie tak się denerwowała? Przecież wcale nie było wiadomo, czy to jest właśnie jej dziecko. To tylko jedno z nazwisk. A nawet jeśli, to jaka była najgorsza rzecz, która mogła ją spotkać po drugiej stronie Unii telefonicznej?

Może to nie jej córka. Może Neville'owie już tam nie mieszkają. Może Ann albo jej rodzice w żadnym wypadku nie chcą tego kontaktu. Tak, to byłoby najgorsze - gdyby jej córka dowiedziała się, kto dzwoni, i nie chciała z nią rozmawiać.

Jeszcze raz zaciągnęła się papierosem. Nie, to niemożliwe. Ann była dorosła, miała dwadzieścia sześć lat i na pewno nie mieszka już z rodzicami. Jilly miała nadzieję, że w każdym razie podadzą jej adres, powiedzą, czy jej córka wyszła za mąż i jakie nosi teraz nazwisko.

Tak czy inaczej, dalsze pogrążanie się w rozmyślaniach nie miało sensu. Trzeba było po prostu to zrobić. Jej siostry z napięciem czekały za drzwiami. Zgasiła papierosa w plastikowym kubku, usiadła na łóżku i szybko wybrała numer.

- Halo? - odezwał się kobiecy głos.

- Dzień dobry, czy mówię z panią Neville?

- Tak?

## **Mary Alice Monroe 247**

Jilly zaschło w ustach.

- Czy zastałam Ann? Nastąpiła długa chwila ciszy.
- A kto mówi? - zapytała w końcu kobieta z dziwną czujnością w głosie.
- Nie zna mnie pani. Nie chciałabym wydawać się intruzem... Nazywam się Jillian Season i możliwe, że jestem matką Ann... To znaczy matką biologiczną.

Tym razem cisza była jeszcze dłuższa.

- To niemożliwe - odrzekła w końcu pani Neville drżącym głosem. - Nie, to niemożliwe.
- Czy Ann Josephine Neville jest pani córką?
- Tak. Była moją córką.

Jilly poczuła na plecach zimny dreszcz.

- Obywiam się, że nie rozumiem - wykrztusiła.
- Moja Ann zmarła cztery lata temu.

Jilly poczuła, że robi jej się ciemno w oczach.

- Zginęła w wypadku samochodowym. Bóg nam ją zabrał - dodała kobieta z rozpaczą.

Jilly w dalszym ciągu nie mogła w to uwierzyć. Była przygotowana na wszystko, ale nie na to. Na długą dysputę, na porównywanie szczegółów, na roztrząsanie, czy ta Ann to jej Ann. Ale nigdy, przenigdy nie sądziła, że usłyszy taką wiadomość.

- Tak... tak mi przykro - wykrztusiła drżącymi ustami. - Nie wiem, co powiedzieć.
- Chyba trafiła pani do niewłaściwej rodziny - stwierdziła pani Neville już bardziej opanowanym głosem.
- To nie ma znaczenia. Przepraszam za zakłócenie spokoju... Serdecznie pani współczuję.

**CZTERY PORY ROKU**

- Powiedziałam, że nie trafiła pani do właściwej rodziny - powtórzyła kobieta z naciskiem. - Poznaliśmy biologiczną matkę Ann. Sześć albo siedem lat temu. Ann zaczęła jej szukać, gdy się okazało, że jest w ciąży z Benem. Znalazła ją i spotkały się, choć nic wielkiego z tego nie wynikło. Nigdy nie miałam poczucia, żebym z powodu tych poszukiwań stała się dla niej kimś mniej ważnym. Wiem, że to ja byłam jej prawdziwą matką. To ja ją wychowywałam i kochałam przez całe dwadzieścia trzy lata.
- Oczywiście - odrzekła Jilly. - Jestem pewna, że nikt nigdy nie miał co do tego żadnych wątpliwości.
- Chciałam pani tylko powiedzieć, że Ann była szczęśliwa, mogąc poznać kobietę, która dała jej życie. To dla niej bardzo wiele znaczyło. A ja jestem szczęśliwa, że spotkały się przed śmiercią Ann... Więc... życzę pani szczęścia. Mam nadzieję, że znajdzie pani swoją córkę.
- Ostatnie słowa stłumił szloch. Jilly wzruszonym głosem wymamrotała podziękowanie i odłożyła słuchawkę, a potem wybuchnęła płaczem.
- Muszę się czegoś napić - oświadczyła, wchodząc chwiejnie do pokoju sióstr. Gdy opowiedziała im treść rozmowy, wszystkie popadły w przygnębienie.
- Najgorsze jest to, że nigdy nie przyszło mi do głowy coś takiego; możliwość, że mojej córce mogło się stać coś złego - powiedziała, przykładając rękę do gardła. - A przecież przez te wszystkie lata tyle mogło się zdarzyć. Mogła mieć jakiś wypadek. Może jest sparaliżowana albo chodzi o kulach, a może jest bardzo chora i właśnie teraz umiera?

## Mary Alice Monroe 249

- Zakryła oczy dłonią. - A może już nie żyje? Tak jak biedna Ann Josephine Neville...

Birdie podeszła do niej i objęła ją ramieniem.

- To prawda, każda z tych rzeczy mogła się zdarzyć. Takie jest życie.

- Sama nie wiem, Birdie - wzdrygnęła się Jilly. - Nie wiem, czy chciałabym przechodzić przez coś podobnego jeszcze raz. A gdyby to była moja Ann?

- Zaszliśmy już tak daleko, że nie możemy się zatrzymać - odrzekła jej siostra. - Co ma być, to będzie.

Birdie siedziała w samochodzie i słuchała radia. Słońce już zachodziło i w powietrzu pojawiał się chłód, włączyła więc silnik, żeby uruchomić ogrzewanie. Jej siostra i córka ubierały się przed kolacją.

Maude obiecała im na dzisiaj swój słynny gulasz wołowy.

Z radia rozbrzmiewały tony „Unchained Melody”. Birdie uznała to za dobry omen. W czasach college'u była to ulubiona piosenka jej i Dennisa.

Zaczęli się wtedy spotykać. Dennis zwrócił na nią uwagę pewnego wieczoru, gdy świętowali zdobycie przez drużynę Birdie mistrzostwa stanu w pływaniu. Birdie na początku podchodziła do tej znajomości ostrożnie, choć durzyła się w Dennisie jeszcze wtedy, gdy spotykał się z Jilly. Potem Dennis wiele razy przekonywał ją, że było to tylko krótkie zauroczenie, nieporównywalne z tym, co czuje wobec niej.

- A co do mnie czujesz? - pytała z odrobiną prowokacji.

- Miłość - opowiadał po prostu, z powalającą na kolana szczerością.

Tamtego wieczoru kochali się po raz pierwszy, a rok

**CZTERY PORY ROKU**

później wzięli ślub - jedno i drugie przy dźwiękach tej samej piosenki. Siedząc w samochodzie, z telefonem komórkowym w ręku, Birdie pomyślała, że już bardzo dawno nie słuchali jej razem.

Szybko wystukała domowy numer. Usłyszała pięć sygnałów, a potem zniechęconą automatyczną sekretarkę. Zdobyła się jednak na to, żeby powiedzieć:

- Dennis, to ja, Birdie. Zadzwoń do mnie na komórkę. Bardzo cię proszę.

Wyłączyła telefon i z jej oczu popłynęły łzy.

Rose skorzystała z tego, że jest sama w pokoju, i szybko włączyła komputer. Minęło już kilka dni od czasu, gdy postanowiła nie sprawdzać poczty. Powiedziała sobie, że potrzebuje czasu do namysłu.

Jeden dzień przeszedł w drugi, potem w trzeci i czwarty, aż w końcu ściana lęku stała się niemal nie do skruszenia. To, o czym nie wiedziała, nie mogło jej boleć.

Ale gdy zobaczyła, jak Jilly śmiało wychodzi naprzeciw swoim lękom, zrozumiała, że ona, Rose, zwyczajnie stchórzyła. Inaczej nie można było tego nazwać.

W skrzynce znalazła cztery listy od Danny'ego. Nie mogła ich nie przeczytać. Otworzyła pierwszy.

Droga Rosebud,

Pogoda na Południowym Zachodzie była dzisiaj okropna. Same tornada. Wiatr spychał z drogi ciężarówkę. Miałem szczęście, bo zdążyłem zjechać na bok i znaleźć pokój na nocleg, ale nie wszystkim się to udało. Noc była jeszcze gorsza. Tu w Teksasie niebo staje się brudnozielone, a wil-

## Mary Alice Monroe 251

gotność powietrza jest tak duża, że można je kroić nożem. Wszyscy patrzą na niebo, wypatrując zmiany pogody. Przeżyłaś kiedyś tornado? Ja przeżyłem. Czegoś takiego nie da się łatwo zapomnieć. Słyszałem, że w Wisconsin pogoda jest całkiem dobra. Podobno macie tam wiosnę. Cieszy mnie to. Nie ma nic piękniejszego niż zieleniejące wzgórza Środkowego Zachodu. Powietrze na wiosnę jest tam tak świeże, że aż płuca bołą przy oddechu. Nie mogę się już doczekać powrotu do domu. Chciałbym zabrać Cię w kilka moich ulubionych miejsc, oczywiście o ile ty też miałabyś na to ochotę. Znam miejsce, gdzie rośnie mnóstwo dzikich kwiatów, nie uwierzyłabyś. Tornado opóźniło moją podróż. Będę w drodze jeszcze co najmniej przez tydzień. Muszę kończyć. Światło zaczyna mrugać. To na pewno przez burzę.

Danny

Droga Rosebud,

Zastanawiałem się, czy są jakieś problemy z e-mailami spowodowane przez te burze. Nie dostałem listu od Ciebie. Może masz kłopoty z połączeniem w drodze? Jeśli otrzymasz ten list, to odpowiedz i daj znać, czy wszystko w porządku.

Tutaj pogoda już się przejaśniła. Ale trąba powietrzna zmiotła miasteczko o dwadzieścia mil stąd. Biedni ludzie. Domy zostały zrównane z ziemią i trzy osoby zginęły. Po czymś takim człowiek sobie uświadamia jakie ma szczęście, że żyje.

Danny



**CZTERY PORY ROKU**

Droga Rosebud,

Czuję się bardzo rozczarowany, gdy wieczorem nie znajduję listu od Ciebie. Uświadamiam sobie, jak ważne były dla mnie te listy i jak ważna Ty się stałaś w moim życiu. Bardzo bym nie chciał utracić tej przyjaźni.

Pamiętam, że od razu na początku pisałaś mi, że jesteś nieśmiała. Podoba mi się to. Staralem się nie napisać niczego, co mogłoby Cię urazić. Przejrzałem stare listy i zauważyłem, że przestałaś pisać tuż po tym, jak Cię zapytałem, czy moglibyśmy się spotkać. Teraz zastanawiam się, czy to był właśnie powód Twojego zamilknięcia.

Proszę, nie sądź, że cię do czegokolwiek zmuszam. Jeśli nie chcesz się ze mną spotkać, to wszystko w porządku. Ja nie będę ukrywał, że bardzo bynrtego chciałem. Podobno niektórzy ludzie obawiają się, że nie będą się tej drugiej osobie podobać i dlatego nie chcą się z nią spotkać. Ja do nich nie należę. Chętnie wyślę Ci swoje zdjęcie i dobrze wiesz, że ja również pragnąłbym otrzymać Twoje. Jeśli wolisz zdjęcia zamiast spotkania, to możemy tak zrobić.

Albo, jeśli w ogóle nie chcesz mnie widzieć, to - no, trudno - zgodzę się na ograniczenie naszej znajomości do samych listów. Wolę to niż całkowite zerwanie kontaktu. Więc proszę, napisz mi, co myślisz.

Twój przyjaciel Danny

Droga Rosebud,

No cóż, zdaje się, że w końcu zrozumiałem. Wciąż jednak mam nadzieję, że w podróży coś się stało z Twoim komputerem i po prostu nie możesz wysłać wiadomości. Może Tobie brakuje naszych listów tak samo jak mnie (mam taką nadzieję).

## **Mary Alice Monroe 253**

Ale jeśli nie o to chodzi, to przestanę Ci zawracać głowę.. Jeśli masz ochotę do mnie napisać, bardzo mnie ucieszysz. Nie chciałbym zrywać tej korespondencji bez pożegnania.

Danny

Rose przeczytała wszystkie listy trzy razy, coraz bardziej pograżając się we łzach. Usłyszała stukanie do drzwi i poszła otworzyć, nawet nie wycierając twarzy. Za drzwiami stała Hannah. Na widok zapłakanej ciotki jej uśmiech natychmiast zgasł.

- Co się stało?

- Nic - potrząsnęła głową Rose, idąc po chusteczkę. Za Hannah do pokoju weszła Jilly.

- Naprawdę martwię się o Birdie - powiedziała, rzucając torbę na podłogę. - Siedzi sama w samochodzie i płacze.

Hannah szturchnęła ją pod żebra i wskazała na stojącą przy umywalce Rose. W lustrze Jilly zobaczyła, że Rose także płacze.

- Kochanie, co się tu dzieje? - przeraziła się Jilly, podchodząc do siostry. - Pokłóciłyście się z Birdie?

Rose próbowała się roześmiać, ale wynikła z tego tylko czkawka.

- Nie, skąd - wymamrotała, odwracając wzrok. - Nic takiego.

- Więc o co chodzi?

Rose nerwowo mięła w rękę chusteczkę, zastanawiając się, jak ma wyjaśnić przyczynę swego płaczu. Obawiała się, że jeśli powie prawdę, to zostanie wyśmiana albo znów usłyszy kazanie o internetowych zbrodnicach.

- To nic takiego, naprawdę - powtórzyła bezradnie.

**CZTERY PORY ROKU**

Jilly położyła dłonie na jej ramionach i obróciła ją twarzą do siebie.

- Powiedz mi, co się dzieje, Rose - rzekła z determinacją. - Umówiliśmy się, że w tej rodzinie nie będzie już żadnych sekretów.

- A obiecujesz, że nie będziesz się ze mnie śmiać?

- Przysięgam - odrzekła Jilly, unosząc dwa palce do góry.

- Czy mam wyjść? - zapytała Hannah, kierując się do drzwi.

- Nie - potrząsnęła głową Rose. - Sporo już razem przeżyliśmy. Zostań.

Usiadły na łóżku, Rose z nogami podwiniętymi pod siebie jak gejsza.

- Co byście powiedziały, gdybym się wam przyznała, że mam wyjątkowego przyjaciela?

- Co to znaczy: wyjątkowy przyjaciel? - zdumiała się Jilly.

- Nie kpj ze mnie. I nie mów nic Birdie. Nie chcę znów wysłuchiwać jej kazań. - Rose westchnęła i zmieniła pozycję, wyciągając się na brzuchu. - Mam przyjaciela, którego poznałam przez Internet.

- Tego, o którym wspominałaś nam wcześniej?

- Tak. Poznaliśmy się na czacie dla zbieraczy znaczków. Rose zauważyła błysk niedowierzania w zielonych oczach Jilly.

- Zaczęliśmy pisać do siebie prywatnie i zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Pod wieloma względami dobrze się rozumiemy i mamy wiele wspólnych zainteresowań. Ale nigdy się nie spotkaliśmy, nawet nie wymieniliśmy zdjęć... Mo-

## **Mary Alice Monroe 255**

żemy sobie jednak o wszystkim powiedzieć i... i chyba jestem w nim zakochana.

- Ciociu Rose! Masz romans przez Internet? - zawołała Hannah z podnieceniem. - Czytałam o takich rzeczach, ale jeszcze nigdy nie poznałam osobiście nikogo, kto by to naprawdę przeżył!

- A co właściwie wiesz o tym człowieku? - zapytała spokojnie Jilly. - Skąd pochodzi, gdzie pracuje? Rose, to może być jakiś psychopata, który...

- Nie! Nic z tych rzeczy. On nie jest taki. Wyczułabym, gdyby był! Może nie jestem tak obyta jak ty, Jilly, ale nie jestem też taką ignorantką, żeby nie rozpoznać psychopaty!

- Hej, ja się nabrałam wiele razy.

- Ciociu Rose, ja też dużo czytałam o oszustach. W Sieci jest mnóstwo naiwnych kobiet.

- Bardzo ci dziękuję - obruszyła się Rose. Hannah spłoszyła się.

- Nie miałam na myśli ciebie...

- Hannah - powiedziała Rose ostro. - Jestem o wiele starsza od ciebie i nie bawi mnie włączanie się po barach ani podrywanie obcych facetów. Nie mam wielu przyjaciół, którzy mogliby mnie z kimś poznać, i nie jestem zbyt towarzyska, nie udzielam się w parafii ani w żadnych klubach. Kobieta w moim wieku i w mojej sytuacji nie ma zbyt wielu możliwości, by poznać porządnego mężczyznę. To jeszcze nie znaczy, że wszystkie jesteśmy naiwne. Tylko, po prostu, samotne.

- Przepraszam, ciociu Rose. Nie to miałam na myśli.

- Hannah, jesteś bardzo młoda. Takie dzieciaki jak ty trzymają się razem w grupie, wychodzą razem i wszystko

**CZTERY PORY ROKU**

robią razem. W moim wieku jest już inaczej. Po pierwsze, większość mężczyzn ma już żony. Poza tym poznanie kogoś przez Internet moim zdaniem jest bardzo nowoczesne. Nie jestem żadnym wyjątkiem. Mnóstwo ludzi to robi! Mój przyjaciel jest kierowcą ciężarówki.

- Kierowcą ciężarówki? - powtórzyła Jilly.

- Tak - powiedziała Rose obronnie. - Proszę cię, Jilly, tylko bez snobizmu.

- Dobrze, dobrze. Więc jak on się nazywa? Rose spieszyła się.

- Nie znamy jeszcze swoich nazwisk, tylko imiona, którymi się podpisujemy. Ja jestem Rosebud, a on Danny.

Usta Jilly zadrgały.

- Dobrze, możemy na razie nazywać go po prostu Danny. To chyba dość bezpieczne.

- Podoba mi się Rosebud - wtrąciła Hannah.

- A więc masz internetowego przyjaciela - stwierdziła Jilly tonem podsumowania. - Nazywa się Danny, jest miły i prowadzi ciężarówkę. Przypuszczam, że nie jest żonaty?

- Rozwiedziony.

- Niektórzy mężczyźni tak mówią, choć to nie jest prawda - wtrąciła Hannah.

- Nie - odrzekła Rose z naciskiem. - Nie on. Jilly przymrużyła oczy.

- Mhm. Mam nadzieję, że nie. No dobrze. Przyjmując, że to wszystko jest prawda, w dalszym ciągu czegoś tu brakuje. Rose, dlaczego płaczesz?

- Bo on chce się ze mną spotkać.

Jilly uniosła brwi i zerknęła na Hannah, która tylko wzruszyła ramionami.

## Mary Alice Monroe 257

- I co?

Rose wydeła usta, niepewna, co odpowiedzieć.

- Boję się tego spotkania. Dlatego nie odpisywałam mu od czterech dni, a on teraz napisał, że nie chce mi się narzucać, więc nie będzie pisał więcej. Zresztą same zobaczcie.

Włączyła komputer i pokazała im ostatnie listy Danny'ego. Jilly usiadła przy stole, a Hannah zaglądała jej przez ramię, mrużąc coś pod nosem. W końcu Jilly podniosła głowę i powiedziała z zachwytem:

- Och, Rose, miałaś zupełną rację. To niezwykle mężczyzna.

Na twarzy Rose pojawił się uśmiech ulgi. - Cieszę się, że ty też tak myślisz.

- Więc o co chodzi? Powinnaś się zgodzić na spotkanie. Rose zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju.

- Jilly, ja jestem inna niż ty. Kontakty z ludźmi nigdy nie przychodziły mi łatwo, a w miarę jak staję się coraz starsza, jest jeszcze trudniej. Birdie uważa, że to dlatego, że przez wiele lat byłam zamknięta w domu z Merry, i może jest w tym trochę prawdy - wzruszyła ramionami. - Ale spotkanie z Dannyem to zupełnie co innego. To nie jest jakiś tam obcy człowiek, tylko ktoś dla mnie ważny. Chciałabym mu się podobać.

- To może wymienicie się zdjęciami? - zaproponowała Hannah. - Wszyscy tak robią.

- Wiem - odrzekła Rose. - Ale chyba nie chcę tego. Sama nie wiem, dlaczego. To chyba głupie.

- Nie całkiem - powiedziała Jilly łagodnie. - Stawka jest wysoka.

Rose spojrzała na nią z wdzięcznością.

**CZTERY PORY ROKU**

- Czytałam w Internecie o ludziach, którzy doskonale rozumieli się w Ustach i nawet podobali się sobie na zdjęciach, ale przy spotkaniu okazywało się, że czegoś brakuje. Nie potrafili się porozumieć. A jeśli tak będzie z Dannym i ze mną? Nie chciałabym, żebyśmy zupełnie przestali do siebie pisać.

Bardzo by mi brakowało tych listów.

- Ale musisz zaryzykować. On prosił cię, żebyś przynajmniej się z nim pożegnała, i to w każdym razie powinnaś zrobić. Ale szczerze mówiąc, uważam, że byłabyś głupia, gdybyś tak zrobiła. Ja, kiedy jestem w trudnej sytuacji, zawsze zastanawiam się, co najgorszego może z niej Wyniknąć. Więc pomyśl, co może się zdarzyć najgorszego, jeśli zdecydujesz się na spotkanie?

Rose zastanawiała się przez chwilę.

- Mogę mu się nie podobać.

- Dobrze. I co wtedy?

- Przestanie do mnie pisać.

- No tak. A co się dzieje teraz? Rose spuściła wzrok i skinęła głową.

- Więc co masz do stracenia? Twoim największym wrogiem jest lęk. A czy przyszło ci do głowy, że on też może ci się nie podobać? A może właśnie obydwójcie przypadniecie sobie do gustu i będziecie razem szczęśliwi już do końca życia?

- Czytałam mnóstwo historii o ludziach, którzy poznali się przez Internet i potem wzięli ślub - powiedziała Hannah. - W gazetach jest tego pełno.

- Wiem, wiem. Ale nie wierzę, żeby coś takiego mogło się przydarzyć akurat mnie.

Jilly podniosła się z krzesła i objęła twarz Rose dłońmi.

## **Mary Alice Monroe 259**

- Rose, Rose, i co ja mam z tobą zrobić? - zapytała z czułością. - Pamiętasz nasze marzenia z dzieciństwa? Pamiętasz, kim był mężczyzna z twoich marzeń? Za kogo chciałaś wyjść, gdy dorośniesz?

Rose przypomniała sobie gorące, letnie noce, gdy razem wynosiły koce i poduszki na leżaki przy basenie i rozmawiały godzinami, oganiając się od komarów, dopóki matka nie wygoniła ich do łóżek.

- Pamiętam - westchnęła. - Chciałam wyjść za odkrywcę, podróżnika.

- No właśnie - odrzekła Jilly z błyszczącymi oczami. - Twój podróżnik czeka na odpowiedź. Nikt tego za ciebie nie zrobi, Rose. Sama musisz zacząć spełniać swoje marzenia.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jilly stanęła za plecami Rose i wspólnie zaczęły układać odpowiedź na list Danny'ego, gdy drzwi pokoju otworzyły się z rozmachem i Hannah zawołała z przerażeniem:

- Mamo, co się stało?

Wszystkie trzy spojrzały na Birdie, która weszła do pokoju z bladą, ściągniętą twarzą, trzymając się za brzuch.

- Birdie? - zawołała Jilly, zrywając się z krzesła.

- Nie martwcie się - powiedziała Birdie poważnym głosem lekarki. - To nic takiego, po prostu nagle dostałam okres. Pomóżcie mi dojść do łazienki.

Jilly ujęła ją pod ramię i poprowadziła wąskim przejściem między łózkami. Birdie pozostawiała za sobą ścieżkę z kropel krwi.

- Hannah, odsuń się. W tej łazience nie ma miejsca nawet dla jednej osoby, a co dopiero dla trzech. Rose, masz jakieś podpaski?

- Ja kupiłam - zawołała Birdie z łazienki. - Poszukaj w mojej torbie, stoi przy łóżku!

- Na pewno wszystko w porządku? - zapytała cicho Jilly, stając obok siostry.

Birdie skrzywiła się, gestem poprosiła ją o odejście i zamknęła drzwi. Usłyszały dziwny chlupot i Jilly podniosłaś

## Mary Alice Monroe 261

rękę do gardła. Hannah stała bez ruchu z podpaskami w ręku, a Rose patrzyła na nie z przerażeniem.

- Birdie, mamy podpaski. Wszystko w porządku? Odpowiedziało im milczenie.

- Mamo?

- Wszystko w porządku - odrzekła wreszcie Birdie stłumionym głosem. - Zostawcie mnie na chwilę w spokoju.

- Może usiadzimy - zaproponowała Rose, stanowczo odsuwając je od drzwi.

Rose i Hannah usiadły na łóżku. Jilly niespokojnie krążyła wokół nich. Po chwili drzwi łazienki uchylły się nieco i wysunęła się z nich ręka Birdie.

- Podajcie mi te podpaski i jakiś ręcznik. Hannah podała matce jedną podpaskę.

- Nie, całą paczkę! - zawołała Birdie ze zniecierpliwieniem.

- Coś za dużo tej krwi jak na jeden okres - mruknęła Jilly do Rose. - Co się tam dzieje?

- Birdie, czy na pewno nic ci nie jest? - zawołała Rose.

- Nic!

- Chcesz, żeby któraś z nas przyszła do ciebie?

- Nie! Zaraz wychodzę. Nie popędzajcie mnie!

- To już lepiej - szepnęła Jilly. - Bardziej podobne do Birdie.

Dziesięć minut później z łazienki znów rozległ się głos Birdie, teraz już bardziej opanowany:

- Zdaje się, że to było poronienie. Kobiety popatrzyły na siebie, wstrząśnięte.

- I co teraz? - zapytała Hannah, wyraźnie przestraszona. - Czy mama nie powinna iść do szpitala?

**CZTERY PORY ROKU**

Rose objęła ją ramionami.

- Wierz mi, Hannah, twoja mama najlepiej wie, co się powinno w takiej sytuacji zrobić. Jeśli będzie czegoś potrzebować, to nam powie.

Jednak w głębi duszy wcale nie była tego pewna. Wiedziała, że nie ma takiej sytuacji, w której Birdie poprosiłaby kogoś o pomoc.

- Zajrzę tam - zdecydowała i zastukała do drzwi. - Birdie? To ja, Rose. Może jednak dobrze byłoby zawieźć cię do szpitala?

Zapadła chwila ciszy.

- Nie - powiedziała w końcu Birdie. - Nie trzeba. Wiem, co robię. Tak wczesne poronienie nie wymaga pobytu w szpitalu.

Rose z rezygnacją złożyła ramiona na piersiach. Głos Birdie był chłodny, profesjonalny i wyprany z emocji. Jej siostra zawsze używała tego tonu, gdy chciała ukryć swoje prawdziwe uczucia.

- Potrzebny mi jeszcze jeden ręcznik - zawołała Birdie lekko drżącym głosem. - Wezmę prysznic. Nie martwcie się, gdy usłyszycie szum wody.

- Co to za bzdury? - obruszyła się Jilly.

- To sposób Birdie na radzenie sobie z kryzysami.

- Birdie, natychmiast otwórz te drzwi! - zawołała Jilly ostro. - A jeśli coś ci się stanie? Przestań się zachowywać jak... - ugryzła się w język i dokończyła łagodniej: - Pozwól sobie pomóc.

- Nie potrzebuję żadnej pomocy. Zajmijcie się czymś, dobrze? - odkrzyknęła Birdie z irytacją. - Chcę na chwilę zostać sama!

## **Mary Alice Monroe 263**

Rozmowę zakończył głośny szum lejącej się wody.

- Idę na powietrze. Będę tu obok - powiedziała Jilly, zgarniając kurtkę i papierosy.

Hannah siedziała na skraju łóżka z pobladłą twarzą i dłońmi wciśniętymi między kolana. Rose przyjrzała się jej z troską.

- Może zamówiłabyś pizzę dla nas wszystkich?

- Nie jestem głodna - odrzekła dziewczyna, wpatrując się ponuro w zamknięte drzwi łazienki.

- Ty może nie, ale twoja mama pewnie będzie niedługo głodna. Ja też chętnie bym coś zjadła.

Na twarzy Hannah pojawił się rumieniec.

- Przepraszam. Nie pomyślałam o tym. Zaraz zadzwonię.

- Dziękuję, kochanie - odrzekła Rose miękko. - Zamów ulubioną pizzę mamy. Pieniądze są w moim portfelu.

- Nie, zapłacę ze swoich - odrzekła dziewczyna, wprawiając ciotkę w zdumienie .

Piętnaście minut później Birdie leżała już w łóżku z poduszką pod plecami. Wilgotne włosy miała zaczesane do tyłu, a twarz pożółkłą i bladą. Z jej oczu zniknął już lęk i teraz widać w nich było smutek i poczucie porażki.

Wszystkie kobiety czuły się zmęczone. Poronienie było nieoczekiwane, a przez to tym bardziej wstrząsające. Birdie straciła sporo krwi, zapewniała jednak swym klinicznym tonem, że wszystko jest w porządku.

- To podobno sposób natury na pozbycie się ułomnego płodu.

- Na pewno nie trzeba cię zawieźć do szpitala? - zapytała Rose po raz tysięczny.

**CZTERY PORY ROKU**

- Muszę tylko trochę odpocząć — odrzekła Birdie bezbarwnie.
- Mamo, czy czegoś ci potrzeba? - dopytywała się Hannah, siadając na krawędzi łóżka matki. - Zaraz będzie pizza z serem i pomidorami. Twoja ulubiona.
- Birdie lekko poklepała ją po dłoni.
- Dziękuję, ale nie jestem głodna, tylko zmęczona, i Chciałabym się przespać.
- Hannah skinęła głową i pocałowała ją w policzek. Rose zgasła światło i pociągnęła siostrzenicę do wyjścia.
- Idź teraz do swojego pokoju - szepnęła. - Ja tu zostanę.
- Nie, to ja chciałabym przy niej zostać - odparła cicho Hannah. - Nie tylko dzisiaj. Czy mogłybyśmy się zamienić na pokoje?
- To chyba dobry pomysł - odrzekła Rose powoli. - Ale może zrobimy to jutro? Dzisiaj będzie za dużo zamieszania z przenoszeniem rzeczy, a gdyby twoja mama czegoś potrzebowała, to ja mam więcej doświadczenia z pielęgnowaniem chorych. Zgadzasz się?
- Dobrze - skinęła głową Hannah. - Zawołasz mnie, jeśli będą jakieś kłopoty?
- Nie będzie żadnych kłopotów - powiedziała Birdie głośno. - Czuję się już dobrze.
- Rose spojrzała na Hannah i wzruszyła ramionami.
- Gdy Hannah wyszła, Rose popatrzyła na Birdie przykrytą kocem aż po same uszy. Najsilniejsza z jej sióstr, ta, która zawsze potrafiła sobie ze wszystkim poradzić, teraz nie potrafiła nawet ukryć spływających po twarzy łez.

## **Mary Alice Monroe 265**

Jilly stała na mostku, drżąc od chłodnego wiatru, i paliła jednego papierosa za drugim. Powtarzalność ruchów i widok czerwonego, rozżarzonego punkcika uspokajały ją bardziej niż nikotyna. W pokoju miała wrażenie, że za chwilę oszaleje z poczucia bezradności. Wiedziała, że Birdie traci nie tylko krew, ale przede wszystkim dziecko. Musiała stamtąd wyjść.

Usłyszała w pobliżu znajome szczekanie i spojrzała w tamtą stronę. W świetle księżyca zauważyła sylwetkę mężczyzny, a u jego stóp niewielką plamę bieli.

- Dobry wieczór! - zawołała.

Pirat Pete natychmiast do niej podbiegł, ujadając radośnie. Jilly sięgnęła do kieszeni po psie ciasteczko. Po chwili podszedł do niej Rajiv, choć z wyraźnym wahaniem.

- Nie przeszkadzamy w niczym?

- Nie, absolutnie. Powinnam zapewne powiedzieć, że musimy przestać się tak często spotykać.

- To karma - roześmiał się. - Na pewno nie przeszkadzamy?

- Prawdę mówiąc, przydałoby mi się towarzystwo. Co za wieczór.

Rajiv wszedł na mostek i zatrzymał się obok niej. Ręce miał wsunięte w kieszenie granatowej wełnianej kurtki. W mroku jego oczy błyszczały jeszcze bardziej tajemniczo niż zwykle.

- Są jakieś nowe wiadomości o twojej córce? - zapytał.

- Nie. Zdarzyło się coś zupełnie innego. Moja siostra poroniła.

Rajiv drgnął.

- Czy wszystko w porządku? Może potrzebny jest le-

**CZTERY PORY ROKU**

- Nie, ona sama jest lekarzem. Twierdzi, że wszystko w porządku. To było wczesne poronienie. Nawet nie wiedziała, że jest w ciąży. - Jiłly przechyliła się przez barierkę mostu i wpatrzyła w mrok. - Podobno dziesięć procent ciąż kończy się wczesnym poronieniem, zwykle w ciągu pierwszych dwunastu tygodni. Wiesz, co pomyślałam, gdy to się stało? Pomyślałam: dlaczego to się nie przytrafiło mnie? Gdybym znalazła się wśród tych dziesięciu procent, całe moje życie wyglądałoby inaczej. A także życie moich sióstr i rodziców. Czy sądzisz, że inne matki też się zastanawiają nad tym, jak wyglądałoby ich życie, gdyby nie urodziły dziecka? Ciekawa jestem, czy myślała o tym moja matka. Pewnie tak - zaśmiała się z goryczą. - Ale potem przyszło mi do głowy, że jak mogę tak myśleć o własnym dziecku? Jak mogę żałować, że ją urodziłam? Moją piękną córkę? Wiem, że pomimo wszystkiego, przez co przeszłam, nigdy nie będę tego żałować!

Spojrzała mu prosto w oczy i stwierdziła:

- Gdybym w swoim przeszłym życiu mogła cokolwiek zmienić, to chciałabym zatrzymać swoje dziecko.

We wzroku Rajiva zauważyła błysk współczucia. Wrzuciła papierosa do wody i mówiła dalej:

- Nie jesteś w stanie zrozumieć, co to dla mnie znaczy. Co znaczą te słowa w moich ustach. Nigdy jeszcze nikomu o tym nie mówiłam, ale gdy ją oddałam, gdy oddałam moją córkę, w głębi duszy poczułam ulgę. Czy to nie okropne? Na pewno teraz myślisz o mnie nie najlepiej. Ale tak było. Miałam tylko siedemnaście lat i bardzo, bardzo się bałam. Nie miałam pojęcia, co to znaczy być matką. I wszyscy wokół powtarzali, że muszę oddać dziecko, jeśli nie chcę

## Mary Alice Monroe 267

go skrzywdzić. Więc tak zrobiłam. - Wzruszyła ramionami i westchnęła ciężko. - Ale później... dopiero później zrozumiałam, co zrobiłam tak naprawdę. Dlatego teraz stoję tu i zastanawiam się, co czuje Birdie. Czy żal z powodu utraty dziecka, czy ulgę. Ale jedno i drugie jest bardzo smutne.

Urwała i zacisnęła mocno usta, żeby nie wybuchnąć płaczem. Naraz poczuła na ramionach jego dłonie. Rajiv przyciągnął ją do siebie, a Jilly bez wahania przytuliła twarz do szorstkiej kurtki. Czowała zapach jego wody kolońskiej pomieszany z jakimś innym, którego nie znała i który ją urzekał. Rajiv odgarnął włosy z jej twarzy i pocałował ją. Ten pocałunek przeniknął całe jej ciało, od czubka głowy po palce stóp. Już od dawna, zbyt dawna nie czuła czegoś podobnego. Gdy Rajiv wyprostował się, otworzyła oczy i wstrzymała oddech, widząc na jego twarzy dziką, zwierzęcą gwałtowność.

- Czy jest jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy pójść? -zapytała.

Wyraz jego twarzy był wyraźnym odbiciem toczącej się w nim wewnętrznej walki. Podniósł jej dłonie do ust i pocałował jedną po drugiej.

- Tttchya nie jest dobry pomysł - powiedział wreszcie. Jilly cofnęła się o krok, upokorzona i odrzucona. Na

szczęście mrok wieczoru maskował rumieniec na jej twarzy.

- Może masz rację - rzuciła nonszalancko, spoglądając w stronę parkingu, skąd dobiegł głośny pisk opon. Przed motelem zatrzymał się samochód dostawcy pizzy. - No cóż, w takim razie do zobaczenia

- dodała. Wsunęła ręce do kieszeni i ruszyła przed siebie, ale Rajiv chwycił ją za ramię.



268

### **CZTERY PORY ROKU**

- Wiem, że teraz jesteś wytrącona z równowagi - powiedział z oczami błyszczącymi w świetle księżyca. - Nie chciałbym tego wykorzystywać.

Jilly śmiało spojrzała mu prosto w twarz.

- Rajiv, gdybyś znał mnie lepiej, wiedziałbyś, że nikomu nie pozwalam się wykorzystywać.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Następny dzień był ponury i deszczowy. Przy tej pogodzie motel wydawał się jeszcze brzydszy. Birdie obudziła się o świcie i leżała pod kocem, pogrążona w odrętwieniu, wciąż na nowo zastanawiając się, jak to możliwe, że wcześniej nie zauważyła własnej ciąży, g, Oczywiście, wiedziała, że spóźniał jej się okres, ale nie było w tym niczego niezwykłego. Miała czterdzieści jeden lat, więc to, co było objawem ciąży, uznała za symptom wczesnej menopauzy. Gdyby zrobiła test... Gdyby została w domu i odpoczęła...

Otarła oczy, nakazując sobie wziąć się w garść. Zachowywała się niedojrzale, zbyt emocjonalnie. Jako lekarka wiedziała, że poronienie nie jest niczyją winą. Nawet gdyby przez cały czas leżała w łóżku z nogami w górze, nikt nie mógłby zagwarantować, że ciąża się utrzyma.

Skąd więc tak wielkie poczucie straty?

Pragnęła, aby Dennis był przy niej. Bardzo go teraz potrzebowała. To przecież była również jego strata. Powinien o tym wiedzieć. Ale takiej wiadomości nie mogła mu zostawić na sekretarce.

Gdzie on jest? Dlaczego nie dzwoni? Czy po prostu się na nią złości, czy też straciła na dobre również i jego? Ta myśl była przerażająca, leżąc bez ruchu, patrząc na szarość

**CZTERY PORY ROKU**

za oknem, uświadomiła sobie, że jej życie rozpada się w gruzy.

Od wielu dni oszukiwała samą siebie. Powtarzała sobie, że to, co Dennis powiedział, wynikało tylko ze zdenerwowania i że nie mógł jej tak po prostu porzucić. Ale każdy kolejny dzień zadawał kłam temu przekonaniu. Mury obronne Birdie zaczęły się kruszyć, aż w końcu wszystkie supły napięć i powinności, jakie nosiła w sobie, pękły i wypłynęły z niej w postaci tej fali krwi.

- Nie mogę tak dłużej - jęknęła, przyciskając do ust dłoń zwiniętą w pięść. Coś przełamywało się w niej nieodwracalnie. - Nie jestem doskonała. Nie potrafię rozwiązać wszystkich problemów. Nikogo nie umiem zbawić. Nawet siebie. „Miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod nóg, a ona sama spada w jakąś bezdenną otchłań. Zaczęła głośno szlochać. Całym jej ciałem wstrząsały niepowstrzymane dreszcze. Nagromadzone latami napięcie i niepokój wylewały się z niej tak jak poprzedniego dnia krew.

Rose bez słowa usiadła na brzegu łóżka, objęła ją mocno ramionami i kołysała jak niemowlę.

- Dobrze, Birdie - mówiła cicho i łagodnie, jak do dziecka. - Już dobrze. Wyrzuć to wszystko z siebie. Nie jesteś sama. Kocham cię.

W kilka godzin później do pokoju weszła Jilly, niosąc w rękach tacę nakrytą ściereczką w biało-niebieską kratkę. Pod pachą trzymała bukiet wiosennych kwiatów.

- Niespodzianka! Obudź się, śpiochu. Czas na śniadanie!

## Mary Alice Monroe 271

Birdie czuła się okropnie i nie miała najmniejszej ochoty ani na śniadanie, ani na udawanie pogodnego nastroju. Nie miała też pojęcia, jak długo płakała ani kiedy usnęła, wiedziała jednak, że mogłaby spać jeszcze wiele godzin. Jilly jednak nie zamierzała się wycofać, więc Birdie rzuciła jej drżący uśmiech i uniosła się nieco na łokciach. Natychmiast jednak poczuła, że znów zaczyna z niej płynąć krew.

- A niech to. Poczekaj chwilę - zawołała, biegnąc do łazienki, Zanim wróciła, Jilly zdążyła już wstawić kwiaty do wazonu przy łóżku, trochę posprzątać i uchylić okno. Do pokoju wpadał powiew chłodnego, wilgotnego powietrza.

- Chodź na śniadanie - powiedziała Jilly, wygładzając prześcieradło. Birdie zauważyła, że pościel także jest świeża.

- Dziękuję - powiedziała, siadając na łóżku.

- Nie ma za co - uśmiechnęła się Jilly nieco zbyt ostentacyjnie. - Do usług.

Birdie oparła głowę o poduszkę i przyjrzała się siostrze uważnie. Jilly zachowywała się jak doskonała gospodyni. Zwykle była to jej maska stosowana wobec obcych. Czyżby z jakiegoś powodu czuła się nieswojo?

- Wszystko ze mną w porządku, naprawdę - powiedziała Birdie, patrząc siostrze prosto w oczy. - Nie zamierzam rzucać się do rzeki, jeśli o to się martwisz.

Jilly uśmiechnęła się krótko.

- Wiem. A teraz zjedz porządne śniadanie. Jajka, bekon i grzanki. Z pozdrowieniami od Maude i Larry'ego.

- Rose mówiła ci, że płakałam, tak?

Jilly nalala kawy z termosu do porcelanowej filiżanki i dodała śmietankę.

**CZTERY PORY ROKU**

- Tak. I cieszę się z tego. Za rzadko płaczesz. Nie musisz zawsze być tą najsilniejszą. Pozwól czasem zaopiekować się sobą. Damy sobie z tym radę.

Birdie poczuła kolejną falę łez napływającą do oczu i odwróciła głowę w bok.

- Przestań - zaśmiała się przez zaciśnięte gardło.

- Te łzy zbierały się w tobie przez wiele lat. Pozwól i im wypłynąć.

- Ale to takie żenujące. Nie znoszę płakać.

- Skarbie, dopiero co przeszedłeś poronienie. Nic dziwnego, że jesteś rozbita. Nikt nie jest aż tak silny.

Jak się czujesz?

- To nie był pierwszy raz.

- A który?

- Czwarty, może piąty. Nie zawsze można mieć pewność. Nawet tym razem nie jestem pewna. Mógł to być zwykły krwotok. W naszym wieku to się zdarza.

- A czy czułabyś się lepiej, wiedząc, że to tylko krwotok?

Birdie wzruszyła ramionami.

- Chyba nie. Poronienie czy menopauza, na to samo wychodzi. I tak nie będę już miała więcej dzieci.

W oczach Jilly odbiło się głębokie współczucie.

- Ja też nie - powiedziała po prostu. Przez chwilę obydwie piły kawę w milczeniu.

- Ja tak płakałam raz - odezwała się w końcu Jilly.

- W szpitalu? Jilly skinęła głową.

- Po porodzie płakałam przez całą noc. A gdy się obudziłam, nie było już we mnie ani jednej łzy. W każdym

## Mary Alice Monroe 273

- razie wtedy tak mi się wydawało. - Potrzęsła głową ze smutnym uśmiechem. - Okazało się, że te łyzy tkwiły we mnie przez te wszystkie lata. Wydostały się dopiero teraz, gdy wróciłam do domu. Wiesz, płaczę teraz codziennie. To żałosne. Wspomnienia wciąż wracają i za każdym razem doprowadzają mnie do płaczu. Mam wrażenie, że te wszystkie łyzy doszczętnie wypłukują mi mózg.
- Może to dobrze - odrzekła Birdie w zamyśleniu. - Oczyszczenie. Tak jak obmywanie rany.
  - Czasem przypomina to bardziej wybuch wulkanu. Obydwie od lat wszystko w sobie tłumiliśmy.
  - Rozmowa chyba trochę pomaga. Zmniejsza napięcie.
  - Nie robiłyśmy tego od bardzo dawna - westchnęła Jilly. - Od czasu, gdy opuściłyśmy wspólny pokój. I nie sądziłam, że jeszcze kiedyś będziemy tak rozmawiać. Brakowało mi tego, Birdie.
  - Chyba znów się rozpłaczę - uśmiechnęła się jej siostra.
- Jilly uniosła filiżankę do góry w żartobliwym toaście.
- No to na zdrowie!
- Birdie pogrzebała widelcem w jajkach i odsunęła tacę na bok.
- Jilly, co ja mam zrobić? Zdaje się, że Dennis odszedł ode mnie na dobre.
- Jilly wzięła głęboki oddech.
- To dla mnie wielka chwila. Ostatni raz prosiłaś mnie o radę, gdy miałaś piętnaście lat. - Spojrzała na siostrę z ukosa i zapytała: - Czy chcesz go odzyskać?
  - Tak.
  - W takim razie musisz trochę nad tym popracować.

**CZTERY PORY ROKU**

Męskie ego jest jak szklanka. Piękne, ale kruche. Myślę, że kobiety są o wiele silniejsze. Bardziej odporne. Ale gdy kobieta sprawia wrażenie tak mocnej jak ty, mężczyźnie trudno jest z nią rywalizować.

- Wcale nie jestem taka silna.

- Owszem, jesteś. Teraz może czujesz się słaba i krucha, ale podniesiesz się na pewno i wyznaczysz sobie jakiś nowy cel, a potem będziesz zaharowywać się na śmierć, żeby go osiągnąć. Zawsze taka byłaś. To twój mocny punkt i nie ma powodu, żebyś się go wyrzekała. Ale pozwól Dennisowi poczuć się trochę silniej, zwłaszcza wobec ciebie. Schlebiaj mu. Flirtuj z nim. To mężczyzna, a nie dziecko. I on cię kocha, Birdie. Wszyscy to doskonale widzą.

- Nie jestem tego pewna - szepnęła Birdie, opuszczając głowę.

- Powiedział mi to, zanim wyjechał. Birdie gwałtownie podniosła wzrok.

- Powiedział ci? Co powiedział dokładnie?

- Boże, Birdie, nie potrafię tego powtórzyć słowo w słowo!

- Powtórz sens. To znaczy, o czym wtedy rozmawialiście?

Jilly zebrała myśli.

- Zaraz. Dennis chciał, żeby Hannah wróciła do domu razem z nim, a ja próbowałam go przekonać, że to nie ma sensu. Mówił coś o tym, że cię zostawia, i wtedy zapytałam, czy cię kocha. Coś w tym rodzaju.

- I powiedział, że mnie kocha?

Jilly spojrzała siostrze prosto w oczy i skinęła głową.

- Tak powiedział.

## Mary Alice Monroe 275

Birdie poczuła przyływ nadziei.

- Nie wiem, co się właściwie dzieje - wyznała pokornie.

- Codziennie dzwonię do domu i codziennie odpowiada mi automatyczna sekretarka. Gdzie on się podziewa wieczorami? Dotychczas nigdy go o nic nie podejrzewałam, ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy nie ma jakiejś innej kobiety.

- Romans na boku? - Jilly zastanawiała się przez chwilę, po czym stanowczo potrząsnęła głową. - Nie. Bardzo w to wątpię. W każdym razie jeszcze nie teraz. Ale na twoim miejscu nie przedłużałabym tej separacji. - Wyciągnęła się na łóżku, podkładając ramię pod głowę. - Chciałam z tobą o tym porozmawiać. W przyszłym tygodniu Hannah musi wracać do szkoły. Może powinnaś wrócić razem z nią. Rose

I ja będziemy szukać dalej i jeśli dowiemy się czegoś nowego, zadzwonimy do ciebie. Przecież zawsze możesz tu przyjechać. Nie chcę, żebyś ryzykowała los swojego małżeństwa.

- Nie wiem, dlaczego, Jilly - odrzekła Birdie powoli

- ale bardzo wyraźnie czuję, że powinnam być tutaj. Z tobą, Rose i z Hannah. Do samego końca. Ta podróż ładuje mi baterie. Zaczynam odnajdywać prawdziwą siebie. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby wrócić do domu... A poza tym... jestem pewna, że znajdziemy Spring.

Oczy Jilly rozświeciły się.

- Ja też mam taką nadzieję.

Birdie zdjęła z łóżka tacę ze śniadaniem.

- Nie jestem głodna. Mam nadzieję, że cię to nie urazi. Bardzo dziękuję, że o mnie pomyślałaś.

- Nic nie szkodzi - odrzekła Jilly. - Odniosę z powrotem do restauracji.



**CZTERY PORY ROKU**

Birdie uniosła rękę.

- Zaczekaj. Nie idź jeszcze. Tak miło się rozmawia. Jilly z uśmiechem odstawiła tacę na stół i znów wyciągnęła się na materacu.

- Jak w dawnych czasach, prawda?

- Kiedyś dużo rozmawialiśmy.

- Bez przerwy. Znałaś wszystkie moje tajemnice.

, - No, prawie wszystkie. Najważniejszej nigdy mi nie zdradziłaś.

Jilly wzruszyła ramionami, skubiąc brzeg kołdry.

- To prawda.

- Ja też zdradzę ci jedną ze swoich tajemnic - powiedziała Birdie z przymkniętymi oczami. - Czy wiesz, że byłam bardzo zazdrosna o ciebie i Dennisa?

Jilly gwałtownie uniosła głowę.

- Och? - wykrztusiła.

- Tak. Już wtedy się w nim podkochiwałam. Gdy miał po ciebie przyjechać na motocyklu, szcztokowałam włosy i malowałam usta. Pamiętasz, wysyłałaś mnie, żebym go wypatrywała, bo tato nie zgadzał się, żebyś wsiadała na motocykl... Wiesz, dlaczego nigdy nie protestowałam i chętnie to robiłam? Bo Dennis bardzo mi się podobał. Był taki przystojny w tej skórzanej kurtce i z długimi, jasnymi włosami... Zawsze, zanim przyszedł, rozmawialiśmy przez chwilę. Raz nawet przewiózł mnie kawałek... Byłam w siódmym niebie. Do dzisiaj zapach skóry i oleju silnikowego przyprawia mnie o dreszcz.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś - rzekła Jilly bez tchu.

- Było mi głupio, bo gdybym mogła, to w jednej chwili odbiłabym ci go bez żadnych wyrzutów sumienia. Boże,

## **Mary Alice Monroe 277**

jak ja trzepotałam przy nim rzęsami - zaśmiała się. - Pewnie myślał, że coś mi wpadło w oko. Ale on wtedy widział tylko ciebie.

- To było tak dawno - powiedziała Jilly łagodnie, Birdie jednak zauważyła, że drżą jej ręce. - Byliśmy jeszcze dziećmi.

- Wiem... A potem spotkaliśmy się w college'u i znów się w nim zakochałam, tym razem jeszcze mocniej. **I** nie mogłam uwierzyć, że on też zwrócił na mnie uwagę. Na mnie, Beatrice Season. Chyba kochałam go od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłam.

- Nie łączyło mnie z nim nic poważnego. Wiesz o tym, prawda? - zapytała Jilly z naciskiem.

Birdie zauważyła, że twarz jej siostry pobladła, a w zielonych oczach pojawił się błysk lęku.

- Nie, skąd mam o tym wiedzieć - powiedziała powoli, wpatrując się w obrączkę na swoim palcu. - Zawsze się zastanawiałam, jak głębokie było to, co was łączyło. Pamiętam, że Dennis bardzo cię idealizował. Ale wszyscy chłopcy widzieli w tobie ideał. Chyba po prostu byłam zazdrosna o to, że spotykał się z tobą wcześniej niż ze mną. Myślałam, że udało mi się pozbyć tej zazdrości, ale potem porównałam daty i... - Birdie zebrała się na odwagę i wreszcie udało jej się wyartykułować swój największy lęk: -i zaczęłam się zastanawiać, czy to nie było dziecko Dennisa.

- Nie! - zawołała natychmiast Jilly, energicznie potrząsając głową. - Boże drogi, Birdie, nie!

Birdie bardzo pragnęła w to uwierzyć. Przenikliwie przyjrzała się siostrze, a potem z niezmierną ulgą opadła na poduszki.

**CZTERY PORY ROKU**

- Sama nie wiem, dlaczego zawsze tak mi się wydawało... To głupie, ale po prostu musiałam cię zapytać.
  - Wolałabym, żebyś nie zadała tego pytania - odrzekła My, odwracając głowę.
  - Przecież sama powiedziałaś, że nie chcesz między nami żadnych więcej sekretów.
  - Tak, ale można niechcący trafić w bardzo czuły punkt - mruknęła Jilly, nie patrząc na siostrę.
  - Masz rację. Przepraszam.
  - Dajmy temu spokój... Muszę już iść. Na pewno nie będziesz jadła? Może chociaż owoce?
  - Rzadko się zdarza, żebym nie była głodna. Trzeba to wykorzystać - zaśmiała się Birdie, próbując przywrócić pogodny nastrój.
  - Zaniosę ten bekon przyjacielowi... Mam na myśli tego małego psiego żebraka - stwierdziła Jilly, pochylając się nad tacą.
  - Dobrze. A ja chyba jeszcze trochę pośpię. Czuję się zmęczona.
  - Dobranoc, pchły na noc - powiedziała Jilly z lekkim uśmiechem.
- Birdie ułożyła się wygodnie, opierając policzek na dłoni.
- Karaluchy do poduchy - wymruczała.
  - A szczypawki na zabawki - dokończyła Jilly i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

Serce dudniło jej coraz mocniej, bardziej z gniewu i złości niż ze zmęczenia. Biegła coraz szybciej, jakby chciała uciec przed oskarżycielskim głosem własnego umysłu. Złamała przysięgę, którą złożyła samej sobie: że nigdy już nie skłamię, by kogokolwiek chronić.

Ale Birdie była chora i słaba, zdruzgotana tym, co się działo w jej życiu. Czy Jilly miała prawo wkładać na jej barki kolejny wielki ciężar? Skłamała, bo kochała Birdie. Złożyła jej największy możliwy dar - ofiarowała część własnej duszy. Czy to nie było wystarczająco godne wytłumaczenie dla kłamstwa?

Dlaczego więc czuła się tak okropnie?

Chłodna, szara mżawka jeszcze pogłębiała depresyjny nastrój. Jilly biegła i biegła, próbując zagłuszyć dobrze znany jej niepokój. W końcu zatrzymała się, ciężko dysząc, na skalistej grani i spojrzała w dół na rozległą dolinę. Dopiero wtedy usiadła na ziemi, opuściła bezwładnie ramiona i zaczęła płakać.

W drodze powrotnej, zmęczona i zrezygnowana, spotkała Rajiva, który znów zbierał śmieci nad rzeczką przy mostku.

- Jillian, zaczekaj! - zawołał.

Zignorowała go i jeszcze przyśpieszyła kroku. On jednak

**CZTERY PORY ROKU**

pobiegł za nią i mocno pochwycił ją za ramię, zmuszając do zatrzymania. Bez słowa próbowała uwolnić się z uchwytu.

- Mian, pozwól sobie wytłumaczyć...

Odgarnęła z twarzy kosmyk rudych włosów i wybuchnęła:

- Co wyjaśnić? Nie ma nic do wyjaśniania. Wszystko doskonale zrozumiałam.

Ruszyła przed siebie, a on wraz z nią.

- Myślisz, że cię odrzuciłem.

- Skąd możesz wiedzieć, co myślę - odparowała, z uporem patrząc przed siebie.

- Nie chciałem cię urazić... wręcz przeciwnie, Jillian, proszę, zatrzymaj się. Posłuchaj mnie przez chwilę.

Stanął w miejscu i oparł dłonie na biodrach. Jilly przeszła jeszcze kilka kroków i również się zatrzymała, z trudem chwytając oddech. Zerknęła przez ramię: Rajiv stał wyprostowany w nieprzemakalnej kurtce, dzinsach i wysokich butach. Po jego policzku spływała strużka deszczu. Gdy ich oczy spotkały się, poraziła ją widoczna w jego wzroku powaga.

- Czy Birdie dobrze się czuje?

- Już lepiej, dzięki.

- Cieszę się.

Jilly skrzyżowała ramiona na piersiach i odwróciła wzrok. Rajiv pochylił się i podniósł ze ścieżki jakąś gałąź.

- Już dawno nikogo nie całowałem - powiedział, zaskakując ją.

- Prawdę mówiąc, ja też - odparła, zerkając na niego z ukosa.

- Myślałem wtedy o tobie, ale też o sobie. Nie jestem

## Mary Alice Monroe 281

pevien, czy chcę się angażować w jakikolwiek związek. Lubię być sam. Nie chcę się wiązać. '

- Rajiv, ja ci zaproponowałam pójście do łóżka, a nie małżeństwo.

Wydawał się speszony. Przymrużył oczy i przez chwilę sprawiał wrażenie, że zastanawia się nad tym, co usłyszał.

- Posłuchaj, nie utrudniajmy sobie życia - westchnęła Jilly. - Przyjmuję twoje przeprosiny, w porządku? I niech tak pozostanie.

- W tym właśnie problem, że ja nie chcę tak tego zostawić - odrzekł Rajiv z wahaniem. - Wiem, że wszystko między nami popsulem. Nie chcę się angażować; tylko że niestety to się już stało. Myślę o tobie przez cały czas. To bardzo irytujące.

Zauważyła w jego oczach błysk humoru i musiała się uśmiechnąć. Stali tuż obok siebie, nie dotykając się, czuli jednak przebiegające między nimi iskry pożądania.

- Jeśli się zgodzisz, to chciałbym zacząć wszystko od początku - powiedział Rajiv. - Chciałbym, żebyśmy spędzili razem trochę czasu... Chciałbym się z tobą zaprzyjaźnić. A potem, może...

- Może - odrzekła Jilly z błyskiem w oczach. Z jej twarzy zniknęło napięcie. - A może nie - dodała. Wzruszyła ramionami i odbiegła.

Wpadła do pokoju, przebrała się w dzinsy i stary sweter i wróciła nad rzekę. Pirat Pete nie odstępował jej na krok. Na widok Jilly Rajiv rozpromienił się i pomachał jej ręką.

- Przyszłam się z tobą zaprzyjaźnić - oświadczyła.

**CZTERY PORY ROKU**

Jego oczy rozjaśnił ciepły blask.

- Zdaje się, że ukradłaś mi psa. Ładna przyjaźń - zażartował.

- Aha, więc teraz już twierdzisz, że to twój pies? A co z postanowieniami o unikaniu wszelkich więzi?

Rajiv schylił się i pogłaskał Pete'a.

- Człowiek może się zmienić. Jilly wbiła ręce w kieszenie spodni.

- Nie grałam czysto - oświadczyła z satysfakcją. - Dziś rano dałam mu plasterek bekonu. Jest już mój.

Rajiv wyprostował się, przyjrzał się jej uważnie, wyciągnął rękę i wsunął kosmyk włosów za jej ucho.

Jilly poczuła, że ten mężczyzna również należy do niej.

Razem zabrali się do pracy. Zbierali stare puszki, gałęzie i przyniesione przez rzekę śmieci i wrzucali

je do dużych worków. Popołudniowe słońce ogrzewało ich policzki. Jilly myślała o

nieprzewidywalnych kolejach losu. Nikogo teraz nie szukała; nie chciała jeszcze bardziej

komplikować sobie życia. On też najwyraźniej nikogo nie szukał. A jednak się spotkali i musiała

przyznać, że Rajiv nie był podobny do żadnego znanego jej dotąd mężczyzny. Czowała, że łączy ich

niecodzienna więź. Gdy tak pracowali ramię przy ramieniu, miała wrażenie, że znają się od zawsze,

jak stare dobre małżeństwo.

Kto by pomyślał, że poważny, cichy Rajiv Patel tak potrafi adorować kobietę?

W ciągu następnych dni odwiedzał pokój Birdie po kilka razy dziennie. Zawsze przynosił ze sobą

imbryk aromatycznej, parującej herbaty oraz hinduskie przysmaki: kwadrato-

### **Mary Alice Monroe 283**

we ciastka pachnące pistacjami, orzeszkami i jakimiś nieznanymi aromatami. Jilly czerpała z tych wizyt nie mniejszą przyjemność niż Birdie.

Rajiv zawsze zatrzymywał się w drzwiach i w swobodnej pozie, oparty o framugę, z błyszczącymi humorem oczami opowiadał niezwykle historie ze swego rodzinnego kraju. Równie dobrze mógłby jednak nic nie mówić, a wszystkie cztery kobiety i tak wpatrywałyby się w niego jak urzeczone. Dla Jilly te wizyty niespostrzeżenie stały się torturą. Był tak blisko, a nie mogła go dotknąć. Jeszcze nigdy tak mocno nie pragnęła żadnego mężczyzny.

Późnym wieczorem, wracając z pralni, Jilly dostrzegła na parkingu przed motelem samochód firmy kurierskiej i serce zabiło jej mocniej. Zaparkowała land rovera i wbiegła do biura, gdzie Rajiv, wyraźnie ożywiony właśnie rozmawiał z doręczycielem.

- To na pewno do mnie - powiedziała szybko Jilly. Podpisała formularz i gdy kurier wyszedł, wpatrzyła się w grubą kopertę, ważąc ją w dłoni. Przesyłka pochodziła od pana Collinsa.

- Mam nadzieję, że zawiera dobre wiadomości - powiedział Rajiv.

Pocałowała go szybko i pobiegła do sióstr.

- Jest! - zawołała, wpadając do pokoju Birdie, gdzie trzy kobiety, rpciagnięte na łózkach, oglądały film na wideo. Jilly wyłączyła telewizor i również opadła na łóżko.

- Czas ruszyć dalej, moje panie! - zawołała.

- Najwyższa pora - stwierdziła Hannah. - Już myśla-^ łam, że utknęłyśmy tu na zawsze!



**CZTERY PORY ROKU**

- A mnie się tu podoba - oświadczyła Birdie ku zdumieniu wszystkich.

- Pan Collins dotrzymał słowa - powiedziała My, wając kopertę .w ręku. - Dobrze. Otwieramy.

Wyjęła z koperty papierową teczkę i szybko przerzuciła jej zawartość.

- Co tam jest? - zapytała Rose. Jilly wzięła głęboki oddech.

- Wygląda to na metrykę urodzenia - powiedziała. -Zaraz, przyjrzyjmy się... Tak. Dziewczynka, nazwisko: Season. Matka - Jillian Season, i... - urwała. Ojciec figurował jako NN. - Szpital Świętego Franciszka. Data urodzenia: 17 maja 1973. Tu już nie ma nic więcej - dodała i odłożyła metrykę na bok. - A tu jest drugi metryka - zawołała z podnieceniem. - Napisane jest: Poprawiona metryka urodzenia... - Naraz jej twarz zastygła, a głos uwiązł w gardle. Podniosła głowę i popatrzyła na siostry z szerokim uśmiechem.

- Nazywa się Anne Marie.

W pokoju rozległ się pisk i siostry rzuciły się sobie w objęcia, jakby Anne Marie urodziła się dopiero przed chwilą, one zaś świętowały to wydarzenie.

- Przeczytaj resztę - zawołała Rose, klaszcząc w dłonie.

- Tak, pośpiesz się - dołączyła się Birdie z rumieńcem podniecenia na policzkach. - Czekaliśmy już wystarczająco długo!

Jilly otarła oczy i znów skupiła uwagę na dokumencie.

- Mojego nazwiska w ogóle tu nie ma - stwierdziła niepewnie. Nie powinna czuć się zdziwiona, ale zabolalo ją to. - Tu jest napisane: matka - Susan Parker.

## **Mary Alice Monroe 285**

- Czytaj dalej - popędzała ją Birdie. - To ważne. Teraz już znamy nazwisko.
  - Ojciec, Robert Parker. Mój Boże, adres: Sturgeon Bay... To tak blisko... Ojciec jest skutnikiem.
  - Fajny zawód - stwierdziła Hannah. My też tak uważała.
  - A matka - gospodyni domowa. - Urwała i po chwili dodała z odcieniem goryczy: - A więc Anne Marie miała prawdziwą matkę w domu...
  - To świetnie. Co jeszcze? - dopytywała się Rose, przyciskając brodę do ramienia My.
  - W chwili adopcji ojciec miał trzydzieści lat, a matka dwadzieścia dziewięć - przeczytała Jilly, a potem przerzuciła pozostałe papiery. Podanie o adopcję, wyniki wizji środowiskowej, raporty agencji, historia medyczna... - Widzę, że Robert skończył college. Jego hobby to stolarka i żeglarstwo.
  - A co z matką?
  - Wykształcenie średnie. Jakiś college... Lubi szyć i uprawiać ogród. Bardzo aktywna w kościele.
  - Brzmi dobrze - zauważyła Birdie.
- Jilly zmarszczyła brwi w przyпіływie nieoczekiwanej zazdrości.
- Owszem. Tu jest wszystko, co powinnam na razie o nich wiedzieć... Wszystkie informacje, jakich potrzebujemy, żeby znaleźć Spring!
  - Anne Marie - poprawiła ją Birdie.
  - Tak - przyznała Jilly z żalem. Moja córka ma imię... piękne imię.

**CZTERY PORY ROKU**

Wyszła z motelu, gotowa przysiąc, że nie zmierza w żadnym konkretnym kierunku. Po prostu chciała odetchnąć świeżym powietrzem. Na dworze było zimno, a powietrze pachniało śniegiem.

Bezmyślnie szła przed siebie, aż w końcu jej włoskie buty zupełnie przemokły, ona zaś ze zdumieniem stwierdziła, że stoi przed domkiem z czerwonej cegły otoczonym ogrodzeniem z kutego żelaza. Na piętrze paliło się światło, ciepłe i zapraszające. My przez chwilę stała przed bramą, patrząc na to światło i zastanawiając się, czy Rajiv ma zwyczaj czytać przed snem. Noc była tak cicha, że słyszała własny oddech.

Brama głośno skrzypnęła i Pirat Pete natychmiast nadbiegł z ogrodu, warcząc głośno.

- Cicho, Pete - powiedziała My. - Cicho, ćśś...

Pies podszedł bliżej i gdy pochwycił jej zapach, entuzjastycznie zamachał ogonem. Ale było już za późno. Na werandzie domu rozbłysło światło. My usłyszała szcęk zamka i drzwi otworzyły się.

Przytrzymując jedną ręką skrzydło bramy, patrzyła na wysoką sylwetkę mężczyzny stojącego na werandzie. Rajiv był ubrany w szlafrok. Stał z ręką na klamce, czujnie nasłuchując. Nie widziała jego twarzy, ale wyczuwała intensywność spojrzenia.

Jilly niepewnie postąpiła naprzód i krok po kroku zbliżała się krętą ogrodową ścieżką do sześciu schodków wiodących na werandę.

- Potrzebuję przyjaciela - powiedziała cicho. Rajiv wyciągnął do niej rękę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Gdzieś ty była! - wykrzyknęła Rose z oburzeniem, gdy Jilly pokornie wśliznęła się do pokoju. Nie była w stanie spojrzeć siostrze w twarz, przekonana, że Rose natychmiast wyczyta z jej oczu całą prawdę.

- Bardzo przepraszam. Wiem, że powinnam zadzwonić. Straciłam poczucie czasu.

- To cię nie usprawiedliwia! Zamartwiałam się na śmierć. Już miałam dzwonić na policję!

Jilly podniosła głowę z niedowierzaniem. Rose na nią krzyczała!

- Potrafisz być zupełnie niewrażliwa na uczucia innych, , wiesz? Gdy czegoś chcesz, to po prostu bierzesz i nic cię więcej nie obchodzi! Przyszło ci w ogóle do głowy, że ja i Birdie będziemy się o ciebie martwić?

Jilly była tak wstrząśnięta widokiem krzyczącej Rose, że nie odpowiedziała.

- Przyszło ci czy nie? - powtórzyła jej siostra.'

- Czy co mi przyszło?

Rose bezradnie uniosła ręce do góry.

- Och, Jilly...

- Ale o co tyle krzyku? - zapytała Jilly ze zdumieniem. ^ - Po prostu wyszłam. Nic wielkiego się nie stało!

**CZTERY PORY ROKU**

Rose zdołała się już nieco uspokoić, szczęśliwa, że widzi siostrę całą i zdrową.

- Wychodzisz późnym wieczorem, nic nikomu nie mówiąc, i wracasz cztery godziny później. I co ja mam o tym myśleć?

Jilly omal nie wybuchnęła śmiechem.

- Mam czterdzieści trzy lata i nie potrzebuję godziny policyjnej! Przez całe życie wychodziłam i wracałam, kiedy miałam na to ochotę! Wróciłam tylko dlatego, że nie chciałam, żebyś się o mnie martwiła, i możesz mi wierzyć, że było to z mojej strony wielkie poświęcenie! Przykro mi, że się niepokoiłaś, ale nie prosiłam cię, byś została moją niańką!

Rose wzięła się w garść, mocniej zacisnęła pasek szlafroka i popatrzyła na Jilly wymownie.

- Bardzo cię przepraszam, Rose - zreflektowała się Jilly natychmiast. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Po prostu nie przywykłam do tego, że ktoś może się o mnie martwić. Na przyszłość postaram się o tym pamiętać. Zgoda?

Rose opuściła ramiona i wsunęła dłonie do kieszeni szlafroka.

- A ja chyba nie przywykłam do mieszkania pod jednym dachem z niezależną kobietą. Nie powinnam tak na ciebie krzyczeć.

Drzwi otworzyły się i do pokoju jak burza wpadła Birdie.

- Skróciłaś moje życie o dziesięć lat! - wykrzyknęła gniewnie, a potem objęła Jilly i mocno uścisnęła.

- Myślałyśmy, że pożarł cię jakiś niedźwiedź. Albo coś jeszcze gorszego. Byłam gotowa osobiście cię zamordować.

Cofnęła się o krok i utkwiała przenikliwe spojrzenie w twarzy siostry.

## Mary Alice Monroe 289

- Przypuszczam, że biegałaś? - zapytała, unosząc brwi. Jilly wiedziała, że została przejrzana. Uwagi Birdie nie

mogły umknąć wilgotne włosy ani zaróżowiona cera.

- Mhm - mruknęła. - Nocne biegi są świetne na zdrowie.

- Aha. W tych butach?

Jilly opuściła wzrok na swoje bose stopy w skórzanych szpilkach.

- Powiedzmy, że to był szybki marsz.

- Jeszcze nigdy nie widziałam, a raczej nie czułam, żeby ktoś tak ładnie pachniał po czterogodzinnym marszu.

Jilly popatrzyła siostrze prosto w twarz i jej usta zadrgały tłumionym śmiechem.

- To na pewno wpływ górskiego powietrza. Birdie roześmiała się głośno, potrząsając głową.

- No cóż, zachowuję się, jakbym była twoją matką, ale po prostu martwiłam się o ciebie.

- Rose zdążyła już powiedzieć mi wszystko, co powinnam usłyszeć - zaśmiała się Jilly. - Szkoda, że cię przy tym nie było. Ależ ona ma temperament!

Birdie odwróciła głowę, przypatrując się młodszej siostrze z niedowierzaniem.

- To Rose tak wrzeszczała?

- I bardzo dobrze mi to zrobiło - odrzekła Rose z godnością, unosząc wyżej głowę. - Możecie obydwie zacząć się do tego przyzwyczajać.

Jilly i Birdie wybuchnęły śmiechem.

- Stworzyłyśmy potwora - wyjęczała Birdie, opierając się o siostrę.

- Na własne podobieństwo - wtórowała jej Jilly.

- Bardzo zabawne - prychnęła Rose. - Zaraz, zaraz...

**CZTERY PORY ROKU**

- Na jej twarzy pojawił się błysk nagłego zrozumienia. -Jilly... ty i Rajiv Patel...?

Odpowiedział jej kolejny wybuch śmiechu. Birdie trzymała się za brzuch.

Rose z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Myślałam, że to były tylko takie żarty...

- Życz mi szczęścia - zwróciła się do niej Jilly z rozpromienioną twarzą.

- Miło pomyśleć, że chociaż jedną z sióstr Season spotkało coś przyjemnego - pokiwała głową Birdie, siadając na materacu.

Rose usiadła obok niej.

- Ty i Rajiv... - powtórzyła jeszcze raz.

- Bez obrazy, moje drogie, ale nie rozkładajcie się za bardzo na tym łóżku - ziewnęła Jilly. - Jestem zupełnie wykończona. Marzę tylko o tym, żeby wejść pod kołdrę<sup>v</sup> i spać. Jutro z samego rana zaczynamy lokalizować adres.

- No no, widzę, że nastrój bardzo ci się poprawił - zakpiła Birdie. - Pan Patel ma jakieś cudowne środki? Czy ja też mogłabym z nich skorzystać?

- Za nic w świecie - potrząsnęła głową Jilly. - Trzymaj się z dala od niego.

- Było aż tak dobrze? - uśmiechnęła się Birdie.

- Jeszcze lepiej.

Birdie ze smutkiem potrząsnęła głową.

- W takim razie nic mi nie mów. W mojej sytuacji byłoby to zbyt okrutne.

- Ale mnie możesz powiedzieć - oświadczyła Rose, przysuwając się bliżej. - Przydałoby mi się trochę dobrego instruktazu.

## **Mary Alice Monroe 291**

Jilly, która właśnie zdejmowała bluzkę, stanęła jak wryta.

- A co się stało? Jakies nowe wiadomości z frontu? Oczy Rose rozjaśniły się.

- Odpisał. Gotów jest poczekać na spotkanie, bo, jak twierdzi, jestem tego warta.

Birdie uniosła ręce w geście triumfu.

- Tak się cieszę - zawołała Jilly i uścisnęła siostrę. - Tylko nie czekaj za długo - szepnęła jej do ucha.

Birdie pokiwała głową.

- Ruszaj do boju, Rose. Nadeszła twoja kolej.

Następnego ranka Rajiv niechętnie zgodził się towarzyszyć im przy śniadaniu w Country Diner.

Wyraźnie skrepowany, sztywno zajął miejsce przy stole obok Jilly i rzucił uprzejmy uśmiech innym gościom, którzy patrzyli na niego takim wzrokiem, jakby zobaczyli ducha.

- Zdaje się, że rzadko wychodzisz do miasta? - zapytała go Jilly cicho.

Nie odpowiedział, tylko skupił uwagę na menu.

- No, proszę, proszę, kogo my tu widzimy - powitała go Maude we właściwy sobie jowialny sposób. -

Już zaczynaliśmy się zastanawiać, czy pan naprawdę istnieje.

Rajiv nie odrywał wzroku od karty.

- Byłem zajęty - rzekł krótko, z napiętym uśmiechem.

- Mam na imię Lany - powiedział mąż Maude, podchodząc do stolika. - Witamy.

Rajiv przedstawił się i uścisnął podaną dłoń.

- Nazwaliśmy pana Heathcliff - zaśmiał się Larry.

**Bohater powieści *Wichrowe Wzgórze* Emily Bronte (przyp. red.)**



**CZTERY PORY ROKU**

- Obawiam się, że nie jestem nawet w połowie tak romantyczną postacią.

- Och, ja bym tego nie powiedziała - oświadczyła Jilly. - W takim razie ja jestem Cathy.\*

Na twarzy Rajiva pojawiło się rozbawienie, ale widać było, że ta analogia podoba mu się. Zamówili obfite śniadanie i zaczęli planować dzień.

- Znów ta sama orka - jęknęła Rose, która nie robiła żadnego sekretu z tego, że siedzenie w dusznym archiwum uważa za dopust Boży. - Całe szczęście, że teraz mamy przynajmniej nazwisko.

- To wszystko czy macie coś jeszcze? - zapytał Rajiv.

- Imiona i nazwiska rodziców adopcyjnych oraz adres z tamtego okresu, to znaczy sprzed dwudziestu sześciu lat. Będziemy musiały przeszukać książki telefoniczne.

- Ale po co wam do tego archiwum? - zdziwił się Rajiv. Odpowiedziały mu cztery nierozumiejące spojrzenia.

- A gdzie mamy szukać? - zdziwiła się z kolei Jilly.

- Mam w komputerze książkę telefoniczną całego kraju. Szuka się według nazwisk albo adresów.

Możemy zacząć od Wisconsin, a potem przejść przez wszystkie stany w porządku geograficznym albo alfabetycznym, jak wolicie. Można to zrobić u mnie w biurze. Tak chyba będzie o wiele łatwiej.

Jilly objęła go mocno i serdecznie pocałowała.

- Co za facet - oświadczyła z szerokim uśmiechem.

Uwagi Rose nie uszły subtelne zmiany w Jilly. Zauważała blask na jej twarzy, sprężystość kroku i odzyskaną ra-

**Bohaterka powieści *Wichrowe Wzgórze* Emily Bronte (przyp .red.)**

## **Mary Alice Monroe 293**

dość życia. Patrząc na nią, tym boleśniej uświadamiała sobie pustkę we własnym życiu. Najbardziej przemawiały do jej wyobraźni drobne sygnały uczucia: ręka Rajiva na ramieniu Jilly siedzącej przy komputerze, gest, jakim wsuwał jej kosmyk włosów za ucho, spojrzenia, jakie wymieniali, gdy sądzili, że nikt nie zwraca na nich uwagi.

Rose rozpaczliwie pragnęła, by na nią również ktoś tak patrzył. Tęskniła za odrobiną romantyzmu, za kwiatami i szeptanymi wyznaniem miłości, za czułym trzymaniem się za ręce w blasku księżyca, za miłością. I bardzo chciała mieć dziecko.

To ostatnie pragnienie pojawiło się dopiero teraz. Przez wiele lat była tak skupiona na opiece nad Merry, że nawet nie przychodziła jej do głowy myśl o jakimś innym dziecku. Teraz jednak, obserwując rozbudzone na nowo instynkty macierzyńskie Jilly, poczuła, że ona też pragnie doświadczyć macierzyństwa.

Położyła palce na klawiszach i zaczęła pisać.

Drogi Danny,

W północnym Wisconsin znów zapadła zimna noc, ale pisanie do Ciebie daje mi poczucie ciepła. Czy mówiłam Ci ostatnio, jak wiele znaczą dla mnie te listy? Śledziłam Twoją trasę na mapie i wyobrażałam sobie, co widzisz po drodze. Szerokie przestrzenie Teksasu, piękne farmy Kansas i Missouri. Bardzo bym chciała któregoś dnia zobaczyć to wszystko.

Otrzymałyśmy interesujące wiadomości. Tani Kasparov znalazła chętnych do kupna domu! Jakieś małżeństwo za-<sup>^</sup>•kochało się w nim bez pamięci. Potrafię to zrozumieć. To

## **CZTERY PORY ROKU**

piękny dom. Zaproponowali nam cenę grubo powyżej wywoławczej i chcą kupić dom od razu, w takim stanie, w jakim jest. A to oznacza, że nie będziemy musiały przeprowadzać remontu dachu ani podłóg. W zasadzie jasno oświadczyli, że nie życzą sobie, byśmy same cokolwiek tam robiły. Chcą przeprowadzić remont od początku do końca, po swojemu. Najbardziej im się podoba to, że dom nie stracił nic ze swojego pierwotnego charakteru - na przykład stolarka nigdy nie została pomalowana, i tak dalej.

Więc zdecydowałyśmy się na sprzedaż.

Po napisaniu tego ostatniego zdania musiałam wziąć głęboki oddech. Szczerze mówiąc, wcześniej myślałam, że trudno mi się będzie pożegnać z tym miejscem. Birdie i Jilly starały się traktować mnie bardzo "delikatnie, przekonane, że ukrywam przed nimi moje prawdziwe uczucia. Kiedyś tak rzeczywiście robiłam. Ukrywałam swoje myśli i to, co czułam, żeby nie sprawiać nikomu przykrości. Ale teraz już tego nie robię. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak się stało, ale sprawił to czas spędzony z siostrami i ciągle powroty do przeszłości. Znowu staję się dziewczyną, którą byłam kiedyś. Nie zawsze byłam nieśmiała. Nigdy nie chciałam mieszkać przez całe życie w jednym miejscu, cóż dopiero w jednym domu. Pragnęłam podróżować po całym świecie.

Wspominanie tych marzeń pomogło mi pogodzić się z myślą o sprzedaży domu. Kocham to miejsce, ale nie chcę już tam mieszkać. To część mojej przeszłości, ja jednak jestem już gotowa na nowe doświadczenia. Chcę zobaczyć nowe miejsca i zacząć nowe życie.

Rosebud

## **Mary Alice Monroe 295**

Zamierzała napisać, że chce się z nim spotkać. Wiedziała, że Danny na to przede wszystkim czeka. Trzykrotnie pisała to zdanie i za każdym razem je wyrzucała. Może jutro, pomyślała, wyłączając komputer. Albo pojutrze. W każdym razie już niedługo.

- Mamo, co się dzieje między ciocią Jilly a Rajivem? Birdie była zadowolona, że to pytanie wreszcie padło.

Oczekiwała tego. Hannah leżała na łóżku obok niej, oparta o poduszki. Od kiedy zajmowały wspólny pokój, jej córka unikała wszelkich poważnych rozmów, jakby się obawiała, że mogą łatwo doprowadzić do kolejnej kłótni. To była pierwsza rozmowa, podczas której Birdie mogła dać upust swoim talentom pedagogicznym.

- Chodzi ci o to, że Jilly zostaje u niego na noc?

- No tak.

Birdie wydeła usta, zastanawiając się, jak najlepiej wyjaśnić to piętnastolatce.

- Jilly się zaangażowała.

- Oj. No dobra.

- W twoim wieku wiesz już chyba, że ludzie mogą się zaangażować w związek, zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie, nawet gdy nie są małżeństwem.

- Chcesz powiedzieć, że sypiają ze sobą.

Birdie w ostatniej chwili powstrzymała się przed wygłoszeniem kazania o negatywnych aspektach seksu pozamałżeńskiego. Wiedziała, że w ten sposób nic nie uzyska.

- Chyba już trochę za późno, żeby ci opowiadać o pszczołkach i motylkach - stwierdziła z lekką ironią. Hannah przewróciła oczami, ale gdy zauważyła, że mat-

**CZTERY PORY ROKU**

ka nie zamierza wygłaszać kolejnej dydaktycznej tyrady, na jej twarzy odbiło się wyraźne zadowolenie.

- Mamo, teraz dzieci uczą się o tym w szkole. W piątej klasie.
- Wiadomości dotyczące fizjologii płodności i porodu to nie to samo co rozmowa o zasadach moralnych. Nie chciałabym, żebyś znalazła się w takiej sytuacji jak Jilly w twoim wieku.
- Mamo, ja mam bardzo dobre zasady moralne. Mówię poważnie. Jestem ostatnią osobą, o jaką powinnaś się martwić.

Birdie musiała się uśmiechnąć. Hannah była bardzo podobna do niej samej. Po tym, jak Jilly zaszła w ciążę, rodzice zafundowali pozostałym córkom rozszerzony kurs edukacji seksualnej oraz wprowadzili ostre rygory. Wyjście do koleżanki było wyczynem niemal równie trudnym jak ucieczka z więzienia. Ale nie tylko to łączyło ją i Hannah. Podczas tej podróży Birdie zaczęła zauważać wiele cech córki podobnych do swoich. Upór Hannah, sposób, w jaki wydymała usta, gdy się nad czymś zastanawiała, uniesienie głowy, gdy wyrażała o czymś własne zdanie, upodobanie do starych filmów, nawet ton głosu - wszystko to było odziedziczone po matce.

- Jesteś pierwszą osobą, o którą się martwię - powiedziała z uśmiechem.

Hannah oddała jej uśmiech.

- Ale gdybym kiedyś popadła w kłopoty, to czy wysłałabyś mnie gdzieś z domu?
- Nie - odrzekła Birdie szybko i stanowczo. - Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, że miałabyś trafić do takiego

## Mary Alice Monroe 297

miejsca jak to, gdzie wysłano Jilly. Myślę, że jakoś byśmy sobie ze wszystkim poradziły. - Wzięła głęboki oddech i dodała z wahaniem: - Ale wiesz o możliwościach antykoncepcji? O prezerwatywach?

- Wiem, wiem. Wszyscy wiedzą.

- Hannah, to już nie jest rozmowa o zasadach moralnych, tylko o życiu i śmierci.

- Gdybyś ty wiedziała, jaka ja jestem grzeczna - westchnęła tym razem Hannah. W tym stwierdzeniu nie było jednak dumy, lecz raczej poczucie porażki. Birdie wiedziała, że Hannah jest zafascynowana Jilly i stara się ją pod każdym względem naśladować.

- Hannah, nie chciałabym, żebyś odniosła niewłaściwe wrażenie co do cioci Jillian. Ona nie sypiała z połową szkoły. Była dobrą dziewczyną. Piękną, inteligentną i zdolną. Ale miała kłopoty... Chyba nigdy nie pogodziła się z tym, co się stało z twoją ciotką Metry, a potem wszystko przestało ją obchodzić. Stała się nieodpowiedzialna. Mówiła i robiła, co chciała, nie myśląc o konsekwencjach. To się podobało jej kolegom ze szkoły, była więc bardzo adorowana... Oczywiście również dzięki swojej urodzie.

- No tak. Ale ja nie jestem ani piękna, ani adorowana, więc...

Birdie . słuchała tego ze ściśniętym sercem

- Jesteś piękna. I bardzo ci dobrze w tej fryzurze - powiedziała, pamiętając, by nie wspominać ani słowem o diecie i ćwiczeniach. W praktyce zawodowej miała do czynienia z wieloma przypadkami anoreksji i bulimii i dobrze wiedziała, że nie należy skupiać zbyt wiele uwagi na kwestiach związanych z jedzeniem. - A ja i tato bardzo cię kochamy.

**CZTERY PORY ROKU**

Hannah wzruszyła ramionami z klasyczną obojętnością nastolatki, ale jej twarz spoważniała.

- Co się właściwie dzieje między tobą a tatą? Na to pytanie Birdie nie była przygotowana.

- Nie wiem - odrzekła bezradnie. Hannah spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Mówię szczerze. Gdybym chciała cię uspokoić, powiedziałabym, że wszystko jest w porządku. -

Birdie zaczerpnęła powietrza i rzuciła się na głęboką wodę: - Tato jest na mnie bardzo zły.

- Za co? - obruszyła się Hannah. - Za tę podróż?

- Tak. I za inne rzeczy, które gromadziły się przez wiele lat. Nawet sama dobrze nie rozumiem, kiedy, w którym momencie wszystko zaczęło się psuć?

- Co to znaczy? - zapytała Hannah z paniką w głosie. - Brzmi to tak, jakbyście brali rozwód!

- Nie - zaprzeczyła Birdie szybko. - W każdym razie ja tego nie chcę. Mam nadzieję, że twój ojciec też nie. Kochamy się, tego jestem pewna. Ale czasem ludzie się od siebie oddalają, nawet gdy się kochają. Trzeba włożyć dużo pracy, by uczucie pozostało żywe, a ja i tato chyba za mało się o to staraliśmy. To działa się powoli, niepostrzeżenie... Za dużo pracy, wysiłku, by utrzymać dom, żeby być dobrą matką... Chciałam być we wszystkim najlepsza i pracowałam tak ciężko, że w korku nie miałam już siły, by się czymkolwiek cieszyć. Przez cały czas byłam zmęczona i zirytowana. A to z kolei sprawiało, że czułam się niedoceniona. To błędne koło. - Spojrzała na córkę i po raz pierwszy dostrzegła w niej nie dziecko, lecz młodą kobietę. — Wiem, że ciężko ci było czasem ze mną wytrzymać. Twojemu ojcu

## Mary Alice Monroe 299

też. Powiedział mi, że ma już tego dosyć. Więc... tak to wygląda.

Hannah przez chwilę milczała.

- Czy myślisz, że gdybyś urodziła to dziecko, coś by się zmieniło? - zapytała wreszcie.

- A czy coś by się zmieniło dla ciebie? Dziewczyna ostrożnie skinęła głową.

- Zawsze chciałam mieć siostrę.

- Och, Hannah... - szepnęła Birdie. Jak miała jej to wytłumaczyć? Od ponad dziesięciu lat próbowała zająć w ciążę i wiedziała, że to była już ostatnia szansa. Nie będzie miała więcej dzieci. Ale jak miała powiedzieć to Hannah?

A co gorsza, Dennisowi?

- Mamo, nie płacz - powiedziała Hannah bezradnie. -Zobacz, jakie to głupie... Zawsze chciałam cię doprowadzić do płaczu i nigdy mi się nie udało. A teraz, gdy wcale tego nie chcę...

- Och, ja już płakałam przez ciebie - przyznała Birdie, pociągając nosem. - Bardzo często. Tylko że nigdy tego nie widziałaś.

Hannah szeroko otworzyła oczy.

- Byłam na ciebie wściekła, że ciągle się mnie o coś czepiasz.

- Nie czepiałam się ciebie!

- Owszem, mamo. Chciałaś, żebym wszystko robiła tak samo jak ty. Żebym była taka jak ty. A gdy robiłam coś inaczej, wpadałaś we wściekłość i mówiłaś, że jestem leniwa albo głupia.

- Nigdy nie powiedziałam, że jesteś głupia!

- Może nie w słowach, ale tak się czułam. Niczego two-



**CZTERY PORY ROKU**

im zdaniem nie potrafiłam zrobić dobrze. Więc przestałam się starać.

Birdie znów poczuła pod powiekami piekące łzy.

- Ja tylko próbowałam ci pomóc. Chciałabym, żebyś miała w życiu jak najlepiej!

- Mamo, odpuść trochę od czasu do czasu! Za bardzo się starasz. Za dwa lata wyjadę z domu. Jeśli teraz nie nauczę się żyć samodzielnie, to w college'u zwariuję z nadmiaru wolności! - Zerknęła na matkę, sprawdzając jej reakcję. - I potem nie będę chciała wracać!

Birdie wydeła usta, próbując ułożyć sobie w głowie wszystko, co powiedziała jej córka.

- Będę za tobą tęsknić. Na pewno będziesz przyjeżdżać do domu!

- Mamo, w życiu wszystko zaczyna się zmieniać nie wiadomo, kiedy. Na przykład ty stałaś się inna podczas tej podróży. Rozmawiasz ze mną i przestałaś traktować mnie jak wieczne dziecko.

Dzięki Jilly, pomyślała Birdie.

- Bo zachowujesz się jak kobieta - odrzekła. Hannah z wdzięcznością skinęła głową.

- Chciałabym, żebyśmy się zaprzyjaźniły. Żebyśmy mogły rozmawiać o wszystkim, rozumiesz?

Byłoby fajnie.

Birdie poczuła przypływ radości, która powoli zaczęła wypełniać pustkę w jej sercu. Uścisnęła córkę i mocno pocałowała ją w policzek.

- Tak - powiedziała. - Byłoby bardzo fajnie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Jilly siedziała na cementowym patio i patrzyła na rzekę, w której odbijały się szare chmury. Nawet ptaki nie śpiewały tego ranka. Wokół panował bezruch jak przed burzą.

O świcie Jilly wysunęła się z ramion Rajiva i wróciła do motelu, ale nie chciało jej się spać, usiadła więc tutaj w nadziei, że poranny chłód pomoże jej odzyskać równowagę/Powietrze było naładowane elektrycznością.

Gdy w pokoju zadzwonił telefon, wyprostowała się i zgasiła papierosa, a potem czekała. W chwilę później Rose odsunęła siatkowe drzwi i zawołała ją po imieniu.

- Ach, tu jesteś. Chodź, Jilly, odbierz telefon! To z Rejestru Soundex!

Jilly miała wrażenie, że ktoś wylał jej na głowę wiadro zimnej wody. Zerwała się z krzesła, a potem zastygła nieruchomo.

Rose popchnęła ją lekko.

- Idź, na co czekasz?

Jilly z dudniącym sercem podeszła do telefonu.

- Halo?

- Tu Rejestr Soundex. Czy mówię z Jillian Season? Był to głos starszej kobiety, ciepły i przyjazny.

**CZTERY PORY ROKU**

- Tak - wykrztusiła Jilly.

- Mam dobre wiadomości.

Jilly przez cały dzień chodziła jak odurzona. Anne Marie również jej szukała! Ta myśl po prostu zapierała jej dech w piersi. Rejestr Soundex pośredniczył w nawiązaniu pierwszego kontaktu między matką a córką. Jilly otrzymała adres i telefon Anne Marie. Polecono jej zadzwonić o ósmej wieczorem. Rozmowa była krótka i rzeczowa, tymczasem uczucia Jilly wirowały jak szalone!

O dziwo, w tej chwili najbezpieczniejszym miejscem wydawał jej się prostokąt cementu za motelem. Przez całe popołudnie lał deszcz i niebo przecinały błyskawice. W końcu burza poszła dalej, pozostawiając po sobie zapach wilgotnej ziemi. Jilly siedziała na krześle z kolanami podciągniętymi pod brodę i słuchała szumu rzeki. Za chwilę miała po raz pierwszy w życiu porozmawiać z córką, ale zamiast radości i entuzjazmu ogarniał ją paniczny strach i przygniatające poczucie winy. Co ma powiedzieć Anne Marie? „Przepraszam”? Chciała ją przeprosić za wszystko, za całe swoje życie. W myślach układała listę spraw, za które powinna przeprosić córkę. Przepraszam cię za to, że byłam lekkomyślną nastolatką. Za to, że pod presją nie okazałam się silniejsza i że cię oddałam. Za to, że nie próbowałam odnaleźć cię wcześniej.

Może, gdyby nie zgodziła się na adopcję, to całe jej życie potoczyłoby się inaczej. Rodzina musiałaby przyjąć do wiadomości narodziny Anne Marie. Nie byłoby wieloletniego zakłamania, a Jilly nie stałaby się wyrzutkiem

### **Mary Alice Monroe 303**

i może uniknęłaby tego koszmarnego bałaganu w swoim życiu.

Ale jak mogła wówczas tego dokonać? Zadrzała, przypominając sobie, jak płakała, gdy się dowiedziała, że jest w ciąży. Była przekonana, że skrzywdzi to dziecko tak samo jak skrzywdziła Meny. Nie mogła znieść tej myśli. I dlatego jej życie stało się tym, czym się stało - serią egoistycznych, nieodpowiedzialnych postępów. Nigdy nie urodziła drugiego dziecka.

Odchyliła głowę do tyłu, oddychając głęboko. Kogo właściwie chciała oszukać? Anne Marie zyskała na adopcji. Jilly mogła ją tylko unieszczęśliwić. Czy te myśli były egoistyczne?

Nie słyszała kroków na patio i drgnęła nerwowo, gdy poczuła czyjś dotyk na ramieniu.

- Rajiv! Przestraszyłeś mnie!

- Byłaś myślami gdzieś bardzo daleko. Wydawałaś się bardzo smutna. Czy w tej chwili nie powinnaś raczej czuć się szczęśliwa?

- Wcale nie jestem szczęśliwa - wyznała, wtulając policzek w jego dłoń. - Może nie powinnam dzwonić? Ani spotykać się z nią? A jeśli ona wcale nie chce mnie widzieć?

- Czemu tak mówisz? Oczywiście, że chce - obruszył się Rajiv, siadając obok niej. - Gdyby tak nie było, nie zgłosiłaby się przecież do Rejestru!

- Mogła mnie szukać z wielu innych powodów. Może chodzi o dziedzictwo genetyczne. Jest w wieku odpowiednim do macierzyństwa, więc to naturalne, że chce znać medyczną historię rodziny, wiedzieć, kim byli jej rodzice i dziadkowie, na co chorowali i na co umarli. A może jest

**CZTERY PORY ROKU**

ciekawa, czy ma jakieś rodzeństwo. Och, Rajiv, nie wiem, dlaczego ona mnie szuka, ale to wcale jeszcze nie znaczy, że naprawdę chce się ze mną spotkać.

- Jesteś jej rodziną... a rodzina daje człowiekowi poczucie tożsamości.
- Nie jestem rodziną. Ona ma inną rodzinę.
- To prawda, ale na pewno dręczy ją wiele pytań, na które nie zna odpowiedzi. Nie wie, czy jest podobna do ciebie - uśmiechnął się. - Jeśli tak, to ma szczęście. Ale ma jeszcze więcej szczęścia, jeśli odziedziczyła twój charakter i siłę. Zadzwoń do niej.

Rajiv zawsze potrafił odnaleźć słowa, które przemawiały do Jilly.

- Zadzwoń - powiedziała, opierając głowę na jego ramieniu.
- Lepiej zostawmy ją samą - powiedziała Rose do pozostałych kobiet, stłoczonych przy drzwiach pokoju, w którym Jilly dzwoniła do córki.
- Obawiam się, że jeśli się stąd ruszymy, to ona ucieknie - pokręciła głową Birdie.
- Dajmy jej spokój. Niech to załatwia we własnym tempie. Jeśli nie zadzwoni dzisiaj, to trudno. Ale nie martw się, sądzę, że Jilly nie stchórzy. Może zaślubnąć z wrażenia, ale nie ucieknie.
- Tak się denerwuję - mruknęła Hannah, przestępując z nogi na nogę.
- Wszystkie się denerwujemy. Hannah spojrzała matce w oczy.
- To chyba znaczy, że nasza podróż dobiegła końca?

## Mary Alice Monroe 305

Birdie ze zdumieniem zauważyła, że są już prawie tego samego wzrostu. Kiedy Hannah zdążyła tak urosnąć?

- Chyba jak - odrzekła.

- Nie chcę, żeby tak było - zaśmiała się Hannah. - To znaczy, oczywiście cieszę się, że Jilly znalazła córkę, ale mnie się ta podróż bardzo podoba.

- Mnie też - odpowiedziała Birdie, przytulając ją do siebie.

Hannah spojrzała na nią niepewnie. Trochę brakuje mi taty. A tobie?

- Nie musisz tak czujnie na mnie patrzeć. Ja i tato nie jesteśmy wrogami. Mnie też go brakuje. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Więc dlaczego do niego nie zadzwonisz?

- Dzwoniłam - odrzekła Birdie poważnie. - Wiele razy. Ale on nie odpowiedział.

- To zadzwoń jeszcze raz. To, że on zachowuje się głupio, wcale nie znaczy, że ty musisz postępować tak samo. Powiedziałaś, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy!

- Są pewne granice...

- Daj spokój, mamó. Ciocia Jilly dzwoni właśnie do córki, której nie widziała dwadzieścia sześć lat. Więc ty możesz zadzwonić do taty po dwóch tygodniach.

- Co racja, to racja - stwierdziła Rose. Widząc jej wsparcie, Hannah postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

- Zadzwoń teraz.

- Och, Hannah...

- Na co chcesz czekać? Zadzwoń, mamó.

- Zabiorę Hannah na lody. Nie będziemy ci przeszkadzać - zaproponowała Rose.

**CZTERY PORY ROKU**

Birdie rzuciła jej długie, wymowne spojrzenie, ale w gruncie rzeczy ona również pomyślała: właściwie dlaczego nie? Hannah miała racje. Na co czekać? Jedynym, co powstrzymywało ją przed kolejną próbą, była fałszywa duma. Spojrzała na zamknięte drzwi pokoju i wyobraziła sobie, jak Jilly walczy ze sobą, żeby wziąć do ręki słuchawkę i wykrecić numer. Obydwie z Rose namawiały ją do tego. Czy więc nie powinna wymagać co najmniej tego samego od siebie samej?

Uśmiechnęła się z rezygnacją i skinęła głową. Hannah z radości rzuciła się jej w ramiona.

- Dobrze już, idźcie na te lody. Nie musicie się śpieszyć z powrotem. I mnie też przynieście! - zawołała. - Bez względu na to, ile będą miały katorii.

Na kilka minut przed ósmą Jilly usiadła przy telefonie, powtarzając w myślach wszystkie słowa wsparcia i zachęty, jakie usłyszała w ciągu całego dnia. Na stoliku stały w równym rzędzie: kieliszek białego wina, paczka papierosów i zapalki. Nie tknęła jeszcze wina. Nie chciała, by jej córka usłyszała niewyraźne, rozciągnięte słowa. Wino było na później. Na łóżku leżały otrzymane od pana Collinsa dokumenty adopcyjne, długopis i mapa Wisconsin. Na kolanach trzymała notes. Wszystko było gotowe.

Wzięła do ręki słuchawkę i znów ją odłożyła. Westchnęła ciężko, podniosła się i przez chwilę krążyła po pokoju z wrażeniem, że jej ciało waży tysiąc ton. W końcu zerknęła na zegarek i znów zatrzymała się przed telefonem. Była ósma - za późno, żeby się wycofać. Gdzieś tam w Green Bay czekała na ten telefon Anne Marie. Nie

## **Mary Alice Monroe 307**

mogła tak jej zostawić. Odepchnęła od siebie wszystkie myśli, usiadła i wykręciła numer, który podano jej tego ranka.

W słuchawce rozległy się dwa sygnały, a potem kobiecy głos:

- Halo?

Jilly otworzyła usta, ale nie była w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa.

- Halo? - powtórzyła kobieta.

- Dzień dobry - wykrztusiła Jilly drżącym głosem. - Czy to Anne Marie?

- Tak. Czy to... - nastąpiła niezręczna pauza - pani Season?

Pani Season? Jilly poczuła, że kręci jej się w głowie. Wiedziała, że nie usłyszy słowa „mama”, przynajmniej nie od razu. Mogłaby jednak przysiąc, że Anne Marie przez moment miała to słowo na końcu języka.

- Tak, tu mówi Jillian Season.

- Och.

- Proszę, nazywaj mnie Jilly.

Zapadła chwila milczenia. Jilly przetarła twarz dłonią i westchnęła.

- Cieszę się; że zadzwoniłaś - powiedziała ostrożnie Anne Marie.

Jilly znów poczuła pustkę w głowie. W panice otworzyła notes i zadała jedno z pytań z podręcznej ściągawki.

- Czy możemy teraz przez chwilę porozmawiać?

- Tak. Oczywiście. Czekałam cały dzień.

Czekała? Jilly zapało dech. To chyba musiało oznaczać, że jej córka chciała się jednak z nią spotkać.

Ogarnęła ją niezmierna ulga.



**CZTERY PORY ROKU**

- To dobrze. To dobrze. Tak się cieszę.

- A czy dla ciebie jest to dobry moment do rozmowy?

- Och tak, oczywiście - odrzekła Jilly automatycznie, wciąż nie mogąc przejść do porządku nad faktem, że oto wreszcie, po tylu latach, słyszy głos własnego dziecka.

- Czy... - Obydwie odezwały się jednocześnie i jednocześnie zamilkły.

- Mów - poprosiła Jilly, nerwowo obracając w palcach sznur telefonu.

- Nie, ty mów - poprosiła Anne Marie również z napięciem w głosie.

Jilly zdażyła już zapomnieć, o co chciała zapytać.

- Hm... Ciekawa byłam, hm, co sotrie pomyślałaś, kiedy się dowiedziałaś, że ja też cię szukam.

- Aha, no tak! No cóż! - Anne Marie roześmiała się nerwowo. - Chyba w pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć, że to prawda.

Jilly po raz pierwszy odetchnęła nieco lżej.

- Ja też. Gdy zaczęłam cię szukać, powiedzianp mi, że może to zająć niewiele czasu, ale nie sądziłam, że pójdzie aż tak szybko.

- Chciałam cię zapytać o tysiące rzeczy, ale teraz żadnej nie mogę sobie przypomnieć.

- Ja również. Teraz rozumiem, dlaczego radzono mi, żebym spisała sobie pytania na kartce. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to jak cudownie jest usłyszeć twój głos. - Zamilkła na chwilę, ale gdy Anne Marie nic nie powiedziała, podjęła: - Na początek mogę ci powiedzieć, że nosisz imię swojej babci.

Ann.

## Mary Alke Monroe 309

W głosie dziewczyny zabrzmiało zdziwienie.

- Naprawdę? Czy to ty nadałaś mi to imię?

- Nie. Ja... - Jilly nie chciała przyznawać się do tego, że nie nadała swojemu dziecku żadnego imienia.

- Twoja przybrana matka tak cię nazwała.

- To znaczy moja mama. Jilly zacisnęła powieki.

- Tak! - dodała szybko. - Chciałam tylko jasno określić, o kim mówię.

- Ja też chyba powinnam to jasno określić. Już teraz, na początku - powiedziała Anne Marie bardzo stanowczo. - Mam mamę i nie potrzebuję drugiej. Nie o to w tym wszystkim chodzi.

- Oczywiście - odrzekła Jilly, gorączkowo szukając ręką papierosów. Wysypała kilka z paczki, wzięła do ręki jednego, Zapaliła i słuchała słów, które przesywały ją jak kule.

- Zaczęłam szukać swojej biologicznej matki nie po to, by zastąpić tę, którą już mam. Ta, którą mam, jest wspaniała pod każdym względem. Bardzo ją kocham. Chciałam tylko dowiedzieć się czegoś więcej o sobie i o moich korzeniach... o biologicznej rodzime. I o tobie. Byłam ciekawa, kim jesteś.

Nic o tobie nie wiedziałam - dodała z lekkim odcieniem gniewu.,

Jilly poczuła dzwonięcie w uszach. Wszystko, co Anne Marie chciała o niej wiedzieć, zmieściłoby się na jednej kartce papieru. Równie dobrze mogła wysłać te informacje pocztą.

- Oczywiście; skąd miałabyś wiedzieć? Wszystko było ściśle tajne, zupełnie jak tajemnica państwowa.

**CZTERY PORY ROKU**

Anne Marie roześmiała się z pewnym wysiłkiem.

- Tak, rzeczywiście. Dopiero niedawno udało mi się ustalić, że rude włosy mam po tobie. Miło było się o tym dowiedzieć.

- Tak mi przykro - wykrztusiła Jilly. Słuchawka w jej dłoni wydawała się ciężka jak z ołowiu. - Nie chciałam powiedzieć... To znaczy, proszę, uwierz mi, że nie zamierzam w żaden sposób ingerować w twoje życie. Nigdy nie ; będę próbowała stanąć między tobą a twoją... matką - dokończyła z trudem i zaciągnęła się papierosem, modląc się, by nie wybuchnąć głośnym płaczem. - Tylko że mam trudności z określaniem, o kim mówię... matka adopcyjna, matka biologiczna, prawdziwa matka... straszne zamieszanie.

- Dobrze o tym wiem.

Wreszcie pojawiła się jakaś nić porozumienia. Jilly odłożyła papierosa.

- Anne to imię mojej babci ze strony ojca - powiedziała dziewczyna. - Mama mojej mamy miała na imię Marie.

- Miałaś ciotkę Meredith. Nazywałyśmy ją Merry. - Łzy znów zaczęły napływać do oczu Jilly. Jak miała wyjaśnić córce związek Merry z jej odyseją?

- A czy mam jeszcze jakieś ciotki albo wujków?

- Dwie ciotki, Beatrice i Rose. Meredith niedawno zmarła.

- Och, bardzo mi przykro.

- Wszystkim nam przykro. Polubiłabyś ją.

- Czy macie też braci?

- Nie. Było nas cztery. Masz jeszcze kuzynkę Hannah.

## Mary Alice Monroe 311

Ma piętnaście lat i też jest ruda. One wszystkie bardzo chcą cię poznać, gdy tylko będziesz na to gotowa.

- Ja nie mam braci ani sióstr, ale mam aż siedmioro kuzynów. I męża.

- To wspaniale. Chociaż nie powinnam być zdziwiona. W końcu masz dwadzieścia sześć lat - westchnęła Jilly. - Mimo wszystko trudno mi w to uwierzyć.

- Czy zastanawiałaś się, dlaczego zaczęłam cię szukać? Jilly znów wzięła do ręki papierosa, niepewna, dokąd

to pytanie zmierza.

- Nie - odrzekła z wahaniem. Czyżby Anne Marie była chora? Przypomniała sobie Ann Josephine Neville i po ple-

# each przebiegł jej dreszcz. - Ale właściwie nie miałam na to czasu. Dopiero dziś rano dowiedziałam się, że także mnie szukałaś, i przez cały dzień myślałam tylko o tym, że wreszcie usłyszę twój głos.

- Zaczęłam cię szukać trzy lata temu, gdy byłam w ciąży.

Jilly mocno zacisnęła palce na słuchawce. To nie mogła być prawda. A więc była również babcią?

- Halo?

Jilly z trudem odzyskała głos.

- Jestem, tylko... zaniemówiłam z wrażenia - wykrztusiła, ocierając twarz. - Zaraz, poczekaj... jestem tu! Halo?

- Ja też jestem. Nie chciałam cię przerazić - powiedziała Anne Marie obronnie. - Myślałam, że sprawię ci tym radość.

- Ależ tak, tak! - wykrzyknęła Jilly, biorąc głęboki oddech. - Tylko że zupełnie nie przyszło mi to do głowy...

**CZTERY PORY ROKU**

nadal myślę o tobie jak o dziecku! Próbuję sobie teraz wyobrazić, że moje dziecko ma już własne dziecko - zaśmiała się niepewnie, łamiącym się głosem. Po chwili Anne Marie dołączyła do jej śmiechu.

- Nazywa się Lauren. Ma teraz dwa i pół roku. Jest fantastyczną dziewczynką.

- Na pewno jest wspaniałym dzieckiem - westchnęła Jilly.

- Siedzisz czy stoisz? - zapytała jej córka niespodziewanie.

Jilly wzięła do ręki kieliszek.

- Siedzę.

- Następne dziecko jest w drodze. Ma się urodzić w przyszłym miesiącu.

- Dwoje! To cudownie! - wykrzyknęła Jilly. Jak to możliwe, by czas płynął tak szybko? Uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała pierwszych kroków swojej córki, nie? odprowadziła jej do szkoły pierwszego dnia ani nie była przy niej w dniu ślubu... Tak wiele straciła, ale kto wie, może dostanie drugą szansę przy wnukach...

- Twój rodzice na pewno są zachwyceni - dodała. - A skoro już o nich mowa, to czy wiedzą o naszym kontakcie?

- Och, tak. To znaczy moja mama wie. Tato nie żyje już od lat, ale na pewno by się z tego cieszył. Mama bardzo mnie wspiera i doskonale rozumie, że chcę cię poznać.

- Podziękuj jej ode mnie - powiedziała Jilly szczerze.

- Dziękuję, zrobię to. A teraz, no cóż, jest już późno i muszę kończyć. Lauren nie zaśnie beze mnie. Chyba wy-

### **Mary Alice Monroe 313**

czuła, że dzieje się coś ważnego, i jest niespokojna. Czy chciałabyś, żebym wysłała ci jej zdjęcia? I moje oczywiście również.

Jilly poczuła, że oddech więźnie jej w gardle. Co to miało oznaczać? Wymiana informacji pocztą? Kilka zdjęć i już? Żadnego spotkania?

- Wiesz chyba, że jesteśmy teraz w Hodges? - zapytała z wahaniem. - To niedaleko od Green Bay. Nie więcej niż godzina jazdy.

Nastąpiła wymowna chwila ciszy.

- Tak, wiem. Powiedzieli mi o tym. Nawet mniej niż godzina - zaśmiała się nerwowo.

- Czy chciałabyś, żebyśmy się spotkały? Ja bardzo chciałabym cię poznać. I oczywiście moją wnuczkę też.

- Uhm, tak. Jasne.

Wahanie Anne Marie było bardzo bolesne. Jilly wstrzymała oddech.

- Posłuchaj - powiedziała jej córka po chwili - muszę przyznać, że to wszystko dzieje się trochę zbyt szybko. Dziś rano, gdy odebrałam telefon, nie wiedziałam, co myśleć... Modliłam się, żeby cię odnaleźć, ale teraz, gdy jestem już przy samym końcu ciąży...

Jilly obracała w rękach kabel telefoniczny.

- Rozumiem - powiedziała powoli. - Możemy z tym poczekać.

- Nie. Spotkajmy się. Jilly odetchnęła z ulgą.

- Muszę przyznać, że czekanie nie przyszłoby mi łatwo... Cierpliwość nie jest moją mocną stroną. W tej chwili jesteśmy w motelu, więc może przyjedziemy do Le Pere

**CZTERY PORY ROKU**

i umówimy się na spotkanie w jakimś neutralnym miejscu? Może mogłabym cię zaprosić na lunch?

- Dobrze - odpowiedziała Anne Marie, nadal trochę niepewnie.

- Wybierz miejsce, jakie chcesz. Jakąś reustaurację, którą lubisz.

- Dobrze. W Green Bay jest taka francuska restauracja. Nazywa się Left Bank.

- Doskonale. Jutro rano wyjedziemy stąd. Czy możemy się spotkać w Left Bank, powiedzmy, o pierwszej? Czy też chciałabyś mieć trochę więcej czasu? Czy na tym etapie ciąży możesz jeszcze wychodzić sama na lunch?

- Och, tak, jak najbardziej. Ale kołyszę się na boki jak słoń i jem za troje. Może rzeczywiście lepiej będzie, jeśli spotkamy się od razu. Przynajmniej nie będę obgryzać paznokci ze zdenerwowania. Poza tym niedługo będę już mogła myśleć tylko o dziecku. I tak będę się denerwować, ale w każdym razie potrwa to krócej.

Znowu wybuchnęła śmiechem i Jilly uświadomiła sobie z radością, że potrafi już rozpoznać brzmienie śmiechu swojej córki.

- Na pewno mnie rozpoznasz - dodała Anne Marie już zupełnie swobodnym tonem. - Rozglądaj się za słoniem w czerwonej sukience.

Jilly podobał się ten rodzaj poczucia humoru, tak podobny do jej własnego. Nawet głos Anne Marie był podobny do głosu wszystkich sióstr Season - lekko zdyszany.

- Nie potrafię ci powiedzieć, jak wiele to dla mnie znaczy. Bardzo długo na to czekałam.

- Ja też - odrzekła Anne Marie poważnie.

**Mary Alice Monroe 315**

- W takim razie do zobaczenia jutro.

- Do widzenia.

Jilly nie miała ochoty odkładać słuchawki, jakby się obawiała, że przetnie tym samym świeżo nawiązany kontakt. Przycisnęła ją do piersi i siedziała tak przez dłuższą chwilę.



## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Birdie rozejrzała się po pokoju, który wyglądał dzisiaj równie ponuro jak w dniu ich przyjazdu. W przeciwieństwie do Rose, nie kupowała w sklepie ze starociami żadnych kolorowych ozdób. Hannah nie interesowała się wyglądem pokoju, a Birdie miała podczas tej podróży ważniejsze sprawy na głowie. Przez całe życie zajmowała się upiększaniem g wewnątrz w domu i dokąd ją to doprowadziło? Tym razem robiła porządki we własnym wnętrzu i teraz, gdy podróż zbliżała się już do końca, stwierdziła, że jest zadowolona z efektów tej pracy. Koronnym argumentem na rzecz takiej pozytywnej oceny było już to, że potrafiła przyznać się do kryzysu w małżeństwie. Siedziała przy telefonie, ale na razie nie sięgała po słuchawkę. Postanowiła, że posłucha rady Jilly i dołoży wysiłków, by odzyskać Dennisa. Chciała go odzyskać. Przywykła czuć w łóżku ciepło jego ciała tuż przy swoim, do poranków, kiedy on parzył kawę, a ona smarowała grzanki masłem, do podziału domowych obowiązków. Dennis miał zręczne ręce i zajmował się wszelkimi pracami remontowymi, ona zaś lepiej radziła sobie z elektrycznością, sprzętami kuchennymi i zmianą żarówek. Ona płaciła rachunki, on grał na giełdzie. W gruncie rzeczy byli dobraną parą. Brakowało jej też ich intymnego pożycia. Może jej hor-

## **Mary Alice Monroe 317**

mony doszły już do normy, a może zwyczajnie uświadomiła sobie, że go kocha. Tylko czy on kochał ją?

Dennis nazwał ją jędzą. Wyjeżdżając z Evanston, była święcie przekonana, że cała wina za spór leżała po jego stronie. Zarzucała mu wycofywanie się, co było inną formą nazwania go tchórzem. Teraz uświadomiła sobie, że ta kłótnia była tylko kolejnym etapem rozgrywki, którą prowadzili ze sobą już od wielu lat; gry we wzajemne obwinianie. Nie pamiętała już, kto ją zaczął, i nie to było ważne.

Obydwoje brali w niej udział i z czasem doszli do znacznej wprawy. Birdie pragnęła teraz zakończyć wreszcie tę okrutną zabawę i zacząć wszystko od początku? Wiele o tym myślała i w końcu zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie zmienić Dennisa. A gdy zaczęła się nad tym szczerze zastanawiać, to doszła również do wniosku, że nie ma już ochoty dalej próbować. Ale mogła zmienić siebie.

Nie będzie więcej gderać ani mówić mu, co ma robić. Przełknie gorycz urażonej dumy i nie okaże mu złości za to, że nie odpowiadał na jej telefony. Skoro Jilly znalazła w sobie tyle odwagi, by zadzwonić do Anne Marie, to ona również zadzwoni do własnego męża.

Wzięła do ręki słuchawkę i wystukała domowy numer. Telefon dzwonił i dzwonił, ale tym razem sekretarka nie odzywała się. Gdzie on się podziewał? Jutro zaczynała się szkoła. Rozczarowanie Birdie rosło z każdą chwilą, ale czekała z determinacją. W końcu usłyszała jego głos.

- Halo?

Zastygła, jeszcze niepewna, czy to nie jest jednak głos z automatu.

**CZTERY PORY ROKU**

- Dennis?

- Tak.

- To ja. Birdie.

- Wiem - odpowiedział po chwili. A więc nadal był na nią wściekły.

- Dziwię się, że jeszcze rozpoznajesz mój głos. Chociaż i z drugiej strony zostawiłam ci tyle wiadomości, że nie mogłeś go zapomnieć tak szybko - powiedziała lekkim tonem, na który Dennis z pewnością nie dał się nabrać.

- Dostałem te wiadomości. Gdzie jesteście? Od poniedziałku Hannah powinna być już w szkole - odrzekł Dennis, spokojnym, zrównoważonym głosem.

- Wiem. Dlatego dzwonię. Nadal jesteśmy w Hodges. Planowałyśmy wrócić dzisiaj.

- Planowałyście?

- Plany się zmieniły. Nie możemy jeszcze wyjechać. Dennis, Jilly znalazła Spring! Czy też raczej Anne Marie. Tak ma na imię jej córka.

Zapadło milczenie. Dennis nie wydawał się szczególnie uszczęśliwiony. Birdie wiedziała, że nie przepadał za Jilly, ale mógłby się ucieszyć, że im się powiodło!

- Dowiedziała się dopiero dzisiaj. Właśnie rozmawia z mamą przez telefon.

- Jestem zaskoczony, że jednak ją znalazła. Byłem prawie pewien, że to się nie uda.

- Miałyśmy szczęście. Wszystko się świetnie poskładało...

Birdie czuła, że znów narasta między nimi napięcie. Spróbowała jeszcze raz.

- Wiesz, Dennis, byłbyś bardzo dumny z Hannah, gdy-

## Mary Alice Monroe 319

byś ją tu widział. Zupełnie jakby dorosła z dnia na dzień. Zachowuje się tak dojrzałe i tyle daje z siebie...

- Na pewno jesteś tym uszczęśliwiona - odrzekł z ironią. Birdie wzięła głęboki oddech.

- Owszem - powiedziała spokojnie. - Ale tylko dlatego, że ona sama dobrze się z tym czuje. Obydwie dobrze się teraz czujemy. Nie kłócimy się już przez cały czas. Owszem, zdarza się, ale teraz wygląda to już inaczej. Nie w taki podły sposób. Mówimy sobie, co czujemy. Pamiętasz, jak kiedyś uważałam, że nie mogę być jednocześnie jej matką i przyjaciółką? Myliłam się. Teraz Hannah mówi mi, co myśli, a ja jej nie osądzam ani nie oceniam. Naprawdę ze sobą rozmawiamy.

- To musi być miłe.

Znowu ironia. Birdie zacisnęła powieki, zastanawiając się, czy rzeczywiście jest już za późno.

- Może my także spróbujemy porozmawiać, gdy wrócę do domu - powiedziała ostrożnie.

Dennis milczał przez chwilę.

- A kiedy to będzie?

- Niedługo. Hannah i ja chcemy tu zostać, aż wyjaśni się wszystko do końca - mówiła Birdie szybko. - Anne Marie mieszka tylko o godzinę jazdy stąd, w Green Bay. Więc chciałybyśmy zostać jeszcze jeden, może dwa dni, żeby ją poznać. Po tym wszystkim chciałybyśmy ją zobaczyć. A potem wrócimy do domu.

- Nie. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że w ostatnim semestrze oceny Hannah pozostawiały wiele do życzenia. Ta nieobecność do reszty wytrąci ją z rytmu. Miała już dosyć wakacji. Chcę, żeby wróciła do domu. Już teraz.

**CZTERY PORY ROKU**

Uwagi Birdie nie umknęło, że Dennis mówił o powrocie Hannah, a nie jej.

- Myślę, że pobyt tutaj uczy ją o wiele więcej niż szkoła. To dla niej bardzo ważne. Nic się nie stanie, jeśli opuści jeszcze kilka dni. Dennis, zrozum, czasami trzeba się zdobyć na trochę elastyczności.

Nie mogła uwierzyć, że takie słowa wyszły z jej ust. Dennis najwidoczniej też nie.

- Jestem już zmęczony właśnie nadmiarem elastyczności - odrzekł ze złością. - Zawsze to ja muszę się dopasowywać do ciebie. Prosiłem cię, żebyś wróciła do domu, ale ty nie chcesz. Jedno z nas musi ustąpić. Ale tym razem to nie będę ja.

Birdie wiedziała, że Dennis ma rację. Zwykle to on zmieniał plany na jej życzenie, ponieważ ciężar utrzymania rodziny spoczywał w głównej mierze na niej. Bardzo ceniła, w nim to, że nie upierał się i potrafił posłuchać głosu rozsądku. Czyżby tym razem posunęła się za daleko? Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Pod wpływem impulsu już chciała powiedzieć, że zgadza się natychmiast wrócić do domu, ale wewnętrzny głos, który mówił jej, że jeszcze nie może tego zrobić, okazał się silniejszy.

- Dennis, nie masz pojęcia, co tutaj się dzieje. Przez co ja przeszedłam.

- Ty też nie masz pojęcia, przez co ja przeszedłem. Birdie przypomniała sobie radę Jilly, by traktować

go  
jak mężczyznę, a nie jak dziecko, i odrzekła:

- Masz rację, nie wiem, przez co przeszedłeś. Próbowałam do ciebie dzwonić, ale nie odpowiadałeś.

Więc powiedz mi teraz, co robiłeś.

## Mary Alice Monroe 321

- Byłem na wycieczce motocyklowej. Birdie omal nie wybuchnęła śmiechem.

- Co takiego?!

- Na wyprawie motocyklowej. Mówiłem ci, że może gdzieś pojedę. Zawsze chciałem to zrobić, więc pomyślałem sobie, do diabła, właściwie dlaczego nie?

Birdie wyobraziła go sobie w skórzanej kurtce i na motocyklu, jak kiedyś, gdy zobaczyła go po raz pierwszy w życiu i natychmiast się w nim zadurzyła.

- Chciałabym to zobaczyć - powiedziała z uśmiechem. - Zawsze mi się podobałeś na motocyklu. Już tak dawno nie jeździłeś. Na pewno było świetnie.

Dennis nie odzywał się przez chwilę, zaskoczony tym nagłym obrotem rozmowy.

- Nie - mruknął w końcu. - Było zimno jak diabli. - Złość zniknęła z jego głosu, ale nadal pobrzmiwała w nim czujność. - Pojechałem na południe wzdłuż Mississipi, a potem wróciłem do domu. Jeszcze za wcześnie. Ale kupiłem nowy motocykl - dodał z odrobiną prowokacji.

- A cóż to znowu? - zapytała kpiąco. - Męska meno-pauza?

- Sam nie wiem. Może.

- Dobrze. To nawet sprawiedliwe. Zdaje się, że obydwójce przechodzimy zmiany.

- Najwyższy czas.

W tych słowach nie było sarkazmu; raczej odrobina nadziei.

- Masz rację - stwierdziła Birdie. - A czy... czy będę mogła się z tobą przejechać?

To pytanie pochodziło z czasów, gdy Dennis spotykał

**CZTERY PORY ROKU**

się z Jilly, a Birdie czekała na niego na rogu ulicy. Dennis milczał przez chwilę i wiedziała, że on też przypomniał sobie tamto lato.

- Wróć do domu, Birdie - powiedział z napięciem.

- Już niedługo. Musimy tylko zakończyć sprawę Jilly.

- Niech Jilly sama zajmuje się swoimi problemami. Nie możesz zbawiać całego świata!

- Wiem o tym! Naprawdę wiem - zawołała Birdie. - Właśnie tego nie rozumiesz. Ja nie zbawiam Jilly. To ona zbawia mnie. I Hannah. I Rose. Wszystkie zbawiamy się nawzajem. Znów jesteśmy sobie bliskie tak jak kiedyś, i ta bliskość nas zmienia. Nie umiem wyjaśnić ci tego lepiej, nawet nie jestem pewna, czy sama to rozumiem. Znów zaczynam się czuć tak jak kiedyś. Mam więcej energii, nadziei. Naprawdę chcę, żebyśmy znów zaczęli rozmawiać. Miałeś rację, nie rozmawialiśmy dotychczas. A mam ci tyle do powiedzenia...

Czekała, ale Dennis nie odpowiedział. Milczenie przeciągało się. Birdie coraz mocniej ścisnęła słuchawkę w rękę.

- Proszę, obiecaj mi, że będziesz na nas czekał w domu, gdy wrócimy. Hannah cię potrzebuje. Ale ja potrzebuję cię jeszcze bardziej. Bądź w domu... dla mnie.

Zacisnęła powieki i samym ruchem ust powtarzała: proszę, proszę...

Usłyszała Westchnienie, a potem cichy, lecz zdecydowany głos Dennisa:

- Będę.

Drogi Danny,

Dziś udało nam się dokonać wielkiego postępu w poszukiwaniach. Mam nadzieję, że siedzisz. Jilly znalazła swo-

### **Mary Alice Monroe 323**

ją córkę! Ma na imię Anne Marie i mieszka w Green Bay. Skontaktował je ze sobą rejestr poszukujących się rodzin, o którym Ci wspominałam. To chyba następna para bliskich sobie osób skojarzona przez Internet! Jutro jedziemy więc do Green Bay i pewnie zostaniemy tam przez kilka dni. A teraz biorę głęboki oddech. Nadal siedzisz?

Chciałabym się z Tobą spotkać. Nie chcę już dłużej czekać. Trwało to już wystarczająco długo. Przepraszam, że piszę o tym dopiero teraz. Zawsze chciałam Cię poznać, ale obawiałam się, że możemy się sobie nie podobać, a nie chciałam ryzykować tego, co mamy teraz. Ale byłam przy tym, gdy Jilly umawiała się na pierwsze w życiu spotkanie ze swoją córką, i uświadomiłam sobie, że żeby znaleźć szczęście, trzeba ryzykować. Więc jeśli w dalszym ciągu zamierzasz przyjechać do Green Bay i chcesz się ze mną spotkać, to ja też. A jeżeli nie zdążysz tu dotrzeć, no to przecież Evanston nie leży na końcu świata, możemy spróbować jeszcze raz.

Zatrzymamy się w hotelu Embassy Suites, o ile wiesz, gdzie to jest.

Muszę zacząć się pakować. Trudno uwierzyć, że opuszczamy naszą małą oazę. Zdobyliśmy tu kilkoro dobrych przyjaciół. Larry i Maude, a szczególnie Rajiv, bardzo wiele dla nas znaczą. Jestem pewna, że przyjadę ich jeszcze kiedyś odwiedzić. Nie mogę też uwierzyć, ile rzeczy udało nam się nagromadzić w ciągu dwóch tygodni. Chyba zostawię to wszystko Rajivowi, oprócz chińskich lamp, które bardzo polubiłam. Znalazłam je w małym sklepiku ze starociami. Zawsze będą mi przypominać o Wielkiej Odysei Sióstr Sea-^son, jak naszą wyprawę nazywa Jilly. To zabawne, ale mam



**CZTERY PORY ROKU**

wrażenie, jakbym rzeczywiście dotarła co najmniej do Chin. To długa historia sięgająca dzieciństwa i kiedyś Ci ją opowiem. Daj mi znać, czy spotkamy się w Green Bay! Uściski, Rosebud ,

Droga Rosebud,

Tak, spotkamy się w Green Bay! Na sobotę mam wyznaczoną dostawę, ale jeśli możesz poczekać na mnie do poniedziałku, to dotrę na miejsce, choćby się waliło i paliło. Przyjadę, z piskiem opon.

Uściski,

Danny

Późnym wieczorem Jilly leżała wtulona w ramię Rajiva. i Powiedziała mu już, że następnego ranka wyjeżdżają. Zareagował tak, jak oczekiwała - przyciągnął ją do siebie i kochał się z nią z niepohamowaną pasją, która wyraźniej od wszelkich słów świadczyła o jego uczuciach.

Teraz zaś leżeli w milczeniu. Jego długie palce błądziły po jej plecach. Rajiv nadal jednak ukrywał przed nią swą duszę. Miała ochotę walić w niego pięściami, wybuchnąć płaczem i błagać go, by wyznał jej miłość.

— Jesteś taki milczący - powiedziała, podnosząc głowę i spoglądając na jego twarz. - Medytujesz? Rajiv zaśmiał się cicho.

- Jeśli Hindus milczy, to jeszcze nie znaczy, że medytuje.

Jilly uszczypnęła go lekko.

## **Mary Alice Monroe 325**

- Jilly, co ja mam z tobą zrobić?

Obejmij mnie, pomyślała. Zatrzymaj mnie tu, przy sobie.

- Jutro wyjeżdżam, a tak niewiele o tobie wiem. Smutno mi z tego powodu.

- A co chciałabyś wiedzieć?

- Wszystko. Znów się zaśmiał.

- Gdybym chciał ci powiedzieć wszystko, nie mogłabyś wyjechać jutro rano.

- W takim razie poproś mnie, żebym została - powiedziała i wstrzymała oddech.

- Nie mogę tego zrobić - odrzekł po dłuższej chwili.

- Dlaczego? Czy nie chciałbyś, żebym została z tobą?

- Chciałbym. Poczła euforię.

- W takim razie poproś mnie o to.

- Nie mogę.

Jilly oparła się na łokciach i popatrzyła na niego.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Jedno i drugie.

- Skoro nie zależy ci na mnie na tyle, żeby mnie o to poprosić, to dlaczego ja miałabym prosić ciebie?

Co w takim razie proponujesz?

- Nic ci nie mogę zaproponować, Jillian. To musi być twoja decyzja.

- Nieprawda! To nie tylko moja decyzja. Twoja też. Powiedz mi, czego byś chciał.

- Jillian, kochanie. Nie mogę ci dyktować, co masz robić.

- Znowu chowasz się w milczenie - poskarżyła się. -Upajasz się swoją rozpaczą.

**CZTERY PORY ROKU**

- Tak myślisz? Ja mam wrażenie, jakbym stał na krawędzi przepaści, bardzo, bardzo wysoko.

Jilly opadła na plecy i wpatrzyła się w sufit. Do jej oczu napłynęły łzy, a po całym ciele rozpełzł się chłód.

- Myślałam, że łączy nas coś wyjątkowego. Ale skoro nawet nie próbujesz mnie zatrzymać, to znaczy, że nic do mnie nie czujesz.

Po chwili Rajiv zapytał cicho:

- A czy zostałąbyś, gdybym cię o to poprosił?

- Muszę pojechać do Green Bay i spotkać się z moją córką. Ale potem...

Rajiv położył palec na jej ustach.

- Nie składaj obietnic, których nie będziesz mogła dotrzymać. Nie musisz tego robić. Nie wobec mnie. Ani wobec nikogo innego. Nie proszę o nic więcej niż to, co już mi dałaś. I wierz mi, Jillian, bardzo mi na tobie zależy, skoro tak mówię. Wiesz, że musisz wyjechać. Więc bądźmy ze sobą szczerzy. Zawsze dotąd byliśmy.

Leżąc na plecach, przyciągnął ją do siebie tak, że jej głowa znów znalazła się w zagłębieniu jego ramienia. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie rozmawiał z nią równie otwarcie i szczerze. Przywykła do pochlebstw i fałszywych obietnic. Rajiv nie pozwalał ani sobie, ani jej na stwarzanie takich pozorów. Poczowała płynące po twarzy łzy.

- To tak bardzo boli - szepnęła.

- Wierzę w to, że musimy cierpieć w tym życiu, by przejść na kolejne piętro bytu - odrzekł Rajiv równym, miarowym głosem, chowając twarz w jej włosach. - Ale życie nie składa się wyłącznie z cierpienia. Aby osiągnąć najwyższy poziom rozwoju, dusza musi zaznać również najwyż-

## **Mary Alice Monroe 327**

szego szczęścia. Przez wiele lat byłem głupcem, pogrążałem się wyłącznie w rozpacz.

Obrócił się na bok, oparł głowę na wyciągniętym ramieniu i spojrzał jej prosto w oczy.

- A potem ty się tu pojawiłaś, Jillian, i ocaliłaś mnie przed samym sobą. Nie pozwalałaś się zignorować. Dałaś mi odwagę do zmierzenia się z przeszłością. - Wsunął kosmyk włosów za jej ucho i uśmiechnął się. - I pokazałaś mi, czym jest najwyższe szczęście.

Dotknął jej twarzy i dodał:

- Jesteś odważna. Dokonasz właściwego wyboru, musisz tylko zaufać sobie.

f\$ Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie. W końcu Rajiv przesunął dłoń na kark Jilly, przyciągnął jej twarz do siebie i pocałował. Ale nie było w tym desperacji; był powolny i czuły. W miarę, jak pocałunek się pogłębiał, Jilly pytała siebie samą, dlaczego najwyższe szczęście tak bardzo jest podobne do cierpienia.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Był już najwyższy czas, żeby wyruszać.

Dzień był piękny i słoneczny. Wiosna nadeszła z pełną siłą. Śpiewały ptaki, z ziemi wychylały się pąki tulipanów, a drzewa okryte były zieloną mgiełką świeżych liści.

Cztery kobiety sprawnie zapakowały bagaże do land rovera, a potem stanęły w drzwiach motelu i po raz ostami popatrzyły na pokoje, które przez dwa tygodnie były ich domem.

- Nigdy nie zapomnę tego miejsca, chociaż w tej chwili wygląda tak, jakby nigdy nas tu nie było - zauważyła Hannah.

- Och, nie wiem - wzruszyła ramionami Rose. - Ten dywanik bardzo dodaje uroku Sziwie.

- Chodźmy już - powiedziała Jilly, przerywając wybuch śmiechu. Zacisnęła usta i poszła do samochodu.

- Trzeba zanieść Rajivowi klucze - powiedziała Rose.

- Nie trzeba. Właśnie tu idzie - zauważyła Hannah.

Rzeczywiście, szedł w ich stronę przez cementowy parking, a Pirat Pete biegł obok niego z wywieszonym jęczorem. Rose zerknęła na Jilly, przejęta widocznym na jej twarzy cierpieniem. Rajiv uśmiechnął się do nich uprzejmie, ale jego spojrzenie przez cały czas biegło w stronę Jilly.

## **Mary Alice Monroe 329**

- Życzę wam szczęścia - powiedział tonem zarządcy hotelu. - Mam nadzieję, że poinformujecie mnie o zakończeniu tej sagi. Może przyślecie mi kartkę?

Jilly ostro odwróciła głowę w bok.

- Rajiv, będzie nam ciebie brakowało - powiedziała Rose. Podeszła do niego i objęła go za szyję.

Oddał jej uścisk, czym sprawił jej wielką przyjemność.

- Nam wszystkim - dodała Birdie i obydwie z Hannah również uściślały go serdecznie.

Rajiv odwrócił głowę, szukając wzrokiem Jilly. Na ten sygnał wszystkie trzy kobiety ruszyły w stronę samochodu.

- Chodź tu - powiedział Rajiv, wyciągając ramiona do Jilly.

Przytuliła się do niego, chowając twarz na jego piersi.

- Będę za tobą tęsknił - szepnął jej do ucha.

Podniosła głowę i zobaczyła w jego oczach głęboki smutek. Jego milczenie, które na początku przyciągnęło ją do niego, teraz było bardzo bolesne. Na myśl, że następnego ranka obudzi się sama, do jej oczu znów napłynęły łzy.

Rajiv ujął ją dłonią pod brodę i spojrzał głęboko w oczy.

- Dbaj o siebie, Jilly. Naprawdę będę za tobą tęsknił. Kocham cię.

Jilly zamarła. Rajiv uściśnął ją jeszcze raz, tak mocno, że zaparło jej dech, a potem raptownie ją puścił.

Pirat Pete kręcił się dokoła jej nóg, piszcząc i szarpiąc nogawki jej spodni. Jilly spojrzała na niego.

- I kto cię będzie teraz karmił, mały? - zapytała, sięgając do kieszeni kurtki po ostatnie ciasteczko.

Rzuciła je w powietrze, a pies natychmiast podskoczył i pochłoniął je jednym kłapnięciem.

**CZTERY PORY ROKU**

- Chyba rozpuściłaś nas obydwu - uśmiechnął się Rajiv.
- Żaden z nas nie będzie już taki sam jak przedtem.
- Do widzenia, Rajiv - odrzekła Jilly krótko. Jeszcze raz pocałowała go lekko w usta i szybko poszła do samochodu.

Rajiv gwizdnął na psa, przywołując go do swego boku.

- Pomachaj mu albo coś - mruknęła Birdie do siostry.
- Zobacz, jak on tam stoi. To taki smutny widok.
- Nie będę się oglądać za siebie - odrzekła Jilly z determinacją. - Nie mogę. Patrzę tylko w przyszłość. Jedźmy już.

Hotel Embassy Suites był wysokim budynkiem z czerwonej cegły w westernowym stylu. Szerokie wejście i otoczenie zaprojektowane przez architekta zieleni miały przyciągać gości. Siostry Season zaparkowały samochód i wniosły bagaże do holu, ze śmiechem porównując hotel do motelu River's End. W głębi serca wszystkie czuły jednak tęsknotę za cichym miasteczkiem Hodges, szumem rzeczki i majestatycznym lasem, który otaczał ich schronienie.

Wnętrze hotelu zaprojektowano tak, by przypominało ogromny ogród. We wszystkich możliwych miejscach stały wielkie drzewa i tropikalne rośliny, a wzdłuż ścian ślizgały się przeszklone windy.

- No, to zupełnie co innego - powiedziała z uznaniem Hannah, idąc przez zielony dywan do biurka recepcji. Jilly szła za nią z walizką w rękę, rozglądając się po holu. Naraz zamarła i stanęła w miejscu. Birdie i Rose również się zatrzymały i poczuła, że wszystkie trzy myślą o tym samym.

Na końcu holu, wśród gęstej zieleni, otoczony szklanym

## Mary Alice Monroe 331

ścianami jak klejnot w gablocie, znajdował się duży basen przykryty szklaną kopułą. Światło słońca migotało w lazurowej wodzie. Siostry patrzyły nań w milczeniu, pobladle.

- Tam jest basen - powiedziała Jilly z napięciem, wyschniętymi ustami. Miała ochotę obrócić się na pięcie, wybiec stąd i poszukać innego hotelu. Oblizwała usta i dodała:

- Zazwyczaj nie zatrzymuję się w hotelach z basenami.

- Chyba nie warto za to płacić - dodała Rose, zaciskając dłonie na uchwycie walizki. - Ja już nie pływam. Nawet nie wiem, czy pamiętam, jak się to robi.

- To jak z jazdą na rowerze, nigdy się tego nie zapomina

- mruknęła Birdie niechętnie. Choć przez wiele lat pływała wyczynowo, nigdy nie chodziła na basen dla przyjemności.

Odchrząknęła i dodała: - Możemy poszukać innego hotelu. Ten jest drogi, a poza tym wilgotność powietrza i w ogóle...

- Tak, powietrze tutaj jest okropne.

- Co wy mówicie! - zawołała Hannah z oburzeniem.

- Tu jest fantastycznie! Chodźcie, zameldujemy się wreszcie! Już się nie mogę doczekać gorącej kąpieli. Tutaj jest klub sportowy! Chodźcie wreszcie!

Jilly spojrzała na siostry. W ich oczach widziała, że żadna nie ma ochoty tu zostać, ale też żadna nie chciała się do tego głośno przyznać.

W końcu Birdie wzruszyła ramionami.

- To tylko jedna noc. Chyba możemy zostać... Rose, wciąż niepewna, przygryzła usta.

Jilly spojrzała na zegarek. Była za kwadrans dwunasta. O pierwszej miała się spotkać z córką. Nie było już czasu na szukanie innego hotelu. - No dobrze, chodźmy. Te walizki są bardzo ciężkie.



## **CZTERY PORY ROKU**

Zarejestrowały się szybko i wjechały na piąte piętro wymyślną windą. Pokój Jilly był duży i ładny. Popatrzyła na jasnozieloną wykładzinę, na zasłony w kwiatki i zateśniła za ciasnotą motelu River's End. Czas biegł jednak nieubłaganie, dochodziła dwunasta i Jilly musiała przygotować się na spotkanie z Anne Marie.

Wzięła prysznic i ubrała się z elegancką prostotą w kremową jedwabną bluzkę i czarne wełniane spodnie. Na wierzch narzuciła blad różowy rozpinany sweter. Spojrzała w lustro i skinęła głową. W ciągu ostatnich tygodni przywykła do naturalnego wyglądu. W rezultacie na jej policzkach pojawiły się piegi, które bardzo ją odmładzały. Nałożyła na twarz odrobinę różu, na powieki beżowy cień i lekko wytuszowała rzęsy.

Zadzwoił telefon; taksówka już czekała. Siostry pożegnały ją bez słowa. Jilly pocałowała je w policzki i zjechała na dół.

W Left Bank znalazła się trochę przed czasem. Już z okna taksówki rozglądała się po ulicach, przeczesując wzrokiem przechodniów na chodnikach. Zapłaciła taksówkarzowi i wysiadła, poprawiając przeciwsłoneczne okulary, a potem stanęła przed wejściem, wpatrując się w czarne, lśniące drzwi. Mogła przez nie przejść albo uciec. Wzięła głęboki oddech i weszła do środka.

Restauracja była ładna i bezpretensjonalna, słoneczna i przytulna, w stylu prowansalskim, z meblami z kutego żelaza. Jilly poczuła na sobie kilka spojrzeń. Z włosami związanymi w węzeł nisko na karku, w czarnej skórzanej kurtce i ciemnych okularach, zwracała na siebie uwagę.

- Czy mogę panią zaprowadzić do stolika? — zapytała uśmiechnięta kelnerka w czarnej spódnicy i białej bluzce.

### **Mary Alice Monroe 333**

- Szukam kogoś. Chyba mamy rezerwację. Anne Marie. .. - Chciała powiedzieć: Parker, ale w porę uprzytomniła sobie, że nie zna obecnego nazwiska swojej córki.

- Czy to mnie pani szuka? - zapytał jakiś głos z boku. Jillian odwróciła się w tę stronę i zobaczyła młodszą,

niższą, świeższą wersję siebie samej. Kobieta miała piękne, gęste włosy opadające na ramiona masą rudych fal, jasną, porcelanową cerę i delikatne, wygięte w łuk ciemne brwi. Jedynie jej oczy miały inny kolor niż oczy Jilly - bardziej niebieski, przechodzący w turkus. Teraz te oczy patrzyły na nią z niepokojem i zaciekawieniem.

Jilly poczuła, że uginają się pod nią kolana. - Anne Marie?

Na twarzy młodej kobiety pojawił się przepiękny uśmiech.

Jillian poznałaby swoją córkę, nawet gdyby ta nie miała na sobie czerwonej sukienki, która spływała z jej ramion po wydatnym brzuchu aż do kostek. Patrząc jej w oczy, znów poczuła łączącą je więź, tak samo jak w pierwszych chwilach po porodzie.

- Dzień dobry - Anne Marie wyciągnęła do niej rękę. Jillian przez dłuższą chwilę patrzyła na tę dłoń w milczeniu, aż uśmiech Anne Marie zgasł i dziewczyna cofnęła dłoń. Jilly pochwyciła ją w ostatniej chwili. Jej ciało, wyszkolone przecież w okazywaniu wdzięku, było sztywne i niezręczne. Za wszelką cenę usiłowała zachowywać się normalnie, nie chcąc, żeby Anne Marie pomyślała, że jej matka jest jakąś znerwicowaną wariatką. Skąd mogła wiedzieć, jak wiele dla Jilly znaczył dotyk jej ręki?

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłam - powiedziała

**CZTERY PORY ROKU**

dziewczyna, nerwowo wygładzając sukienkę na brzuchu. -Miałam trudności z wyjściem z domu.

Lauren uparła się iść ze mną.

Jillian nie była w stanie się odezwać. Cieszyła się, że ciemne szkła zasłaniają jej oczy.

- Przyszłam zaledwie przed chwilą - wykrztusiła. -Bardzo mi się podoba ta restauracja. Prawdziwy francuski klimat.

- No cóż, ty chyba wiesz to najlepiej - odrzekła Anne Marie z wyraźną ulgą, omijając Jilly wzrokiem.

- Denerwujesz się? - zapytała Jilly łagodnie. Dziewczyna zarumieniła się.

- Chyba tak.

- Ja też.

Posadzono je przy małym, dwuosobowym stoliku przykrytym adamaszkowym obrusem, z barwną prowansalską zastawą. Jilly usiadła, zdjęła okulary i dopiero teraz przyjrzała się uważnie twarzy córki. Wstrzymała oddech i spojrzała jeszcze raz. Serce na moment przestało jej bić. Nie, to nie mogła być prawda...

Dołeczek w brodzie nie był zbyt widoczny, gdy Anne Marie się uśmiechała, ale gdy jej twarz była nieruchoma, tak jak teraz, stawał się wyraźniejszy. Była córką Dennisa.

Jilly sięgnęła po szklanekę z wodą i sztywnymi palcami podniosła ją do ust. Pomyślała o Birdie i Hannah, które czekały w hotelu, i przypomniała sobie słowa Dennisa: „Ona może być podobna do mnie”. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Oto zmaterializował się jej największy lęk. I co ma teraz zrobić?

### **Mary Alice Monroe 335**

- Podają tu dobrego łososa na parze - powiedziała Anne Marie, podnosząc wzrok znad karty.

Jilly zmusiła się do uśmiechu.

- Dobrze, ja też go zamówię.

Obydwie zamówiły łososa na parze z sosem holenderskim. Jilly wzięła do tego białe wino, a Anne Marie mrożoną herbatę. Jillian odsunęła myśli o ojcostwie Dennisa na później. Na razie najważniejsze było zadzierzgnięcie więzi między nią a córką.

Na początku rozmowa rwała się. Obydwie pokrywały zmieszanie uprzejmymi uśmiechami. Gdy kelnerka przyniosła im jedzenie, Jilly podłubała widelcem w talerzu V i chcąc zmniejszyć napięcie, zapytała Anne Marie o córkę. Okazało się, że był to strzał w dziesiątkę. Oczy młodej kobiety rozjarzyły się radością, gdy opowiadała o małej Lauren i jej ojcu, Kyle.

Kyle pracował w fabryce papieru. Żyli bardzo skromnie, szczególnie teraz, gdy oczekiwali drugiego dziecka, ale jakoś dawali sobie radę. Mieszkali w małym domku w Le Pere. Anne Marie dużo opowiadała o ogródku warzywnym, który właśnie zaczęła urządzać.

Jilly z kolei opowiadała o starym wiktoriańskim domu, w którym wychowały się wszystkie siostry, i o rodzicach, nie wdając się jednak w szczegóły.

- Chciałabym poznać twoje siostry - powiedziała w pewnym momencie Anne Marie. - Moje ciotki.

- Są tutaj. One też bardzo pragną cię poznać i mają nadzieję, że nadarzy się okazja. Nie chciałyśmy przytłaczać cię od razu całą rodziną. Cztery Pory Roku to trochę za dużo na jeden raz.

**CZTERY PORY ROKU**

- Cztery Pory Roku?

- Nazywał nas tak ojciec - uśmiechnęła się Jilly. - Kiedy wchodziliśmy do pokoju, wołał: Oto nadchodzą Cztery Pory Roku! Wtedy trochę nas to krępowało, ale teraz, z perspektywy czasu, widzę, że dawało nam też poczucie więzi.

- Ale mówiłaś, że jedna z twoich siostr już nie żyje?

- Tak. Merry, najmłodsza z nas. Zmarła niecały miesiąc temu. Komplikacje z płucami.

- W takim razie jak to możliwe, że nadal są Cztery Pory Roku?

- Ach, rozumiem. Córka mojej siostry jest z nami. Hannah. Twoja kuzynka. Została oficjalnie Czwartą Porą Roku.

Anne Marie wpatrzyła się w swój talerz.

- W takim razie zdaje się, że dla mnie nie ma już tam miejsca?

To miał być żart, ale kryła się pod nim gorzki odrzucenia.

- To tylko takie słowa - odrzekła Jilly łagodnie, czując, że wkraczają na trudne terytorium, którego do tej pory udało im się unikać.

- Dlaczego oddałaś mnie do adopcji?

Jilly omal się nie zadławiła. Zasłoniła oczy drżącą dłonią i modliła się, by nie wybuchnąć głośnym płaczem.

- Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz - dodała dziewczyna po chwili. - Po prostu byłam ciekawa.

- Nigdy się ciebie nie wyrzekłam - powiedziała Jilly z trudem, podnosząc wzrok. Na bladej twarzy Anne Marie odznaczały się cętki piegów.

- Dlaczego? Mama mówiła mi, że byłaś za młoda na matkę. Czy to prawda?

## Mary Alice Monroe 337

Jilly wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

- Gdy zaszłam w ciążę, miałam szesnaście lat. Siedemnaście, gdy cię urodziłam. Byłam jeszcze w liceum.

- Więc nie miałaś ślubu z moim ojcem.

- Nie, oczywiście, że nie. - Jilly zobaczyła przed oczami twarz Dennisa. - Obydwoje byliśmy jeszcze dziećmi. W tamtych latach wiele spraw wyglądało zupełnie inaczej. Nie wiem, czy będziesz potrafiła to zrozumieć. Cięża po-zamążńska była uważana za skandal. Gdy coś takiego się zdarzyło, dziewczynę odsyłano gdzieś, gdzie mogła urodzić dziecko w tajemnicy. Nikt jej nie pytał o zdanie. To była hańba dla całej rodziny. Nie miałam żadnych szans, żeby

cię zatrzymać. Od chwili, gdy się okazało, że jestem w ciąży, wszyscy mi powtarzali, że będzie najlepiej dla dziecka, jeśli oddam je rodzinie, która będzie je kochać i zapewni mu wszystko, czego ja mu nie mogłam dać. Mówili, że byłabym egoistką, chcąc je zatrzymać.

- Ale dlaczego nie zaczęłaś mnie szukać wcześniej?

- Och, Anne Marie... - westchnęła Jilly.

- Nie zrozum mnie źle. Kocham moją rodzinę. Mama i tata byli dla mnie bardzo dobrzy. Nie zmieniałabym w swoim życiu niczego. To jest moja rodzina. Ale czasami, gdy słyszę, że Lauren ma oczy po babci Marie albo że mój kuzyn śmieje się tak samo jak wujek Bob... to czuję się trochę obco i zastanawiam się, po kim odziedziczyłam kształt nosa albo ton głosu.

- Popatrz na mnie, a znajdziesz wiele odpowiedzi - powiedziała Jilly, głęboko poruszona. - Śmiejesz się tak samo jak twoja ciotka Rose. A rude włosy... - Wzruszyła ramionami. - To znak firmowy rodziny Season.

**CZTERY PORY ROKU**

Oczy Anne Marie rozjaśniły się uśmiechem.

- Lauren też ma rude włosy.

- Naprawdę? - ucieszyła się Jilly. - Na widzisz. Geny zawsze dadzą o sobie znać.

Obydwie sięgnęły po kawę, chcąc zebrać myśli. Jilly przyglądała się córce. To była ta sama twarz, którą przez mgnienie oka widziała w szpitalu. Było coś takiego w jej rysach, co wówczas na zawsze zapadło w pamięć Jilly.

- Widzę w tobie mnóstwo podobieństw do całej rodziny, Anne Marie - powiedziała cicho. - Ruch głowy, ton głosu, sposób, w jaki trzymasz ramiona, gdy idziesz... Chciałabym opowiedzieć ci wszystko o moich bliskich... o twoich bliskich. Nie po to, by oderwać cię od rodziny, którą już masz, lecz by cię wzbogacić.

- Chciałabym się tego wszystkiego dowiedzieć - powiedziała Anne Marie ze łzami w oczach.

Kelnerka przyniosła im rachunek. Anne Marie zerknęła na zegarek i zerwała się z okrzykiem.

- Och, mój Boże, już prawie trzecia! Matka mnie zabije. Umówiła się na brydża, a Lauren zawsze marudzi, gdy nie ma mnie zbyt długo!

- Chciałabym poznać twoją matkę. Nie chcę, żeby myślała, że przyjechałam tu po to, by z nią rywalizować w jakikolwiek sposób. Cieszę się, że cię znalazłam, że cię poznałam, i mam nadzieję, że poznam również moją wnuczkę.

- Kiedy chciałabyś ją zobaczyć?

- Jak najszybciej.

Anne Marie wydawała się zadowolona.

- W takim razie może jutro? Mieszkacie w hotelu Embassy Suites, tak? Tam jest dobra restauracja. Może umó-

### **Mary Alice Monroe 339**

wimy się na późne śniadanie? Na przykład na dziesiątą? Przyprawdę Kyle'a i Lauren. Mamę też.

Ona także bardzo chciała cię poznać. A czy twoje siostry również mogłyby przyjść?

- Nie mogłabym ich przed tym w żaden sposób powstrzymać - roześmiała się Jilly.

Zapłaciła rachunek i wiedząc, że Anne Marie się śpieszy, podziękowała za propozycję odwiezienia do hotelu. Zamiast tego zamówiła taksówkę. Czuła się wyczerpana i chciała trochę ochłonać.

Postanowiła, że najpierw położy się na chwilę, a dopiero potem pomyśli, co zrobić z dołkiem w brodzie Anne Marie.



## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

- Jilly wróciła do swojego pokoju, zaciągnęła zasłony i opadła na łóżko. Leżała bez ruchu, patrząc na sufit i próbując przyjąć do siebie prawdę, której już dłużej nie mogła zaprzeczać. Dennis Connor był ojcem jej córki.

Co za ironia losu, myślała. Gdy zaszła w ciążę, nie miała pewności, kto jest ojcem, ale wówczas wydawało się to nie mieć żadnego znaczenia, bo i tak nie zamierzała wychodzić za męża. Ojciec miał pozostać anonimowy. W kilka lat później, gdy usłyszała, że Birdie spotyka się z Dennisem, i jeszcze później, gdy wzięli ślub, Jilly była ogłuszona. Nie mogła uwierzyć, że los mógłby tak okrutnie z niej zakpić. To, że ojcem jej dziecka może być Dennis, stało się jeszcze jedną brudną tajemnicą w rodzinie. Teraz, zgadzając się na poszukiwanie Spring, Jilly powtarzała sobie, że mąż jej siostry nie może mieć nic wspólnego z jej córką. Przecież była z nim tylko raz. Ale jej zły los nie dawał za wygraną.

Usiadła na łóżku, odsunęła zmięte prześcieradło i wzięła kilka głębokich oddechów.

- Żadnych więcej kłamstw - powiedziała z głębokim przekonaniem.

Nie mogła jednak dopuścić do tego, żeby Birdie następnego ranka weszła do restauracji i dopiero tam stanęła twarzą w twarz z prawdą. Była pewna, że dla jej siostry wszyst-

## Mary Alice Monroe 341

ko stanie się jasne od pierwszej chwili. Gdyby sytuacja była odwrotna, ona sama wolałaby poznać prawdę bezpośrednio od Birdie.

Z dławiającym biciem serca podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer pokoju Birdie.

- Halo?

- Birdie?

- Och, Jilly. Jak tam twój ból głowy?

- Dziękuję, już lepiej.

- To dobrze. Jesteś gotowa do kolacji? Rose i ja zastanawiamy się właśnie nad wyborem restauracji.

- Birdie, posłuchaj, czy możemy najpierw pójść na drin-#>. ka? Ty i ja? Chciałabym z tobą porozmawiać. Możemy zejść do baru na dole.

Birdie zawahała się, ale po chwili powiedziała:

- Jasne. Spotkajmy się na dole za dziesięć minut.

Jilly znalazła stolik na uboczu, między palmą w doniczce a ceglana ścianą, zamówiła dwa kieliszki białego wina i czekała. Dziesięć minut mijało rozpaczliwie powoli. Próbowiła ułożyć sobie w głowie to, co powie siostrze, ale żadne słowa nie wydawały się właściwe. Wiedziała, że wszystkie zabolą równie mocno.

Usłyszała dzwonek windy i podniosła wzrok. To była Birdie. Jilly oomachała do niej ręką.

- Wyglądasz okropnie poważnie - stwierdziła Birdie, całując ją w policzek. - Czy chodzi o coś, co ma związek z Anne Marie?

Jilly odczekała, aż Birdie usiądzie wygodnie. - W pewien sposób. Jest coś, co muszę ci wyjaśnić.

**CZTERY PORY ROKU**

Birdie pochyliła się w jej stronę.

- Zamieniam się w słuch.

Birdie była w doskonałym nastroju i Jilly zrobiło się po prostu niedobrze na myśl o tym, że musi jej zadać tak wielki ból. Ale nie miała wyjścia, zdecydowała się więc nie owijać niczego w bawełnę.

- Birdie, przez wiele lat byliśmy tak daleko od siebie

- zaczęła. - Bardzo się cieszę, że teraz znów stałyśmy się sobie bliskie.

- Ja też się cieszę.

- Nie chciałabym tego stracić. Właśnie dlatego muszę ci coś powiedzieć. - W oczach Birdie pojawiła się czujność. Jilly poczuła, że ma ściśnięte gardło. - Pamiętasz naszą rozmowę w motelu o tym, że kiedyś podkochiwałaś się w Den-nisie?

Twarz Birdie wyostrzyła się.

- Tak?

- Pytałaś mnie, czy Dennis jest ojcem mojego dziecka. Birdie pobladła jak widmo.

- Powiedziałam ci wtedy, że nie, ale to nie jest do końca prawda.

- Albo jest ojcem, albo nie - odrzekła Birdie zimno.

- Więc jak w końcu?

- Widziałam dzisiaj Anne Marie... Birdie... - Jilly zacisnęła dłonie w pięści - ona ma dołek w brodzie.

Birdie siedziała nieruchomo, powoli uświadamiając sobie, co to oznacza.

- Okłamałaś mnie! - wykrzyknęła z wściekłością. - Pytałam, a ty powiedziałaś, że to nie on jest ojcem! Jak mogłaś?!

### **Mary Alice Monroe 343**

- Wiem i bardzo mi przykro. Naprawdę bardzo mi przykro! Chciałam powiedzieć ci prawdę, ale co miałam zrobić? Leżałaś w łóżku krótko po poronieniu! Jak miałam ci o tym powiedzieć?

Birdie schowała twarz w dłoniach i zaczęła się kołysać w przód i w tył.

- Teraz wiem, że nie mówiąc ci wtedy prawdy, zrobiłam źle. Dlatego mówię o tym teraz. Bo chcę, żebyś usłyszała to ode mnie. Ale musisz uwierzyć, że skłamałam, by cię chronić, a nie po to, by cię zranić.

Wyciągnęła rękę ponad stolikiem, Birdie jednak cofnęła się, jakby zobaczyła jadowitego węża.

- Wiedziałam o tym! - wykrzyknęła.

Jilly była tak zaskoczona, że zamilkła. Siedzący przy sąsiednich stolikach goście popatrzyli na nie z dezaprobatą. Birdie zniżyła głos do zimnego szeptu.

- Wiedziałam, że coś was łączy, ale nie chciałam w to wierzyć. Gdy przebywaliście w jednym pomieszczeniu, zawsze można było wyczuć napięcie.

- O czym ty mówisz? - zawołała Jilly ze zdumieniem. - Przecież przyjeżdżałam do domu bardzo rzadko! De razy tu byłam w ciągu tych lat?

- Powinnam była słuchać swojego instynktu.

- Birdie, mnie i Dennisa nic nie łączy!

- Jest ojcem twojego dziecka!

- Nawet o tym nie wie! Ja też nie wiedziałam, dopóki nie zobaczyłam Anne Marie!

Birdie wyglądała na ogłuszoną. Przez chwilę siedziała nieruchomo, sztywno wyprostowana, a potem powiedziała z niechętnym skrzywieniem ust:

**CZTERY PORY ROKU**

- To wspaniale. Po prostu fantastycznie. Przez tyle lat wszyscy myśleli, że jesteś taka dzielna i szlachetna i dlatego nie chcesz zdradzić nazwiska ojca. A teraz mówisz mi, że po prostu byłaś dziwką.
- Ty bezduszna jędzo! - wykrzyknęła Jilly z oburzeniem.
- Ty dziwko! - powtórzyła Birdie z wściekłością. Para przy sąsiednim stoliku wstała i przesiadła się na inne miejsca. Birdie i Jilly patrzyły na siebie płonącymi oczami, oddychając ciężko. Po chwili obydwie odwróciły wzrok. Żadna nie wiedziała, co teraz powiedzieć.
- Boże mój, co się z nami dzieje? - zapytała Birdie, bezradnie opuszczając ramiona. Jilly rozejrzała się po sali i zauważyła, że przygląda im się większość klientów baru.
- Czy coś jeszcze paniom podać? - zapytał kelner, przystając przy stoliku.
- Nie, dziękuję - odrzekła Jilly, patrząc w bok. Gdy kelner odszedł, postukała palcami w blat i pochyliła się do Birdie.
- Nie chciałam cię ranić. Jej siostra nawet nie drgnęła.
- Więc co miałam zrobić? - zapytała Jilly błagalnie. - Nic ci nie mówić? Pozwolić, żebyś jutro rano sama odkryła prawdę, tak jak ja odkryłam ją dzisiaj? Nie mogłam się na to zgodzić. Birdie przymknęła oczy.
- A nawet gdybyś jutro niczego się nie domyśliła, to czy powinnam zachowywać tę świadomość w tajemnicy?

## Mary Alice Monroe 345

I każdego dnia umierać ze strachu, że kiedyś w końcu się domyślisz? Znow musiałabym gdzieś wyjechać, uciekać. Nie mogłabym przecież pozwolić, żeby Anne Marie stała się częścią mojego życia i mojej rodziny, bojąc się nieustannie, że prawda wyjdzie na jaw. A wyszłaby na pewno, Birdie. Zawsze w końcu wychodzi. Ale milcząc, zamieniłabym tylko jedną tajemnicę na inną. Czy tego obydwie chcemy? Ja też jestem w pułapce! Powiedz mi, Birdie, co miałam zrobić?

- Nie wiem.

- Musiałam ci powiedzieć. Powinłam ci to powiedzieć już wiele lat temu, gdy obydwie byłyśmy nastolatkami.

- Tak - odrzekła Birdie z gorzkim śmiechem. - Wówczas nigdy nie wyszłabym za Dennisa.

- I nigdy nie urodziłabyś Hannah.

Birdie wydawała się nieszczęśliwa i zagubiona.

- Czuję się oszukana - powiedziała. - Okłamywana. Zdradzona.

- W jaki sposób zostałeś zdradzona?

- Masz dziecko. Z nim. Macie je razem! - wybuchnęła Birdie.

Jilly popatrzyła na nią uważnie i dopiero teraz zrozumiała, w czym leży źródło cierpienia jej siostry.

- Nie chodzi o dziecko, prawda? - zapytała cicho. - Nie możesz znieść myśli, że przespałam się z Dennisem. To ta sama stara zazdrość. Jesteś zazdrosna o naszą intymność.

- I to nie jest zdrada?

- Nie! On wtedy nie był twoim mężem. Czy to do ciebie kiedyś dotrze? Birdie, ty wtedy jeszcze nie brałaś udziału w całej sytuacji, byłaś poza nią! Jak mogliśmy cię zdradzić?

**CZTERY PORY ROKU**

Przespałam się z nastolatkiem o imieniu Dennis, kiedy miałam szesnaście lat Raz, Birdie. Tylko raz. Dennis nie był miłością mojego życia ani ja nie byłam miłością jego życia. Był tylko kimś, kto mi się podobał, i nic więcej; jednym z wielu ze/ szkoły. Nie był twoim mężem. Nie był nawet twoim chłopakiem. Teraz nic nas nie łączy. Zrozum to wreszcie!

- Nie mogę - westchnęła Birdie. Rzuciła serwetkę na stół i wstała.

- Gdzie idziesz?

- Jak najdalej od ciebie.

- Myślisz, że uda ci się tak po prostu przed tym uciec? - zawołała za nią Jilly. - Ja już próbowałam, ale nic z tego nie wyszło. Jestem twoją siostrą. Możesz już nigdy w życiu nie odezwać się do mnie, możesz się rozwieść z mężem, ale nie możesz uciec, bo prawda zawsze cię dogoni!

Birdie nawet się nie obejrzała, tylko szła prosto przed siebie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Następny dzień był niezwykle ciepły. W hotelu pootwierano drzwi na taras i do restauracji wpadało świeże, niemal letnie powietrze. Za ścianami z grubego szkła migotał lazurowy basen. Sala pełna była paproci i innych roślin w doniczkach, a kelnerki nosiły zielone fartuszki. Lauren biegała między stolikami, czując się jak w parku. Od czasu do czasu zatrzymywała się przy szklanej ścianie i z fascynacją wpatrywała się w basen.

Lauren. Jej wnuczka o złotorudych, skręconych w pierścionki włosach i przejrzystych brązowych oczach. Jilly od pierwszej chwili poczuła do niej miłość niepodobną do żadnego innego uczucia na świecie. Wreszcie zrozumiała, dlaczego babcie tak rozpieszczają swoje wnuki. Pragnęła obsypywać Lauren czekoladkami i prezentami, przytulać ją i całować. Lauren była jej drugą szansą, za którą gorąco dziękowała Bogu.

Śniadanie przebiegło w miarę gładko, zważywszy na okoliczności. Jilly siedziała między Anne Marie a jej matką, Susan Parker, przystojną kobietą po pięćdziesiątce, ubraną w szykowny szkarłatny kostium. Po drugiej stronie stołu Rose rozmawiała z Kyle'em, który sprawiał wrażenie, jakby \*&nie mógł doczekać się chwili, gdy wreszcie wolno mu będzie



**CZTERY PORY ROKU**

zdjąć garnitur. Przy nich siedziała równie ponura Hannah, tak samo jak Rose zdenerwowana na Birdie, która z niezrozumiałych powodów odmówiła wzięcia udziału w tym zgromadzeniu.

Punktualnie o dziesiątej Hannah speszona wsunęła się do restauracji i wymamrotała, że Birdie otrzymała pilne wezwanie do pacjenta. Ta wymówka zatuszowała towarzyską niezręczność, ale nie zamydliła oczu ani Jilly, ani Rose.

Jilly nie przestawała się uśmiechać, choć po bezsennej nocy bardzo bolała ją głowa. Zadawała właściwe pytania i wtrącała komentarze do opowieści Susan i Anne Marie o dzieciństwie tej ostatniej, ale w głębi duszy dziękowała Bogu za to, że Susan Parker okazała się gadułą. To głównie dzięki niej śniadanie przebiegło bez niezręcznych momentów milczenia.

Ale chwilami było to irytujące. Jilly kilkakrotnie próbowała zamienić kilka słów tylko z Anne Marie, ale Susan za każdym razem wkraczała do akcji. Przyglądała włosy córki, brała ją za rękę albo zaczynała opowiadać kolejną anegdotkę. Jilly miała ochotę objąć serdecznie tę kobietę i zapewnić ją, że nie ma żadnych powodów do obaw o utratę córki; nie mogłaby jej odebrać Anne Marie, nawet gdyby chciała. Pragnienia Jilly sprowadzały się do tego, aby dzisiejsze spotkanie nie okazało się ostatnim.

Śniadanie dobiegało już końca, gdy Susan podniosła wzrok ponad ramieniem Jilly i zapytała:  
- Czy to pani druga siostra? Jest do pani dosyć podobna.

Jilly odwróciła głowę i ujrzała w drzwiach restauracji Birdie. Zerwała się na nogi z szerokim uśmiechem, zauważyła jednak ostrzegawcze zmarszczenie brwi Rose i spoj-

## Mary Alice Monroe 349

rzała jeszcze raz. Birdie trzymała coś w rękach. Jilly poczuła gorzkie rozczarowanie. Birdie nie przyszła tu, by do nich dołączyć, lecz by wypełnić obowiązek. Jako współwyko-nawczyni funduszu powierniczego przyszła, by wręczyć Anne Marie kapsułę czasu.

Birdie podeszła do stolika. Z brylantowymi kolczykami w uszach, sztywno wyprostowana i ubrana w surowy, ciemny kostium, przypominała w tym gronie burzową chmurę na tle słonecznego nieba.

Wprost wiało od niej chłodem. Anne Marie i Kyle na jej widok odruchowo wstali.

- Cześć, Birdie - odezwała się Jilly. - Cieszę się, że jednak udało ci się przyjść.

Birdie zignorowała ją i zwróciła się do Susan Parker.

- Dzień dobry - powiedziała, nie czekając, aż Jilly ją przedstawi. - Jestem Beatrice Connor.

- Mama Hannah - dodała Jilly, próbując nieco ocieplić atmosferę.

Susan, nie podnosząc się z miejsca, wyciągnęła do niej wiotką dłoń.

- To pani jest lekarzem, tak?

- Zgadza się - odrzekła krótko Birdie, ściskając jej dłoń. Jilly poczuła mróz przechodzący jej po plecach. Nie było

ucieczki od tego momentu.

- A to jest Anne Marie - powiedziała.

Birdie zwróciła spojrzenie na młodą kobietę i jej twarz pobleadła, a po chwili na policzki wypełził rumieniec. Ku niezmiernej uldze Jilly, Birdie spokojnie uścisnęła wyciągniętą w jej stronę rękę.

- Anne Marie - powiedziała z nieruchomą twarzą. - Wreszcie się spotykamy.

**CZTERY PORY ROKU**

Następny w kolejce był Kyle, który wymamrotał pod nosem powitanie, ale przez chłód Birdie przebiła się dopiero Lauren. Mała zadziwiła wszystkich, gdy podbiegła do nieznanej kobiety i ufnie otoczyła ramionami jej nogi.

- Cześć! - zawołała dziecinnym głosem, podnosząc głowę do góry.

Rodzina Anne Marie zaczęła się śmiać i wymieniać serdeczne komentarze na temat zachowania małej. Jilly zastygła, Birdie zaś opuściła głowę i ze sztucznym uśmiechem przyglądała się przyklejonej do jej nóg małej istotce.

- Widzę, że Lauren przedstawiła się już sama - powie- , działa Jilly z bladym uśmiechem.

Po chwili mała odbiegła na bok, a Kyle poszedł za nią, zostawiając kobiety we własnym gronie.

Hannah także wy-: mknęła się od stołu i zaczęła bawić się z Lauren w chowanym między palmami.

- Nie wiem, czy Jillian powiedziała ci już o kapsule czasu - rzekła Birdie do Anne Marie oficjalnym tonem.

- Nie, jeszcze nie zdążyłam - wtrąciła Jilly szybko. - Ale może to nie jest najlepszy moment?

Była wściekła na Birdie. Zerknęła na Rose, której wyraz twarzy potwierdził jej przypuszczenia. W ten sposób Birdie zamierzała im powiedzieć, że Anne Marie nie dostanie od niej żadnych pieniędzy i zaraz po wykonaniu obowiązku umywa ręce od całej sytuacji.

- Myślę, że to równie dobra chwila jak każda inna - odparowała Birdie prowokacyjnie.

- Może to racja - rzekła niespodziewanie Rose, podnosząc się z pełnym wdzięku uśmiechem. Jilly spojrzała na nią, zdziwiona. Rose wzięła do ręki łyżeczkę i delikatnie

## **Mary Alice Monroe 351**

postukała o szklanke, jednocześnie przywołując gestem Kyle'a i Hannah.

- Proszę, usiądźcie - zwróciła się do nich. Jilly i nieco zaskoczona Birdie usiadły naprzeciwko siebie. Kyle wziął Lauren na kolana. Anne Marie i Hannah siedziały obok swoich matek. Wszystkie oczy skupione były na drobnej kobiecie w niepozornej sukience i ze wspaniałymi, opadającymi na plecy włosami. Rose wzięła z rąk Birdie kapsułę czasu i podeszła do Anne Marie.

- Chciałabym opowiedzieć ci pewną historię - powiedziała melodyjnym głosem. - To historia o twojej ciotce Meredith Season, którą nazywałyśmy Merry. Była naszą najmłodszą siostrą, nie tylko ze względu na wiek, ale także mentalność. W dzieciństwie miała wypadek, który spowodował, że umysłowo nigdy nie przekroczyła wieku siedmio, może ośmioletniej dziewczynki. Mimo to, tak jak większość dzieci, czasami bywała bardzo, bardzo mądra.

Na te słowa Anne Marie uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Nigdy otwarcie nie rozmawiałyśmy o twoim istnieniu - zwróciła się do niej Rose. - To była tragedia, która dotknęła każdą z nas osobno i całą naszą rodzinę razem. I wszystkie ogromnie żałujemy, że tak się stało. Merry nigdy się z tym nie pogodziła. Kochała cię na swój dziecinny sposób od chwili, gdy dowiedziała się o twoim przyjściu na świat, i często o ciebie pytała. Pytała: „Gdzie jest Spring?” Nadała ci takie imię dlatego, że urodziłaś się wiosną. Miała lalkę, którą nazwała Spring, i przez dwadzieścia sześć lat spała z nią każdej nocy i całowała ją na dobranoc każdego wieczoru.

**CZTERY PORY ROKU**

Ale wiedziała, że prawdziwa Spring - to znaczy ty, Anne Marie - jest gdzieś indziej. I martwiła się o ciebie, kochała cię i nie mogła zaznać spokoju, dopóki nie było wiadomo, gdzie jesteś. Jej ostatnie życzenie przed śmiercią dotyczyło ciebie. Poprosiła, żebyśmy my, jej siostry, odnalazły cię i oddały ci to, co Merry miała najcenniejszego - tę kapsułę czasu.

Rose spojrzała na pudełko po butach, które trzymała w rękach.

- Pewnie się zastanawiasz, jaką dla ciebie wartość może mieć to pudełko. Spakowałyśmy je we trzy - ja, Jilly i Birdie, gdy byłyśmy jeszcze dziećmi. Ja miałam wtedy zaledwie siedem lat, Birdie jedenaście, a Jilly trzynaście. W środku są pamiątki z naszego dzieciństwa. Nic nie znaczące drobiazgi, które jednak wówczas znaczyły dla nas bardzo wiele. Razem z tym pudełkiem Merry chciała ci zwrócić twoją tożsamość. Tożsamość twojej matki i ciotek. Chciała ci dać na zawsze najlepszą część nas samych.

Nie wiemy, co jest w środku, bo każda z nas włożyła tam swoje skarby w tajemnicy przed pozostałymi. Jak widzisz, pudełko nigdy nie zostało otwarte. Teraz należy do ciebie. Jako twoja ciotka myślę, że mogę mówić w imieniu nas wszystkich: znajdując cię, naprawdę znalazłyśmy Spring. Anne Marie z szacunkiem wzięła do rąk pudełko. Jej oczy błyszczały od łez. Po policzkach Jilly również spłynęły łzy. Anne Marie podbiegła do niej i objęły się mocno. Jilly po raz pierwszy w życiu trzymała swoją córkę w ramionach.

- Dziękuję ci, Merry - szepnęłaś

Jilly!

### **Mary Alice Monroe 353**

Usłyszała szept i obejrzała się przez ramię, ale nikogo tam nie było. Mimo to głos znów się odezwał, dziecinny głos: Jilly!

- Gdzie jest moja wnuczka? - zapytała z nagłym niepokojem, przebiegając salę wzrokiem.

- Lauren! - wykrzyknęła Anne Marie.

Wszyscy jednocześnie uświadomili sobie, że Lauren nie ma wśród nich, i zaczęli wołać ją po imieniu, najpierw dość jeszcze spokojnie, nie chcąc okazywać paniki. Przeszukali całą restaurację, ale dziewczynki nigdzie nie było.

- Och, na pewno bawi się w chowanego i gdzieś się ukryła - powiedziała Susan z pozornym spokojem, ale jej

twarz stała się kredowobiała.

- Sprawdź w holu - rzucił Kyle i wybiegł. - A ja na tarasie - poderwała się Hannah.

Jilly, Birdie i Rose popatrzyły na siebie, jednocześnie tknięte tą samą myślą. Basen.

Wszystkie trzy bez słowa rzuciły się do drzwi. Jilly biegła pierwsza, Birdie i Rose tuż za nią.

Pomiędzy palmami, za szklaną ścianą, Jilly zauważyła dziewczynkę, która przechylała się przez krawędź basenu, chcąc zanurzyć rączkę w wodzie. W następnej chwili Lauren przechyliła się przez krawędź i zniknęła.

- Lauren! - wykrzyknęła Jilly z rozpaczą i pchnęła szklane drzwi. Słyszała biegnące tuż za nią siostry.

Nie zatrzymując się, zrzuciła buty i ślizgając się na mokrych płytkach, dopadła brzegu basenu i jednym skokiem znalazła się w wodzie.

Po jej obu stronach rozległy się dwa głośnie pluśnięcia

**CZTERY PORY ROKU**

skaczących do wody kolejnych osób. Wzburzona fala odepchnęła Jilly od różowo-białej plamy, a mokre ubranie ciągnęło ją na dno.

Koszmar wydarzył się po raz wtóry. Jilly poczuła, jak ogarnia ją wściekłość. Nie, nic z tego, myślała jak w transie, 'nie pozwolę, by powtórzyło się to jeszcze raz! Tym razem <sup>1</sup> jej nie stracę!

Z nadludzką siłą płynęła W stronę Lauren. Zanurkowała i jej ręka natrafiła na skrawek bawełny. Po chwili wynurzyła się, trzymając Lauren w ramionach.

Birdie i Rose natychmiast znalazły się przy niej. Rose pomogła jej doholować dziewczynkę do brzegu, Birdie wciągnęła ją na drabinę i potem na taras. W milczeniu patrzyły, jak Birdie pochyła się nad małą i szuka oznak życia. Jej ruchy były szybkie i precyzyjne. Jilly po raz pierwszy widziała siostrę w roli lekarki. Objęła Rose ramionami i obydwie patrzyły, jak pierś Lauren zaczyna się unosić w rytm sztucznego oddychania.

Podczas tych krótkich sekund czas zmienił kierunek i wszystkie trzy siostry Season znów znalazły się nad innym basenem, latem 1969 roku.

Niebo było nieskalanie błękitne. W lazurowej wodzie syreny zanurzały się w głębszej części basenu i po chwili znów się wynurzały w płytszej. Ale tego dnia kąpały się tylko dwie syreny. Rose była zirytowana, że Jilly nie chce się bawić, i co chwila próbowała ją przywołać.

Jilly jednak czuła się już uczennicą gimnazjum i dziecinne zabawy przestały ją interesować. Siedziała na leżaku przy brzegu basenu i rozmawiała przez telefon z jednym z

## Mary Alice Monroe 355

tych swoich głupich kolegów, którzy ostatnio ciągle do niej wydzwaniali.

- Jilly, zostaw ten telefon i chodź tu! Bez ciebie to żadna zabawa. Proszę cię, Jilly!

Jilly uniosła ciemne okulary i spojrzała przelotnie na Rose, a potem wróciła do rozmowy.

- Ja chcę się bawić! Ja chcę się bawić! - wołała Merry, wchodząc na drabinkę.

- Merry, odsuń się od basenu! - krzyknęła Rose. Merry odsunęła się posłusznie, wydymając usta. Rose zanurkowała, szukając na dnie pomarańczowego

plastikowego pierścionka, który wrzuciła tam Birdie. Tego dnia Birdie oznajmiła, że ta, która znajdzie pierścień, zostanie królową syren aż do wieczora. Rose nurkowała z zapalem, pragnąc dowieść, że potrafi to robić równie dobrze jak starsze siostry. Szybko zaczęły ją boleć płuca, ale już po chwili ogarnęło ją uniesienie, gdy jej palce zacisnęły się na kawałku plastiku. Przepłynęła pod wodą kilka metrów dzielących ją od płytszego końca basenu, wynurzyła się i zawołała triumfalnie: . - Patrz, Birdie, mam!

Birdie stała na wąskim cementowym brzegu basenu, oglądając zadrapanie na nodze. Rose poczuła nagły chłód. Coś było nie tak. Odsunęła włosy z oczu i rozejrzała się szybko. Jilly rozmawiała przez telefon, Birdie była na brzegu, Merry... Gdzie była Merry?

Spojrzała na drabinkę, gdzie widziała małą po raz ostatni, ale Merry tam nie było. Naraz kątem oka zauważyła jakiś ruch pod wodą. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła kosmyk rudych włosów oraz skrawek różowej sukienki.



**CZTERY PORY ROKU**

Nie była w stanie się poruszyć ani nawet odetchnąć. Stała jak rażona gromem, słuchając krzyku ptaków. Dopiero później uświadomiła sobie, że to był jej własny głos.

- Jilly! Jilly! Ratunku!

Birdie usłyszała krzyk siostry i podniosła głowę. Rose stała w wodzie z wyciągniętymi przed siebie ramionami, wskazując coś na dnie basenu. Birdie powiodła wzrokiem w tamtą stronę i zobaczyła jakąś rozmytą plamę. Zanim jeszcze dotarło do niej, co to takiego, już była w wodzie, kierując się w tamtą stronę.

Zanurkowała za głęboko. Wściekła na siebie za stratę cennych sekund, z trudem wypchnęła się do góry, chwyciła Merry i wraz z nią wynurzyła się na powierzchnię. Nie wiedziała, kto odebrał od niej bezwładną siostrzyczkę; wystarczyła jej sama świadomość, że Merry jest już bezpieczna.

Jilly drżącymi rękami odebrała Merry z rąk Birdie i wyciągnęła na brzeg. Gdy Rose zawołała ją po imieniu, podniosła głowę i zobaczyła, że Birdie wskakuje do wody. Instynkt kazał jej rzucić telefon i zbiec na dół po drabince.

Go robić, co robić, dudniło jej w głowie, gdy układała drobne ciało na cemencie. Ręce i nogi małej siostrzyczki zwisały bezwładnie jak u szmacianej lalki.

- Merry! Merry! - wołała, potrząsając siostrą.

- Obróć ją! - wykrzyknęła Birdie, wspinając się na górę po drabince. - Uderz ją w plecy!

Jilly zrobiła to, ale Merry nawet nie drgnęła. Usta miała uchylone, a jej pierś nie poruszała się.

## **Mary Alice Monroe 357**

- Dzwon po pogotowie! Szybko! - krzyknęła ze wszystkich sił.

Birdie chwyciła leżący obok basenu telefon. Rose stała jak sparaliżowana.

Jilly wzięła Merry na ręce i kołysała ją jak lalkę.

- Wszystko będzie dobrze, malutka - szeptała, choć w głębi duszy wiedziała, że to nieprawda. Płakała bezgłośnie, nie czując spływających po twarzy łez. To jej wina. Była przecież najstarsza i powinna pilnować Merry. Była odpowiedzialna za siostry. To wszystko przez nią.

- Merry, skarbie... zacznij oddychać...

- Oddychaj! - zawołała Birdie, uciskając pierś dziewczynki.

Drobne ciało drgnęło i Lauren zakaszłała. Birdie szybko obróciła ją na bok i trzymała podczas ataku torsji. Jaka ona maleńka, myślała Birdie. Dwa lata, może trzy? Oczyszczyła buzię dziewczynki i delikatnie zbadała jeszcze raz. Duże brązowe oczy wpatrywały się w nią z lękiem. Birdie była wstrząśnięta, widząc, jak bardzo Lauren podobna jest do Hannah.

Z głębokim wzruszeniem uświadomiła sobie, że Jilly miała rację. Nie chodziło o dziecko. Dziecko było śliczne i niewinne. To nie ono było przeszkodą, wobec której Birdie czuła się bezsilna.

- Lauren! Lauren!

W głosie Anne Marie brzmiał śmiertelny strach.

- Mama - załkała dziewczynka, wyciągając ręce.

- Wszystko już dobrze, Lauren - uśmiechnęła się do niej Birdie. Wzięła ją na ręce i obróciła buzię do nad-

**CZTERY PORY ROKU**

biegającej matki. - Widzisz, skarbie? Twoja mama już tu idzie.

Anne Marie przytuliła córkę mocno do piersi i rozplakała się. Lauren zakaszła jeszcze raz, potarła nos i zamrużyła powiekami, rozglądając się dokoła niezupełnie jeszcze przytomnym wzrokiem.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Birdie uspokajającym tonem lekarza. - Po prostu popływała sobie trochę.

- Bogu dzięki - szepnęła Jilly, całym ciężarem ciała opierając się o Rose.

Kyle i Susan nadbiegli w następnej kolejności, a za nimi Hannah i menedżer hotelu.

- Wszystko w porządku - zawołała Anne Marie, zmuszając się do pogodnego tonu. - Lauren chciała popływać.

Teraz Kyle porwał córkę na ręce i przycisnął do siebie.

- Tak nam przykro - wykrztusiła Jilly, z trudem chwytając oddech. - Tak nam przykro...

Anne Marie spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Przykro? Ale dlaczego?

- Zaprzątnełyśmy twoją uwagę. I nie patrzyłyśmy, gdzie się bawi Lauren...

- Jillian! - wykrzyknęła jej córka. - Nie masz za co przeproszać! To ja jestem jej matką i pilnowanie jej jest moim obowiązkiem, nie twoim! To nie wasza wina! Wy ocaliłyście jej życie!

Jilly poczuła, że uchodzi z niej resztką sił. Spojrzała na siostry. Tym razem Birdie nie odwróciła wzroku. Rose miała zaczerwienione oczy. Z mokrymi włosami, tu-

## **Mary Alice Monroe 359**

szem do rzęs spływającym po policzkach, w przyklepiających się do ciała ubraniach wyglądały tak pięknie jak jeszcze nigdy.

- Wezwaliśmy pogotowie - powiedział menedżer hotelu, ocierając czoło. Dwóch sanitariuszy wchodziło właśnie przez drzwi, a za szklaną ścianą migwały czerwone światła karetki.

- Wszystko jest w porządku - powiedział Kyle. - Nie trzeba karetki.

- Nie zaszkodzi zbadać dziecko dokładnie, choćby po to, żebyście dzisiaj mogli spokojnie zasnąć - stwierdziła Birdie. - Ale nie martwcie się. Nic jej się nie stało. Prawda, skarbie?

- Wszyscy będziemy się czuli znacznie pewniej, jeśli dziewczynka zostanie dokładnie przebadana - stwierdził menedżer.

Kyle skinął głową i wraz z Anne Marie zanieśli Lauren do karetki.

Jilly pomyślała z ulgą, że jej wnuczce nic się nie stało. Ale Merry nie miała tyle szczęścia. Wszystkie wiedziały o tym od chwili, gdy zobaczyły, w jakim pośpiechu sanitariusze zabierają Merry. Widziały to na pobladłej twarzy matki, rozpoznały milczący wyrzut w jej spojrzeniu. Zrozumiały to jeszcze dokładniej potem, gdy Merry leżała już w swoim łóżku, otoczona dziwnymi urządzeniami, a mama siedziała obok i czytała jej książki. Nigdy potem nie rozmawiały o tamtym dniu, nie pozwalały sobie na odtwarzanie zdarzeń nawet w pamięci.

Zdenerwowany menedżer i obsługa hotelu zebrali się wokół nich, przeprasząc i podając im ręczniki.

360

### **CZTERY PORY ROKU**

- Bardzo dziękujemy, już wszystko w porządku - wymruczała Jilly, owijając się jednym -z ręczników.
- Chodź, Jilly - powiedziała Rose, biorąc ją za rękę. - Ty też, Birdie. Chodźmy na górę, do pokoi. Wysuszmy się i zamówimy herbatę, a potem porozmawiamy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Wzięły prysznic i owinięte białymi hotelowymi ręcznikami zebrały się w pokoju Jilly. Przez okno wpadało do środka jaskrawe słońce. Rose zamówiła herbatę.

- Przez wszystkie te lata zabraniałam sobie o tym myśleć - powiedziała Rose stłumionym głosem. - Ale nigdy

nie udało mi się zapomnieć... To była okropne. Obwinałam się, rozumiecie?

- Rozumiem - stwierdziła Birdie. - Ja też nie potrafię myśleć o tym spokojnie. To wspomnienie przepala mi mózg, więc odpycham je od siebie. Na pogrzebie też tak robiłam. Nie mogłam po niej płakać, dopóki nie pogodziłam się z tym, co się stało.

Jilly przyłożyła ręce do brzucha. Birdie spojrzała na nią i przymrużyła oczy.

- Jilly, dobrze się czujesz?

- To była moja wina - wykrztusiła Jilly napiętym głosem. - Wypadek Merry zdarzył się przeze mnie. Rose dotknęła jej ręki.

- To nieprawda! A ja i Birdie? Przecież to się zdarzyło nam wszystkim! Wszystkie tam byłyśmy!

- Ale ja byłam najstarsza. Powinnam na was uważać! Jilly schowała twarz w dłoniach i potrząsnęła głową. -

**CZTERY PORY ROKU**

Dzisiaj wszystko mi się dokładnie przypomniało. Rozmawiałam wtedy przez telefon z jakimś chłopakiem! Nie miałam najmniejszej ochoty pilnować młodszych sióstr, gdy moi koledzy świetnie się bawili. Byłam wściekła na mamę, że zostawiła mi Merry pod opieką! Mama miała rację. Byłam zwyczajną egoistką! Birdie stanęła obok niej.

- Jilly, posłuchaj mnie - powiedziała, głęboko poruszona. - To nie była twoja wina.

- Łatwo ci tak mówić, bo to ty ją uratowałaś! Twarz Birdie ściągnęła się boleśnie.

- Ale nie zrobiłam tego wystarczająco szybko! - zawołała łamiącym się głosem.

Jilly patrzyła na nią z niedowierzaniem. Nigdy by jej nawet do głowy nie przyszło, że Birdie też może się obwiniać o ten wypadek. Zawsze przypuszczała, że jej siostra uważa się za bohaterkę, zbawczynię, tę, która ocaliła życie Merry.

Rose przyłożyła drżące dłonie do ust.

- Nie, Birdie... ty działałaś szybko. Aleja... zawołałam o pomoc za późno. Dzisiaj wszystko mi się przypomniało. Stałam w basenie zdrtwiała z przerażenia i nic nie zrobiłam!

- A co mogłaś zrobić? - zdumiała się Birdie. - Przecież miałaś zaledwie sześć lat!

- Nie wiem! Cokolwiek! Tymczasem stałam jak kołek, a czas mijał! Mijały decydujące minuty!

- Przecież zawołałaś - przypomniała jej Jilly łagodnie. - Pamiętam. Zawołałaś mnie po imieniu.

Wszystkie trzy objęły się i wybuchnęły długim, oczy-

### **Mary Alice Monroe 363**

szczającym płaczem, na jaki nie potrafiły się zdobyć podczas pogrzebu.

- A więc wszystkie się obwinałyśmy - zauważyła Jilly z zadumą, gdy łzy przestały już płynąć. - Nasze dzieciństwo skończyło się tamtego dnia.

Rose zwinęła dłonie w pięści.

- Wszystkie się zmieniłyśmy. Dorastałyśmy zranione. Wiem, że ja właśnie wtedy stałam się niezdecydowana i lękliwa.

- Ja przez cały czas starałam się robić wszystko lepiej niż dobrze - pokiwała głową Birdie. - Jakbym chciała odkupić to, co się stało. Chciałam być doskonałą córką, a potem doskonałą żoną, doskonałą lekarką, matką...

- Widziałam, jak mama na mnie patrzyła - powiedziała Jilly posępnie. - Chyba wtedy uwierzyłam, że jestem niedobra. A potem było mi już wszystko jedno. - W jej oczach pojawił się dziwny błysk. - No i pokazałam im... Mogli być ze mnie dumni. Szczególnie tato. - Spojrzała na Birdie. - Ty byłaś tą dobrą córką, a ja tą złą.

- Och, Jilly - odrzekła Birdie ze znużeniem - może wreszcie skończymy z tą rywalizacją? Nie ma dobrej siostry ani złej siostry, jesteśmy tylko ty i ja... i Rose.

Jilly nie była pewna, czy Birdie rzeczywiście wierzy w to, co mówi. Jeśli tak, to istniała nadzieja...

- I Dennis - dodała.

Birdie spojrzała jej prosto w oczy.

- Tak - rzekła szczerze. - I Hannah. I Anne Marie. Jilly skinęła głową z głęboką ulgą, ale zanim zdążyła



**CZTERY PORY ROKU**

coś powiedzieć, ktoś zastukał do drzwi. W progu stał hotelowy posłaniec.

- Mam przesyłkę dla pani Jillian Season. Jilly dała mu napiwek i ze zdumieniem pokazała siostrom kapsułę czasu.

- A skąd to się tu wzięło? - zdziwiła się Rose.

- Tu jest list - wyjaśniła Jillian, rozrywając kopertę. - Może się dowiemy.

Wszystkie trzy usiadły na sofie i zaczęły czytać: Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna, że dałyście mi tę kapsułę czasu. Zawsze będę o tym pamiętać. Ale zawartość należy do was wszystkich. To wasze skarby i wolę, żeby pozostały bezpieczne w waszych rękach.

Dałyście mi już największy dar, jaki mogłam otrzymać: życie moje i mojego dziecka. Jilly złożyła kartkę i wsunęła ją do kieszeni.

- Otwórzmy to pudełko.

- Teraz? - zdumiała się Rose.

- Dlaczego nie? Czy mógłby być jakiś lepszy moment?

- Pewnie, dlaczego nie teraz? - poparła ją Birdie. - Kto wie, kiedy znów się spotkamy wszystkie razem?

Rose popatrzyła na pudełko, marszcząc brwi.

- Ale myślę, że nie możemy go tak po prostu otworzyć. To pudełko jest bardzo ważne. Może powinniśmy najpierw zrobić coś szczególnego?

- Masz na myśli jakąś ceremonię?

- Tak. Jilly zastanawiała się przez chwilę.

## Mary Alice Monroe 365

- Przynieśmy do stołu dodatkowe krzesło dla Meny. Ona tu jest, czuję to. Czułam jej obecność przez całe popołudnie.

- Ja też to czuję - stwierdziła Rose, przyciągając do stołu jeszcze jedno krzesło. - Tak, teraz jest lepiej. Krąg jest kompletny.

Jilly podała Birdie stołowy nóż.

- Pani doktor, proszę rozpocząć zabieg.

Birdie popatrzyła na nóż z politowaniem i bez słowa wyciągnęła z torebki szwajcarski scyzoryk.

- Zawsze należy być przygotowanym na wszelkie okoliczności.

- Typowe - zakpiła Jilly.

Birdie uniosła scyzoryk do góry.

- Dla Meny - powiedziała i precyzyjnie przecięła taśmę klejącą. Wszystkie trzy pochyliły się nad pudełkiem.

- Kto zdejmie pokrywkę? - zapytała Birdie.

- Rose - rzekła stanowczo Jilly.

Rose delikatnie uniosła pokrywkę pudełka pomalowaną w kolorowe słońca, kwiaty, gwiazdy i syreny.

Trzy kobiety wstrzymały oddech. Na samym wierzchu leżała beżowa szmatka.

- Mój szal! - wykrzyknęła Jilly z podnieceniem, delikatnie biorąc go w palce. W dzieciństwie był to jej największy skarb. Przypomniła sobie, jak nakładała go na głowę, schodziła do Niższego Królestwa i udawała żebraczkę przyciskającą dziecko do piersi.

Rose wyciągnęła z pudełka zmięty diadem zrobiony z błyszczącego turkusowego papieru.

- To moja korona syreny! - zawołała Birdie ze zdumieniem. - Zupełnie zapomniałam, że ją tu włożyłam!

**CZTERY PORY ROKU**

Z oczami błyszczącymi dziecinną radością wzięła diadem w ręce.

- Teraz pamiętam, jak prosiłam mamę, żeby ostrożnie wkładała ją do pudełka ze względu na brokat! Bałam się, że się odklei!

Ostrożnie nałożyła koronę na głowę.

- Była dla mnie cenniejsza niż wszystkie późniejsze medale - powiedziała miękko, patrząc na siostry.

- Zabawa w syreny była cudowna. Pamiętasz, Jilly?

- Pamiętam. Pływałyśmy godzinami - uśmiechnęła się Jilly. - Rose, a gdzie jest twój skarb?

Rose sięgnęła po leżące na dnie kartonu ręcznie malowane pudełeczko, które pamiętała bardzo dobrze. Malowała je w pocie czoła, zupełnie samodzielnie. Wewnątrz znajdował się jej najcenniejszy skarb - wyjątkowy znaczek pocztowy, na który długo polowała i oszczędzała pieniądze. Teraz też popatrzyła nań z zachwytem.

Birdie jeszcze raz sięgnęła do pudełka i wyjęła niepodpisaną kopertę oraz fotografię. Odłożyła kopertę na bok i popatrzyła na zdjęcie.

- Co to takiego? - zdziwiła się.

Na odwrocie, równym kaligraficznym pismem matki, napisane było: *Moje syreny i ja*. Fotografia przedstawiała cztery syreny przy basenie, w diademach na głowach, szeroko uśmiechnięte, a pomiędzy nimi matkę. Ann Season przykucnęła, jedną ręką obejmując Merry, a drugą przytrzymując się metalowej drabinki, na której szczeblach przysiadła nonszalancko Jilly z dłonią na ramieniu matki. Birdie zwisała z drabinki po drugiej stronie, a Rose siedziała na samym jej szczycie, wpatrując się w obiektyw szeroko otwar-

## Mary Alice Monroe 367

tymi oczami. Rodzinne podobieństwo ich wszystkich było uderzające - rude włosy, piegi, magnetyczne uśmiechy. Fotografia emanowała radością.

Birdie patrzyła na nią ze smutkiem.

- Nigdy nie widziałam tego zdjęcia. Kto je tu włożył?

- Ja też go nigdy nie widziałam - odrzekła Rose. - To na pewno mama. Ona pakowała i zaklejała pudełko.

Jilly spojrzała na błyszczący kartonik i poczuła ukłucie żalu, uświadamiając sobie, jak bliskie były sobie wtedy z matką. Gdy miała trzynaście lat, mama była jej idolem. Mamo, pomyślała ze smutkiem. Mamo.

Było już późno, gdy Rose i Birdie, ziewając, poszły do swoich pokoi. Jilly zaczęła zbierać ze stolika filiżanki i kawałki papieru, gdy wtem jej wzrok zatrzymał się na kopercie opartej o lampkę. Zupełnie o niej zapomniały. Została tu nie otwarta, częściowo zasłonięta zmiętą serwetką.

Jilly odstawiła na bok filiżanki i niepewnie wyciągnęła rękę. To była koperta z papeterii mamy. Przez chwilę zastanawiała się, czy zawołać siostry, ale zdecydowała, że jest już za późno. Birdie i Rose były bardzo zmęczone. Mogą poczekać do rana.

Ale ona nie mogła czekać. Była pewna, że siostry jej wybaczą. Otworzyła kopertę i wyjęła arkusik kremowego papieru. Proszę, Panie Boże, pomyślała z drżeniem, niech to nie będzie oskarżenie.

Do moich córek: Meredith, Rose, Beatrice i Jillian.

Przepraszam Was. Tak mi przykro.

Powinnam tam być. Nigdy nie powinnam zostawiać dzie-

368

### **CZTERY PORY ROKU**

ci, żeby pilnowały dzieci. Mam nadzieję, że kiedy to przeczytacie, będziecie już w stanie mi wybaczyć. Bo wątpię, żebym ja kiedykolwiek potrafiła wybaczyć sobie.

Kocham was wszystkie.

Mama

Jilly wybuchnęła płaczem.

- Och, mammo - wyszłochała. - Och, mammo!

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

Następnego ranka siostry Season obudziły się ze świadomością, że ich życie zmieniło się nieodwracalnie. Musiały spakować rzeczy i wyprowadzić się z hotelu. Poszukiwania były zakończone, ostatnia wola Merry została spełniona, można było wreszcie zamknąć przeszłość i ruszyć przed siebie.

Ramiona Birdie równomiernie przecinały chłodną wodę basenu. Pływała już od pół godziny. Ręce zaczynały jej drżeć i z trudem utrzymywała się na powierzchni wody, ale nie mogła przestać.

Obudziła się wcześniej po źle przespanej nocy. Śnił jej się basen, w którym pływała i pływała, nie mogąc złapać oddechu. Za jej plecami majaczyły wszystkie błędy popełnione przez lata. Wiedziała, że jeśli uda jej się dopłynąć na drugą stronę i wdrapać się na górę, będzie bezpieczna. Ale zagrożenie czyhało tuż za jej ramieniem. Przez większą część nocy rzucała się niespokojnie i obudziła się zaplątana w prześcieradła jak w wodorosty.

Wyszła z łóżka, czując dziwne ssanie w żołądku. Szybko ubrała się i zeszła do holu, gdzie właśnie otwierano sklepiki. Kupiła kostium kąpielowy i bez zastanowienia skierowała się w stronę basenu. Nie pływała od dwudziestu lat, od

**CZTERY PORY ROKU**

śmierci ojca. Nie widziała w tym żadnego sensu. W końcu pływała tylko dla niego, po to, by mógł być z niej dumny.

Ale dziś pływała dla siebie. Równomiernie pracowała ramionami, ignorując zbierający się w nich ból. Czy jej się tylko wydawało, czy też naprawdę czuła, jak z każdym metrem wszystkie napięcia i trucizny roztapiają się w ciemnej toni? Woda zalewała jej twarz. Birdie zakaszłała, bolały ją oczy, ale nie zatrzymała się.

- Birdie!

Podniosła wzrok. Czy to tylko gra wyobraźni, czy ktoś ją naprawdę zawołał?

- Birdie!

Obróciła się i ujrzała Dennisa. W przyptywie radości, ze zdwojoną energią zaczęła płynąć w jego stronę. Teraz już wiedziała, dokąd płynie. Do niego. Ramiona miała ciężkie jak ołów, ale wiedziała, że jeśli uda jej się dotrzeć do brzegu, gdzie czekał jej mąż, będzie bezpieczna i koszmar przeminie.

Wyciągnął ręce i pomógł jej wydostać się na brzeg, a potem owinał rękami i mocno przytulił do siebie. Nogi ugięły się pod nią ze wzruszenia. Drżała na całym ciele i po chwili wybuchnęła szlochem. Mogła sobie na to pozwolić; wiedziała, że Dennis jest dostatecznie silny.

- Jesteś tu - powiedziała wreszcie łamiącym się głosem.

- Przyjechałem wczoraj wieczorem. Musiałem. Nie wiedziałem, w którym jesteście hotelu, więc po sprawdzeniu w dwóch wziąłem po prostu pokój i zacząłem szukać na nowo dziś rano.

- Dennis - powiedziała Birdie, patrząc mu prosto w oczy. - Anne Marie... jest twoim dzieckiem.

## Mary Alice Monroe 371

To był szok. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w przeciwległą krawędź basenu. W końcu spojrzał na nią ze spokojem.

- Skąd wiesz?

- Jilly mi powiedziała. - Zauważyła, że zacisnął dłonie w pięści, i dodała szybko: - Chciała mi zaoszczędzić cierpienia. Wiedziała, że gdy tylko zobaczę jej córkę, natychmiast domyślę się tego sama. Anne Marie ma dołek w brodzie.

Dennis patrzył na nią z napięciem.

- I jak się z tym czujesz? Wzruszyła ramionami.

- To nie było łatwe. Ale cóż. Jakoś to przeżyłam.

- A Hannah? - zapytał z niepokojem.

- Jeszcze nie wie. Nie dowie się, dopóki sami jej nie powiemy. Jilly zgodziła się na takie rozwiązanie.

- To dobrze - rzekł Dennis z ulgą. Potrząsnął głową i zaśmiał się krótko. - To trochę za dużo jak na jeden raz. Myślałem o tym przez cały czas. Martwiłem się, co będziesz czuła, jeśli okaże się, że to ja jestem ojcem tego dziecka. Gdy powiedziałaś mi przez telefon, że ty też masz się z nią spotkać, było dla mnie jasne, że muszę do was przyjechać. Nie mogłem tylko biernie czekać, nie wiedząc, co się tu dzieje. Ale teraz nie wiem, co powiedzieć.

- Musimy sobie z tym jakoś poradzić. Razem. Na twarzy Dennisa odbiła się ulga.

- Chciałbym tego, Birdie. Bardzo. Ale najpierw powinniśmy porozmawiać o nas. Nasze problemy dotyczą czasu teraźniejszego. Tego, co jest między tobą a mną.

Skinęła głową, potwierdzając, że ona również bardzo



**CZTERY PORY ROKU**

chce rozmawiać. Usiedli przy białym plastikowym stoliku. Birdie, z ręcznikiem zarzuconym na ramiona, spojrzała w brązowe oczy Dennisa i przeszył ją dreszcz. On popatrzył na jej krótkie, rude kosmyki włosów i uśmiechnął się. Zaczęli rozmawiać, na początku powoli i niezręcznie, potem z coraz większym zaangażowaniem. Gdy Dennis wyciągnął do niej rękę, Birdie ujęła ją z wdzięcznością, czując, że wszystko między nimi będzie dobrze.

Rose i Jilly zatrzymały się na parkingu przy centrum handlowym niedaleko zachodniego wejścia, gdzie miał czekać Danny. Większość sklepów była jeszcze zamknięta. Danny celowo wybrał taką porę, żeby nie musieli szukać się w tłumie.

- Jak się czujesz? - zapytała Jilly.

- Tak, jakbym miała za chwilę zwymiotować - zaśmiała się Rose. Była bardzo zdenerwowana i przez cały rano powtarzała sobie w myślach: bądź dzielna, bądź dzielna.

A rano był doprawdy niezwykły! Jilly i Hannah przez godzinę robiły jej makijaż. Potem wszystkie przeżyły wstrząs, gdy do pokoju weszli Birdie i Dennis, trzymając się za ręce, i zapytali, czy Jilly oraz Rose mogłyby odwiedzić Hannah do domu, bo oni zamierzają wrócić na motocyklu.

- Widzisz go? - zapytała Jilly, wyłączając silnik land rovera.

- Nikogo nie widzę - mruknęła Rose z twarzą przy szybie. - Och, Boże, czy tak się czuje kobieta, którą narzeczony wystawił do wiatru w dniu ślubu?

- Przecież dopiero przyjechaliśmy. Jeszcze nie ma wpół do dziesiątej. Kochanie, weź głęboki oddech.

### **Mary Alice Monroe 373**

Rose potraktowała to dosłownie i zaczęła oddychać głęboko i równomiernie.

- Rozluźnij się, Rose, To przecież nie jest randka w ciemno. Znasz go.

- To jeszcze gorzej, bo już wiem, że mi się podoba. Ale czy ja będę się podobać jemu? Czy uzna, że jestem ładna?

Jilly popatrzyła jej prosto w twarz i powiedziała bardzo poważnie:

- Jesteś piękna. Masz królewską, klasyczną urodę. Należysz do kobiet, z którymi mężczyźni chętnie się żenią i którym inne kobiety zazdroszczą. Wiesz, przez całe życie zastanawiałam się, dlaczego tato nie dał ci żadnego przydomku.

Rose zarumieniła się lekko.

- Dlatego, że jestem nieśmiała i bardzo zwyczajna.

- Nie - stwierdziła Jilly stanowczo. - Tato wiedział, co robi. Twoja uroda jest rzadka i czysta. Żadne ozdobniki nie są ci potrzebne. Jeśli ten facet nie zauważy, jaka jesteś piękna, to rzuć go. Zasługujesz na to, co najlepsze.

- Wiesz, Jilly, zawsze wierzyłam, że ten wyjątkowy mężczyzna gdzieś na mnie czeka. Mam nadzieję, że to właśnie Danny - westchnęła Rose. Naraz jej oczy rozszerzyły się. Chwyciła Jilly za rękę i zawołała: - Tam ktoś jest!

Jilly zwróciła głowę we wskazanym kierunku i zobaczyła przy wejściu sylwetkę mężczyzny.

- To on - szepnęła Rose, odgarniając włosy z twarzy.

- Skąd wiesz? Z tej odległości prawie go, nie widać.

- Po prostu wiem.

Mężczyzna był średniego wzrostu, szczupły, miał krótkie ciemne włosy, spodnie w kolorze khaki i jasnobrązową kurt-

**CZTERY PORY ROKU**

kę. Rose odpięła pas i położyła rękę na klamce. Jilly również odpięła swój pas.

- Jedź - powiedziała Rose. - Nie będę cię potrzebować.

- Ale jeśli...

- Naprawdę. Chcę tu zostać sama. Kocham cię, ale spróbuj mnie zrozumieć. To jest coś, co muszę zrobić zupełnie sama.

- Jesteś pewna? Przecież to właściwie obcy człowiek. Może zostanę tu przez chwilę, na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie. Pięć minut?

- To nie jest żaden obcy człowiek, tylko Danny. A poza tym... - uśmiechnęła się. - Co mi się może przytrafić w centrum handlowym przy stoisku z kawą i drożdżówkami? Jedź, Jilly. Jeśli będę cię potrzebować, to zadzwonię z komórki.

- Zadzwoń za godzinę i powiedz, gdzie mam po ciebie przyjechać. A jeśli coś będzie nie tak, dzwoń natychmiast.

- Nie martw się - rzekła Rose z uśmiechem. - Ale bardzo ci dziękuję.

Jilly pocałowała ją w policzek.

- Baw się dobrze. Byle nie za dobrze - zaśmiała się. Rose wyszła z samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwiczki.

Na ten dźwięk Danny odwrócił głowę w jej stronę i stał nieruchomo, wyczekująco. Podniosła rękę i pomachała mu krótko. On również jej pomachał. Zauważyła, że trzyma pojedynczą czerwoną różę. Powoli zbliżali się do siebie. Z każdym krokiem Rose widziała go lepiej. Wyglądał jak chłopak z farmy. Miał szczupłe, mocne ciało, był opalony, a włosy opadały mu na skronie w luźnych kosmykach. Podeszła jeszcze bliżej i zobaczyła jego

## **Mary Alice Monroe 375**

oczy. Miały taki sam jasnoniebieski odcień jak rozpięta pod szyją koszula. Na de opalenizny wyglądały jak dwie latarenki. W tych oczach widać było łagodność i delikatność, którą Rose natychmiast rozpoznała. To był jej Danny.

Przed ostatecznym zakończeniem wyprawy Jilly miała do zrobienia jeszcze tylko jedną rzecz. Wyjechała z Green Bay w stronę Du Pere, by kolejny raz zobaczyć się z Anne Marie. Ulice były dobrze oznakowane i wkrótce zaparkowała samochód przed niewielkim domkiem z żółtej cegły z bladoniebieskimi okiennicami. Ze skrzynek przy oknach wylewały się kaskady barwnych jednorocznych kwiatów. Na drzwiach wisiał zasuszony wieniec.

Anne Marie otworzyła jej drzwi. Tym razem Lauren nie chowała się już za spódnicą matki, lecz wbiegła prosto w rozpostarte ramiona Jilly i obdarzyła ją mocnym pocałunkiem. Kyle był w pracy, a Susan u siebie w domu, więc obydwie czuły się znacznie swobodniej.

Przez godzinę Jilly oglądała albumy ze zdjęciami Anne Marie i Lauren. Wiąż między dwiema kobietami stawała się coraz mocniejsza i choć do jej utrwalenia trzeba było jeszcze wiele czasu, wysiłku i szczerości, początek został zrobiony.

Zbierając się do odejścia, Jilly w duchu odetchnęła z ulgą. Na szczęście Anne Marie nie pytała o swojego ojca. Było jednak jasne, że kiedyś o niego zapyta, a wówczas zacznie się budowanie trudnego kontaktu z Dennisem i Birdie. Ale na to był jeszcze czas.

- Zadzwoń do mnie, gdy dziecko przyjdzie na świat? - zapytała Jilly przed wyjściem. Oczywiście. Jesteś przecież babcią.

**CZTERY PORY ROKU**

Jilly uśmiechnęła się, przepelniona szczęściem.

W drzwiach uścisnęła córkę, po czym sięgnęła do torebki i wyjęła z niej długą białą kopertę.

- Rozmawiałam z siostrami i wszystkie zgodziłyśmy się, że powinnaś to dostać - powiedziała, wkładając kopertę w ręce Anne Marie.

- A co to jest?

- Twój spadek. Otwórz, dopiero gdy odjadę. Nie potrafię ci powiedzieć, jak cenna okazała się dla nas kapsuła czasu i jak bardzo jesteśmy ci wdzięczne, że ją nam zwróciłaś. Chcemy, żebyś wiedziała, że ty również należysz do rodziny Seasonów.

Przeszła przez próg z uczuciem spełnienia. Oddając Anne Marie resztę pieniędzy z funduszu powierniczego Merry, siostry Season spełniły jej ostatnią wolę. Przy krawężniku Jilly odwróciła się jeszcze raz i pomachała ręką. Anne Marie stała na werandzie razem z Lauren i obydwie jej machały. Zawracając samochód, Jilly zerknęła w tylne lusterko. Anne Marie otworzyła kopertę, przyłożyła dłoń do serca i popatrzyła za samochodem. Na twarzy Jilly pojawił się szeroki uśmiech. Birdie miała rację, pomyślała. Bycie matką to spełnienie największych marzeń.

Miesiąc później Jilly stała przy czarnym ogrodzeniu z kutego żelaza, które otaczało mały domek z czerwonej cegły na skraju miasteczka Hodges. Z ręką na metalowym uchwycie popatrzyła w jasno oświetlone okno na piętrze. Rajiv zapewne był już w łóżku. Czy myślał o niej?

Nie była już najmłodsza. Przypuszczała nawet, że jest o rok lub dwa starsza od niego. Nie była również bogatą

## **Mary Alice Monroe 377**

i nie robiła olśniewającej kariery. Była po prostu sobą, Jillian Season.

Drogo okupiła tę tożsamość.

Po raz setny spojrzała w okno, zastanawiając się, co ona tu właściwie robi. Nie potrafiła jednak powstrzymać się od przyjazdu. Kochała Rajiva.

Wstrzymała oddech i pchnęła ciężką furtkę. Ciszę nocy przecięło głośne skrzypienie. Jilly pomyślała, że któregoś dnia trzeba będzie naoliwić te zawiasy. Oczywiście z cienia natychmiast rozległo się głośne ujadanie.

- Pirat Pete? To ja! Pies zawarczał ostro.

- Pete, przestań! Chodź tu, mały! - szepnęła Jilly.

Pies zbliżył się do niej ostrożnie, ale gdy pochwyił jej zapach, natychmiast zaczął się do niej łąsić, wymachując ogonem.

- Widzę, że do mnie tęskniłeś - zaśmiała się Jilly. - Ja także!

Podniosła się z kolan i po nierównej ścieżce poszła w stronę, drzwi. Zastukała i chwilę później w kuchni zapaliło się światło. Wstrzymała oddech.

Rajiv wydawał się szczuplejszy. Włosy miał krótko obcięte i potargane. Przez chwilę stał w bezruchu z ręką na klamce, jakby dopiero przebudził się ze snu.

- Jillian?

Wzruszyła ramionami z niepewnym uśmiechem.

- Wróciłam - powiedziała po prostu. Rajiv puścił klamkę i przegarnął ręką włosy.

- Widzę - rzekł, opuszczając ramiona. - Miałem nadzieję, że wrócisz.

**CZTERY PORY ROKU**

- Naprawdę?

- Przecież wiesz. Nigdy nie chciałem, żebyś wyjeżdżała.

- To dlaczego nie powiedziałeś mi tego? - zapytała My bezradnie.

- Nie byłeś gotowa, by zostać. Miałaś różne rzeczy do zrobienia Obydwoje o tym wiedzieliśmy. Poza tym jest takie stare powiedzenie, które mówi, że nie możesz zatrzymać tego, co nie należy do ciebie. Mian, to musiała być twoja decyzja.

- To prawda - westchnęła. - Wtedy było jeszcze za wcześnie. Rajiv, wydarzyło się tyle rzeczy!

Poznałam moją córkę. Jest piękna. Taka jestem szczęśliwa. A potem pomagałam w likwidacji domu rodziców. Wszystkie trzy musiałyśmy podjąć wiele decyzji. - Spojrzała na swoje ręce. - I ja sama też.

- I jakie decyzje podjęłaś?

Pochyliła się i zerwała zwiędły kwiatek geranium.

- Te decyzje nie są tak ważne jak to, co rozumiałam. Czego nauczyłam się o sobie. Uświadomiłam sobie, że chcę ci opowiedzieć o wszystkim, co mi się zdarzyło. To było dziwne, bo nigdy jeszcze nie czułam tego rodzaju więzi z mężczyzną. Nigdy nie dzieliłam się własnymi myślami i odczuciami.

Miałam trzech mężów, ale za każdym z tych małżeństw krył się jakiś powód, który nie miał nic wspólnego z prawdziwym zaangażowaniem. To nie była nawet przyjaźń. Bywałam zauroczona, zakochana, ale z perspektywy czasu okazywało się, że były to związki interesów. Potrzebowałam kogoś, kto by się zajmował moimi finansami albo karierą. Nigdy nie pozwoliłam sobie na zaangażowanie uczuciowe, nigdy nie dopuściłam nikogo do siebie na tyle blisko, by mógł mnie zranić.

## **Mary Alice Monroe 379**

- A teraz?

- A teraz chcę być z tobą i to nie ma nic wspólnego z myślą o jakichkolwiek zyskach. Myślę raczej o tym, co ja mogę ci dać. Co możemy dać sobie nawzajem.

- To brzmi obiecująco - rzekł Rajiv, podchodząc bliżej. Jilly oparła dłonie na jego piersiach.

- No, może to nie do końca prawda. Czegoś jednak od ciebie chcę. - Podniosła na niego wzrok. - Chcę cię widzieć codziennie rano, gdy będę się budzić, i co wieczór, gdy będę usypiać. Chcę słyszeć twój głos i czuć twój dotyk. Tęskniłam za tobą, Rajiv. Kocham cię.

Przymknął oczy i westchnął, a potem otoczył ją ramionami.

- Jak długo zostaniesz tym razem?

- Dłużej niż kiedykolwiek dotychczas.

Rajiv pociągnął ją do wnętrza domu i zamknął za nimi drzwi.

- To da się urządzić.



## **EPILOG**

Dzień był wymarzony na ślub.

Nadeszło lato z całym przepychem barw. Ogród przy starym domu Seasonów pełen był żółtych, czerwonych i różowych róż. Siostry dołożyły starań, by zorganizować romantyczne wiktoriańskie przyjęcie w ogrodzie. Pośrodku stał wielki biały namiot, a pod nim stoły nakryte białymi obrusami i udekorowane bladoróżowymi wstążkami.

O umówionej godzinie skrzypkowie zagrali Vivaldiego. Goście uciszyli się i zwrócili głowy w stronę werandy, również udekorowanej różami.

Jillian zeszła godnie po schodkach do ogrodu. Pani Kasparov pomachała jej ręką. To była ostatnia uroczystość rodziny Season, jaka miała się odbyć w tym domu. Już w przyszłym tygodniu wprowadzali się tu nowi właściciele.

Wśród gości Jilly zauważyła wysoką sylwetkę Kyle'a, który trzymał na rękach Lauren. Na widok Jillian oczy małej różświetliły się. Obok nich stała Anne Marie z nowo narodzoną córeczką w ramionach. Maleństwo miało różową twarzyczkę i rudy puszek na głowie. Rodzice nadali jej imię Spring. Jilly i jej siostry były tym głęboko wzruszone.

Dalej zobaczyła twarz Rajiva, pociągającą, o płonących oczach. Jej kochanek i najlepszy przyjaciel. Nie potrafiła już wyobrazić sobie życia bez niego.

## **Mary Alice Monroe 381**

W różanej altanie czekał uśmiechnięty ojciec Frank. Jilly stanęła obok niego, a zaraz za nią nadeszła Birdie.

Muzyka ucichła i zapadła pełna napięcia cisza. Jilly podniosła wzrok na werandę. Drzwi otworzyły się i przez tłumek gości przebiegło zgodne westchnienie.

Jilly jeszcze nigdy nie widziała piękniejszej panny młodej. Rose wyglądała jak przeniesiona z innego wieku. Ubrana była w starą, piękną, wiktoriańską suknię z białej satyny i szyfonu, włosy miała ściągnięte do tyłu i przytrzymane diademem z pereł, a w rękach trzymała bukiet białych róż. Za nią pan Collins prowadził pod rękę pana młodego, Daniela Hindsa. Tak się nazywał jej Danny. Jak dobrze, że ten ślub mógł się odbyć w ogrodzie Meny, pomyślała Jilly. Tam, gdzie dawno temu był basen, Meny posadziła kiedyś róże. W miejscu tragedii wyrosło ziarno życia, piękna i pokoju.

Jillian przymknęła oczy i słuchała głosu kapłana, który czytał fragment z Eklezjasty:

Jest pora na każdą rzecz

i jest czas na każdą sprawę pod niebem.

Jest czas rodzenia i czas umierania,

czas sadzenia i czas wyrywania tego, co posadzone.

Czas zabijania i czas leczenia, czas burzenia i czas budowania.

Czas płaczu i czas śmiechu, czas żałoby i czas tańca.

382

### **CZTERY PORY ROKU**

Czas rozrzucania kamieni i czas zbierania kamieni, czas objąć i czas ich poniechania.

Czas szukania i czas tracenia,

czas zachowywania i czas odrzucenia.

Czas rozdzierania i czas zszywania, czas milczenia i czas mówienia.

Czas miłowania i czas nienawidzenia, czas wojny i czas pokoju.